

Agota KRISTOF



Duży zeszyt * Dowód * Trzecie kłamstwo



Agota KRISTOF

Duży zeszyt

*

Dowód

*

Trzecie kłamstwo

przekład

Małgorzata Zięba



AMBER

Warszawa
1994

Duży zeszyt

Przyjazd do Babki

Przyjechaliśmy z Dużego Miasta. Jechaliśmy całą noc. Matka ma zaczerwienione oczy. Dźwiga duże pudło. Każdy z nas trzyma małą walizkę z ubraniami oraz wielki słownik Ojca, który nosimy na zmianę, gdy zaczynają nam mdleć ręce.

Idziemy długo. Dom Babki leży z dala od dworca, na drugim końcu Małego Miasta. Nie jeżdżą tutaj tramwaje, autobusy ani samochody. Czasami tylko widać kilka wojskowych ciężarówek.

Nie ma wielu przechodniów, miasto jest ciche. Słysząc odgłosy naszych kroków; idziemy w milczeniu, Matka w środku, my po bokach.

Przed furtką prowadzącą do ogrodu Babki Matka mówi:

– Poczekajcie tutaj na mnie.

Czekamy przez chwilę, potem wchodzimy do ogrodu, okrążamy dom, kucamy pod oknem, skąd docierają głosy. Głos Matki:

– U nas skończyło się jedzenie. Nie ma chleba, mięsa, warzyw ani mleka. Nie mam czym ich karmić.

Drugi głos:

– Więc przypomniałaś sobie o mnie. Przez dziesięć lat nie pamiętałaś. Nie przyjeżdżałaś ani nie pisałaś.

Matka mówi:

– Dobrze wiesz, dlaczego. Ja bardzo kochałam ojca.

Drugi głos:

– Tak, ale teraz przypomniałaś sobie, że masz także matkę. Przyjeżdżasz i prosisz mnie o pomoc.

Matka mówi:

– Nie proszę o nic dla siebie. Chciałbym tylko, żeby moje dzieci przeżyły tę wojnę. Duże Miasto jest bombardowane dniem i nocą, nie ma już w nim żywności. Wszystkie dzieci są wywożone na wieś, do rodziny lub obcych, wszystko jedno gdzie.

Drugi głos:

– Trzeba było wysłać ich do obcych, jeśli to wszystko jedno.

Matka mówi:

– Oni są twoimi wnukami.

– Moimi wnukami? Nawet ich nie znam. Ilu ich jest?

– Dwóch. Dwóch chłopców. Bliźnięta.

Drugi głos pyta:

– A co zrobiłaś z innymi?

Matka pyta:

– Z jakimi innymi?

– Suki mają po cztery lub po pięć szczeniaków naraz. Zostawia się tylko dwa, resztę się topi.

Drugi głos śmieje się donośnie. Matka nic nie mówi, drugi głos pyta:

– Czy przynajmniej mają ojca? O ile wiem, nie jesteś mężatką. Nie prosiłaś mnie na ślub.

– Jestem mężatką. Ich ojciec jest na froncie. Od pół roku nie daje znaku żyda.

– W takim razie możesz postawić na nim krzyżyk.

Drugi głos znowu się śmieje, Matka płacze. Wycofujemy się przed furtkę.

Z domu wychodzi Matka ze starą kobietą.

Matka mówi:

– To jest wasza Babka. Zostaniecie u niej przez pewien czas, aż skończy się wojna.

Babka mówi:

– Wojna tak prędko się nie skończy. Ale ja ich nauczę pracować, nie martw się. Tutaj nie dają jeść za darmo.

Matka mówi:

– Będę wam przysyłała pieniądze. W walizkach są ubrania. W pudle pościel i prześcieradła.

Bądźcie grzeczne, dzieci. Napiszę do was.

Całuje nas i odchodzi z płaczem.

Babka śmieje się hałaśliwie i mówi:

– Prześcieradła, pościel! Białe koszule i lakierki! Ja już was nauczę życia!

Pokazujemy język Babce, która coraz głośniej się śmieje, klepiąc się przy tym po udach.

Dom Babki

Do domu Babki idzie się pięć minut od ostatnich zabudowań Małego Miasta. Potem jest już tylko pokryta kurzem droga, którą zaraz przecina szlaban. Nie można iść dalej, żołnierz pilnuje przejścia. Ma pistolet maszynowy i lornetkę, a kiedy pada deszcz, chroni się w budce wartowniczej. Wiemy, że za szlabanem, ukryta w gąszczu drzew, znajduje się tajna baza wojskowa, a za nią – granica i inne państwo.

Dom Babki stoi w ogrodzie, na którego końcu płynie niewielka rzeczka, dalej rośnie las.

W ogródku przy domu rosną różne warzywa i drzewa owocowe. W rogu znajdują się: klatka na króliki, kurnik, chlew i szopa dla kóz. Próbowaliśmy wdrapać się na kark najgrubszej świni, ale nie mogliśmy się na niej utrzymać.

Babka sprzedaje na targu warzywa, owoce, króliki, kaczki, kurczaki, a także jaja kurze i kacze oraz kozie sery. Świnie sprzedaje rzeźnikowi, który płaci nie tylko pieniędzmi, ale także szynką i wędzoną kielbasą.

Jest jeszcze pies, który przepędza złodziei, i kot, który przepędza myszy i szczury. Nie należy go karmić, ponieważ zawsze powinien być głodny.

Babka ma także winnicę po drugiej stronie drogi.

Do domu wchodzi się przez dużą i ciepłą kuchnię. W piecu pali się drewnem przez cały dzień. Blisko okna stoi duży stół i narożna ława, na której śpimy.

Z kuchni do pokoju Babki prowadzą drzwi, ale są zawsze zamknięte na klucz. Babka otwiera je tylko wieczorem, gdy idzie spać.

Jest jeszcze jeden pokój, do którego można wejść prosto z ogrodu, nie przechodząc przez kuchnię. Ten pokój zamieszkuje zagraniczny oficer. Również i jego drzwi są zamknięte na klucz.

Pod domem jest piwnica z żywnością, a na poddaszu strych, dokąd Babka nie zagląda od czasu, kiedy ponacinaliśmy szczeble, i potłukła się spadając z drabiny. Wejście na strych znajduje się dokładnie nad drzwiami do pokoju oficera. Wspinamy się tam za pomocą liny. To właśnie na górze chowamy zeszyt z notatkami, słownik Ojca i inne rzeczy, które musimy ukrywać.

Wkrótce dorabiamy klucz, który otwiera wszystkie drzwi i robimy szpary w podłodze na strychu. Mając klucz możemy swobodnie poruszać się po domu, gdy nie ma nikogo, a dzięki szparom możemy dyskretnie obserwować Babkę i oficera w pokojach.

Babka

Babka jest matką naszej Matki. Zanim tutaj przyjechaliśmy, nie widzieliśmy, że nasza Matka ma jeszcze matkę.

Nazywamy ją Babką.

Ludzie nazywają ją Wiedźmą.

Ona nazywa nas „sukinsynami”.

Babka jest mała i chuda. Nosi na głowie czarną chustkę. Ma ciemnoszare ubrania i stare żołnierskie buty. Gdy jest ciepło, chodzi boso. Jej twarz pokrywają zmarszczki, brunatne plamy i brodawki, z których wyrastają włosy. Nie ma zębów, przynajmniej tych, które można by zobaczyć.

Babka nigdy się nie myje. Po jedzeniu lub po picciu wyciera usta brzegiem chustki. Nie nosi majtek. Kiedy chce się załatwić – staje, rozkracza nogi i sika na ziemię. Oczywiście nie robi tego w domu.

Babka nigdy się nie rozbiera. Podglądaliśmy ją wieczorem w pokoju. Zdejmuje jedną spódnicę, ale pod spodem ma drugą. Zdejmuje bluzkę, ale pod spodem ma następną. Tak kładzie się spać. Nigdy nie zdejmuje chustki.

W ciągu dnia Babka mało mówi. Co innego wieczorem. Wówczas bierze z półki butelkę i wlewa sobie jej zawartość prosto do gardła. Zaraz potem zaczyna mówić w języku, którego nie znamy. Nie jest to język, którym mówią obcy żołnierze, to zupełnie coś innego.

W tym nieznanym języku Babka zadaje sobie pytania i odpowiada na nie. Raz jest wesoła, innym razem gniewa się i krzyczy. Na koniec prawie zawsze zaczyna płakać. Idzie do pokoju chwiejnym krokiem, pada na łóżko, a jej szloch słyszymy jeszcze długo w nocy.

Praca

Babka każe nam pracować, a jeśli tego nie robimy, nie daje nam jeść i nie wpuszcza do domu na noc.

Początkowo nie chcemy jej słuchać. Śpimy w ogródku, jemy owoce i surowe warzywa.

Rankiem, przed wschodem słońca, widzimy jak Babka wychodzi z domu. Nie odzywa się do nas. Idzie nakarmić zwierzęta, doi kozy, potem prowadzi je nad rzekę i tam przywiązuje do drzewa. Następnie podlewa ogródek, zbiera warzywa i owoce, które ładuje na dwukołowy wózek. Kładzie na nim także kosz pełen jaj, małą klatkę z królikiem oraz kurczaka lub kaczkę ze związanymi łapami.

Idzie na targ popychając wózek, a nosidła opasujące jej chudą szyję sprawiają, że pochyla głowę ku ziemi. Ugina się pod ciężarem. Garby na drodze i kamienie przeszkadzają jej, lecz idzie stawiając stopy do środka jak kaczka. Podąża w kierunku miasta na targ, bez wytchnienia, nie zatrzymując wózka nawet na chwilę.

Po powrocie z targu gotuje zupę z warzyw, których nie sprzedawała i robi konfitury. Je obiad, idzie do winnicy zdrzemnąć się, śpi godzinę, potem dogląda winorośli, a jeśli nie ma tam nic do roboty, wraca do domu, rąbie drewno, ponownie karmi zwierzęta, przyprowadza kozy, doi je, idzie do lasu, zbiera grzyby i drewno na opał, suszy grzyby i fasolę, robi przetwory warzywne, znowu podlewa ogródek, sprząta w piwnicy i tak w kółko, aż do zmroku.

Szóstego dnia rano, jeszcze przed wyjściem Babki z domu, podlewamy ogródek. Bierzymy z jej rąk ciężkie wiadra z karmą dla świń, prowadzimy kozy nad rzekę, pomagamy załadować wózek. Kiedy Babka wraca z targu, kończymy rąbać drewno.

W czasie posiłku Babka mówi:

– Zrozumieliście, że trzeba zasłużyć na jedzenie i dach nad głową.

Odpowiadamy:

– Nie o to chodzi. Ciężko jest pracować, ale jeszcze ciężiej beczynnym patrzeć, jak pracuje ktoś inny, zwłaszcza jeśli to stary człowiek.

Babka wybucha szyderyczym śmiechem:

– A wy sukiny! Chcecie powiedzieć, że ulitowaliście się nade mną?

– Nie. Po prostu wstyd nam było za siebie.

Po południu idziemy do lasu po drewno.

Od tej pory wykonujemy każdą pracę, do której jesteśmy zdolni.

Las i rzeka

Las jest bardzo duży, rzeka zupełnie nuda. Żeby dojść do lasu, należy przeprowić się przez rzekę. Kiedy poziom wody jest niski, możemy przejść przez nią skacząc z kamienia na kamień. Ale czasem, po długotrwałych deszczach, woda sięga nam do pasa, a ponadto jest zimna i błotnista. Postanawiamy zbudować most z cegieł i desek, które znajdujemy wokół zburzonych domów.

Nasz most jest solidny. Pokazujemy go Babce, która przechodzi po nim i mówi:

– Bardzo dobrze. Ale nie chodźcie zbyt daleko w las. Granica jest blisko, żołnierze mogą was zastrzelić. A przede wszystkim nie zgubcie się. Nie będę was szukać.

Budując most zauważyliśmy ryby. Chowają się pod dużymi kamieniami lub w cieniu krzewów i drzew, których gałęzie splatają się ze sobą w niektórych miejscach nad rzeką. Wybieramy największe ryby, łapiemy je i wpuszczamy do wiadra napełnionego wodą. Wieczorem, kiedy przynosimy je do domu, Babka mówi:

– Sukinsyny! Jak je złapaliście?

– Rękoma. To proste. Trzeba stać bez ruchu i czekać.

– W takim razie nałapcie ich dużo. Ile tylko zdołacie.

Następnego dnia Babka ładuje wiadro na wózek i sprzedaje ryby na targu.

Często chodzimy do lasu, nigdy nie błądzimy, wiemy, z której strony znajduje się granica. Wkrótce znają nas wszyscy wartownicy. Nigdy nie strzelają. Babka uczy nas odróżniać grzyby jadalne od trujących.

Z lasu przynosimy na plecach drewno, a w koszach grzyby i kasztany. Polana układamy równo przy ścianie pod daszkiem, a kasztany pieczemy na kuchni, jeśli Babki jeszcze nie ma w domu.

Pewnego razu, daleko w lesie, nad brzegiem olbrzymiego leja zrobionego przez bombę, znajdujemy martwego żołnierza. Jest jeszcze cały, brak mu tylko oczu, które wydziobały kruki. Zabieramy mu karabin, naboje i granaty, chowamy karabin pod szczapy drewna, a naboje i granaty do koszów z grzybami.

Po przyjsciu do domu Babki owijamy starannie te przedmioty w słomę i worki po ziemniakach, po czym zakopujemy je pod ławką, obok okna oficera.

Brud

W domu, w Dużym Mieście, Matka często nas myła pod prysznicem lub w wannie. Dawała nam czyste ubrania, obcinała paznokcie. Po każdym posiłku myliśmy zęby.

U Babki nie ma jak się umyć. Brak łazienki i bieżącej wody. Trzeba brać wiadro i iść do studni. W domu nie ma mydła, pasty do zębów ani proszku do prania.

W kuchni wszystko jest brudne. Czerwona nierówna posadzka lepi się do nóg, duży stół lepi się do rąk i łokci. Kuchenka jest zupełnie czarna od tłuszczu, ściany także poczerniały od pary. Mimo że Babka zmywa naczynia, to talerze, łyżki i noże nigdy nie są zupełnie czyste, a garnki pokrywa gruba warstwa brudnego osadu. Ścierki są poszarzałe i cuchnące.

Początkowo nie mamy nawet chęci do jedzenia, zwłaszcza gdy widzimy, w jaki sposób Babka przygotowuje posiłki – bez umycia rąk, wycierając nos rękawem. Później nie zwracamy już na to uwagi.

Kiedy jest ciepło, chodzimy kąpać się do rzeki, twarz i zęby myjemy przy studni. Gdy jest zimno, nie możemy dokładnie się umyć. W domu nie ma żadnej dużej miski. Zniknęły nasze prześcieradła, kołdry i ręczniki kąpielowe. Nigdy więcej nie widzieliśmy dużego pudła, w którym Matka je przywiozła.

Babka wszystko sprzedała.

Jesteśmy coraz bardziej brudni. Nasze ubrania także. Z leżących pod ławą walizek wyciągamy czyste rzeczy, ale wkrótce nic tam już nie ma. To, co nosimy, drze się, buty są znoszone i dziurawe. Gdy tylko możemy, chodzimy boso i nosimy same kalesony lub spodnie. Stopy nam twardnieją, nie czujemy już kolców ani kamieni. Skóra ciemnieje, na rękach i nogach mamy pełno zadrapań, skaleczeń, śladów po ukąszeniach. Łamię się nigdy nie obcinane paznokcie, a wyblakłe od słońca włosy sięgają do ramion.

Ubikacja jest na końcu ogrodu. Nigdy nie ma w niej papieru. Wycieramy się co większymi liśćmi z pobliskich krzewów.

Zalatuje od nas mieszany zapach gnoju, ryby, trawy, grzybów, dymu, mleka, sera, błota, szlamu, ziemi, moczu, potu i zgnilizny.

Cuchniemy jak Babka.

Hartowanie ciała

Babka często nas bije kościstymi rękoma, szczotką lub moką ścierką. Ciągnie nas za uszy, szarpie za włosy.

Inni ludzie także biją nas po twarzy i kopią, nawet nie wiemy, dlaczego.

Te ciosy tak bolą, że aż płaczemy.

Cierpimy też z powodu upadków, zadrapań, skaleczeń, pracy, zimna i gorąca.

Postanawiamy zahartować ciało, żeby móc znosić ból bez płaczu.

Zaczynamy od wymierzania sobie policzków, potem bijemy się pięściami. Widząc nasze spuchnięte twarze Babka pyta:

– Kto wam to zrobił?

– Sami.

– Pobiliście się? Dlaczego?

– Tak sobie. Niech się Babka nie martwi. My się tylko hartujemy.

– Hartujecie się? Całkiem wam odbiło! Zresztą, jeśli to was bawi...

Rozbieramy się do naga. Jeden drugiego bije paskiem. Przy każdym uderzeniu mówimy:

– To nie boli.

Uderzamy mocniej, wciąż mocniej.

Trzymamy dłoń nad płomieniem. Nożem nacinamy sobie udo, rękę, pierś i skrapiamy spirytusem rany. Za każdym razem mówimy:

– To nie boli.

Po pewnym czasie rzeczywiście nic nie czujemy. To ktoś inny parzy się, kaleczy, cierpi.

Nie płaczemy.

Kiedy Babka gniewa się i krzyczy, mówimy do niej:

– Niech Babka przestanie krzyczeć, niech nas Babka zbije.

Kiedy nas bije, mówimy:

– Jeszcze! Niech Babka spojrzy, nadstawiamy drugi policzek, tak jak napisano w Biblii. Niech nas Babka uderzy również w drugi policzek!

Babka odpowiada:

– Idźcie do diabła z tą swoją Biblią i policzkami!

Ordynans

Leżymy na narożnej ławie w kuchni. Dotykamy się głowami. Jeszcze nie śpimy, lecz mamy zamknięte oczy. Ktoś uchyla drzwi. Otwieramy oczy. Oślepia nas światło latarki.

Pytamy:

– Kto tam?

Męski głos odpowiada:

– Nie bać się. Wy nie bać się. Was dwóch, czy ja za dużo wypić?

Śmieje się, zapala lampę naftową na stole i gasi latarkę. Teraz dobrze go widzimy. To zagraniczny żołnierz, bez stopnia. Mówi:

– Ja być ordynansem kapitana. Co wy tutaj robić?

Mówimy:

– Mieszkamy tutaj. U Babki.

– Wy wnuczki Wiedźmy? Ja was jeszcze nigdy nie widzieć. Wy być tu od kiedy?

– Od dwóch tygodni.

– Ach, ja wyjechać na przepustkę do domu, do rodzinnej wioski. Nieźle się zabawić.

Pytamy:

– Skąd zna pan nasz język?

Mówi:

– Moja matka urodzić się tutaj, w waszym kraju. Przyjechać pracować u nas jako kelnerka w barze. Poznać mój ojciec, wyjść za mąż. Kiedy ja być mały, matka mówić waszym językiem. Wasz kraj i mój kraj być przyjaciółmi. Razem walczyć z wrogiem. Wy skąd przyjechać?

– Z Dużego Miasta.

– Duże Miasto niebezpieczne. Bum! Bum!

– Tak, a w dodatku nie ma tam co jeść.

– Tutaj dobrze, jest co jeść. Jabłka, świnie, kurczaki, wszystko. Wy zostać tu długo czy tylko na wakacje?

– Zostaniemy do końca wojny.

– Wojna wkrótce zakończona. Wy spać tutaj? Goła ławka, twarda, zimna. Wiedźma nie chcieć zabrać was do pokoju?

– Nie chcemy spać w pokoju Babki. Ona chrapie i śmierdzi. Mieliliśmy pościel, ale Babka ją sprzedała.

Ordynans bierze ciepłą wodę ze stojącego na kuchni garnka i mówi:

– Ja musieć sprzątnąć pokój. Kapitan także wrócić z przepustki dziś wieczór lub jutro rano.

Wychodzi. Za kilka minut wraca. Przynosi nam dwa szare wojskowe koce.

– Nie sprzedawać tego, stara Wiedźma. Jeśli ona być bardzo niedobra, wy mnie powiedzieć. Ja pum, pum, zabijam.

Znowu się śmieje. Przykrywa nas, gasi lampę i wychodzi.

Gdy nastaje dzień, chowamy koce na strychu.

Hartowanie ducha

Babka mówi do nas:

– Sukinsyny!

Ludzie mówią do nas:

– Bachory Wiedźmy! Skurwysyny!

Mówią także:

– Cymbały! Łotry! Smarkacze! Osły! Świnie! Wieprze! Kanalie! Ścierwo! Zasańce! Wisielce!

Psie nasienie!

Kiedy słyszymy te słowa, czerwienimy się, w uszach nam szumi, oczy szczypią, drżą kolana.

Nie chcemy czerwienić się ani drzeć, chcemy przyzwyczaić się do zniewag, do słów, które ranią.

Siadamy przy kuchennym stole naprzeciw siebie i patrząc sobie w oczy mówimy najokrutniejsze słowa:

Jeden:

– Gnój! Dupa!

Drugi:

– Gówno! Świnia!

Powtarzamy podobne wyrazy aż do chwili, gdy przestają one do nas docierać, a my już ich nawet nie słyszymy.

Ćwiczymy w ten sposób około pół godziny dziennie, potem spacerujemy po ulicach.

Staramy się, żeby ludzie nas znieważali, i stwierdzamy, że wreszcie udaje nam się zachować obojętność.

Ale wracają także dawne słowa.

Matka mówiła do nas:

– Moi kochani! Moje serduszka! Moje szczęście! Moje małe pociechy!

Kiedy przypominamy sobie te wyrazy, oczy napełniają się łzami!

Musimy zapomnieć o takich słowach, ponieważ teraz nikt do nas w ten sposób nie mówi, a wspomnienie o nich jest zbyt ciężkim brzemieniem.

Zaczynamy więc inne ćwiczenie.

Mówimy:

– Moi kochani! Moje serduszka! Kocham was... Nigdy was nie opuszczę... Tylko was będę kochać... Zawsze... Jesteście całym moim życiem...

Powtarzane wielokrotnie wyrazy stopniowo tracą znaczenie, a ból, który sprawiają, powoli ustępuje.

Szkoła

To wydarzyło się trzy lata temu.

Jest wieczór. Nasi rodzice sądzą, że śpimy. Rozmawiają o nas w sąsiednim pokoju.

Matka mówi:

– Oni nie zniosą rozłąki.

Ojciec mówi:

– Będą rozdzieleni tylko podczas zajęć szkolnych.

Matka mówi:

– Nie zniosą tego.

– Będą musieli. To dla nich konieczne. Wszyscy tak sądzą. Nauczyciele, psychologowie. Na początku to będzie trudne, ale przyzwyczają się.

Matka mówi:

– Wiem, że nie. Nigdy. Stanowią jedną i tę samą osobę.

Ojciec podnosi głos:

– Właśnie. To nie jest normalne. Razem myślą, razem działają. Żyją w innym wymiarze. We własnym świecie, to nie jest prawidłowe. To nawet niepokojące. Tak, oni mnie niepokoją. Są dziwni. Nigdy nie wiadomo, o czym myślą. Są zbyt roztargnięci jak na swój wiek. Za dużo wiedzą.

Matka śmieje się:

– Chyba nie będziesz im miał za złe, że są zbyt inteligentni?

– To nie jest zabawne. Dlaczego się śmiejesz?

Matka odpowiada:

– Bliźnięta zawsze sprawiają kłopoty. To żaden dramat. Wszystko się jakoś ułoży.

Ojciec mówi:

– Tak, wszystko może ułożyć się pod warunkiem, że ich rozdzielimy. Każdy człowiek musi mieć własne życie.

Kilka dni później zaczyna się szkoła. Jesteśmy w różnych klasach. Siadamy w pierwszej ławce.

Dzieli nas cała długość budynku. Ta odległość wydaje nam się potworna, ból wynikający z rozłąki jest nie do zniesienia. Czujemy się tak, jakby oderwano nam połowę ciała. Nie możemy utrzymać równowagi, mamy zawroty głowy, przewracamy się, tracimy przytomność.

Budzimy się w karetce, która wiezie nas do szpitala.

Matka przychodzi do nas. Uśmiecha się i mówi:

– Od jutra będziecie w tej samej klasie.

W domu Ojciec mówi do nas krótko:

– Symulanci!

Wkrótce wyjeżdża na front. Jest dziennikarzem i korespondentem wojennym.

Chodzimy do szkoły przez dwa i pół roku. Nauczyciele wyruszają na front, zastępują ich nauczycielki. Potem trzeba zamknąć szkołę, gdyż jest zbyt dużo alarmów i bombardowań.

Umiemy czytać, pisać, liczyć.

U Babki postanawiamy kontynuować samodzielnie naukę, bez nauczycieli.

Zakup papieru, zeszytu i ołówków

U Babki nie ma papieru ani ołówka. Idziemy więc do sklepu, który nazywa się „Księgarnia – Papierniczy”. Wybieramy paczkę papieru w kratkę, dwa ołówki i gruby duży zeszyt. Kładziemy to przed korpulentnym panem, który stoi z drugiej strony lady. Mówimy do niego:

– To wszystko jest nam potrzebne, ale nie mamy pieniędzy.

Księgarz mówi:

– Jak to? Przecież... trzeba zapłacić.

Powtarzamy:

– Nie mamy pieniędzy, lecz to wszystko jest nam koniecznie potrzebne.

Księgarz mówi:

– Szkoła jest zamknięta. Nikt nie potrzebuje zeszytów ani ołówków.

Mówimy:

– Prowadzimy szkołę w domu. Sami.

– Poproście rodziców o pieniądze.

– Ojciec jest na froncie, a Matka została w Dużym Mieście. Mieszkamy u Babki, ona nie ma pieniędzy.

Księgarz mówi:

– Bez pieniędzy nie możecie niczego kupić.

Nic nie odpowiadamy, tylko patrzymy na niego.

On także na nas patrzy. Czoło ma mokre od potu. Po pewnym czasie krzyczy:

– Nie patrzcie tak na mnie! Wyjdźcie stąd!

Mówimy:

– Jesteśmy skłonni wykonać kilka prac dla pana w zamian za te przedmioty. Na przykład podlać ogródek, wyplenić chwasty, pozanosić paczki...

Księgarz nadal krzyczy:

– Nie mam ogródka! Nie potrzebuję was! A poza tym, czy nie moglibyście normalnie mówić?

– Mówimy normalnie.

– W waszym wieku takie słowa, jak: „jesteśmy skłonni wykonać”, to jest normalne, tak?

– Mówimy poprawnie.

– Owszem, zbyt poprawnie. Nie podoba mi się wasz sposób mówienia! Wasz sposób patrzenia także nie! Wyjdźcie stąd!

Pytamy:

– Czy pan posiada kury, proszę pana?

Księgarz wyciera poblądlą twarz białą chustką.

Pyta cichym głosem:

– Kury? Dlaczego kury?

– Dlatego, że jeśli pan ich nie posiada, moglibyśmy dysponować pewną ilością jaj i dostarczyć je panu w drodze wymiany za przedmioty, które są dla nas nieodzowne.

Księgarz patrzy na nas bez słowa.

Mówimy:

– Cena jaj rośnie z dnia na dzień. Natomiast cena papieru i ołówków...

Księgarz ciska w kierunku drzwi papier, ołówki oraz zeszyt i wrzeszczy:

– Wynoście się stąd! Nie potrzebuję waszych jajek! Weźcie to wszystko i już więcej nie wracajcie!

Zbieramy starannie przedmioty i mówimy:

– Jednakże będziemy musieli wrócić, gdy zabraknie nam papieru i wypiszą się ołówki.

Nauka

Do nauki mamy słownik Ojca oraz Biblię, którą znaleźliśmy tutaj, u Babki na strychu.

Robimy lekcje ortografii, pisania wypracowań, czytania, liczenia w pamięci, matematyki oraz ćwiczenia na zapamiętywanie.

Posługujemy się słownikiem, żeby sprawdzić pisownię wyrazów, wyjaśnić ich znaczenie oraz aby poznać nowe słowa, synonimy lub antonimy.

Biblia służy do głośnego czytania, do robienia dyktand oraz ćwiczenia pamięci. Uczymy się na pamięć całych stron z Biblii.

Oto jak przebiega lekcja wypracowań:

Siadamy przy kuchennym stole. Bierzymy papier w kratkę, ołówki i Duży Zeszyt. Jesteśmy sami.

Jeden z nas mówi:

– Tematem wypracowania jest: „Przyjazd do Babki”.

Drugi mówi:

– Tematem wypracowania jest: „Praca”.

Zaczynamy pisać. Mamy dwie godziny, żeby opracować temat, i dwie kartki papieru do dyspozycji.

Po upływie dwóch godzin wymieniamy się kartkami, każdy z nas poprawia błędy ortograficzne drugiego, posługując się słownikiem, a na dole strony pisze: „Dobrze” lub „Źle”. Jeżeli jest „Źle”, wyrzucamy wypracowanie do pieca i próbujemy opracować ten sam temat na następnej lekcji. Jeśli jest „Dobrze”, możemy przepisać wypracowanie do Dużego Zeszytu.

Mamy bardzo prostą regułę na określenie, kiedy jest „Dobrze”, a kiedy „Źle”: wypracowanie musi być prawdziwe. Musimy opisywać to, co się dzieje, co widzimy, słyszymy i robimy.

Na przykład nie wolno nam pisać: „Babka podobna jest do wiedźmy”, ale możemy napisać: „Ludzie nazywają Babkę Wiedźmą”.

Nie wolno nam pisać: „Małe Miasto jest piękne”, bo Małe Miasto może być piękne dla nas, a brzydkie dla kogoś innego.

Podobnie, jeśli piszemy: „Ordynans jest miły”, to nie jest prawda, ponieważ ordynans jest, być może, zdolny do złych czynów, o których nic nie wiemy. Piszemy więc po prostu: „Ordynans daje nam koce”.

Napiszemy: „Jemy dużo orzechów”, a nie: „Lubimy orzechy”, gdyż wyraz „lubić” nie jest jednoznaczny, brakuje mu precyzji i obiektywizmu. „Lubić orzechy” i „lubić Matkę” nie może być tym samym. Pierwsze sformułowanie oznacza przyjemny smak w ustach, drugie – uczucie.

Wyrazy określające uczucia są bardzo nieprecyzyjne, lepiej ich unikać, a poprzestawać na opisie przedmiotów, ludzi i samych siebie, to znaczy wiernym odtwarzaniu faktów.

Sąsiadka i jej córka

Nasza sąsiadka jest młodsza od Babki. Mieszka z córką w ostatnim domu Małego Miasta. To kompletnie zniszczona rudera z dachem w wielu miejscach przeciekającym. Przydomowy ogródek nie jest uprawiany tak jak u Babki. Rosną w nim same chwasty.

Sąsiadka siedzi przez cały dzień na taborecie w ogródku i patrzy przed siebie, nie wiadomo na co. Wieczorem oraz w czasie deszczu, córka bierze ją pod rękę i wprowadza do domu. Kiedy córka zapomina o niej lub gdy jest nieobecna, wówczas matka zostaje na dworze całą noc, bez względu na pogodę.

Ludzie mówią, że sąsiadka jest szalona, że straciła rozum po tym, jak ją porzucił mężczyzna, który zrobił jej dziecko.

Babka mówi, że sąsiadka jest po prostu leniwa i że raczej woli żyć biednie, niż zabrać się do pracy.

Córka sąsiadki nie jest wyższa od nas, ale trochę starsza. W ciągu dnia chodzi po mieście i zebrze przed barami lub na rogu ulicy. Na targu zbiera zepsute warzywa i owoce, które ludzie wyrzucają i przynosi je do domu. Kradnie wszystko, co się da. Wielokrotnie musieliśmy ją wyganiać z naszego ogródka, gdyż próbowała kraść owoce i jajka.

Pewnego razu przyłapujemy ją, jak ssie wymię jednej z naszych kóz, aby się napić mleka.

Kiedy nas spostrzeżga, wstaje, wyciera usta grzbietem dłoni, cofa się i mówi:

– Nie róbcie mi nic złego!

Dodaje:

– Bardzo szybko biegam. Nie złapiecie mnie.

Patrzymy na nią. Po raz pierwszy widzimy ją z bliska. Ma zajęczą wargę, zezuje, cieknie jej z nosa, a w kącikach zaczerwienionych oczu widać żółtawą ropę. Nogi i ręce ma pokryte krostami.

Mówi:

– Ludzie mówią na mnie Zajęczka Wargą. Lubię mleko.

Śmieje się. Ma czarne zęby.

– Lubię mleko, ale przede wszystkim lubię ssać wymiona. Są takie dobre. Twarde i zarazem tak delikatne.

Nie odpowiadamy. Podchodzi do nas.

– Lubię także ssać inne rzeczy.

Wyciąga rękę, cofamy się. Mówi:

– Nie chcecie? Nie chcecie się ze mną pobawić? Ja tak bardzo bym chciała. Jesteście tacy ładni.

Opuszcza głowę, mówi:

– Brzydzicie się mnie.

Mówimy:

– Nie, nie brzydzimy się ciebie.

– Rozumiem. Jesteście zbyt młodzi, zbyt nieśmiali. Ale przy mnie nie musicie się krępować. Nauczę was bardzo zabawnych rzeczy.

Mówimy:

– My się nigdy nie bawimy.

– W takim razie co robicie przez cały dzień?

- Pracujemy, uczymy się.
- A ja żebrzę, bawię się i kradnę.
- Zajmujesz się także matką. Jesteś dobrą córką.

Mówi zbliżając się do nas:

- Naprawdę uważacie, że jestem dobra? Naprawdę?
- Tak. A jeśli potrzebujesz czegoś dla matki lub dla siebie, wystarczy nas o to poprosić. Damy ci owoce, warzywa, ryby, mleko.

Zajęcza Warga zaczyna krzyczeć:

- Nie chcę waszych owoców, ryb ani mleka! To wszystko mogę ukraść. Chcę tylko, żebyście mnie kochali. Nikt mnie nie kocha. Nawet matka. Ale ja także nikogo nie kocham. Ani matki, ani was. Ja was nienawidzę!

Ćwiczenie zebrania

Wykładamy brudne i podarte ubrania, zdejmujemy buty, smarujemy czymś twarz i ręce, aby je pobrudzić. Wychodzimy na ulicę. Zatrzymujemy się, czekamy.

Kiedy przechodzi obok nas obcy oficer, podnosimy prawą rękę, żeby zaszalutować i wyciągamy lewą dłoń. Najczęściej oficer przechodzi nie zatrzymując się, nie widząc nas, nie patrząc nawet w naszą stronę.

Wreszcie jeden zatrzymuje się. Mówi coś w języku, którego nie rozumiemy. Zadaje pytania. Nie odpowiadamy, tkwimy bez ruchu z podniesioną ręką i wyciągniętą dłonią. Wówczas oficer zaczyna przeszukiwać kieszenie, wkłada nam monetę i kawałek czekolady do brudnej dłoni i odchodzi kiwając głową.

Czekamy nadal.

Przechodzi kobieta. Wyciągamy rękę. Kobieta mówi:

– Biedne dzieciaki. Nic nie mam, żeby wam dać.

Głaszczcie nas po włosach.

Mówimy:

– Dziękujemy.

Inna kobieta daje nam dwa jabłka, jeszcze inna herbatniki.

Idzie następna kobieta. Wyciągamy do niej rękę, zatrzymuje się, mówi:

– Nie wstydzicie się żebrać? Przyjdźcie do mnie, znajdę dla was trochę lekkiej roboty. Na przykład rąbanie drewna czy szorowanie tarasu. Jesteście do tego wystarczająco duzi i silni. Potem, jeśli się okaże, że dobrze pracowaliście, dam wam zupy i chleba.

Odpowiadamy:

– Nie mamy ochoty pracować dla pani. Nie chcemy jeść pani zupy ani chleba. Nie jesteśmy głodni.

Kobieta pyta:

– W takim razie dlaczego żebracie?

– Żeby zobaczyć, jakie to robi wrażenie i obserwować reakcje ludzi.

Kobieta wykrzykuje odchodząc:

– Bezczelne bachory! Obrzydliwe łobuzy!

Wracając do domy Babki wyrzucamy wszystkie jabłka, herbatniki, czekoladę i pieniądze w rosnącą wzdłuż drogi wysoką trawę.

Głaskania włosów nie da się wyrzucić.

Zajęcza Warga

Łowimy na wędkę ryby w rzece. Przybiega Zajęcza Warga. Nie widzi nas. Kładzie się na trawie, podwija spódnicę. Nie ma majtek. Widzimy jej nagie pośladki i włosy między nogami. My jeszcze nie mamy włosów między nogami. Zajęcza Warga ma ich trochę.

Zajęcza Warga gwizdże. Nadbiega pies. To nasz pies. Dziewczynka chwyta go w ramiona, tarza się z nim po trawie. Pies szczeka, wyrywa się i zmyka w popłochu. Zajęcza Warga przywołuje go łagodnym głosem, pieszcząc palcami swoje narządy płciowe.

Pies powraca, obwąchuje kilka razy narządy płciowe Zajęczej Wargi i zaczyna je lizać.

Zajęcza Warga rozchyła nogi, przyciska dwoma rękoma łeb psa do swojego brzucha. Głośno oddycha i wiję się.

Członek psa staje się widoczny, wydłuża się, jest chudy i czerwony. Pies podnosi głowę, próbuje wdrapać się na Zajęczą Wargę.

Zajęcza Warga odwraca się, teraz jest na kolanach, wypina pośladki w kierunku psa. Pies kładzie przednie łapy na plecach Zajęczej Wargi, jego tylne kończyny drżą. Szuka, coraz bardziej przybliża się, staje między nogami Zajęczej Wargi, przykleja się do jej pośladków. Szybko rusza się do przodu i do tyłu! Zajęcza Warga krzyczy, a po chwili upada na brzuch.

Pies powoli odchodzi.

Zajęcza Warga leży przez pewien czas, potem wstaje, zauważa nas, czerwienię się. Krzyczy:

– Obrzydliwe małe szpicle! Co widzieliście?

Odpowiadamy:

– Widzieliśmy, jak zabawiasz się z naszym psem.

Zajęcza Warga pyta:

– Mogę być nadal waszą koleżanką?

– Tak. I pozwalamy ci zabawiać się z naszym psem, kiedy tylko chcesz.

– A nie powiecie nikomu, co widzieliście?

– Nigdy nikomu nic nie mówimy. Możesz na nas liczyć.

Dziewczynka siada na trawie, płacze:

– Tylko zwierzęta mnie lubią.

Pytamy:

– Czy to prawda, że twoja matka jest wariatką?

– Nie. Jest tylko ślepa i głucha.

– Co jej się stało?

– Nic. Nic nadzwyczajnego. Pewnego dnia oślepła, a później ogłuchła. Mówi, że ze mną będzie tak samo. Widzieliście moje oczy? Rano, kiedy się budzę, mam zlepione powieki, a w oczach pełno ropy.

Mówimy:

– Lekarz mógłby z pewnością tę chorobę wyleczyć.

Zajęcza Warga mówi:

– Być może. Ale jak iść do lekarza bez pieniędzy? Zresztą nie ma lekarzy. Wszyscy są na froncie.

Pytamy:

– A uszy? Bolą cię uszy?

– Nie, nie mam żadnych problemów z uszami. Myślę, że matka też nie. Woli nie słyszeć, kiedy zadaję pytania.

Ćwiczenie ślepoty i głuchoty

Jeden z nas udaje ślepego, drugi głuchego. Na początku, żeby wyćwiczyć się, ślepy przewiązuje oczy czarną chustką Babki, głuchy zatyka uszy trawą. Chustka cuchnie Babką.

Podajemy sobie ręce, wychodzimy na spacer w czasie alarmu, kiedy ludzie chowają się do piwnic, a ulice są puste.

Głuchy opisuje to, co widzi:

– Ulica jest pusta i długa. Po obu stronach stoją parterowe domy. Są białe, szare, różowe, żółte i niebieskie. Na końcu ulicy widać park: w nim drzewa i fontannę. Po pogodnym niebie przesuwały się białe obłoki. Widać pięć samolotów. Lecą nisko. To bombowce.

Ślepy mówi po woli, żeby głuchy mógł czytać z ruchu warg:

– Słyszę samoloty. Wydają dudniący przerywany dźwięk. Silniki turkoczą. Maszyny są obciążone bombami. Teraz przeleciały. Znowu słyszę ptaki. Oprócz tego – cisza.

Głuchy czyta z ruchu warg ślepego i odpowiada:

– Tak, ulica jest pusta.

Ślepy mówi:

– Chwilowo. Słyszę kroki na bocznej ulicy, po lewo.

Głuchy mówi:

– Masz rację. To jakiś mężczyzna.

Ślepy pyta:

– Jak wygląda?

Głuchy odpowiada:

– Tak jak wszyscy. Jest stary i biedny.

Ślepy mówi:

– Wiem. Potrafię poznać kroki starych ludzi. Słyszę również, że idzie boso, więc jest biedny.

Głuchy mówi:

– Jest łyśy. Ma stary żołnierski mundur. Nosi za krótkie spodnie. Ma brudne nogi.

– A oczy?

– Nie widzę. Patrzy w ziemię.

– A usta?

– Wargi wciągnięte do środka. Pewnie już nie ma zębów.

– A ręce?

– W kieszeniach. Ma olbrzymie, wypchane czymś kieszenie. Być może niesie ziemniaki lub orzechy, bo wystaje coś okrągłego. Podnosi głowę, patrzy na nas. Nie mogę dojrzeć koloru jego oczu.

– Nie widzisz nic innego?

– Na twarzy ma zmarszczki głębokie jak rany.

Ślepy mówi:

– Słyszę syreny. Koniec alarmu. Wracajmy.

Z czasem nie potrzebujemy chustki na oczy ani trawy do uszu.

Ten, kto udaje ślepego, kieruje wzrok ku wnętrzu, a głuchy zamyka uszy na wszelkie hałasy.

Dezserter

Znajdujemy w lesie żywego człowieka. Jest młody, nie ma munduru. Leży za krzakiem. Patrzy na nas bez ruchu.

Pytamy:

– Dlaczego pan tutaj leży?

Odpowiada:

– Nie mogę już iść. Przybywam z tamtej strony granicy. Szedłem przez dwa tygodnie. Dzień i noc. Zwłaszcza w nocy. Teraz jestem zbyt słaby. Chce mi się jeść. Nie jadłem od trzech dni.

Pytamy:

– Dlaczego nie ma pan munduru? Wszyscy młodzi ludzie noszą mundury. Są żołnierzami.

Człowiek mówi:

– Już nie chcę być żołnierzem.

– Nie chce pan walczyć z wrogiem?

– Nie chcę walczyć z nikim. Nie mam wrogów. Chcę wrócić do domu.

– Gdzie jest pana dom?

– Jeszcze daleko. Nie dojdę tam, jeśli nie znajdę niczego do jedzenia.

Pytamy:

– Dlaczego pan sobie nie kupi trochę żywności? Nie ma pan pieniędzy?

– Nie, nie mam pieniędzy i nie mogę się nikomu pokazać. Muszę ukrywać się. Nie mogą mnie zobaczyć.

– Dlaczego?

– Opuściłem wojsko bez zezwolenia. Uciekłem. Jestem dezserterem. Jeśli mnie znajdą, rozstrzelają lub powieszą.

Pytamy:

– Jak mordercę?

– Tak, właśnie tak. Jak mordercę.

– A przecież pan nie chce nikogo zabijać. Pan chce tylko wrócić do domu.

– Tak, chcę tylko wrócić do domu.

Pytamy:

– Co panu przynieść do jedzenia?

– Cokolwiek.

– Kozie mleko, jajka na twardo, chleb, owoce?

– Tak, tak, cokolwiek.

Pytamy:

– A koc? Noce są zimne i często pada deszcz.

Mężczyzna mówi:

– Dobrze, ale nikt nie może was widzieć. Nikomu o niczym nie powiecie, prawda? Nawet matce.

Odpowiadamy:

– Nikt pana nie zobaczy, nigdy nikomu o niczym nie mówimy, i nie mamy matki.

Kiedy wracamy z jedzeniem i kocem, mówi:

– Jesteście mili.

Mówimy:

– Nie chcieliśmy być mili. Przynieśliśmy panu te rzeczy, ponieważ były panu koniecznie potrzebne. To wszystko.

Mężczyzna mówi jeszcze:

– Nie wiem, jak mam wam dziękować. Nigdy was nie zapomnę.

Jego oczy zachodzą łzami.

Mówimy:

– Pan wie, że płacz niczemu nie służy. My nie płaczemy nigdy. A przecież nie jesteśmy jeszcze mężczyznami, tak jak pan.

Uśmiecha się i mówi:

– Macie rację. Przepraszam, już nie będę. To z wyczerpania.

Ćwiczenie głodu

Oznajmiamy Babce:

– Dzisiaj i jutro nie będziemy nic jedli. Będziemy tylko pili wodę.

Babka wzrusza ramionami:

– Co mnie to obchodzi. Ale macie pracować jak zwykle.

– Oczywiście.

Pierwszego dnia Babka zabija kurczaka i piecze go w piekarniku. W południe woła nas:

– Chodźcie jeść!

Wchodzimy do kuchni. Ładnie pachnie. Jesteśmy trochę głodni, ale nie za bardzo. Patrzymy, jak Babka dzieli kurczaka.

Babka mówi:

– Jak ładnie pachnie. Czujecie, jak tu ładnie pachnie? Chcecie po udku?

– Nic nie chcemy.

– Szkoda, bo to naprawdę bardzo dobre.

Je rękoma, oblizuje palce, wyciera je o fartuch, obgryza i ssie kostki.

Mówi:

– Jaki mięciutki ten młody kurczak. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej smaczniejszego.

Mówimy:

– Odkąd tu jesteś, Babka jeszcze nigdy nam nie upiekła kurczaka.

Babka mówi:

– Ale dzisiaj upiekłam. Możecie go jeść.

– Babka dobrze wie, że nie chcemy niczego jeść ani dzisiaj, ani jutro.

– To nie moja wina. To wasz kolejny głupi pomysł.

– Raczej kolejne ćwiczenie. Chcemy przyzwyczaić się do znoszenia głodu.

– Więc przyzwyczajajcie się. Nikt wam nie broni.

Wychodzimy do kuchni, idziemy do ogródka. Pod koniec dnia jesteśmy naprawdę bardzo głodni. Pijemy dużo wody. Wieczorem z trudem zasypiamy. Śni nam się jedzenie.

Następnego dnia w południe Babka kończy kurczaka. Widzimy to jak przez mgłę. Nie jesteśmy głodni. Mamy zawroty głowy.

Wieczorem Babka robi naleśniki z białym serem i konfiturą. Mamy mdłości i kurcze żołądka, lecz, gdy tylko się kładziemy, zapadamy w głęboki sen. Kiedy wstajemy, Babka jest już na targu. Chcemy zjeść śniadanie, ale w kuchni nie ma nic do jedzenia. Ani chleba, ani mleka, ani sera. Babka wszystko zamknęła w piwnicy. Moglibyśmy ją otworzyć, jednak postanawiamy niczego nie ruszać. Jemy surowe ogórki i pomidory z solą.

Po powrocie z targu Babka mówi:

– Dziś rano nie wykonaliście swojej pracy.

– Trzeba było nas obudzić.

– Sami macie się budzić. Ale mimo to dziś wyjątkowo dam wam jeść.

Jak zwykle gotuje nam zupę z warzyw, które zostały ze sprzedaży. Zjadamy trochę. Po jedzeniu Babka mówi:

– Głupie to wasze ćwiczenie. I złe dla zdrowia.

Grób Dziadka

Pewnego dnia widzimy, jak Babka wychodzi z domu z konewką i ogródkowymi narzędziami. Jednak, zamiast do winnicy, idzie w innym kierunku. Śledzimy ją z daleka, żeby dowiedzieć się, dokąd zmierza.

Wchodzi na cmentarz. Zatrzymuje się przed jednym z grobów, kładzie narzędzia. Na cmentarzu nie ma nikogo, tylko Babka i my.

Podchodzimy coraz bliżej, chowając się za nagrobki i krzewy.

Babka ma słaby wzrok i przytępiony słuch. Możemy ją obserwować nie zauważeni.

Babka wrywa zielsko z grobu, spulchnia ziemię łopatką, zagrabia, sadi kwiaty, idzie do studni po wodę, wraca podlać grób.

Po zakończonej pracy odkłada narzędzia, klęka przed drewnianym krzyżem, ale zaraz potem osuwa się na pięty. Składa ręce jak do modlitwy, lecz przede wszystkim słyszymy przekleństwa:

– Śmieć... łajdak... Świnia... przeklęty śmierdziel.

Kiedy Babka odchodzi, idziemy zobaczyć grób: jest bardzo dobrze utrzymany. Patrzymy na krzyż: nazwisko, które zostało na nim wyryte, nosi Babka, jest to także nazwisko panienske Matki. Imię jest podwójne, połączone myślnikiem. Jego części składowe to nasze imiona.

Na krzyżu znajdują się także daty narodzin i śmierci. Obliczamy, że nasz Dziadek zmarł w wieku czterdziestu czterech lat, dwadzieścia trzy lata temu.

Wieczorem pytamy Babkę:

– Jaki był nasz Dziadek?

Babka mówi:

– Co? Jaki Dziadek? Przecież nie macie Dziadka.

– Ale kiedyś mieliśmy.

– Nie, nigdy. Gdy przyszłście na świat, on już nie żył. A więc nigdy nie mieliście Dziadka.

Pytamy:

– Dlaczego Babka go otruła?

Babka pyta:

– A co to znowu za brednie?

– Ludzie mówią, że Babka otruła Dziadka.

– Ludzie mówią... Ludzie mówią... A niech tam sobie mówią.

– Nie otruła go Babka?

– Zostawcie mnie w spokoju, sukinsyny! Nic nie zostało udowodnione! Ludzie opowiadają byle co.

Dodajemy jeszcze:

– Wiemy, że Babka nie kochała Dziadka. Skąd więc ta troska o jego grób?

– Właśnie stąd! Z powodu tego, co mówią ludzie, żeby wreszcie przestali gadać. Ale jak dowiedzieliście się, że dbam o grób, co? Szpiegowaliście mnie, sukinsyny, znowu mnie szpiegowaliście! Niech was diabli wezmą!

Ćwiczenie okrucieństwa

Jest niedziela. Łapiemy kurczaka i podrzynamy mu gardło, tak jak robi to Babka.

Mówimy:

– Trzeba go upiec.

Babka zaczyna wrzeszczeć:

– Kto wam pozwolił? Nie macie prawa! To ja tutaj rządzę, a nie wy, zasrańce! Nie upiekę go!

Prędzej zdechnę!

Mówimy:

– W porządku. Sami go upieczemy.

Zaczynamy skubać kurczaka, ale Babka wyrywa nam go z rąk:

– Nie wiecie, jak się do tego zabrać! Och, łajdaki! Przynosicie mi tylko hańbę i ściągacie na mnie karę boską!

W czasie gdy kurczak się piecze, Babka płacze:

– Był najładniejszy. Specjalnie złapali najładniejszego. Trzymałam go na wtorkowy targ.

Jedząc kurczaka mówimy:

– Smaczny. Od tej pory w każdą niedzielę będziemy jeść kurczaka.

– W każdą niedzielę? Czyście oszaleli? Chcecie mnie zrujnować?

– Będziemy jeść kurczaka w każdą niedzielę, czy Babka tego chce czy nie.

Babka znowu wybuchła płaczem:

– Ale co ja im zrobiłam? Och, ja nieszczęsna! Chcą mojej śmierci. Jestem biedną, starą i bezbronną kobietą. Nie zasługuję na taki los. Okazuję im tyle dobroci!

– Tak, Babka okazuje nam wiele dobroci. Toteż po dobroci będzie nam piekła kurczaka w każdą niedzielę.

Kiedy Babka uspokaja się nieco, dodajemy:

– Jak będzie coś do zabicia, trzeba nas zawołać. My to zrobimy.

Babka mówi:

– Lubicie zabijać, co?

– Nie, właśnie nie lubimy. Dlatego musimy oswajać się z tym.

Babka mówi:

– Rozumiem. To nowe ćwiczenie. Macie rację. Trzeba umieć zabijać, gdy to konieczne.

Zaczynamy od ryb. Łapiemy je za ogon i uderzamy głową o kamień. Szybko przyzwyczajamy się do zabijania zwierząt przeznaczonych do jedzenia, takich jak: kury, króliki, kaczki. Później zabijamy zwierzęta, które niekoniecznie trzeba zabić. Chwytny żaby, przygważdżamy je do deski i otwieramy im brzuchy. Łapiemy także motyle, które przypinamy do kartonu. Wkrótce mamy ładną kolekcję.

Pewnego dnia wieszamy na gałęzi drzewa kota, rudego samca. Wiszący kot wydłuża się, wydaje się olbrzymi. Miota się, dostaje konwulsji. Kiedy przestaje się ruszać, odcepiamy go. Początkowo leży nieruchomo na trawie, potem nagle się podrywa i ucieka.

Od tej pory widać go czasem w oddali, lecz nie zbliża się już do domu. Nawet nie przychodzi napić się mleka, które stawiamy przed drzwiami w miseczce.

Babka mówi do nas:

– Ten kot coraz bardziej dziczeje.

Odpowiadamy:

– Niech Babka nie martwi się, wyłapiemy myszy. Robimy pułapki, a schwytane myszy topimy we wrzącej wodzie.

Inne dzieci

W Małym Mieście spotykamy inne dzieci. Ponieważ szkoła jest zamknięta, przebywają cały dzień na dworze. Są małe i duże. Niektóre mają tutaj dom i matkę, inne – tak jak my – przyjechały z daleka. Przeważnie z Dużego Miasta.

Wiele dzieci dostało się do obcych. Muszą pracować w polu lub winnicy. Ludzie, u których przebywają, nie zawsze są dla nich mili.

Zdarza się, że starsze dzieci atakują młodsze. Zabierają im różne drobiazgi z kieszeni, czasem nawet ubranie. Często młodsze dzieci są bite, zwłaszcza te, które nie są tutejsze. Miejscowe maluchy mają matki i nigdy nie wychodzą same.

Nas nikt nie broni. Dlatego też sami uczymy się bronić przed silniejszymi.

Przygotowujemy broń: ostrzemy kamienie, napełniamy skarpety piachem i kamykami. Mamy także brzytwę znaną w kufrze na strychu, obok Biblii.

Pewnego upalnego dnia siedzimy w pobliżu fontanny, do której przychodzą po wodę ludzie, nie mający studni. Obok leżą starsi od nas chłopcy.

W tym miejscu jest chłodno; znajdujemy się w cieniu drzew, w pobliżu bezustannie płynącej wody.

Zajęcza Warga nadchodzi z wiadrem, stawia je pod dziobkiem, z którego wąskim strumieniem cieknie woda. Czeką, aż wiadro się napełni.

Kiedy jest już pełne, jeden z chłopców wstaje i pluje do środka. Zajęcza Warga wylewa wodę, płucze wiadro i znowu stawia je pod fontanną.

Wkrótce wiadro jest pełne. Wstaje drugi chłopiec i pluje do środka. Zajęcza Warga znowu podstawia wypłukane wiadro pod dziobek fontanny. Tym razem nie czeka do końca, szybko chwyta pół wiadra wody i próbuje uciec.

Jeden z chłopców dogania ją, chwyta za ramię i pluje do wiadra.

Zajęcza Warga mówi:

– Przestańcie wreszcie! Muszę przynieść czystą wodę do picia.

Chłopiec mówi:

– Przecież to jest czysta woda. Ja tylko do niej naplułem. Chyba nie sądzisz, że moja ślina jest brudna! Moja ślina jest bardziej czysta od wszystkiego, co się u was znajduje.

Zajęcza Warga płacząc wylewa wodę z wiadra.

Chłopiec rozsuwa rozporek i mówi:

– Liź! Jeśli mi go wyliżesz, pozwolimy ci napełnić wiadro.

Zajęcza Warga kuca. Chłopiec cofa się:

– Myślisz, że ci go włożę do tej obrzydliwej gęby? Łajdaczka!

Kopie w piersi Zajęczą Wargę i zasuwa rozporek.

Podchodzimy podnieść Zajęczą Wargę. Bierzemy od niej wiadro, dokładnie płuczemy, stawiamy pod dziobkiem fontanny.

Jeden z chłopców mówi do pozostałych:

– Chodźcie, zabawimy się gdzie indziej.

Inny mówi:

– Zwariowałaś? Teraz dopiero zaczniesz się zabawa.

Pierwszy mówi:

– Przestań! Znam ich. Są niebezpieczni.

– Niebezpieczni? Ci mali kretyni? Zaraz ich załatwię. Sami zobaczycie!

Podchodzi do nas, chce napluć do wiadra, ale jeden z nas podstawia mu nogę, a drugi wali w głowę woreczkiem piachu. Chłopiec pada. Leży na ziemi nieprzytomny. Dwaj pozostali patrzą na nas. Jeden robi krok w naszą stronę. Drugi mówi:

– Uważaj! Te nudę łajdaki są do wszystkiego zdolne. Kiedyś rozbili mi kamieniem czoło. Bez wahania posłużą się brzytwą, bez żadnych skrupułów poderzną ci gardło. To wariaci.

Chłopcy odchodzą.

Podajemy napełnione wiadro Zajęcej Wardze. Dziewczynka pyta:

– Dlaczego od razu mi nie pomogliście?

– Chcieliśmy zobaczyć, jak się bronisz.

– Co mogłam zrobić tym trzem dryblasom?

– Zarzucić im wiadro na głowę, podrapać twarz, kopnąć w czułe miejsce, krzyknąć, wrzeszczeć. Albo uciec i wrócić później.

Zima

Jest coraz chłodniej. Szperamy w walizkach i wkładamy na siebie prawie wszystko, co w nich znajdujemy: po kilka swetrów, kilka par spodni. Jednak nie możemy włożyć drugiej pary butów na nasze wyjściowe, schodzone pantofle. Zresztą nic więcej nie mamy. Brakuje nam też rękawic i czapek. Nabawiamy się odmrożeń na rękach i nogach.

Niebo jest ciemnoszare, ulice opustoszały, rzeka zamarza, w lesie pełno śniegu. Nie możemy już tam chodzić. Wkrótce zabraknie drewna.

Mówimy do Babki:

– Potrzebne nam są dwie pary ciepłych butów na zimę.

Babka odpowiada:

– I co jeszcze? Skąd mam wziąć na to pieniądze?

– Kończy się drewno.

– Trzeba oszczędzać.

Nie wychodzimy z domu. Wykonujemy wiele ćwiczeń. Strugamy z drewna różne przedmioty, między innymi łyżki i deski do chleba. Uczymy się do późnej nocy. Babka prawie cały czas spędza w łóżku. Rzadko zagląda do kuchni. Mamy spokój.

Źle się odżywiamy, nie ma już warzyw ani owoców. Kury nie znoszą jaj. Każdego dnia Babka przynosi z piwnicy trochę surowej fasoli i kilka ziemniaków, choć są tam przecież także wędzone wędliny i słoiki z konfiturami.

Czasem przyjeżdża listonosz. Brzęczy dzwonkiem przy rowerze, aż Babka wyjdzie z domu. Wówczas ślini ołówek, pisze coś na kawałku papieru, podaje ołówek i papier Babce, która stawia krzyżyk na dole kartki. Listonosz daje Babce pieniądze, paczkę albo list i pogwizdując odjeżdża w kierunku miasta.

Babka zamyka się w pokoju z paczką lub pieniędzmi. Jeśli dostanie list, wrzuca go do pieca.

Pytamy:

– Dlaczego Babka wyrzuca listy nie czytając ich?

Babka odpowiada:

– Nie umiem czytać. Nigdy nie chodziłam do szkoły, całe życie tylko pracowałam. Nie byłam tak rozpieszczana jak wy.

– Moglibyśmy przeczytać Babce te listy.

– Nikt nie będzie czytał moich listów.

Pytamy:

– Kto przysyła pieniądze? Kto przysyła paczki? Kto przysyła listy?

Babka nie odpowiada.

Następnego dnia, kiedy Babka jest w piwnicy, przeszukujemy jej pokój. Pod łóżkiem znajdujemy otwartą paczkę. Są w niej swetry, szaliki, czapki, rękawice. Nic nie mówimy Babce, gdyż zrozumiałaby, że mamy klucz do jej pokoju.

Po kolacji czekamy. Babka pije wódkę, potem idzie chwiejnym krokiem do pokoju i otwiera drzwi uczepionym przy pasku kluczem. Podążamy za nią, popychamy w plecy. Babka przewraca się na łóżko. Udajemy, że szukamy i znajdujemy paczkę.

Mówimy:

– To nieładnie. Marzniemy, brakuje nam ciepłych ubrań, nie możemy wychodzić na dwór, a

Babka chce sprzedać to wszystko, co Matka zrobiła dla nas i nam przysłała.

Babka nie odpowiada, płacze.

Mówimy jeszcze:

– To nasza Matka przysłała pieniądze, to nasza Matka pisze listy.

Babka mówi:

– Nie pisze ich do mnie. Dobrze wie, że nie umiem czytać. Przedtem nigdy nie pisała. Teraz, jak tutaj jesteście, to pisze. Ale ja nie potrzebuję jej listów! Niczego od niej nie potrzebuję!

Listonosz

Od tej pory czekamy przed furtką na listonosza. Jest to staruszek w czapce. Ma rower i dwie skórzane torby przyczepione do bagażnika.

Kiedy nadjeżdża, nie zostawiamy mu czasu na dzwonienie: od razu blokujemy dzwonek.

Listonosz pyta:

– Gdzie jest wasza babka?

Mówimy:

– Niech się pan o nią nie martwi. Proszę nam dać to, co pan przywiózł.

Listonosz mówi:

– Nic nie przywiozłem.

Chce odjechać, lecz go popychamy. Przewraca się na śnieg. Rower przewraca się na niego. Listonosz klnie.

Przeszukujemy torby, znajdujemy list i przekaz. Bierzymy list, mówimy:

– Niech pan nam da pieniądze!

Listonosz mówi:

– Nie! Przekaz jest adresowany do waszej babki.

Mówimy:

– Ale jest dla nas przeznaczony. To pieniądze od Matki. Jeśli nam pan ich nie da, nie pozwolimy panu wstać i umrze pan tu z zimna.

Listonosz mówi:

– Dobrze już, dobrze. Pomóżcie mi się podnieść, rower przygniótł mi nogę.

Odsuwamy rower i pomagamy listonoszowi podnieść się. Jest chudy i bardzo lekki.

Wyjmuje pieniądze z kieszeni i podaje nam.

Pytamy:

– Woli pan podpis czy krzyżyk?

Mówi:

– Niech będzie krzyżyk. Krzyżyki są do siebie podobne.

Dodaje:

– Macie rację, że dbacie o swoje. Wszyscy znają waszą babkę. W całej okolicy trudno znaleźć bardziej chytrą osobę. Więc to mamusia przysłała wam te wszystkie rzeczy? Jakaż ona dobra! Znałem ją, gdy była małą dziewczynką. Miała rację, że stąd wyjechała. Tutaj nigdy nie mogłaby wyjść za mąż. Krąży tyle plotek...

Pytamy:

– Jakich plotek?

– Jakoby staruszka otruła męża. Innymi słowy, ludzie mówią, że wasza babka otruła waszego dziadka. To dawna historia. Dlatego babkę nazywają Wiedźmą.

Mówimy:

– Nie chcemy, żeby źle mówiono o Babce.

Listonosz zawraca rower.

– W porządku. Chciałem tylko, żebyście wiedzieli.

Mówimy:

– Już wiedzieliśmy. Od tej pory pocztę będzie pan nam oddawał. W przeciwnym razie pana

zabijemy. Czy pan zrozumiał?

Listonosz mówi:

– Wiem, że jesteście do tego zdolni, psiakrew! Będziecie mieli tę swoją pocztę, wszystko mi jedno. Pal diabli Wiedźmę!

Odchodzi popychając rower. Utyka na nogę, żeby pokazać, jak go poturbowaliśmy.

Następnego dnia ciepło ubrani idziemy do miasta, aby kupić zimowe buty za pieniądze przysłane przez Matkę. List od niej nosimy kolejno na piersi.

Szawc

Szawc mieszka i pracuje w piwnicy jednego z domów w pobliżu dworca. Pomieszczenie jest obszerne. W jednym rogu stoi łóżko, w drugim kuchenka. Warsztat pracy jest pod oknem, które znajduje się tuż nad ziemią. Szawc siedzi na niskim taborecie, zewsząd otoczony butami i narzędziami. Patrzy na nas spoza okularów, widzi nasze spękane lakierki.

Mówimy:

– Dzień dobry panu. Potrzebne nam są zimowe buty, nieprzemakalne i ocieplane. Czy pan takie sprzedaje? Mamy pieniądze.

Szawc mówi:

– Tak, sprzedaję. Ocieplane, z podwójnej skóry. Są bardzo drogie.

Mówimy:

– Koniecznie ich potrzebujemy. Marzną nam nogi.

Kładziemy na niskim stoliku wszystkie pieniądze, jakie mamy.

Szawc mówi:

– Tyle kosztuje jedna para butów. Ale przecież jedna para wam wystarczy. Macie ten sam rozmiar. Możecie chodzić na zmianę.

– To niemożliwe. Nigdy się nie rozłączamy. Wszędzie chodzimy razem.

– Poproście rodziców o więcej pieniędzy.

– Nie mamy rodziców. Mieszkamy u Babki, którą nazywają Wiedźmą. Ona nie da nam pieniędzy.

Szawc mówi:

– Wiedźma jest waszą babką? Biedne dzieciaki! I to od niej przyszliście aż tutaj w takich bucinach!

– Tak, przyszliśmy. Nie możemy spędzić zimy bez ciepłych butów. Musimy przynosić drewno z lasu, odgarniać śnieg. Koniecznie są nam potrzebne...

– Dwie pary ciepłych, nieprzemakalnych butów.

Szawc śmieje się i podaje nam dwie pary butów:

– Przymierzcie je.

Mierzymy buty; są bardzo dobre.

Mówimy:

– Weźmiemy je. Za drugą parę zapłacimy na wiosnę, kiedy sprzedamy ryby i jaja. Albo, jeśli pan woli, przyniesiemy trochę drewna.

Szawc oddaje nam pieniądze:

– Trzymajcie. Zabierzcie to. Nie chcę waszych pieniędzy. Kupcie sobie raczej ciepłe skarpety. Dostaniecie te buty, ponieważ są wam koniecznie potrzebne.

Mówimy:

– Nie lubimy przyjmować prezentów.

– A to dlaczego?

– Ponieważ nie lubimy dziękować.

– Nie musicie. Idźcie już sobie. Nie. Poczekajcie! Weźcie jeszcze te kapcie i te letnie sandały, i jeszcze te kryte pantofle. Są bardzo solidne. Weźcie, co chcecie.

– Ale dlaczego pan chce nam to wszystko podarować?

– Już mi niczego nie potrzeba. Wkrótce wyjeżdżam.

Pytamy:

– Dokąd pan jedzie?

– Skąd mam wiedzieć? Zabiorą mnie i zabiją.

Pytamy:

– Kto chce pana zabić i dlaczego?

Szewc mówi:

– Nie zadawajcie pytań. Idźcie już.

Bierzemy pantofle, kapcie i sandały. Zimowe buty mamy na nogach. Zatrzymujemy się przed drzwiami, mówimy:

– Mamy nadzieję, że pana nie zabiorą. A jeśli zabiorą, nie zabiją. Do widzenia, dziękujemy panu, bardzo dziękujemy.

W domu Babka nas pyta:

– Gdzie to wszystko ukradliście, kanalie?

– Niczego nie ukradliśmy. To prezent. Nie wszyscy są tacy skąpi jak Babka.

Kradzież

Dzięki ciepłym butom i zimowym ubraniom znowu możemy wychodzić na dwór. Ślizgamy się po zamarznętej rzece, chodzimy do lasu po drewno.

Bierzemy piłę i siekierę. Nie da się już zbierać suchego drewna z ziemi; warstwa śniegu jest zbyt gruba. Wspinamy się na drzewa, odpiłowujemy suche gałęzie i rąbiemy je siekierą. Podczas pracy nie jest nam zimno. Nawet pocimy się. Dlatego możemy zdjąć rękawice i włożyć je do kieszeni, żeby nie zniszczyły się zbyt szybko.

Pewnego dnia, wracając z dwoma pękami chrustu, zbaczamy z drogi, żeby odwiedzić Zajęczą Wargę.

Śnieg przed domem nie jest odgarnięty, nie widać śladów stóp na ścieżce. Z komina nie leci dym.

Pukamy do drzwi. Nikt nie odpowiada. Wchodzimy. Początkowo nic nie widzimy, tak jest ciemno, lecz oczy szybko przyzwyczajają się do mroku.

To pomieszczenie służy równocześnie jako kuchnia i pokój do spania. W najciemniejszym kącie stoi łóżko. Podchodzimy bliżej. Wołamy. Ktoś poruszył się pod przykryciem i starymi ubraniami; powoli wynurza się stamtąd głowa Zajęczej Wargi.

Pytamy:

– Jest tutaj twoja matka?

Zajęcza Wargę mówi:

– Tak.

– Żyje?

– Nie wiem.

Kładziemy chrust i rozpalamy ogień w piecu, gdyż w pokoju jest tak zimno jak na dworze. Potem idziemy do Babki i bierzemy z piwnicy ziemniaki i suszoną fasolę. Doimy kozę i wracamy do sąsiadki. Podgrzewamy mleko, topimy śnieg w rondlu i gotujemy fasolę. W piekarniku pieczemy ziemniaki.

Zajęcza Wargę wstaje i ślaniając się na nogach podchodzi do paleniska.

Sąsiadka żyje. Wlewamy jej do ust trochę koziego mleka. Mówimy do Zajęczej Wargi:

– Kiedy to wszystko się ugotuje, zjedz i nakarm matkę. Wrócimy tu jeszcze.

Za pieniądze, które oddał nam szewc, kupiliśmy kilka par skarpet, ale nie wydaliśmy wszystkiego. Idziemy do sklepu spożywczego, żeby kupić trochę mąki i wziąć bez zapłaty sól i cukier. Idziemy także do sklepu mięsnego, kupujemy niewielki kawałek słoniny i bierzemy, nie płacąc, dużą kiełbasę. Wracamy do Zajęczej Wargi. Dziewczynka i matka wszystko już zjadły. Matka leży w łóżku, Zajęcza Wargę zmywa naczynia.

Mówimy do niej:

– Będziemy wam codziennie przynosić wiązki chrustu, a także trochę fasoli i ziemniaków. Ale na inne rzeczy potrzebne będą pieniądze. My ich nie mamy. Bez pieniędzy nie można wejść do sklepu. Trzeba coś kupić, żeby można było coś ukraść.

Zajęcza Wargę mówi:

– Ależ jesteście sprytni. Macie rację. Mnie nawet nie wpuszczają do sklepów. Nigdy bym nie pomyślała, że umiecie kraść.

Mówimy:

- Dlaczego nie? To ćwiczenie zręczności. Ale musimy mieć trochę pieniędzy. Koniecznie. Zajęcza Wurga zastanawia się i mówi:
- Idźcie do proboszcza po pieniądze. Czasem mi je dawał, gdy zgadzałam się pokazać mu swoją szparkę.
- Prosił cię o to?
- Tak. I czasem wkładał palec do środka. A potem dawał mi pieniądze, żebym nikomu nic nie mówiła. Powiedzcie mu, że Zajęcza Wurga i jej matka potrzebują pieniędzy.

Idziemy do proboszcza. Mieszka obok kościoła w dużym domu, który nazywa się plebanią. Dzwonimy. Stara kobieta otwiera drzwi:

- Czego chcecie?
- Chcemy widzieć się z proboszczem.
- Po co?
- Przychodzimy od umierającego.

Staruszka wpuszcza nas do przedpokoju. Puka do drzwi:

- Księżu proboszczu, trzeba udzielić ostatniego namaszczenia.

Spoza drzwi słychać głos:

- Już idę. Niech poczekają.

Czekamy kilka minut. Z pokoju wychodzi wysoki i szczupły mężczyzna o surowym wyrazie twarzy. Na ciemnym ubraniu ma coś w rodzaju jasnozłotej peleryny. Pyta nas:

- Gdzie to jest? Kto was przysłał?
- Zajęcza Warga i jej matka.

Proboszcz mówi:

- Pytam was o prawdziwe nazwisko tych osób.
- Nie znamy ich prawdziwego nazwiska. Matka jest ślepa i głucha. Mieszkają w ostatnim domu w mieście. Umierają z głodu i zimna.

Proboszcz mówi:

- Chociaż w ogóle nie znam tych osób, jestem gotów udzielić im sakramentu ostatniego namaszczenia. Chodźmy tam. Prowadźcie.

Mówimy:

- One jeszcze nie potrzebują ostatniego namaszczenia. Przydałoby się im natomiast trochę pieniędzy. Przynieśliśmy im drewna, trochę ziemniaków i suszonej fasoli, ale nie możemy nic więcej zrobić. Przysłała nas tutaj Zajęcza Warga. Czasem proboszcz dawał jej trochę pieniędzy.

Proboszcz mówi:

- Możliwe. Daję pieniądze wielu ubogim. Nie mogę wszystkich pamiętać. Trzymajcie! Przeszukuje kieszenie pod peleryną i daje nam trochę drobnych. Bierzemy je i mówimy:

- To mało. O wiele za mało. Nie wystarczy nawet na bochenek chleba.

Proboszcz mówi:

- Bardzo mi przykro. Jest wielu ubogich. A wierni już prawie nie składają ofiar. Teraz wszystkim jest ciężko. Idźcie z Bogiem!

Mówimy:

- Dzisiaj możemy zadowolić się tą sumą, ale będziemy zmuszeni wrócić tu jutro.
- Jak to? Co to wszystko znaczy? Jutro? Nie wpuszczę was. Natychmiast stąd wyjdźcie.
- Jutro będziemy tak długo dzwonić, aż proboszcz nas wpuści. Będziemy walić w okna i kopać w drzwi. Wszystkim opowiemy, co proboszcz robił Zajęczej Wardze.

– Nigdy niczego nie zrobiłem Zajęczej Wardze. Nawet nie wiem, kto to jest. Naopowiadała wam niestworzonych rzeczy. Nikt nie potraktuje poważnie gadania niedorozwiniętej dziewczyny. Nikt wam nie uwierzy. Wszystko, co ona mówi, jest kłamstwem!

Mówimy:

- Nieważnej czy to prawda czy kłamstwo. Liczy się podejrzenie. Ludzie lubią skandale. Proboszcz siada na krześle, wyciera twarz chustką.
 - Niebываłe. Czy chociaż wiecie, jak nazywa się to, co teraz robicie?
 - Tak. Szantaż.
 - W waszym wieku... Żałosne.
 - Tak, żałosne, że zostaliśmy do tego zmuszeni. Ale Zajęcza Warga i jej matka koniecznie potrzebują pieniędzy.
- Proboszcz wstaje, zdejmując pelerynę i mówi:
- Bóg mnie poddaje ciężkiej próbie. Ile chcecie? Nie jestem bogaty.
 - Dziesięć razy tyle, ile dostaliśmy. Raz w tygodniu. Nie prosimy o nic nadzwyczajnego.
- Wyjmuje pieniądze z kieszeni, podaje nam:
- Przychodźcie w każdą sobotę. Tylko nie myślcie, że uległem szantażowi. Po prostu spełniam miłosierny uczynek.
- Mówimy:
- Właśnie tego się spodziewaliśmy po księdzu proboszczu.

Oskarżenia

Pewnego popołudnia ordynans wchodzi do kuchni. Nie widzieliśmy go od dawna. Mówi:

– Wy przyjdź mi pomóc rozładować jeep?

Wkładamy ciepłe buty, idziemy do stojącego przed furtką jeepa. Ordynans podaje nam skrzynki i pudła, które zanosimy do pokoju oficera.

Pytamy:

– Czy pan oficer przyjedzie wieczorem? Jeszcze nigdy go nie widzieliśmy.

Ordynans mówi:

– Oficer nie przyjechać tutaj zimą. Być może nigdy nie przyjechać. On być nieszczęśliwie zakochany. Być może znaleźć później kogoś innego. Zapomnieć. Nie dla was takie opowieści. Wy przynieść drewno, żeby ogrzać pokój.

Przynosimy drewno, rozpalamy ogień w małym żelaznym piecyku. Ordynans otwiera skrzynki i pudełka, ustawia na stole butelki z winem, wódką, piwem, jak również mnóstwo rzeczy do jedzenia: kielbasy, konserwy mięsne i warzywne, ryż, suchary, czekoladę, cukier, kawę.

Ordynans otwiera butelkę, zaczyna pić i mówić:

– Ja podgrzać konserwy w menażce na palniku spirytusowym. Dziś wieczorem jeść, pić, śpiewać z kolegami. Świętować zwycięstwo nad wrogiem. My wkrótce wygrać wojnę dzięki nowej cudownej broni.

Pytamy:

– Więc wojna wkrótce się skończy?

Ordynans mówi:

– Tak. Bardzo szybko. Dlaczego wy tak patrzeć na jedzenie na stole? Jeśli wy być głodni, zjeść czekoladę, suchary, kielbasę.

Mówimy:

– Bardzo wielu ludzie umiera z głodu.

– No i co? Nie myśleć o tym. Dużo ludzi umierać z głodu lub z innych przyczyn. My nie myśleć. My jeść i nie umierać.

Ordynans śmieje się. Mówimy:

– Znamy ślepa i głuchą kobietę, która mieszka z córką niedaleko stąd. One nie przeżyją tej zimy.

– To nie być moja wina.

– Owszem, to pana wina. Pana i pańskiego kraju. Przynieśliście nam wojnę.

– W jaki sposób ślepa z córką zdobywać jedzenie przed wojną?

– Przed wojną żyły z jałmużny. Ludzie dawali im stare ubrania, stare buty. Przynosili jedzenie. Teraz nikt nic nie daje. Wszyscy ludzie są biedni albo boją się, że zubożeją. Wojna uczyniła ich skąpymi i egoistami.

Ordynans krzyczy:

– Mnie to nic nie obchodzić! Dość! Wy być cicho!

– Tak, pana to nie obchodzi, a zabiera nam pan jedzenie.

– To nie wasze jedzenie. Ja wziąć to z koszarowych rezerw.

– Wszystko, co znajduje się na tym stole, pochodzi z naszego kraju: napoje, konserwy, suchary, cukier. To nasz kraj żywi waszą armię.

Ordynans czerwieni się. Siada na łóżku, ujmuje twarz w dłonie:

– Myślicie, że ja chcę wojny i chętnie przyjechać do waszego cholernego kraju? Mnie o wiele lepiej u siebie; spokój, ja robić krzesła i stoły. Pić wino, bawić się z ładnymi dziewczynami. Tutaj wszyscy niedobrzy, także wy, małe dzieci. Wy mówić: wszystko moja wina. Co ja mogę zrobić? Jeśli ja powiedzieć, że nie iść na wojnę, nie przyjechać do waszego kraju, ja być rozstrzelany. Wy wziąć wszystko, no już, zabrać wszystko z tego stołu. Koniec zabawy, ja smutny, wy zbyt okrutni dla mnie.

Mówimy:

– Nie chcemy wziąć wszystkiego, tylko kilka konserw i trochę czekolady. Ale mógłby pan przynosić od czasu do czasu – przynajmniej zimą – mleko w proszku, mąkę lub cokolwiek innego do jedzenia.

Ordynans mówi:

– Dobrze. To mogę. Wy pójść jutro ze mną do ślepej. Ale wy być potem dobrzy dla mnie. Zgoda?

Mówimy:

– Tak.

Ordynans śmieje się. Przychodzą jego przyjaciele. Wychodzimy. Słysząc, jak śpiewają przez całą noc.

Gospodyni z plebanii

Pewnego ranka, pod koniec zimy, siedzimy w kuchni z Babką. Ktoś puka do drzwi; wchodzi młoda kobieta. Mówi:

– Dzień dobry. Przychodzę po ziemniaki dla...

Przerywa, patrzy na nas:

– Jacy oni ładni!

Bierze taboret, siada:

– Chodź tu do mnie.

Żaden z nas nie rusza się.

– Chodź.

Żaden z nas nie rusza się. Młoda kobieta zaczyna się śmiać:

– No, chodźcie, chodźcie tu bliżej. Boicie się mnie?

Mówimy:

– Nikogo się nie boimy.

Podchodzimy do niej. Młoda kobieta mówi:

– O Boże! Ależ jesteście ładni! A jacy brudni!

Babka pyta:

– Czego pani chce?

– Ziemniaków dla proboszcza. Dlaczego jesteście tacy brudni? Czy nigdy się nie myjecie?

Babka mówi rozgniewana:

– To nie pani sprawa. Dlaczego stara nie przyszła?

Młoda kobieta znowu się śmieje:

– Stara? Była młodsza od pani. Tylko że wczoraj zmarła. To była moja ciotka. Teraz ja zastępuję ją na plebanii.

Babka mówi:

– Była starsza ode mnie o pięć lat. A teraz nie żyje... Ile pani chce tych ziemniaków?

– Dziesięć kilo albo więcej, jeśli pani ma. Potrzebuję także jabłek. I jeszcze... A co jeszcze pani ma? Proboszcz jest chudy jak szczapa, a w spiżarni nie ma nic do jedzenia.

Babka mówi:

– Trzeba było pomyśleć o tym na jesieni.

– Jesienią jeszcze mnie tutaj nie było. Jestem dopiero od wczoraj.

Babka mówi:

– Ostrzegam, że o tej porze roku jedzenie jest drogie.

Młoda kobieta znowu się śmieje:

– Niech pani poda cenę. Nie mamy wyboru. Już prawie nic nie ma w sklepach.

– Wkrótce nigdzie niczego nie będzie.

Babka chichocze i wychodzi. Zostajemy sami z gospodynią. Pyta nas:

– Dlaczego nigdy się nie myjecie?

– Nie ma łazienki, nie ma mydła. Nie mamy jak się umyć.

– A wasze ubrania!? Co za okropność! Nie macie innych ubrań?

– Mamy w walizkach pod ławką. Ale są brudne i podarte. Babka nigdy ich nie pierze.

– Wiedźma jest waszą babką? Naprawdę zdarzają się cuda na świecie!

Babka wraca z dwoma workami:

– To będzie razem dziesięć srebrnych monet lub jedna złota. Nie przyjmuję banknotów.

Wkrótce nie będą mieć żadnej wartości. To tylko papier.

Gospodyni pyta:

– Co jest w tych workach?

Babka odpowiada:

– Jedzenie. Jak pani nie chce, to może je pani zostawić.

– Biorę. Jutro przyniosę pieniądze. Czy chłopcy mogą mi pomóc zanieść worki?

– Mogą, jeśli będą chcieli. Nie zawsze chcą. Nikogo się nie słuchają.

Gospodyni pyta nas:

– Chcecie, prawda? Weźmiecie po jednym worku, a ja wezmę wasze walizki.

Babka pyta:

– O co znowu chodzi z tymi walizkami?

– Upiorę im ubrania. Oddam jutro razem z pieniędzmi.

Babka chichocze:

– Prać im ubrania? Jeśli to panią bawi...

Wychodzimy z gospodynią. Idziemy za nią w stronę plebanii. Na czarnej chuście gospodyni tańczy dwa grube warkocze sięgające do talii. Pod czerwoną spódnicą ruszają się rytmicznie biodra. Między spódnicą a botkami widać kawałek nogi w czarnych pończochach. Na prawej leci oczko.

Kąpiel

Przychodzimy z gospodynią na plebanię. Wprowadza nas kuchennymi drzwiami. Stawiamy worki w spizami i przechodzimy do pralni, w której rozciągnięte są sznury na bieliznę. Stoją tutaj różne pojemniki. Jest między innymi cynkowa wanna o dziwnym kształcie, podobna do głębokiego fotela.

Gospodyni otwiera nasze walizki, wrzuca do zimnej wody ubrania, żeby je namoczyć, potem rozpala ogień i grzeje wodę w dwóch dużych kotłach. Mówi:

– Zaraz upiorę to, co jest wam najbardziej potrzebne. Wyschnie, jak będziecie się kąpali. Pozostałe ubrania przyniosę jutro lub pojutrze. Trzeba będzie je pozszywać.

Napełnia wannę gorącą wodą, dolewa chłodnej.

– Który pierwszy?

Nie ruszamy się. Mówi:

– Ty czy ty? No już, rozbierajcie się!

Pytamy:

– Czy pani chce tu być, kiedy będziemy się kąpać?

Gospodyni śmieje się głośno:

– A jakże, oczywiście, że tu będę! Nawet wyszoruję wam plecy i umyję włosy. Chyba nie będziecie się mnie wstydzić! Mogłabym prawie być waszą matką.

Nadal nie ruszamy się. Wówczas gospodyni zaczyna się rozbierać.

– Trudno. W takim razie ja będę pierwsza. Widzicie, wcale się was nie wstydzę. Jesteście tylko małymi chłopcami.

Podśpiewuje, ale czerwieni się, gdy zdaje sobie sprawę, że się jej przyglądamy. Ma sterczące spiczaste piersi, które podobne są do niedopompowanych balonów. Jej skóra jest bardzo jasna, gęsto pokryta białymi włosami. Nie tylko między nogami i pod pachami, ale także na brzuchu i udach. W wodzie gospodyni nadal podśpiewuje szorując się rękawicą. Kiedy wychodzi z wanny, szybko wkłada płaszcz kąpielowy. Zmienia wodę w wannie i stojąc do nas plecami zaczyna prac. Wówczas rozbieramy się i wchodzimy razem do kąpeli. Jest wystarczająco dużo miejsca dla nas dwóch.

Po pewnym czasie gospodyni podaje nam dwa duże białe ręczniki:

– Mam nadzieję, że dobrze się wszędzie wyszorowaliście.

Siedzimy na ławce owinięci w ręczniki i czekamy, aż wyschną nam ubrania. W pralni jest bardzo ciepło od pary. Gospodyni podchodzi do nas z nożyczkami:

– Obetnę wam paznokcie. I przestańcie stroić ceregiele, nie zjem was.

Obcina nam paznokcie u rąk i nóg. Obcina także włosy. Całuje nasze twarze i szyję, nie przestając przy tym mówić:

– Och! Te piękne stopki, śliczniutkie, czyściutkie! Och, te kochane uszki, delikatna szyja! Och! Jakże chciałabym mieć dwóch takich ślicznych chłopczyków tylko dla siebie! Łaskotałabym ich wszędzie, wszędzie, wszędzie.

Pieści nas i całuje po całym ciele. Łaskocze językiem w szyję, ręce, pośladki. Klęka przed ławką i ssie nasze członki, które powiększają się i twardnieją w jej ustach.

Siada między nami i przytula nas do siebie:

– Och, gdybym miała dwoje takich małych ładnych dzieci, dostałyby do picia dobrego

słodkiego mleczka, o stąd, tu, tu, właśnie tak.

Przyciąga nasze głowy do wynurzających się spod płaszczka kąpielowego piersi, a my ssiemy ich koniuszki, które twardnieją.

Gospodyni wkłada ręce pod ubranie i porusza nimi między nogami:

– Jaka szkoda, że nie jesteście starsi! Och, jak dobrze, jak dobrze jest zabawiać się z wami!

Wzdycha, sapie, potem nagle sztywnieje.

Gdy wychodzimy, mówi:

– Przychodźcie w każdą sobotę, żeby się wykąpać. Przynieście ze sobą brudną bieliznę. Chcę, żebyście byli zawsze czysti.

Mówimy:

– Będziemy przynosić pani drewno w zamian za tę pracę. A w sezonie nałowimy ryb i nazbieramy grzybów.

Proboszcz

W następną sobotę znowu przychodzimy się wykąpać. Po kąpeli gospodyni mówi:

– Chodźcie do kuchni. Zaparzę herbaty i zjemy kanapki.

Jesteśmy w trakcie jedzenia, kiedy do kuchni wchodzi proboszcz.

Mówimy:

– Dzień dobry panu.

Gospodyni mówi:

– Ojczy, oto moi podopieczni. Są wnukami starszej pani, którą ludzie nazywają Wiedźmą.

Proboszcz mówi:

– Znam ich. Chodźcie ze mną.

Idziemy za nim. Przechodzimy przez pokój, w którym nie ma nic poza dużym okrągłym stołem, wokół którego stoją krzesła, i krzyżem wiszącym na ścianie. Następnie wchodzimy do mrocznego pokoju przepelnionego książkami aż po sufit. Na wprost drzwi znajduje się klęcznik i krzyż, obok okna biurko, w rogu wąskie łóżko, a pod ścianą trzy krzesła – oto całe umeblowanie.

Proboszcz mówi:

– Zmieniliście się bardzo. Już nie jesteście brudni. Wyglądacie jak dwa aniołki. Siadajcie.

Przysuwa dwa krzesła do biurka. Siadamy. Sam zajmuje miejsce za biurkiem. Podaje nam kopertę:

– Oto pieniądze.

Biorąc kopertę mówimy:

– Wkrótce nie będzie pan musiał płacić. Latem Zajęcza Warga radzi sobie sama.

Proboszcz mówi:

– Nie. Nadal będę pomagał tym dwom kobietom. Wstyd mi, że wcześniej tego nie robiłem. A teraz może porozmawialibyśmy o czym innym?

Patrzy na nas; milczymy. Mówi:

– Nigdy nie widzę was w kościele.

– Bo tam nie chodzimy.

– Modlicie się czasem?

– Nie, nigdy.

– Biedne owieczki. Będę się za was modlił. Czy umiecie chociaż czytać?

– Tak, proszę pana. Umiemy czytać.

Proboszcz podaje nam książkę:

– Weźcie, przeczytajcie to. Znajdziecie tu ciekawe opowieści o Jezusie Chrystusie i o życiu świętych.

– Znamy już te opowieści. Mamy Biblię. Przeczytaliśmy Stary i Nowy Testament.

Proboszcz unosi czarne brwi:

– Jak to? Przeczytaliście całe Pismo Święte?

– Tak, proszę pana. Niektóre fragmenty znamy nawet na pamięć.

– Jakie na przykład?

– Fragmenty ksiąg: Rodzaju, Wyjścia, Salomona, Apokalipsy i inne.

Proboszcz milczy przez chwilę, potem mówi:

– Znacie więc dziesięcioro przykazań. Czy je przestrzegacie?

– Nie, proszę pana, nie przestrzegamy ich. Nikt ich nie przestrzega. Jest powiedziane: „Nie zabijaj”, a wszyscy zabijają.

Proboszcz mówi:

– Niestety... jest wojna.

Mówimy:

– Chcielibyśmy poczytać inne książki niż Biblia, ale ich nie mamy. Pan ma. Mógłby je pan nam pożyczyć.

– Te książki są dla was za trudne.

– Są trudniejsze od Biblii?

Proboszcz przygląda nam się. Pyta:

– Jakiego rodzaju książki chcielibyście czytać?

– Książki historyczne i geograficzne. Książki, które opowiadają o prawdziwych rzeczach, a nie o wymyślonych.

Proboszcz mówi:

– Do następnej soboty znajdę odpowiednie dla was książki. Teraz zostawcie mnie samego. Wracajcie do kuchni dokończyć kanapki.

Gospodyni i ordynans

Zrywamy wiśnie w ogrodzie razem z gospodynią. Ordynans i obcy oficer przyjeżdżają jeepem. Oficer idzie prosto przed siebie, wchodzi do pokoju. Ordynans zatrzymuje się obok nas. Mówi:

– Dzień dobry, mali przyjaciele, dzień dobry, ładna panienko. Wiśnie już dojrzałe? Ja bardzo lubię wiśnie, ja bardzo lubię ładne panienki.

Oficer woła przez okno. Ordynans musi iść do domu. Gospodyni mówi do nas:

– Dlaczego mi nie powiedzieliście, że mieszkają u was mężczyźni?

– To są obcy.

– I co z tego? Ten oficer to piękny mężczyzna.

Pytamy:

– Ordynans nie podoba się pani?

– Jest mały i gruby.

– Ale miły i zabawny. Poza tym dobrze zna nasz język.

Gospodyni mówi:

– Co mnie to obchodzi. Wolę oficera.

Oficer siada na ławce przed oknem. Koszyk gospodyni jest już pełen wiśni, mogłaby wracać na plebanię, jednak pozostaje. Patrzy na oficera, śmieje się głośno. Chwyta gałąź drzewa, huśta się, zeskakuje, kładzie się na trawie i w końcu rzuca stokrotkę pod nogi oficera. Oficer wstaje, wraca do pokoju. Wkrótce wychodzi, wsiada do jeepa i odjeżdża.

Ordynans wychyla się przez okno i krzyczy:

– Kto przyjdź pomóc biedakowi posprzątać bardzo brudny pokój?

Mówimy:

– Chętnie panu pomożemy.

Ordynans mówi:

– Potrzebować kobietę do pomocy. Potrzebować ładną panienkę.

Mówimy do gospodyni:

– Niech pani pójdzie z nami. Pomożemy mu trochę.

Wchodzimy we troje do pokoju oficera. Gospodyni bierze szczotkę i zaczyna zamiatać. Ordynans siada na łóżku. Mówi:

– Ja śnić. Widzieć we śnie księżniczkę. Księżniczka musi mnie uszczypnąć, żeby ja się obudzić.

Gospodyni śmieje się, mocno szczypie ordynansa w policzek.

Ordynans krzyczy:

– Teraz ja się obudzić. Ja także chcę uszczypnąć złą księżniczkę.

Chwyta gospodynię w ramiona i szczypie ją w pośladki. Gospodyni próbuje wyrwać się, ale ordynans mocno trzyma. Mówi do nas:

– Wy na dwór! I zamknąć drzwi.

Pytamy:

– Chce pani, żebyśmy zostali?

Gospodyni śmieje się:

– Po co? Sama się obronię.

Wychodzimy więc z pokoju, zamykamy za sobą drzwi. Gospodyni podchodzi do okna,

uśmiecha się i zamyka okiennice. Wchodzimy na strych i przez szpary obserwujemy, co dzieje się w pokoju oficera.

Ordynans i gospodyni leżą na łóżku. Gospodyni jest zupełnie naga, ordynans ma na sobie tylko koszulę i skarpetki. Leży na gospodyni. Obydwoje ruszają się do przodu i do tyłu, z prawej strony na lewą. Ordynans chrząka jak prosię Babki, a gospodyni wydaje takie okrzyki, jakby ktoś ją krzywdził, choć równocześnie śmieje się i woła:

– Tak, tak, tak, och, och, och!

Od tego dnia gospodyni często przychodzi i zamyka się z ordynansem. Czasem na nich patrzemy, ale nie zawsze.

Ordynans woli, żeby gospodyni pochyliła się lub stała na czworakach, i bierze ją od tyłu.

Gospodyni woli, żeby ordynans leżał na plecach. Siada wówczas na brzuchu ordynansa i porusza się z góry na dół, jakby jechała na koniu.

Ordynans daje czasem gospodyni jedwabne pończochy lub wodę kolońską.

Obcy oficer

Wykonujemy ćwiczenia bezruchu w ogródku. Jest gorąco. Leżymy na plecach w cieniu orzecha. Poprzez liście patrzymy na niebo i chmury. Liście drzewa są nieruchome. Chmury także wydają się stać w bezruchu, ale gdy przyglądamy się im długo i uważnie, widzimy, że zmieniają kształt i wydłużają się.

Babka wychodzi z domu. Przechodząc tuż obok, kopie nogą piach i kamyczki na naszą twarz i ciało. Gdera coś pod nosem i idzie do winnicy na drzemkę.

Oficer grzeje się w słońcu na ławce przed swoim pokojem. Ma zamknięte oczy i głowę opartą o ścianę. W pewnej chwili podchodzi do nas, zagaduje, ale nie odpowiadamy, nie patrzymy na niego. Oficer wraca na ławkę.

Później ordynans mówi do nas:

– Pan oficer prosi, żeby wy przyjść z nim porozmawiać.

Nie odpowiadamy. Ordynans dodaje:

– Wy wstać i pójść. Oficer gniewać się, jeśli wy go nie posłuchać.

Nie ruszamy się.

Oficer coś mówi i ordynans wchodzi do pokoju. Słychać jak śpiewa i sprząta.

Kiedy słońce dotyka dachu domu obok komina, wstajemy. Podchodzimy do oficera, zatrzymujemy się przed nim. Oficer woła ordynansa.

Pytamy:

– Czego on chce?

Oficer zadaje pytania, ordynans tłumaczy:

– Pan oficer pyta, dlaczego wy nie ruszać się i nie mówić?

Odpowiadamy:

– Wykonywaliśmy ćwiczenie bezruchu.

Ordynans tłumaczy dalej:

– Pan oficer mówić, że wy robić dużo ćwiczeń. Także inne rodzaje. On widział, jak wy bić jeden drugiego paskiem.

– To było ćwiczenie ciała.

– Pan oficer pytać, dlaczego wy robić to wszystko?

– Żeby przyzwyczać się do bólu.

– On pytać, czy wy mieć przyjemność z cierpienia?

– Nie. Chcemy tylko pokonać ból, upał, zimno, głód, wszystko, co przynosi cierpienie.

– Pan oficer was podziwiać. On twierdzić, że wy być nadzwyczajni.

Oficer dorzuca kilka słów. Ordynans mówi do nas:

– Dobrze, koniec. Ja musieć teraz wyjechać. Wy także zmykać, iść na ryby.

Ale oficer chwytą nas z uśmiechem za ręce i daje znak ordynansowi, żeby oddalił się. Ordynans robi kilka kroków, po czym odwraca się do nas:

– Wy stąd odejść! Szybko! Iść na spacer do miasta.

Oficer patrzy na niego, ordynans podchodzi do furki, skąd jeszcze woła:

– Wy uciekać! Nie zostawać tutaj! Nie rozumieć, głupcy?

Odchodzi. Oficer uśmiecha się do nas, prowadzi do pokoju. Siada na krześle, przyciąga nas do siebie, podnosi, sadza na kolanach. Zarzucamy mu ręce na szyję, tulimy się do owłosionej piersi.

Oficer kołysze nas.

Czujemy, że pod spodem, między nogami oficera, porusza się coś ciepłego. Spoglądamy na siebie, potem patrzymy w oczy oficerowi. Odpycha nas łagodnie, czochra nam włosy, wstaje. Podaje dwie szpicruty i kładzie się w łóżku na brzuchu. Wypowiada jedno słowo, które rozumiemy nie znając języka.

Uderzamy. Raz jeden, raz drugi.

Plecy oficera pokrywają się czerwonymi pręgami. Uderzamy coraz mocniej. Oficer jęczy i nie zmieniając pozycji zsuwa do kostek spodnie i kalesony. Bijemy go z całej siły w białe pośladki, uda, nogi, plecy, szyję, ramiona, aż wszystko robi się czerwone.

Ciało, włosy, ubranie oficera, pościel, dywan, nasze dłonie i ręce są czerwone. Krew tryska nam w oczy, miesza się z potem, a my wciąż bijemy, aż do chwili, gdy mężczyzna wydaje z siebie nieludzki końcowy okrzyk wówczas padamy wyczerpani u stóp łóżka.

Obcy język

Oficer przynosi nam słownik, z którego można nauczyć się jego języka. Uczymy się słówek, ordynans poprawia naszą wymowę. Kilka tygodni później mówimy płynnie w nowym języku. Wciąż robimy postępy. Ordynans nie musi już tłumaczyć. Oficer jest z nas bardzo zadowolony. Daje nam organki. Daje również klucz do swojego pokoju, żebyśmy mogli wchodzić, kiedy tylko chcemy (wchodziliśmy już tam otwierając drzwi naszym kluczem, ale po kryjomu). Teraz nie musimy się chować i możemy robić wszystko, co nam się podoba: jeść suchary i czekoladę, palić papierosy.

Często chodzimy do tego pokoju, bo jest czysty i czujemy się tam bezpieczniej niż w kuchni. Tam właśnie najczęściej się uczymy.

Oficer ma gramofon i płyty. Leżąc na łóżku słuchamy muzyki. Pewnego razu, żeby zrobić przyjemność oficerowi, włączamy hymn państwowy jego kraju. Ale oficer denerwuje się i tłucze płytę jednym uderzeniem ręki.

Czasami usypiamy na bardzo szerokim łóżku w pokoju oficera. Pewnego ranka zastaje nas ordynans, jest niezadowolony:

– Co za lekkomyślność! Wy więcej nie robić podobnych głupstw! Co wydarzyć się, jeśli pewnego razu oficer wrócić wieczorem?

– Cóż mogłoby się wydarzyć? Wystarczy miejsca i dla niego.

Ordynans mówi:

– Wy być bardzo głupi. Pewnego dnia wy zapłacić za głupotę. Jeśli oficer was skrzywdzić, ja go zabić.

– On nas nie skrzywdzi. Niech pan się o nas nie martwi.

Pewnej nocy oficer wraca i zastaje nas śpiących w swoim łóżku. Budzimy się od światła lampy naftowej.

Pytamy:

– Chce pan, żebyśmy poszli do kuchni?

Oficer głaszcze nas po głowie i mówi:

– Zostańcie, zostańcie tutaj.

Rozbiera się i kładzie między nami. Przygarnia nas i szepcze do ucha:

– Śpijcie. Kocham was. Śpijcie spokojnie.

Ponownie zasypiamy. Później, nad ranem, chcemy wstać, ale oficer nas zatrzymuje:

– Nie ruszajcie się. Śpijcie jeszcze.

– Chcemy zrobić siusiu. Musimy wyjść.

– Nie wychodźcie. Załatwcie się tutaj.

Pytamy:

– Gdzie?

Oficer mówi:

– Na mnie. Tak. Nie bójcie się. Sikajcie! Na moją twarz.

Robimy to, potem wychodzimy do ogródka, bo łóżko jest całe mokre. Słońce już wschodzi; rozpoczynamy codzienne zajęcia.

Przyjaciel oficera

Oficer czasem wraca do domu w towarzystwie swego przyjaciela – jakiegoś młodszego oficera. Spędzają razem wieczór, a przyjaciel zostaje także na noc. Wiele razy obserwowaliśmy ich przez szparę w suficie.

Jest letni wieczór. Ordynans gotuje coś na spirytusowym palniku. Nakrywa stół obrusem, a my stawiamy na nim kwiaty. Oficer i przyjaciel siedzą przy stole i piją. Później jedzą. Ordynans je przy drzwiach siedząc na taborecie. Potem znowu piją. W tym czasie my zajmujemy się muzyką. Zmieniamy płyty, ponownie nastawiamy gramofon.

Przyjaciel oficera mówi:

– Te dzieciaki mnie denerwują. Wyrzuć je na dwór.

Oficer pyta:

– Zazdrosny?

Przyjaciel odpowiada:

– O nich? Bzdura! Dwa małe dzikusy.

– Ładni są, nie sądzisz?

– Możliwe. Nie przyglądałem im się.

– A to dopiero, nie przyglądałeś im się. Więc chodź, popatrz sobie.

Przyjaciel czerwieni się:

– Czego ty w końcu chcesz? Denerwują mnie ich nieszczerze miny. Mam wrażenie, że nas słyszą i szpiegują.

– Ależ oczywiście, że nas słyszą. Świetnie mówią w naszym języku. Wszystko rozumieją.

Przyjaciel blednie. Mówi wstając:

– Tego już za wiele! Idę sobie!

Oficer odpowiada:

– Nie bądź głupi. Wyjdźcie stąd, dzieci.

Wychodzimy z pokoju, wchodzimy na strych.

Patrzymy i słuchamy.

Przyjaciel oficera mówi:

– Ośmieszylesz mnie przed tymi głupimi dziećmiakami.

Oficer mówi:

– To dwoje najbardziej inteligentnych dzieci, jakie kiedykolwiek spotkałem.

Przyjaciel mówi:

– Mówisz tak, żeby mnie zranić, żeby mi dokuczyć. Robisz wszystko, żeby mnie dręczyć i upokarzać. Pewnego dnia zabiję cię!

Oficer rzuca pistolet na stół:

– O nic innego nie proszę! Weź to. Zabij mnie! No, już!

Przyjaciel bierze pistolet i celuje w oficera:

– Zrobię to. Zobaczysz, że to zrobię. Następnym razem, kiedy będziesz mi mówił o nim albo o kimś innym, zabiję cię.

Oficer przymyka oczy, uśmiecha się:

– Był taki piękny... młody... silny... pełen wdzięku... delikatny... wykształcony... czuły... marzycielski... odważny... dumny... Zginął na froncie wschodnim. Miał dziewiętnaście lat. Nie

potrafię żyć bez niego.

Przyjaciół rzuca pistolet na stół i mówi:

– Łajdak!

Oficer otwiera oczy, patrzy na przyjaciół:

– Co za brak odwagi! Co za brak charakteru!

Przyjaciół mówi:

– Zrób to po prostu sam, jeśli masz tyle odwagi, jeśli ci tak bardzo źle. Jeżeli nie możesz żyć bez niego, idź w jego ślady. Chciałbyś, żebym ci pomógł? Jeszcze nie zwariowałem. Sam skończ ze sobą. Zabij się!

Oficer bierze pistolet i przykłada go do skroni. Schodzimy ze strychu. Ordynans siedzi przed otwartymi drzwiami pokoju. Pytamy go:

– Sądzi pan, że on się zabije?

Ordynans śmieje się:

– Wy się nie bać. Oni zawsze tak robić, kiedy za dużo wypić. Ja wcześniej rozładować obydwie pistolety.

Wchodzimy do pokoju, mówimy do oficera:

– Zabijemy pana, jeśli pan naprawdę chce. Proszę nam dać pistolet.

Przyjaciół mówi:

– Cholerne zasrańce!

Oficer mówi z uśmiechem:

– Dziękuję. Jesteście bardzo mili. Żartowaliśmy tylko. Idźcie spać.

Wstaje, żeby zamknąć za nami drzwi, spostrzega ordynansa:

– Ty jeszcze tutaj?

Ordynans mówi:

– Nie otrzymałem pozwolenia, żeby odejść.

– Idź już! Chcę mieć spokój! Zrozumiano!

Przez drzwi słyszymy jeszcze, jak mówi do przyjaciół:

– Niezła lekcja dla ciebie, rozlazła szmato!

Słyszymy także odgłosy bójki, uderzeń, stukot przewracanych krzeseł, upadek, krzyki, sapanie. Potem nastaje cisza.

Nasz pierwszy występ

Gospodyni często śpiewa. Są to nie tylko dawne ludowe piosenki, ale także współczesne, mówiące o wojnie. Słuchamy ich, odtwarzamy melodię na organkach. Prosimy także ordynansa, żeby nauczył nas piosenek ze swojego kraju.

Pewnego późnego wieczoru, gdy Babka już śpi, idziemy do miasta. Zatrzymujemy się przed niskim domem na starej ulicy, w pobliżu zamku. Spoza uchylonych na schody drzwi dobiegają hałasy, słyhać jakieś głosy, unosi się dym. Schodzimy po kamiennych stopniach do piwnicy zamienionej na winiarnię. Jacyś mężczyźni stoją tam lub siedzą na drewnianych ławkach bądź beczkach i piją wino. Większość to starzy ludzie, ale jest także kilku młodych i trzy kobiety. Nikt nie zwraca na nas uwagi.

Jeden z nas zaczyna grać na organkach, a drugi śpiewa pewną znaną piosenkę o kobiecie czekającej na męża, który wyruszył na wojnę i wkrótce wróci otoczony sławą zwycięstwa.

Ludzie odwracają się powoli w naszą stronę; milkną głosy. Śpiewamy i gramy coraz głośniej. Słyszymy, jak melodia rozbrzmiewa, odbija się od piwnicznego sklepienia, tak jakby śpiewał i grał ktoś zupełnie inny.

Skończywszy piosenkę zerkamy na umęczone, zapadnięte twarze. Jakaś kobieta śmieje się i klaszcze. Młody mężczyzna bez ręki mówi zachrypniętym głosem:

– Jeszcze. Zagrajcie coś jeszcze!

Zamieniamy się rolami. Ten, który miał organki, wręcza je drugiemu i zaczynamy nową piosenkę.

Jakiś chudy mężczyzna kuśtyka w naszą stronę i krzyczy nam prosto w twarz:

– Milczeć, psiakrew!

Popycha nas gwałtowniej jednego w prawo, drugiego w lewo. Tracimy równowagę, organki padają na ziemię. Mężczyzna wychodzi. Idzie w górę po schodach, trzymając się ściany. Słyszymy jeszcze, jak krzyczy na ulicy:

– Niech się wszyscy zamkną!

Podnosimy organki, wycieramy je. Ktoś mówi:

– On jest głuchy.

Inny dodaje:

– Nie tylko. To kompletny wariat.

Jakiś starzec głaszcze nas po głowie. Z jego zapadniętych i podkrążonych oczu płyną łzy:

– Co za nieszczęście! Co za nieszczęśliwy świat! Biedni malcy! Żałosny ten świat!

Jedna z kobiet mówi:

– Głuchy czy wariat, ale przynajmniej wrócił. Ty także wróciłeś.

Siada na kolanach mężczyzny bez ręki. Mężczyzna mówi:

– Masz rację, ślicznotko, wróciłem. Ale czym będę pracował? Czy przytrzymam deskę? Pustym rękawem?

Inny młody mężczyzna siedzący na ławce mówi sarkastycznie:

– Ja także wróciłem. Tyle że do połowy sparaliżowany. Nogi i cała reszta. Już nigdy nie będę miał kobiety. Wolalbym w ogóle nie wracać, niż zdychać na raty.

Inna kobieta mówi:

– Ciągłe marudzicie. W szpitalu spotykam umierających, którzy mówią: „Chciałbym żyć,

wszystko jedno w jakim stanie, żeby tylko przeżyć, wrócić do domu, zobaczyć żonę, matkę; wszystko jedno jak, żeby jeszcze chociaż trochę pożyć...”

Jeden z mężczyzn przerywa:

– Ty, zamknij się. Kobiety nie mają pojęcia o wojnie.

Kobieta odpowiada:

– Nie mają pojęcia? Wy łajdaki! Wszystko spada na nas; praca, kłopoty. Trzeba wyżywić dzieci, opatrzyć rannych. Każdy z was po wojnie staje się bohaterem. Jeśli zginie – bohater. Jeśli przeżyje – bohater. Jeśli zostanie inwalidą – też bohater. Właśnie po to mężczyźni wymyślili wojnę. To wasza wojna. Chcieliście jej, to walczycie, bohaterowie od siedmiu boleści!

Wszyscy zaczynają mówić i krzyżeć. Stojący obok nas strzec mówi:

– Nikt nie chciał tej wojny. Nikt, nikt.

Wychodzimy z piwnicy; postanawiamy wrócić do domu.

Księżyc oświetla ulice i zakurzoną drogę, która prowadzi do Babki.

Kolejne występy

Uczymy się żonglować owocami: jabłkami, orzechami, morelami. Najpierw dwoma – to proste, potem trzema, czterema, aż dochodzimy do pięciu.

Wymyślamy kuglarskie sztuczki z kartami i papierosami.

Ćwiczymy także akrobatykę. Uczymy się robić gwiazdę, salto mortale, przewroty w przód i w tył, potrafimy swobodnie chodzić na rękach.

Wkładamy bardzo stare ubrania, które znaleźliśmy w kufrze na strychu: za luźne i podarte marynarki w kratkę, szerokie spodnie, które przewiązujemy sznurkiem w pasie. Znaleźliśmy również czarny solidny kapelusz.

Jeden z nas przyczepia czerwoną paprykę do nosa, a drugi sztuczne wąsy zrobione z włosów kukurydzy. Bierzemy szminkę i malujemy sobie sięgające od ucha do ucha usta.

Tak przebrani za kłownów idziemy na rynek. Właśnie tam jest najwięcej sklepów i ludzi.

Zaczynamy występ od głośnej muzyki; gramy na harmonijce i wydrążonej dyni przekształconej w bęben. Kiedy wokół nas gromadzi się wiele osób, żonglujemy pomidorami albo nawet jajkami. Pomidory są prawdziwe, ale jajka to wydmuszki napełnione piaskiem. Ponieważ ludzie o tym nie wiedzą, krzyczą z zachwytu, śmieją się i biją brawo, gdy udajemy, że o mało nie upuściliśmy jajka.

W dalszym ciągu występu przedstawiamy sztuczki kuglarskie, a kończymy pokazem akrobacji.

Podczas gdy jeden z nas robi gwiazdę i wykonuje salto mortale, drugi chodzi wokół widzów na rękach, a w zębach trzyma stary kapelusz.

Wieczorami chodzimy do barów bez przebrania.

Wkrótce poznajemy wszystkie bary w mieście, a także piwnice, w których producenci sprzedają własne wino, pijalnie, gdzie pije się na stojąco, kawiarnie, do których przychodzą dobrze ubrani ludzie oraz niektórzy oficerowie szukający towarzystwa dziewcząt.

Ludzie, którzy piją, chętnie dają pieniądze. Równie chętnie zwierzają się. Dowiadujemy się najróżniejszych tajemnic dotyczących rozmaitych osób.

Często fundują nam coś do picia, stopniowo przyzwyczajamy się do alkoholu. Palimy także papierosy, którymi nas częstują.

Wszędzie odnosimy ogromne sukcesy. Mówią, że mamy ładny głos, oklaskują nas i zachęcają do bisów.

Teatr

Czasem, gdy ludzie siedzą w ciszy i nie są zbyt pijani, przedstawiamy im jedną z naszych krótkich sztuk teatralnych, na przykład „Historię o biedaku i bogaczu”.

Jeden z nas gra biedaka, drugi bogacza.

Bogaty siedzi przy stole, pali papierosa. Wchodzi biedak:

– Skończyłem rąbać drewno, jaśnie panie.

– Świetnie. Ruch na świeżym powietrzu to doskonała rzecz. Dobrze wyglądasz. Masz zarumienione policzki.

– Ręce mi skostniały, jaśnie panie.

– Zbliź się! Pokaż! To okropne! Twoje dłonie są popękane i pokryte wrzodami.

– Są odmrożone, jaśnie panie.

– Wy, biedacy, zawsze macie takie obrzydliwe choroby. Jesteście brudasami, oto cały problem. Masz swoją zapłatę.

Rzuca paczkę papierosów biedakowi, który zapala jednego stojąc przy drzwiach, z dala od leżącej na stole popielniczki. Ponieważ biedak nie śmie podejść, strząsa popiół na rękę. Bogacz wolałby zostać sam, udaje więc, że nie widzi, iż biedakowi potrzebna jest popielniczka. Ale biedak nie chce odejść, ponieważ jest głodny. Mówi:

– Ładnie tu pachnie, jaśnie panie.

– Pachnie czystością.

– Ja czuję także zapach ciepłej zupy. Od rana jeszcze nic nie jadłem.

– Należało zjeść. Jeśli o mnie chodzi, idę na kolację do restauracji, gdyż mój kucharz ma dziś wolne.

Biedak chłonie zapachy:

– Jednak czuć tutaj dobrą ciepłą zupę.

Bogacz krzyczy:

– To nie może być zupa, nikt tutaj nie gotuje zupy, ten zapach dochodzi pewnie od sąsiadów albo jest wytworem twojej wyobraźni! Wy, biedacy, myślicie tylko o własnym żołądku i dlatego nigdy nie macie pieniędzy; wszystko, co zarabiacie, wydajecie na zupę i kiełbasę. Jesteście jak prosiaki, oto cała prawda! A ty na dodatek brudzisz moją podłogę popiołem z papierosa. Wyjdź stąd i niech cię więcej nie oglądam!

Bogacz otwiera drzwi, daje kopniaka biedakowi, który przewraca się na chodnik.

Bogacz zamyka drzwi, siada nad pełnym talerzem zupy i składając ręce mówi:

– Dzięki Ci, Panie Jezu, za twe hojne dary.

Alarmy

Kiedy zamieszkaliśmy u Babki, w Małym Mieście nie było zbyt wiele alarmów. Teraz jest ich coraz więcej. Syreny wyją niezależnie od pory dnia czy nocy, podobnie jak w Dużym Mieście. Ludzie biegną do schronów, chowają się w piwnicach. W czasie alarmów ulice pustoszeją. Drzwi domów i sklepów bywają niekiedy otwarte. Korzystamy z tego, żeby wejść i wziąć spokojnie to, co nam się podoba.

Nigdy nie chowamy się w piwnicy. Babka też nie. W ciągu dnia wykonujemy nasze zajęcia, a nocą nadal śpimy.

Najczęściej samoloty tylko przelatują nad miastem, żeby rzucić bomby po drugiej stronie granicy. Zdarza się jednak, że bomba trafia w jakiś dom. Wówczas po kierunku dymu rozpoznajemy takie miejsce i biegniemy zobaczyć, co zostało zniszczone. Jeśli tylko jest coś do zabrania, bierzemy.

Zauważyliśmy, że ludzie znajdujący się w piwnicy zbombardowanego budynku zawsze są martwi. Natomiast komin domu pozostaje prawie zawsze nietknięty.

Czasami samolot wykonuje lot nurkowy, żeby strzelać do ludzi znajdujących się na polach i ulicach.

Ordynans nauczył nas, że należy uważać, kiedy samolot zbliża się, lecz jak tylko znajdzie się ponad naszymi głowami, niebezpieczeństwo zostaje zażegnane.

Z powodu alarmów nie wolno zapalać wieczorami światła, zanim nie zaciemni się dokładnie okien. Babka uważa, że najlepiej w ogóle nie świecić. Całe noce krążą patrole sprawdzając, czy ludzie przestrzegają tego zarządzenia.

Podczas jednego z posiłków mówimy, że widzieliśmy, jak spadał płonący samolot. Zauważyliśmy także pilota, który wyskoczył ze spadochronem.

– Ciekawe, co stało się z tym wrogim pilotem.

Babka mówi:

– Wrogim? Przecież to przyjaciele, nasi bracia. Już wkrótce tu będą.

Pewnego dnia chodzimy po mieście w czasie alarmu. Jakiś przerażony mężczyzna rzuca się na nas:

– Nie powinniście przebywać na zewnątrz podczas bombardowań.

Ciągnie nas za ręce w kierunku drzwi:

– Wejdźcie, wejdźcie do środka.

– Nie chcemy.

– To schron. Tutaj będziecie bezpieczni.

Otwiera drzwi i popycha nas. Piwnica jest pełna ludzi. Panuje w niej całkowita cisza. Kobiety tulą dzieci.

Nagle gdzieś wybuchają bomby. Wybuchy są coraz to bliższe. Mężczyzna, który nas przyprowadził, rzuca się na leżący w rogu stos węgla i usiłuje się w nim zakopać.

Kilka kobiet uśmiecha się szyderczo. Starsza kobieta mówi:

– Ma stargane nerwy. Dlatego zwolnili go z wojska.

W pewnej chwili nie mamy już czym oddychać. Otwieramy drzwi piwnicy. Wysoka gruba kobieta odpycha nas i zamyka z powrotem drzwi. Krzyczy:

– Czyście zwariowali? Teraz nie możecie wyjść.

Mówimy:

– Ludzie zawsze giną w piwnicach. Chcemy wyjść.

Gruba kobieta zasłania drzwi. Pokazuje nam oznakę instruktora obrony cywilnej.

– Ja tutaj dowodzę! Zostaniecie na miejscu!

Wbijamy zęby w jej owłosione przedramiona, kopujemy ją w kość piszczelową. Kobieta krzyczy, usiłuje nas uderzyć. Ludzie śmieją się. Wreszcie cała czerwona z wściekłości i wstydu mówi:

– Wynoście się! No, już! Zjeżdżajcie zdychać na dworze! Żadna strata.

Po wyjściu oddychamy głęboko. Po raz pierwszy w życiu baliśmy się.

Bomby spadają nadal niby grad.

Ludzkie stado

Przyszedliśmy na plebanie po czystą bieliznę. Jemy z gospodynią kanapki w kuchni. Z ulicy dochodzą jakieś okrzyki. Odkładamy kanapki i wychodzimy. Ludzie stoją przed drzwiami domów; patrzą w stronę dworca. Pełne entuzjazmu dzieci biegną krzycząc:

– Idą! Idą!

Zza zakrętu wyjeżdża wojskowy jeep z obcymi oficerami. Jeep jedzie powoli, za nim idą żołnierze niosący przewieszoną przez ramię broń. Z tyłu – coś w rodzaju ludzkiego stada. Dzieci podobne do nas. Kobiety podobne do Matki. Starcy podobni do szewca.

Około dwustu, może trzystu otoczonych przez żołnierzy osób, sunie do przodu. Niektóre kobiety niosą dzieci na barana, inne dźwigają je na rękach lub tulą do piersi. Jedna z nich przewraca się. Czyjeś ręce chwytają matkę i dziecko, podnoszą je szybko, gdyż jeden z żołnierzy już się szykuje do strzału.

Nikt nie rozmawia, nikt nie płacze. Wzrok wbili w ziemię. Słyszą tylko stukot podzielowanych żołnierskich butów.

Tuż obok nas ktoś wysuwa z tłumu chudą rękę o brudnej dłoni i prosi:

– Chleba.

Uśmiechnięta gospodyni robi taki ruch, jakby chciała podarować nie dokończoną kanapkę; podsuwa ją w stronę wyciągniętej dłoni, a potem, śmiejąc się głośno, wkłada sobie kawał chleba do ust, gryzie go i mówi:

– Ja też jestem głodna!

Żołnierz, który obserwował zdarzenie, poklepuje gospodynię w pośladki i szczypie w policzek, a ona macha mu chusteczką aż do chwili, gdy nie widać już nic poza obłokiem kurzu w promieniach zachodzącego słońca.

Wracamy na plebanie. Z kuchni widzimy proboszcza, który klęczy przed wielkim krzyżem w sypialni.

Gospodyni mówi:

– Dokończcie kanapki.

Mówimy:

– Już nam się nie chce jeść.

Wchodzimy do sypialni. Proboszcz odwraca się:

– Chcecie pomodlić się razem ze mną, dzieci?

– Ksiądz dobrze wie, że nigdy się nie modlimy. My chcemy zrozumieć.

– Nie możecie zrozumieć. Jesteście za młodzi.

– Ale ksiądz nie jest za młody. Właśnie dlatego pytamy księdza: kim są ci ludzie? Dokąd ich prowadzą? Dlaczego?

Proboszcz wstaje, podchodzi do nas. Mówi zamykając oczy:

– Nieprzeniknione są ścieżki Pańskie.

Otwiera oczy, kładzie nam ręce na głowie:

– Szkoda, że musieliście na to patrzeć. Trzęście się na całym ciele.

– Ksiądz także drży.

– Tak, to ze starości.

– A my z zimna. Wybiegliśmy bez koszuli. Pójdziemy włożyć jedną z tych, które gospodyni

wzięła do prania.

Idziemy do kuchni. Gospodyni podaje nam czystą bieliznę. Bierzemy po koszuli. Gospodyni mówi:

– Jesteście zbyt wrażliwi. Najlepiej będzie, jeśli zapomnicie o tym, co zobaczyliście.

– Nigdy niczego nie zapominamy.

Popycha nas w stronę drzwi:

– No, już! Uspokójcie się! Nie macie z tym nic wspólnego. To nigdy was nie spotka. Tamci ludzie to tylko zwierzęta.

Jabłka Babki

Z plebanii biegniemy prosto do domu szewca. Zastajemy powybijane szyby w oknach i wyważone drzwi. W środku wszystko poprzewracane do góry nogami. Na ścianach widnieją ordynarne napisy.

Na ławce przed sąsiednim domem siedzi stara kobieta. Pytamy ją:

– Nie ma szewca?

– Już od dawna go nie ma, szkoda biedaczyny.

– Nie było go wśród ludzi, którzy szli dziś przez miasto?

– Nie, tamci przybyli z daleka. W zwierzęcych wagonach. Szewca zabili tutaj, w warsztacie, jego własnymi narzędziami. Ale nie martwcie się. Pan Bóg wszystko widzi. Choć nierychliwy, jednak sprawiedliwy.

Po powrocie do domu znajdujemy przed furtką Babkę, leżącą na plecach z szeroko rozstawionymi nogami. Wokół niej poniewierają się porozrzucane jabłka.

Babka nie rusza się, z jej czoła płynie krew.

Biegniemy do kuchni, moczymy ręcznik, bierzemy z półki wódkę. Przykładamy wilgotny ręcznik do czoła Babki, wlewamy jej w usta trochę wódki. Po chwili Babka otwiera oczy. Mówi:

– Jeszcze!

Wlewamy jej jeszcze trochę wódki w usta.

Babka podnosi się na łokciach i zaczyna krzyczeć:

– Pozbierajcie jabłka! Na co czekacie, sukinsyny?

Zbieramy jabłka z zakurzonej drogi. Wkładamy je do fartucha.

Z czoła Babki osunął się ręcznik. Krew spływa jej do oczu. Babka wyciera ją rogiem chustki.

Pytamy:

– Bardzo boli?

Babka śmieje się drwiąco:

– Przecież nie umrę od uderzenia kolbą.

– Babko, co się stało?

– Nic. Właśnie zbierałam jabłka. Wysłałam przed furtkę, żeby popatrzeć na idących. Fartuch wysunął mi się z ręki, jabłka wypadły, potoczyły się na drogę, w sam środek ludzi. To jeszcze nie powód, żeby oberwać po głowie.

– Kto Babkę zbił po głowie?

– A jak myślicie? Chyba nie jesteście durniami. Bili także tamtych. Walili na oślep. Mimo wszystko niektórym udało się zjeść moje jabłko!

Pomagamy Babce wstać. Prowadzimy do domu. Babka zaczyna obierać jabłka na kompot, ale przewraca się. Przenosimy ją na łóżko. Zdejmujemy buty. Chustka zsuwa się z jej głowy odsłaniając zupełnie łysą czaszkę. Zakładamy z powrotem chustkę. Długo pozostajemy obok łóżka, trzymamy Babkę za ręce nasłuchując, jak oddycha.

Policjant

Jemy z Babką śniadanie. Do kuchni wchodzi bez pukania jakiś mężczyzna. Pokazuje legitymację policyjną.

Babka od razu zaczyna krzyczeć:

– Nie chcę widzieć policji w moim domu! Nic nikomu nie zrobiłam!

Policjant mówi:

– O nie, nic nikomu, nigdy. Poza tym, że otrułam tego czy tamtego...

Babka mówi:

– Niczego mi nie udowodniono. Nie możecie mi nic zrobić.

Policjant mówi:

– Uspokójcie się, Babko. Nie będziemy odgrzebywać zmarłych. Mamy dość kłopotu, żeby ich pogrzebać.

– W takim razie czego pan chce?

Policjant patrzy na nas i mówi:

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Babka także na nas patrzy:

– To prawda. Co znowu zmajstrowaliście, sukinsyny?

Policjant pyta:

– Gdzie byliście wczoraj wieczorem?

Odpowiadamy:

– Tutaj.

– Nie włóczyliście się jak zwykle po barach?

– Nie. Zostaliśmy w domu, ponieważ Babka miała wypadek.

Babka mówi pospiesznie:

– Przewróciłam się schodząc do piwnicy. Schody są omszałe, poślizgnęłam się. Rozbiłam sobie głowę. Chłopcy podnieśli mnie, zaopiekowali się. Zostali przy mnie całą noc.

Policjant mówi:

– Widzę, że macie Babko niezłego guza. W waszym wieku trzeba być bardziej ostrożną. Przeszukamy dom. Chodźcie wszyscy troje. Zaczniemy od piwnicy.

Babka otwiera drzwi do piwnicy, schodzimy. Policjant wszystko sprawdza: worki, bańki, koszyki, stertę ziemniaków.

Babka pyta nas po cichu:

– Czego on szuka?

Wzruszamy ramionami.

Po przeszukaniu piwnicy policjant idzie do kuchni. Potem Babka musi otworzyć swój pokój. Policjant wywraca łóżko. Nic nie znajduje w pościeli ani w materacu, poza kilkoma drobnymi monetami ukrytymi pod poduszką.

Przed drzwiami do pokoju oficera policjant pyta:

– Co tu jest?

Babka mówi:

– To pokój, który wynajmuję obcemu oficerowi. Nie mam do niego klucza.

Policjant spogląda w stronę drzwi od strychu:

– Nie macie drabiny?

Babka mówi:

– Połamała się.

– Jak tam wchodzicie?

– Ja nie wchodzę. Tylko chłopcy potrafią się tam wspiąć.

Policjant mówi:

– W takim razie chłopcy, chodźmy tam.

Wspinamy się na strych za pomocą liny. Policjant otwiera kufer, gdzie przechowujemy niezbędne do nauki przedmioty: Biblię, słownik, papier, ołówki i Duży Zeszyt, w którym wszystko zostało spisane. Ale policjant nie przyszedł, żeby czytać. Przeszukuje jeszcze stos starych ubrań i koców, po czym schodzimy. Na dole policjant rozgląda się i mówi:

– Nie mogę oczywiście przekopywać rękami całego ogródka. Dobrze. Chodźcie ze mną.

Prowadzi nas do lasu, na brzeg olbrzymiego dołu, w którym znaleźliśmy kiedyś martwego człowieka. Ciało już nie ma. Policjant pyta:

– Przychodziliście już tutaj?

– Nie. Nigdy. Balibyśmy się tak daleko przychodzić.

– Nie widzieliście nigdy ani tej wyrwy, ani martwego żołnierza?

– Nie, nigdy.

– Kiedy go znaleziono, nie miał karabinu, nabojów ani granatów.

Mówimy:

– Ten żołnierz musiał być bardzo roztargniony i niedbały, skoro zgubił wszystko, co niezbędne do walki.

Policjant mówi:

– On tego nie zgubił. Okradziono go po śmierci. Wy często chodzicie do lasu, co moglibyście powiedzieć na ten temat?

– Nic. Nic nie przychodzi nam do głowy.

– A jednak ktoś musiał zabrać mu karabin, naboje i granaty.

Mówimy:

– Któż śmiałby dotykać tak niebezpiecznych przedmiotów?

Przesłuchanie

Jesteśmy w Komendzie Policji. Policjant siedzi za biurkiem, my stoimy naprzeciw. Policjant syczy papier i ołówek. Zapala papierosa. Pyta:

- Od jak dawna znacie gospodynię proboszcza?
- Od wiosny.
- Gdzie ją poznaliście?
- U Babki. Przyszła po ziemniaki.
- Nosicie drewno na plebanię. Ile wam za to płacą?
- Nic. Nosimy drewno na plebanię, żeby podziękować gospodyni za pranie bielizny.
- Czy jest dla was miła?
- Bardzo miła. Robi nam kanapki, obcina włosy i paznokcie, przygotowuje kąpiel.
- Krótko mówiąc – jak matka. A proboszcz? Czy jest dla was miły?
- Bardzo. Pożycza nam książki i uczy wielu rzeczy.
- Kiedy ostatni raz przynieśliście drewno na plebanię?
- Pięć dni temu. We wtorek rano.

Policjant chodzi po pokoju. Zaciąga zasłony i zapala lampkę przy biurku. Podsuwa w naszą stronę dwa krzesła i każe usiąść. Kieruje strumień światła na nasze twarze:

- Czy bardzo lubiliście gospodynię?
- Tak, bardzo.
- Czy wiecie, co jej się stało?
- A stało jej się coś?
- Tak. Okropna rzecz. Dziś rano, gdy jak zwykle rozpałała w kuchni ogień, nastąpił wybuch, raniąc ją prosto w twarz. Została zabrana do szpitala.

Policjant milknie; nic nie mówimy. Pyta:

- Co wy na to?

Mówimy:

– Wybuch prosto w twarz niewątpliwie kończy się pobytem w szpitalu, a czasem nawet w kostnicy. To szczęście, że nie umarła.

- Jest oszpecona na całe życie!

Milczymy. Policjant także. Patrzy na nas. My na niego. Mówi:

- Nie wyglądacie na szczególnie zatroskanych.
- Cieszymy się, że żyje. Po takim wypadku!
- To nie był wypadek. Ktoś ukrył materiał wybuchowy w drewnie na opał. Nabój pochodzący z żołnierskiego karabinu. Znaleźliśmy łuskę.

Pytamy:

- Dlaczego ktoś miałby to zrobić?
- Żeby ją zabić. Ją albo proboszcza.

Mówimy:

– Ludzie są okrutni. Lubią zabijać. To wojna ich tego nauczyła. Materiały wybuchowe leżą na każdym kroku.

Policjant zaczyna krzyczeć:

- Przestańcie się mądrzyć! To wy przynosicie drewno na plebanię! To wy włączycie się

całymi dniami po lesie! To wy okradacie trupy! Jesteście do wszystkiego zdolni! Macie to we krwi! Wasza babka też ma zbrodnię na sumieniu. Otruła męża. Ona posłużyła się trucizną, a wy – materiałem wybuchowym! Przyznajcie się, dranie! Przyznajcie się! To wy!

Mówimy:

– Nie tylko my przynosimy drewno na plebanię.

Policjant mówi:

– To prawda. Jest jeszcze ten starzec. Już go przesłuchiwałem.

Mówimy:

– Każdy może ukryć nabój w wiązce chrustu.

– Tak, ale nie każdy może mieć naboje. Nie chodzi mi tylko o gospodynię. Chcę wiedzieć, gdzie ukryliście naboje. Gdzie są granaty i karabin? Starzec odpowiedział mi na wszystkie pytania. Tak dobrze go przesłuchałem, że do wszystkiego się przyznał. Ale nie umiał wskazać, gdzie są naboje, granaty i karabin. To nie on jest winny. To wy! Dobrze wiecie, gdzie są naboje, granaty i karabin. Dobrze wiecie i zaraz mi wszystko wyśpiewacie!

Nic nie odpowiadamy. Policjant uderza nas. Dwoma rękoma. Z prawej i lewej strony. Krew płynie nam z nosa i ust.

– Przyznajcie się!

Milczymy. Policjant robi się błady, bije nas coraz mocniej. Spadamy z krzeseł. Kopie nas w boki, nerki, brzuch.

– Przyznajcie się! Przyznajcie! To wy! Przyznajcie się!

Nie możemy już otworzyć oczu. Nic nie słyszymy. Jesteśmy zalani krwią, potem, moczem, odchodami. Tracimy przytomność.

W więzieniu

Leżymy na ubitej ziemi w więziennej celi. Przez zakratowane okno wpada trochę światła. Nie wiemy, która jest godzina, czy to jeszcze rano czy już popołudnie.

Wszystko nas boli. Najłżejszy ruch doprowadza do utraty przytomności. Widzimy jak przez mgłę, szumi nam w uszach, dudni w głowie. Strasznie chce nam się pić. Mamy sucho w ustach.

Tak mijają godziny. Nie rozmawiamy. Później wchodzi policjant, pyta nas:

– Czy potrzebujecie czegoś?

Mówimy:

– Chcemy pić.

– Więc się przyznajcie. Zaczynajcie mówić. Wówczas dostaniecie picie, jedzenie i wszystko, czego będziecie chcieli.

Nie odpowiadamy. Policjant pyta:

– Dziadku, chcecie coś zjeść?

Nikt nie odpowiada. Policjant wychodzi.

Dowiadujemy się, że nie jesteśmy sami w celi. Podnosimy ostrożnie głowę i w rogu dostrzegamy skuloną sylwetkę leżącego starca. Powoli czołgamy się w jego stronę, dotykamy go. Jest sztywny i zimny. Czołgamy się z powrotem na miejsce przy drzwiach.

Jest już noc, kiedy policjant wraca z latarką. Oświetla starca i mówi do niego:

– Śpijcie, dziadku. Jutro rano wróćcie do domu.

Każdemu z nas świeci po kolei prosto w twarz:

– Nadal nie macie nic do powiedzenia? Mnie nie zależy. Mam czas. Albo się przyznacie, albo tutaj zdechniecie.

Późno w nocy ponownie otwierają się drzwi. Wchodzi policjant, ordynans i obcy oficer. Oficer pochyla się nad nami. Mówi do ordynansa:

– Zadzwoń do bazy po karetkę!

Ordynans odchodzi. Oficer bada starca. Mówi:

– Zatrącił go na śmierć!

Odwraca się do policjanta:

– Drogo za to zapłacisz, łajdaku! Gdybyś tylko wiedział, jak za to wszystko zapłacisz!

Policjant pyta nas:

– Co on mówi?

– Mówi, że starzec nie żyje, że pan jest łajdakiem i że drogo pan za to zapłaci.

Oficer głaszcze nas po głowie:

– Moi mali chłopcy. Ten obrzydliwy wieprz ośmielił się was skrzywdzić!

Policjant mówi:

– Co on mi robi? Powiedzcie mu, że mam dzieci... Nie wiedziałem... To wasz ojciec czy co?

Mówimy:

– To nasz wujek.

– Trzeba było mi o tym powiedzieć. Nie wiedziałem. Proszę, wybaczone mi. Co mogę zrobić, żeby...

Mówimy:

– Niech się pan pomodli.

Ordynans przychodzi w towarzystwie żołnierzy. Kładą nas na noszach i niosą do karetki. Oficer siada obok. Grupa żołnierzy otacza policjanta i odprowadza go do jeepa, którym kieruje ordynans.

Gdy przybywamy do bazy, lekarz od razu bada nas w dużej białej sali. Dezynfekuje rany, robi zastrzyki przeciwbólowe i przeciwtężcowe. Prześwietla nas. Nie mamy nic złamanego, oprócz kilku zębów, ale to mleczaiki.

Ordynans odprowadza nas do Babki. Ściele nam duże łóżko oficera, a sam szykuje sobie posłanie na kocu obok. Rano idzie po Babkę, która przynosi nam do łóżka ciepłe mleko.

Po odejściu ordynansa Babka pyta:

– Przyznaliście się?

– Nie. Do czego mielibyśmy się przyznać?

– Tak właśnie myślałam. A co się stało z policjantem?

– Nie wiemy. Ale na pewno już nigdy tu nie wróci.

Babka śmieje się szyderczo:

– Wywieziony albo rozstrzelany, co? Ma za swoje, świnia! Uczymy to. Podgrzeję wczorajszego kurczaka. Ja też jeszcze nic nie jadłam.

W południe wstajemy, idziemy do kuchni zjeść.

W czasie posiłku Babka mówi:

– Zastanawiam się, dlaczego chcieliście ją zabić... Myślę, że musieliście mieć jakiś powód.

Starszy pan

Tuż po kolacji przychodzi starszy pan z trochę większą od nas dziewczynką.

Babka pyta go:

– Czego pan chce?

Starszy pan przedstawia się, a Babka mówi do nas:

– Wyjdźcie. Idźcie do ogródka pobiegać.

Wychodzimy. Okrążamy dom i siadamy pod kuchennym oknem. Słuchamy. Starszy pan mówi:

– Proszę o litość.

Babka odpowiada:

– Z jakiej racji?

Starszy pan mówi:

– Znała pani jej rodziców. Powierzyli mi ją, zanim zostali deportowani. Zostawili mi pani adres na wypadek, gdyby u mnie nie była bezpieczna.

Babka pyta:

– Wie pan, czym ryzykuję?

– Tak, wiem. Ale tu chodzi o jej życie.

– W domu jest obcy oficer.

– Właśnie. Tutaj nikt nie będzie jej szukał. Wystarczy powiedzieć, że to pani wnuczka, kuzynka tych dwóch chłopców.

– Wszyscy wiedzą, że oprócz nich nie mam innych wnuków.

– Może pani powiedzieć, że jest z rodziny zięcia.

Babka uśmiecha się ironicznie:

– Nigdy go nie widziałam!

Po dłuższej ciszy starszy pan mówi:

– Proszę tylko, żeby pani zaopiekowała się dziewczynką przez kilka miesięcy. Do końca wojny.

– Wojna może ciągnąć się jeszcze latami.

– Nie, już teraz nie potrwa długo.

Babka zaczyna szlochać:

– Jestem tylko biedną starowiną, która zaharowuje się na śmierć. Jak mam wyżywić tyle gęb?

Starszy pan mówi:

– Oto pieniądze zostawione przez jej rodziców. A to są rodzinne klejnoty. Wszystko należeć będzie do pani, jeśli ją pani uratuje.

Chwilę później Babka woła nas i mówi:

– To jest wasza kuzynka.

Odpowiadamy:

– Tak, Babko.

Starszy pan mówi:

– Będziecie się bawić we troje, prawda? Mówimy:

– My się nigdy nie bawimy.

Pyta:

- Co zatem robicie?
- Pracujemy, uczymy się, wykonujemy ćwiczenia.

Mówi:

– Rozumiem. Jesteście poważnymi ludźmi. Nie macie czasu na zabawę. Będziecie troszczyć się o kuzynkę, prawda?

– Tak, proszę pana. Będziemy się o nią troszczyć.

– Dziękuję wam.

Kuzynka mówi:

– Jestem starsza od was.

– Ale nas jest dwóch.

Starszy pan mówi:

– Macie rację. We dwóch jest się o wiele bardziej silnym niż w pojedynkę. Nie zapomnicie o tym, żeby zwracać się do niej „kuzynko”, prawda?

– Nie, proszę pana. Nigdy o niczym nie zapominamy.

– Mam do was zaufanie.

Kuzynka

Kuzynka jest starsza od nas o pięć lat. Ma czarne oczy i farbowane henną rude włosy.

Babka mówi, że kuzynka jest córką siostry naszego Ojca. My mówimy to samo tym, którzy pytają.

Wiemy, że Ojciec nie ma siostry. Ale wiemy także, że bez tego kłamstwa życie kuzynki byłoby w niebezpieczeństwie. A przecież obiecaliśmy starszemu panu troszczyć się o nią.

Po odejściu starszego pana Babka mówi:

– Kuzynka będzie spała z wami w kuchni.

Mówimy:

– W kuchni nie ma już miejsca.

Babka mówi:

– Poradzicie sobie.

Kuzynka mówi:

– Mogę spać na podłodze pod stołem, jeśli dacie mi jakiś koc.

Mówimy:

– Śpij na ławce, tam są koce. My pójdziemy na strych. Już nie jest tak bardzo zimno.

Kuzynka mówi:

– Będę spać z wami na strychu.

– Nie chcemy. Nie wolno ci wchodzić na strych.

– Dlaczego?

Mówimy:

– Ty masz swój sekret. My mamy nasz. Jeśli nie uszanujesz naszej tajemnicy, my nie dochowamy twojej.

Kuzynka pyta:

– Bylibyście zdolni donieść na mnie?

– Jeśli wejdziesz na strych, umrzesz. Czy to jasne?

Przez chwilę patrzy na nas w milczeniu, potem mówi:

– Jasne. Jesteście dwoma kompletnie stukniętymi małymi draniami. Nigdy nie wejść na ten wasz paskudny strych, obiecuję.

Kuzynka dochowuje obietnicy, nigdy nie wchodzi na strych. Ale poza tym cały czas nam przeszkadza.

Mówi:

– Przynieście mi malin.

Mówimy:

– Nazbieraj sobie sama, rosną w ogródku.

Mówi:

– Przestańcie głośno czytać. Uszy mnie bolą.

Czytamy nadal.

Pyta:

– Dlaczego od wielu godzin leżycie na ziemi i nie ruszacie się?

Kontynuujemy ćwiczenie bezruchu nawet wtedy, gdy rzuca w nas zgniłymi owocami.

Kuzynka mówi:

– Powiedzcie coś wreszcie, działacie mi na nerwy!

Kontynuujemy ćwiczenie ciszy w milczeniu.

Kuzynka pyta:

– Dlaczego dzisiaj nic nie jecie?

– Ponieważ dziś pościmy.

Kuzynka nie pracuje, nie uczy się, nie wykonuje ćwiczeń. Często spogląda na niebo, czasem płacze.

Babka nigdy nie bije kuzynki. Również nie klnie na nią. Nie każe jej pracować. Nic jej nie nakazuje. Nigdy się do niej nie odzywa.

Klejnoty

Tego samego wieczoru, kiedy pojawia się kuzynka, idziemy spać na strych. Bierzymy dwa koce z pokoju oficera i rozkładamy siano na podłodze. Przed snem zaglądamy przez szpary. U oficera nie ma nikogo. U Babki świeci się światło, co nie zdarza się często.

Babka wzięła z kuchni lampę naftową i zawiesiła ją nad toaletką. To stary mebel z trzema lustrami. Środkowe lustro jest umocowane na stałe, dwa pozostałe są ruchome. Można je tak ustawić, żeby widzieć się z boku.

Babka siedzi przed toaletką, patrzy w lustro na swe odbicie. Na okrywającej głowę czarnej chuście położyła coś błyszczącego. Szyję zdobi kilka kolii, na rękach połyskują bransolety, a na palcach pierścienie. Babka zachwyca się swym widokiem mówiąc:

– Jestem bogata, bogata. Łatwo być piękną mając to wszystko. Łatwo. Fortuna kołem się toczy. Teraz te klejnoty są moje. Oto sprawiedliwość. Jakże one błyszczą, och, jak błyszczą.

Po chwili dodaje:

– A jeśli oni tu wrócą? Jeśli będą chcieli je odzyskać? Jak tylko minie niebezpieczeństwo, o wszystkim zapomną. Nie wiedzą, co to wdzięczność. Obiecują złote góry, a potem... Nie, nie, oni już nie żyją. Starszy pan także wkrótce umrze. Powiedział, że to wszystko moje... Ale dziewczyna... Wszystko widziała, wszystko słyszała... Będzie chciała mi je odebrać. To pewne. Upomni się po wojnie. Ale ja nie chcę, nie mogę ich oddać. Są moje. Na zawsze.

Ta mała też musi umrzeć. W ten sposób nie będzie świadka. Nikt nie widział, nikt nie słyszał. Tak, ona umrze. Będzie miała wypadek. Tuż przed końcem wojny. Tak, to musi być wypadek. Nie trucizna. Nie tym razem. Wypadek. Utonięcie w rzece. Trzymać jej głowę pod wodą. Trudna sprawa. Zepchnąć ze schodów do piwnicy. Za nisko. Trucizna. Pozostaje tylko trucizna. Coś, co działa powoli. W odpowiedniej dawce. Choroba, która będzie ją niszczyła pomału, przez wiele miesięcy. Nie mamy lekarza. W czasie wojny wiele ludzi umiera z powodu braku opieki lekarskiej.

Babka podnosi zaciśniętą pięść, grozi swemu odbiciu w lustrze:

– Nic mi nie zrobicie! Nic!

Śmieje się szyderczo. Zdejmuje klejnoty, wkłada je do płóciennej torby i chowa w siennik. Idzie spać, my także.

Następnego dnia rano po wyjściu kuzynki z kuchni, mówimy do Babki:

– Chcielibyśmy Babce coś powiedzieć.

– Co znowu?

– Niech Babka dobrze słucha. Obiecaliśmy starszemu panu troszczyć się o kuzynkę. Dlatego nic jej się nie przydarzy. Żaden wypadek, żadna choroba. Nic. Ani jej, ani nam.

Pokazujemy Babce zaklejoną kopertę:

– Tutaj wszystko zostało spisane. Damy ten list księdzu proboszczowi. Jeśli jednemu z nas trojga coś się stanie, proboszcz otworzy list. Czy Babka dobrze zrozumiała?

Babka patrzy na nas spod przymkniętych powiek. Głośno oddycha. Mów bardzo cicho:

– Sukinsyny, czarcie nasienie! Niech będzie przeklęty dzień, w którym się urodziliście!

Po południu, kiedy Babka idzie pracować do winnicy, przeszukujemy siennik. Niczego nie znajdujemy.

Kuzynka i jej chłopiec

Kuzynka staje się coraz bardziej poważna, już nam nie przeszkadza. Codziennie myje się w dużej misce, którą kupiliśmy za pieniądze zarobione w barach. Często pierze sukienkę i majtki. W czasie gdy schną ubrania, kuzynka owija się w ręcznik lub leży na słońcu przykryta mokrymi majtkami. Jest cała opalona. Włosy sięgają jej do pośladków. Czasem przekręca się na plecy i włosami przykrywa piersi.

Wieczorem wychodzi do miasta. Pozostaje tam coraz dłużej. Pewnego razu idziemy za nią niepostrzeżenie.

W pobliżu cmentarza dołącza do grupy starszych od niej dziewcząt i chłopców. Siedzą pod drzewami, palą papierosy. Mają także wino, które piją z butelki. Jeden z chłopców stoi na czatach na skraju ścieżki. Gdy ktoś się zbliża, wartownik nie ruszając się z miejsca zaczyna gwizdać znaną melodię. Grupa rozbiega się po krzakach lub chowa za kamienne nagrobki. Gdy niebezpieczeństwo mija, wartownik gwizdże inną melodię.

Dziewczęta i chłopcy rozmawiają cichym głosem o wojnie, dezercjach, deportacjach, ruchu oporu i wyzwoleniu.

Według nich obcy żołnierze, którzy przebywają w naszym kraju i podają się za sojuszników, są w istocie wrogami, natomiast ci, którzy wkrótce nadejdą i wygrają wojnę, to nie wrogowie, lecz – wprost przeciwnie – wyzwoliciele.

Młodzi ludzie mówią:

- Mój ojciec przeszedł na drugą stronę. Wróci razem z nimi.
- A mój ojciec zdezerterował od razu po wypowiedzeniu wojny.
- Moi rodzice dołączyli do partyzantów. Byłem za młody, żeby iść z nimi.
- Moi zostali zabrani przez tych łajdaków. Deportowano ich.
- Już ich nigdy nie zobaczysz. Zresztą ja swoich też nie. Na pewno nie żyją.
- To nie takie pewne. Będą tacy, którzy przeżyją.
- A zmarłych pomścimy.
- Byliśmy za młodzi. Szkoda. Nie mogliśmy nic zrobić.
- To skończy się niedługo. „Oni” przyjdą lada dzień.
- Powitamy ich kwiatami na Dużym Placu.

Późno w nocy młodzi ludzie rozchodzą się. Wracają do domów.

Kuzynka odchodzi z chłopcem. Śledzimy ich. Spacerują wąskimi uliczkami w pobliżu zamku, znikają za ruinami muru. Nie widzimy ich, ale słyszymy.

Kuzynka mówi:

- Połóż się na mnie. Tak, w ten sposób. Pocałuj mnie. Pocałuj.

Chłopiec mówi:

- Jaka jesteś piękna! Chcę ciebie.
- Ja także. Ale się boję. Co będzie, jeśli zajdę w ciążę?
- Ożenię się z tobą. Kocham cię. Pobierzemy się po wyzwoleniu.
- Jesteśmy za młodzi. Musimy jeszcze poczekać.
- Nie mogę czekać.
- Przestań! To boli. Nie można, nie można, kochany.

Chłopiec mówi:

– Tak, masz rację. Ale popieść mnie. Daj rękę. Popieść mnie tutaj, tak, w ten sposób. Obróć się. Chcę cię tutaj całować, gdy mnie pieścisz.

Kuzynka mówi:

– Nie, nie rób tego. Wstydzę się. Och, jeszcze, jeszcze! Kocham cię, tak bardzo cię kocham. Wracamy.

Błogosławieństwo

Musimy pójść na plebanię, żeby oddać pożyczone książki.

Drzwi otwiera nam, jak niegdyś, stara kobieta. Zaprasza nas do środka. Mówi:

– Ksiądz proboszcz na was czeka.

Proboszcz mówi:

– Siadajcie.

Kładziemy książki na biurku. Siadamy.

Proboszcz patrzy na nas przez chwilę, potem mówi:

– Czekałem na was. Długo nie przychodziliście.

Mówimy:

– Chcieliśmy dokończyć lekturę książek. Poza tym jesteśmy bardzo zajęci.

– A co z kąpielą?

– Mamy teraz wszystko, co potrzebne do mycia. Kupiliśmy miskę, mydło, nożyczki, szczoteczki do zębów.

– Za co? Za czyje pieniądze?

– Za pieniądze, które zarabiamy grając w barach.

– Bary to miejsca rozpusty. Zwłaszcza dla dzieci w waszym wieku.

Nie odpowiadamy. Proboszcz mówi:

– Nie przychodziliście też po pieniądze dla niewidomej. Uzbierała się już pokaźna suma. Proszę, weźcie.

Podaje pieniądze. Mówimy:

– Niech proboszcz je sobie zostawi. Już dosyć otrzymały. Braliśmy pieniądze, gdy było to absolutnie konieczne. Teraz zarabiamy wystarczająco dużo, żeby podzielić się z Zajęczą Wargą. Nauczyliśmy ją pracować. Pomogliśmy skopać ogródek i zasadzić ziemniaki, fasolę, dynie, pomidory. Podarowaliśmy jej trochę kurczaków i królików. Zajęcza Warga uprawia ogródek i hoduje zwierzęta. Teraz nie musi żebrać. Nie potrzebuje już pieniędzy od księdza proboszcza.

Proboszcz mówi:

– W takim razie weźcie te pieniądze dla siebie. Nie będziecie musieli pracować w barach.

– Lubimy pracować w barach.

Proboszcz mówi:

– Dowiedziałem się, że zostaliście pobici i że was torturowano.

Pytamy:

– Co stało się z gospodynią księdza proboszcza?

– Zaciągnęła się na front, żeby pielęgnować rannych. Zginęła.

Milczymy. Proboszcz pyta:

– Chcielibyście się wyspowiadać? Jestem zobowiązany do zachowania tajemnicy spowiedzi. Nie musicie się niczego obawiać. Wyspowiadajcie się.

Mówimy:

– Nie mamy grzechów.

– Mylicie się. Trudno żyć z taką zbrodnią. Spowiedź przyniosłaby wam ulgę. Bóg wybacza wszystkim, którzy szczerze żałują za grzechy.

Mówimy:

– Nie żałujemy niczego. Nie mamy czego żałować.

Proboszcz mówi po dłuższym milczeniu:

– Widziałem wszystko przez okno. Kawałek chleba... Zemsta należy jednak do Boga. Nie macie prawa Go zastępować.

Milczymy. Proboszcz pyta:

– Czy mogę was pobłogosławić?

– Jeśli sprawi to przyjemność księdzu proboszczowi.

Kładzie nam dłonie na głowie:

– Boże Wszchemogący, pobłogosław te dzieci. Bez względu na to, jak straszna by była popełniona przez nie zbrodnia, wybacz im, gdyż te zabłąkane w okrutnym świecie owieczki są ofiarami naszych zepsutych czasów i nie wiedzą, co czynią. Błagam Cię, Panie, zbaw ich dziecięce dusze, oczyść je z wszelkiego zła poprzez swą nieskończoną dobroć i miłosierdzie. Amen.

Potem mówi do nas jeszcze:

– Przychodźcie do mnie od czasu do czasu, nawet jeśli niczego nie potrzebujecie.

Ucieczka

Z dnia na dzień na murach Miasta pojawiają się plakaty. Jeden z nich przedstawia leżącego na ziemi starca, którego ciało jest przebite bagnetem wrogiego żołnierza. Na innym wrogi żołnierz uderza dziecko drugim dzieckiem, które trzyma za nogi. Jeszcze inny plakat przedstawia nieprzyjacielskiego żołnierza, który ciągnie kobietę za ramię, a drugą ręką rozrywa jej bluzkę. Kobieta ma otwarte usta, z jej oczu płyną łzy.

Ludzie oglądający plakaty są wstrząśnięci. Babka śmieje się drwiąco, mówi:

– To kłamstwa. Nie powinniście się bać.

Ludzie mówią, że Duże Miasto upadło.

Babka mówi:

– Jeśli przekroczyli Dużą Rzekę, już nic ich nie zatrzyma. Wkrótce tu będą.

Kuzynka mówi:

– Więc będę mogła wrócić do domu.

Pewnego dnia ludzie mówią, że wojsko poddało się, że jest zawieszenie broni i że to koniec wojny.

Następnego dnia mówią, że mamy nowy rząd i że wojna trwa nadal.

Wielu obcych żołnierzy przyjeżdża pociągami lub ciężarówkami. Przybywają także żołnierze z naszego kraju. Jest wielu rannych. Kiedy ludzie wypytują żołnierzy z naszego kraju, ci odpowiadają, że nic nie wiedzą. Przechodzą przez Miasto. Idą do drugiego kraju drogą przecinającą pola.

Ludzie mówią:

– Uciekają. To odwrót.

Inni mówią:

– Wycofują się. Formują oddziały za linią graniczną. Tutaj ich powstrzymają. Nigdy nie pozwolą wrogowi na przekroczenie granicy.

Babka mówi:

– To się jeszcze okaże.

Wiele osób przechodzi przed domem Babki. Oni także idą do innego kraju. Mówią, że trzeba opuścić nasz kraj na zawsze, gdyż nadchodzi wróg, który będzie szukał pomsty. Uczyni z nas niewolników.

Jedni uciekają pieszo z tobołkiem na plecach, inni pchają rowery obładowane najróżniejszymi przedmiotami, takimi jak: pierzyna, skrzypce, prosię w klatce, garnki. Inni siedzą objuczeni na wozach ciągniętych przez konie, ci wiozą cały swój dobytek.

Większość to mieszkańcy naszego miasta, ale niektórzy przybywają z bardziej odległych stron.

Pewnego ranka ordynans i obcy oficer przychodzą pożegnać się z nami.

Ordynans mówi:

– Wszystko stracone. Jednak lepiej być pokonanym niż martwym.

Śmieje się. Oficer nastawia płytę, słuchamy w ciszy, siedząc na dużym łóżku. Oficer tuli nas do siebie, płacze.

– Już nigdy was nie zobaczę.

Mówimy:

– Będzie pan miał własne dzieci.

– Nie chcę.

Pokazując płyty i gramofon dodaje:

– Weźcie to sobie na pamiątkę. Ale zostawcie mi słownik. Teraz będziecie musieli nauczyć się innego języka.

Cmentarzysko

Pewnej nocy słyszymy wybuchy bomb, strzelaninę, salwy z karabinu maszynowego. Wychodzimy przed dom, żeby zobaczyć, co się dzieje. W tym miejscu, gdzie był obóz, unosi się olbrzymi słup ognia. Sądzimy, że nadszedł wróg, lecz następnego dnia w mieście panuje cisza; słychać tylko odległe pomruki armatnich dział.

Na końcu drogi prowadzącej do bazy nie ma strażników. Szeroki jęzor odrażająco cuchnącego dymu wije się w kierunku nieba. Postanawiamy zobaczyć z bliska to miejsce.

Wchodzimy na teren obozu. Pusto. Nigdzie żywej duszy. Niektóre budynki dopalają się. Woń jest nie do wytrzymania. Zatykamy sobie nos i brniemy dalej. Zatrzymuje nas dopiero zapora z drutu kolczastego. Wspinamy się na wartownię. Widzimy wielki plac, na którym wznoszą się cztery czarne stosy. Dostrzegamy możliwość przejścia – wyłom w ogrodzeniu. Schodzimy z wartowni, znajdujemy drogę. Wielka kuta w żelazie furka jest szeroko otwarta. Nad nią widnieje napis w obcym języku: „Obóz tranzytowy”. Wchodzimy.

Czarne stosy, które widzieliśmy z góry, to zwęglone ciała ludzkie. Niektóre są doszczętnie spalone, pozostały po nich tylko kości. Inne – ledwie odymione. Mnóstwo ludzkich zwłok. Dużych i małych. Dorosłych i dzieci. Wydaje nam się, że najpierw zostali zabici, następnie ułożeni w stos, polani benzyną i podpaleni.

Wymiotujemy. Wybiegamy z obozu. Wracamy do domu. Babka woła nas na posiłek, ale ponownie wymiotujemy.

Babka mówi:

– Znowu najedliście się jakiegoś świństwa.

Mówimy:

– Tak, jedliśmy zielone jabłka.

Kuzynka mówi:

– Obóz spłonął. Powinniśmy pójść zobaczyć. Pewnie już tam nikogo nie ma.

– Właśnie tam byliśmy. Nic ciekawego.

Babka śmieje się szyderczo:

– Bohaterowie o wszystkim pamiętali? Wszystko zabrali ze sobą? Nie zostawili nic pożytecznego? Dobrze obejrzelście?

– Tak, dobrze obejrzeliliśmy. Niczego tam nie ma.

Kuzynka wychodzi z kuchni. Idziemy za nią.

Pytamy:

– Dokąd idziesz?

– Do miasta.

– O tej porze? Zazwyczaj chodzisz wieczorem.

Uśmiecha się:

– Tak, ale ktoś teraz na mnie czeka. Rozumiecie. Kuzynka jeszcze raz uśmiecha się do nas, potem biegnie w stronę miasta.

Matka

Jesteśmy w ogródku. Przed domem zatrzymuje się wojskowy jeep. Wysiada z niego Matka, za nią jakiś obcy oficer. Prawie biegną przez ogródek. Matka niesie na rękach niemowlę. Widząc nas krzyczy:

– Chodźcie! Szybko wsiadajcie do jeepa. Odjeżdżamy. Pospieszcie się. Zostawcie wszystko i wsiadajcie!

Pytamy:

– Czyje jest to dziecko?

Matka mówi:

– To wasza młodsza siostra. Chodźcie! Nie ma czasu do stracenia.

Pytamy:

– Dokąd pojedziemy?

– Do innego kraju. Przestańcie zadawać pytania i wsiadajcie.

Mówimy:

– Nie chcemy nigdzie jechać. Chcemy tu zostać.

Matka mówi:

– Ale ja muszę jechać. A wy pojedziecie ze mną.

– Nie. Zostaniemy tutaj.

Babka wychodzi z domu. Mówi do Matki:

– Co tu robisz? Co trzymasz na rękach?

Matka mówi:

– Przyjechałam po dzieci. Później przyślę ci pieniądze.

Babka mówi:

– Nie potrzebuję twoich pieniędzy. I nie oddam ci chłopców.

Matka prosi oficera, żeby zabrał nas siłą. Szybko wspinamy się po linie na strych. Oficer próbuje nas złapać, ale kopujemy go w twarz. Oficer przeklina. Wciągamy linę.

Babka śmieje się szyderczo:

– Widzisz, nie chcę z tobą jechać.

Matka krzyczy z całej siły:

– Każę wam natychmiast zejść!

Babka mówi:

– Nigdy nie słuchają poleceń.

Matka zaczyna płakać:

– Chodźcie, moje kochane dzieci. Nie mogę bez was wyjechać.

Babka mówi:

– Ten obcy bękart ci nie wystarczy?

Mówimy:

– Nam jest tutaj dobrze. Niech Matka spokojnie wyjedzie. Bardzo nam dobrze u Babki.

Słychać odgłosy armatnich dział i strzały karabinu maszynowego. Oficer chwytą Matkę za ramię i ciągnie do samochodu. Ale Matka wyrывa się:

– To są moi synowie, chcę być z nimi! Kocham ich!

Babka mówi:

– Są tutaj potrzebni. Jestem stara. Ty jeszcze możesz zrobić sobie nowych. Proszę, oto dowód!

Matka mówi:

– Błagam, nie zatrzymuj ich.

Babka mówi:

– Wcale ich nie zatrzymuję. Dalej, chłopcy, schodźcie natychmiast i jedźcie ze swoją mamą.

Mówimy:

– Nie chcemy odjeżdżać. Chcemy zostać u Babki.

Oficer obejmuje Matkę, ale ona go odpycha. Oficer wsiada do jeepa i uruchamia silnik. W tej właśnie chwili w ogródku słychać wybuch. Zaraz potem widzimy leżącą na ziemi Matkę. Oficer podbiega do niej. Babka chce nas odsunąć. Mówi:

– Nie patrzcie! Wracajcie do domu!

Oficer klnie, biegnie do jeepa i odjeżdża jak szalony.

Spoglądamy na Matkę. Z jej żołądka wydostają się wnętrzności. Jest cała zalana krwią. Dziecko także. Głowa Matki zwisa nad lejem wyżłobionym przez pocisk. W otwartych oczach jeszcze widać łzy.

Babka mówi:

– Idźcie po łopatę!

Rozpościeramy koc na dnie leja, kładziemy na nim Matkę. Niemowlę jest wciąż przytulone do jej piersi. Przykrywamy ciała drugim kocem, potem zasypujemy je ziemią.

Kiedy kuzynka wraca z miasta, pyta:

– Czy coś się stało?

Mówimy:

– Tak, pocisk zrobił dziurę w ogródku.

Odjazd kuzynki

Przez całą noc słyszymy strzały i wybuchy. Gdy nastaje świt, nagle robi się cicho. Zasypiamy w dużym łóżku oficera. Jego łóżko stało się naszym, podobnie jak jego pokój.

Rano idziemy do kuchni na śniadanie. Babka stoi przy garnkach. Kuzynka składa pościel.

Mówi:

– Nie wyspałam się.

Mówimy:

– Wyśpisz się w ogródku. Ucichły hałasy i robi się ciepło.

Kuzynka pyta:

– Nie baliście się dziś w nocy?

Wzruszamy ramionami, nic nie mówiąc.

Ktoś puka do drzwi. Wchodzi cywil, za nim dwóch żołnierzy. Żołnierze mają pistolety maszynowe i noszą nie znane nam mundury.

Babka mówi coś w języku, którym posługuje się, kiedy pije wódkę. Żołnierze odpowiadają. Babka rzuca się im na szyję. Całuje jednego i drugiego, potem znowu coś do nich mówi.

Cywil pyta:

– Pani zna ich język?

Babka odpowiada:

– To mój rodzinny język, proszę pana.

Kuzynka pyta:

– Już są? Kiedy nadeszli? A my mieliśmy przywitać ich kwiatami na Dużym Placu.

– Jacy „my”?

– Ja i moi przyjaciele.

Cywil uśmiecha się:

– W takim razie już za późno. Przyszli dziś w nocy. Ja przyjechałem tuż po nich. Szukam pewnej dziewczynki.

Wypowiada nazwisko, kuzynka mówi:

– Tak, to ja. Gdzie są moim rodzice?

Cywil mówi:

– Nie wiem. Mam tylko obowiązek odnalezienia dzieci, których nazwiska są na liście. Najpierw pojedziemy do miejsca zgrupowania w Dużym Mieście. Potem będziemy szukać twoich rodziców.

Kuzynka mówi:

– Mam tu przyjaciela. Czy on także jest na tej liście?

Mówi nazwisko swojego chłopca. Cywil sprawdza w spisie.

– Tak. Jest już w głównej kwaterze wojska. Dalej pojedziecie razem. Spakuj swoje rzeczy.

Rozradowana kuzynka składa sukienki i chowa przybory toaletowe do kąpielowego ręcznika.

Cywil zwraca się do nas:

– A wy? Jak się nazywacie?

Babka mówi:

– To moi wnukowie. Zostaną tutaj.

Mówimy:

– Tak, zostaniemy z Babką.

Cywil mówi:

– Chciałbym chociaż znać wasze nazwisko.

Przedstawiamy się. Cywil patrzy w papiery:

– Nie ma was na tej liście. Może ich sobie pani zostawić.

Babka mówi:

– A to dopiero! Mogę ich zostawić!

Kuzynka mówi:

– Jestem gotowa. Chodźmy.

Cywil mówi:

– Ale ci się spieszy. Mogłabyś przynajmniej podziękować tej pani i pożegnać się z chłopcami.

Kuzynka mówi:

– Z chłopcami? Toż to prawdziwe dranie!

Przytula nas z całej siły do siebie:

– Nie całuję was, bo wiem, że tego nie lubicie. Bądźcie ostrożni, nie wygłupiajcie się za bardzo.

Przytula nas jeszcze mocniej, płacze. Cywil bierze ją za rękę i mówi do Babki:

– Dziękuję za wszystko, co pani zrobiła dla tego dziecka.

Wszyscy wychodzimy. Przed furtką stoi jeep. Dwaj żołnierze siadają z przodu, cywil i kuzynka z tyłu. Babka coś jeszcze krzyczy. Żołnierze są rozbawieni. Jeep rusza z miejsca. Kuzynka nie odwraca się.

Nowi obcy

Po odjeździe kuzynki idziemy do miasta, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Na każdym rogu ulicy stoi czołg. Na Dużym Placu – ciężarówki, jeepy, motocykle bez przyczep i z przyczepami. Wszędzie pełno żołnierzy. Na rynku, który nie jest pokryty asfaltem, rozbijają namioty i stawiają polowe kuchnie.

Kiedy przechodzimy obok, uśmiechają się, zagadują, ale nie rozumiemy, co do nas mówią.

Oprócz wojskowych, na ulicach nie ma żywej duszy. Drzwi domów są zamknięte, okiennice zatrzęsnięte, kraty sklepowe opuszczone.

Wracamy do domu, mówimy do Babki:

– W mieście panuje spokój.

Babka odpowiada z drwiącym śmiechem:

– Na razie odpoczywają, ale zobaczycie po południu!

– Co będzie się działo?

– Będą plądrować. Wszędzie wejdą i wszystko przeszukają. Zabiorą, co im się spodoba. Przeżyłam już jedną wojnę, wiem, jak to się odbywa. My nie mamy czego się bać. Nie ma tu nic do wzięcia, zresztą umiem z nimi rozmawiać.

– Babko, ale czego oni szukają?

– Szpiegów, broni, amunicji, zegarków, złota, kobiet.

Rzeczywiście po południu wojskowi zaczynają rewizję w domach. Jeśli ktoś nie chce im otworzyć, strzelają w powietrze, potem wyważają drzwi.

W wielu domach nie ma nikogo. Mieszkańcy opuścili je na zawsze lub ukryli się w okolicznych lasach. Te nie zamieszkane domy są również przeszukiwane, podobnie jak wszystkie sklepy.

Po wyjściu wojskowych, do sklepów i opuszczonych domów wpadają złodzieje. Są to przede wszystkim dzieci i starcy, niekiedy ubogie kobiety lub te, które niczego się nie boją.

Spotykamy Zajęczą Wargę. Taszczy ubrania i buty. Mówi do nas:

– Pospieszcie się, póki jest jeszcze coś do wzięcia. Ja już trzeci raz wracam.

Wchodzimy do księgarni przez wyważone drzwi. Jest tutaj tylko kilkoro młodszych od nas dzieci. Biorą kredki, kolorową kredę, gumki, temperówki i bloki rysunkowe.

Spokojnie wybieramy to, co jest nam potrzebne: Wielką Encyklopedię w kilkunastu tomach, ołówki i papier.

Na ulicy jakiś starzec bije się ze staruszką o kawałek szynki. Wokół rozbawiony tłumek zachęca ich do walki. Staruszka drapie starca po twarzy i w końcu to ona zabiera szynkę.

Złodzieje upijają się skradzioną wódką, wszczynają bójki, wybijają szyby w domach oraz witryny zrabowanych sklepów, tłuką naczynia, wyrzucają na ziemię przedmioty, które nie są im potrzebne lub których nie są w stanie zabrać.

Wojskowi także piją i wracają do splądrowanych domów; tym razem po kobiety.

Zewsząd słychać wystrzały i krzyk gwałconych kobiet.

Na Dużym Placu jakiś żołnierz gra na akordeonie. Inni żołnierze tańczą i śpiewają.

Pożar

Od kilku dni nie widzimy sąsiadki w ogródku. Nie spotykamy także Zajęcej Wargi. Postanawiamy pójść zobaczyć, co się u nich dzieje.

Drzwi chaty są otwarte. Wchodzimy. Oka są małe. W pomieszczeniu jest ciemno, choć na dworze świeci słońce.

Gdy oczy oswajają się z mrokiem, zauważamy sąsiadkę leżącą na kuchennym stole. Nogi jej zwisają, ręce zasłaniają twarz. Nie rusza się.

Zajęcza Warga leży na łóżku. Jest naga. Między rozstawionymi nogami zaschnięta kałuża krwi i spermy. Powieki zamknięte na zawsze, usta wykrzywione na wieki w uśmiechu, odsłaniają czarne zęby. Zajęcza Warga nie żyje.

Sąsiadka mówi:

– Idźcie sobie.

Podchodzimy do niej, pytamy:

– To pani nie jest głucha?

– Nie. Nie jestem też ślepa. Idźcie sobie.

Mówimy:

– Chcemy pani pomóc.

Sąsiadka mówi:

– Nie potrzebuję pomocy. Niczego nie potrzebuję. Idźcie sobie.

Pytamy:

– Co się tutaj stało?

– Przecież widzicie. Ona nie żyje.

– To byli ci nowi obcy?

– Tak. Sama ich zawołała. Wyszła na drogę i machała, żeby przyszli. Było ich dwunastu lub piętnastu. Kiedy ją kolejno brali, nie przestawała krzyzczeć: „Ach, jak się cieszę, ach, jak się cieszę! Chodźcie wszyscy, jeszcze jeden, następny!” Umarła szczęśliwa, zgwałcona na śmierć. Ale ja żyję. Nie wiem, od jak dawna leżę tutaj bez jedzenia i picia. A śmierć nie przychodzi. Nigdy nie przychodzi, kiedy się ją wzywa. Z lubością nas torturuje. Czekam na nią od tylu lat, a ona mnie wciąż omija.

Pytamy:

– Naprawdę pragnie pani umrzeć?

– A czegoż innego mogłabym pragnąć? Jeśli chcecie coś dla mnie zrobić, podpalcie ten dom. Nie chcę, żeby nas tak znalezione.

Mówimy:

– Ale będzie pani potwornie cierpiała.

– Nie martwcie się o to. Podłóżcie ogień i koniec, jeśli jesteście do tego zdolni.

– Tak, proszę pani, jesteśmy do tego zdolni. Może pani na nas liczyć.

Jednym ciosem brzytwy podrzynamy sąsiadce gardło, potem przelewamy benzynę z wojskowego samochodu. Spryskujemy nią obydwie ciała i ściany chaty. Podpalamy i odchodzimy.

Rano Babka mówi:

– Spalił się dom sąsiadki. Ona i córka były w środku. Pewnie mała zostawiła coś na ogniu, toż

to wariatka.

Wracamy tam, żeby zabrać kury i króliki, ale inni sąsiedzi już w nocy wszystko wzięli.

Koniec wojny

Przez wiele tygodni przyglądamy się przed domem Babki, jak idzie zwycięska armia nowych obcych, która teraz nazywa się Armią Wyzwolicielei.

Czołgi, armaty, wozy pancerne oraz ciężarówki przejeżdżają przez granicę w dzień i w nocy. Front przesuwa się coraz bardziej w głąb sąsiedniego kraju.

W przeciwnym kierunku sunie inny pochód – to jeńcy wojenni, zwyciężeni. Wśród nich wielu mężczyzn z naszego kraju. Jeszcze są w mundurach, ale nie mają broni ani pagonów. Pieszko, z opuszczonymi głowami, maszerują w kierunku dworca, gdzie ładuje się ich do wagonów. Nikt nie wie, dokąd jadą ani na jak długo.

Babka mówi, że zabierają ich bardzo daleko, do zimnego nie zamieszkanego kraju, gdzie będą musieli tak ciężko pracować, iż mało kto przeżyje. Umrą na skutek zimna, zmęczenia, głodu i chorób.

W miesiąc po wyzwoleniu naszego kraju wszędzie kończy się wojna, a Wyzwoliciele – wnioskując z tego, co mówią ludzie – zostają u nas na zawsze. Prosimy więc Babkę, żeby nauczyła nas ich języka. Babka mówi:

– Jak mam was nauczyć, skoro nie jestem nauczycielką?

Mówimy:

– To proste. Będzie Babka do nas mówiła całe dni w tym języku i w końcu nauczymy się go.

Wkrótce znamy nowy język na tyle, że możemy służyć za tłumaczy między mieszkańcami a Wyzwolicielami. Korzystając z tej umiejętności handlujemy towarami, których wojsko ma w nadmiarze, takimi jak: papierosy, tytoń, czekolada... Wymieniamy je na to, co mają cywile: wino, wódkę, owoce.

Pieniądze są już bez wartości; wszyscy stosują handel wymienny.

Dziewczyny sypiają z żołnierzami w zamian za pończochy, pierścionek, perfumy, zegarek lub inne przedmioty zrabowane przez wojskowych w miastach, które mijali na swej drodze.

Babka nie wyrusza już na targ z wózkiem. Teraz wytwornie ubrane kobiety przychodzą do niej i błagają o kurczaka lub kiełbasę, ofiarując w zamian pierścionek lub złote kolczyki.

Żywność rozdziela się na kartki. Ludzie stoją od czwartej rano w kolejkach przed sklepem z wędlinami i przed piekarnią. Pozostałe sklepy są zamknięte z powodu braku towarów.

Wszystkim wszystkiego brakuje.

Nam i Babce nie brakuje niczego.

Niebawem znowu mamy wojsko i rząd, ale kierują nimi Wyzwoliciele. Ich flaga powiewa na wszystkich budynkach użyteczności publicznej. Wszędzie wisi zdjęcie ich przywódcy. Uczą nas swoich piosenek i tańców, pokazują swoje filmy w naszych kinach. W szkołach obowiązuje język Wyzwolicielei, inne obce języki są zakazane.

Istnieje zakaz żartowania na temat Wyzwolicielei oraz nowego rządu. Każdego można wtrącić do więzienia na podstawie zwykłego donosu, bez procesu i bez sądu. Mężczyźni i kobiety znikają bez śladu, choć nikt nie wie, dlaczego. Ich rodziny nigdy niczego się nie dowiedzą.

Znowu jest granica. Tym razem nie do pokonania. Nasz kraj został otoczony kolczastymi drutami. Jesteśmy całkowicie odcięci od świata.

Początek roku szkolnego

Jesienią wracają do szkoły wszystkie dzieci oprócz nas.

Mówimy do Babki:

– My już nigdy nie chcemy chodzić do szkoły.

Babka mówi:

– To dobrze. Jesteście mi tutaj potrzebni. Czego więcej moglibyście nauczyć się w szkole?

– Niczego. Zupełnie niczego.

Wkrótce otrzymujemy list. Babka pyta:

– O czym tu piszą?

– Piszą, że Babka jest za nas odpowiedzialna i że musimy iść do szkoły.

Babka mówi:

– Spalcie ten list. Ja nie umiem czytać, wy też nie. Nikt nie czytał tego listu.

Palimy list. Wkrótce przysyłają następny. Jest w nim napisane, że jeśli nie pójdziemy do szkoły, Babka zostanie pociągnięta do odpowiedzialności karnej. Ten list także palimy. Mówimy do Babki:

– Niech Babka pamięta, że jeden z nas jest ślepy, a drugi głuchy.

Kilka dni później przychodzi do nas mężczyzna. Mówi:

– Jestem inspektorem w szkołach podstawowych. Ala pani u siebie dwoje dzieci w wieku szkolnym. Ich obowiązkiem jest chodzenie do szkoły. Otrzymała pani dwa zawiadomienia w tej sprawie.

Babka mówi:

– Ma pan na myśli te listy? Ja nie umiem czytać. Dzieci też nie.

Jeden z nas pyta:

– Kto to jest? Co mówi?

– Pyta, czy umiemy czytać. Jak wygląda?

– Jest wysoki, niezbyt sympatyczny.

Krzyczymy razem:

– Niech pan stąd wyjdzie! Niech nam pan nie robi krzywdy! Niech nas pan nie zabija! Na pomoc!

Chowamy się pod stół. Inspektor pyta Babkę:

– Co im jest? Co im się stało?

Babka mówi:

– Och, ci biedacy wszystkich się boją! Przeżyli straszne rzeczy w Dużym Mieście. Ponadto jeden z nich jest głuchy, a drugi ślepy. Głuchy musi wyjaśniać ślepemu, co widzi, a ślepy głuchemu, co słyszy. Inaczej niczego nie rozumieją.

Siedząc pod stołem wrzeszczymy:

– Na pomoc, na pomoc! To wybuch! Ależ hałas! Pełno tu płomieni!

Babka wyjaśnia:

– Kiedy kogoś się boją, słyszą i widzą rzeczy, których nie ma.

Inspektor mówi:

– Mają przywidzenia. Należałoby zabrać ich do szpitala.

Wrzeszczymy jeszcze głośniejsze.

Babka mówi:

– Tylko nie to! Właśnie w szpitalu spotkało ich nieszczęście. Pewnego razu odwiedzili pracującą tam matkę. Byli w budynku, kiedy na szpital zaczęły spadać bomby. Widzieli rannych i umierających. Sami przez wiele dni znajdowali się w stanie śpiączki.

Inspektor mówi:

– Biedne dzieciaki. Gdzie są ich rodzice?

– Albo nie żyją, albo zaginęli bez wieści. Któż to może wiedzieć?

– Ci chłopcy są pewnie dla pani wielkim ciężarem.

– Co zrobić? Poza mną nikogo nie mają.

Odchodząc inspektor podaje Babce rękę:

– Jest pani bardzo dzielną kobietą.

Otrzymujemy trzeci list, w którym jest napisane, że zostaliśmy zwolnieni z obowiązku szkolnego z powodu kalectwa i zaburzeń psychicznych.

Babka sprzedaje winnicę

Do Babki przychodzi oficer i prosi o sprzedaż winnicy. Wojsko chce wybudować w tym miejscu budynek dla straży granicznej.

Babka pyta:

– W jaki sposób chcecie mi zapłacić? Pieniądze nie mają żadnej wartości.

Oficer mówi:

– W zamian za ziemię doprowadzimy do pani domu bieżącą wodę i założymy elektryczność.

Babka mówi:

– Nie potrzebuję ani elektryczności, ani bieżącej wody. Do tej pory bez tego żyłam.

Oficer mówi:

– Możemy również wziąć od pani winnicę nie oferując niczego w zamian. I zrobimy tak, jeśli nie przyjmie pani naszej propozycji. Ten teren jest potrzebny wojsku. Oddanie ziemi to pani patriotyczny obowiązek.

Babka otwiera usta, ale nie dajemy jej dojść do słowa:

– Babka jest zmęczona, ma już swoje lata. Winnica wymaga tak wiele pracy, a nie przynosi prawie wcale dochodu. Natomiast wartość domu zdecydowanie wzrośnie po zainstalowaniu wody i prądu.

Oficer mówi:

– Wnukowie są bardziej inteligentni od pani.

Babka mówi:

– Dobrze już, dobrze. W takim razie niech pan z nimi rozmawia. Oni zadecydują.

Oficer mówi:

– Ale potrzebny będzie pani podpis.

– Podpiszę wszystko, co pan chce. I tak nie umiem pisać.

Babka zaczyna płakać, wstaje i mówi do nas:

– Mam do was zaufanie.

Odchodzi w kierunku winnicy.

Oficer mówi:

– Jak ona kocha tę swoją winnicę, biedna staruszka. A więc sprawa załatwiona?

Mówimy:

– Jak pan sam stwierdził, ta ziemia ma olbrzymią wartość uczuciową dla Babki. Wojsko z pewnością nie będzie chciało odebrać biednej staruszce zdobytego w pocie czoła kawałka terenu. Tym bardziej że Babka pochodzi z kraju naszych bohaterskich Wyzwolicieli.

Oficer mówi:

– Ach, tak? Więc ona pochodzi...

– Właśnie. I doskonale zna wasz język. Ale jeśli chce pan dopuścić się nadużycia...

Oficer mówi pospiesznie:

– Ależ nie, ależ nie! Czego chcecie?

– Poza wodą i prądem przydałaby się jeszcze łazienka.

– Tylko tyle! A gdzie wam urządzić tę łazienkę?

Prowadzimy go do pokoju i pokazujemy, gdzie chcemy mieć łazienkę.

– Tutaj. Z wejściem z naszego pokoju. O powierzchni siedmiu lub ośmiu metrów

kwadratowych. Z obudowaną wanną, umywalką, prysznicem, termą i sedesem.

Oficer przygląda nam się przez chwilę i mówi:

– To da się zrobić.

Mówimy:

– Chcielibyśmy także mieć radio. Nigdzie nie można go kupić.

Oficer pyta:

– I to wszystko?

– Tak, wszystko.

Oficer wybucha śmiechem:

– Będziecie mieli łazienkę i radio. Ale lepiej bym zrobił, gdybym rozmawiał z waszą babką.

Choroba Babki

Pewnego ranka Babka nie wychodzi z pokoju. Pukamy do drzwi, wołamy, ale nie odpowiada. Zachodzimy z tyłu domu, tłuczemy szybę w oknie pokoju, żeby wejść.

Babka leży na łóżku, nie rusza się. Widzimy jednak, że oddycha, jej serce bije. Jeden z nas zostaje, drugi idzie po lekarza.

Lekarz bada Babkę. Mówi:

– Wasza Babka miała atak apopleksji, dostała wylewu krwi do mózgu.

– Umrze?

– Nie wiadomo. Jest stara, ale ma mocne serce. Podawajcie jej te lekarstwa trzy razy dziennie.

A poza tym należałoby znaleźć kogoś do opieki.

Mówimy:

– Sami zajmiemy się Babką. Co trzeba robić?

– Trzeba ją będzie karmić i myć. Prawdopodobnie zostanie całkowicie sparaliżowana.

Lekarz odchodzi. Przygotowujemy purée z warzyw i karmimy Babkę łyżeczką. Wieczorem w pokoju bardzo brzydko pachnie. Uchylamy koldrę: na sienniku jest pełno odchodów.

Idziemy do rolnika po słomę, kupujemy plastikowe majtki – takie jak dla niemowlęcia – oraz pieluchy.

Rozbieramy Babkę, myjemy ją w wannie, potem przygotowujemy czyste łóżko. Jest tak chuda, że niemowlęce majtki w sam raz na nią pasują. Kilka razy dziennie zmieniamy pieluchy.

Po tygodniu Babka zaczyna poruszać rękami. Pewnego poranka wita nas serią przekleństw:

– Sukinsyny! Ścierwa! Ugotujcie mi kurę! Jak mam odzyskać siłę jedząc tę przeklętą zieleninę? Chcę także koziego mleka! Myślę, że dopilnowaliście wszystkiego, kiedy byłam chora!

– Tak, wszystkiego dopilnowaliśmy, Babko.

– Pomóżcie mi wstać, łajdaki!

– Lekarz powiedział, że nie wolno Babce wstawać.

– Lekarz, lekarz! Co za dureń! Całkowity paraliż! Już ja mu pokazę, jaka jestem sparaliżowana!

Pomagamy jej wstać, prowadzimy do kuchni, sadzamy na ławce. Babka zjada ugotowaną kurę. Po posiłku mówi:

– Na co czekacie? Zróbcie mi solidną laskę, pospieszcie się, leniuchy, chcę zobaczyć, czy wszystko jest w porządku.

Biegniemy do lasu, znajdujemy stosowną gałąź i pod kontrolą Babki robimy laskę o odpowiednich wymiarach. Babka chwytą ją i grozi:

– Miejcie się na baczności, jeśli coś zaniedbaliście!

Idzie do ogródka. Obserwujemy ją z daleka. Wchodzi do ubikacji, słyszymy, jak gdera:

– Majtki! Też mi pomysł! Całkiem zwariowali!

Po powrocie Babki do domu, zaglądamy do ubikacji. Majtki i pieluchy leżą w dziurze klozetowej.

Skarb Babki

Pewnego wieczoru Babka mówi:

– Zamknijcie dobrze drzwi i okna. Chcę z wami porozmawiać, ale nie chcę, żeby ktoś nas usłyszał.

– Przecież tędy nikt nigdy nie przechodzi.

– Dobrze wiecie, że straż graniczna włóczy się wszędzie. Nie wstydzą się podsłuchiwać pod drzwiami. Przynieście mi także kartkę papieru i ołówek.

Pytamy:

– Czy Babka chce coś napisać?

Babka krzyczy:

– Macie się słuchać! Nie zadawać pytań!

Zamykamy okna i drzwi, przynosimy ołówek i papier. Babka siada za stołem i rysuje coś na kartce. Mówi szeptem:

– Tutaj znajduje się skarb.

Podaje nam kartkę. Narysowała na niej prostokąt, krzyż, a pod krzyżem kółko. Pyta:

– Zrozumieliście?

– Tak, Babko, zrozumieliśmy. Zresztą wiedzieliśmy już o tym od dawna.

– Jak to? O czym wiedzieliście?

Odpowiadamy szeptem:

– O tym, że skarb Babki znajduje się w grobie Dziadka, pod krzyżem.

Babka milczy przez chwilę, potem mówi:

– Powinna była się tego domyślić. Od jak dawna wiecie?

– Od bardzo dawna. Od kiedy zauważyliśmy, jak bardzo Babka troszczy się o grób Dziadka.

Babka oddycha głęboko:

– Nie będę się denerwować. Przecież i tak to wszystko jest dla was. Teraz jesteście wystarczająco rozumni, żeby wiedzieć, co z tym zrobić.

Mówimy:

– Na razie nie można zrobić zbyt wiele.

Babka mówi:

– To prawda. Macie rację. Trzeba poczekać. Będziecie umieli czekać?

– Tak, Babko.

Milczymy przez chwilę we troje, potem Babka mówi:

– To nie wszystko. Kiedy będę miała kolejny atak, pamiętajcie, że nie chcę ani kąpieli, ani majtek, ani pieluch.

Wstaje, szuka czegoś na półce wśród słoików. Wraca z małą niebieską buteleczką:

– Zamiast waszych przeklętych lekarstw, wlejcie mi zawartość butelki do filiżanki z mlekiem.

Nic nie odpowiadamy. Babka krzyczy:

– Zrozumieliście, sukinsyny?

Nic nie odpowiadamy. Babka mówi:

– Boicie się sekcji zwłok, łajdaki? Nie będzie sekcji zwłok. Nikt nie dzieli włosa na czworo, gdy umiera stara kobieta, zwłaszcza po drugim ataku.

Mówimy:

– Nie obawiamy się sekcji zwłok. Sądzymy tylko, że Babka mogłaby jeszcze raz wyjść z tego cało.

– Nie. To już się nie uda. Dobrze wiem. Dlatego lepiej będzie szybko skończyć.

Nic nie mówimy, Babka zaczyna płakać:

– Wy nie wiecie, co to paraliż. Wszystko się widzi, wszystko słyszy, a nie można się ruszyć. Jeśli nie stać was nawet na to, żeby oddać mi tę niewielką przysługę, jesteście niewdzięcznikami, wężami, które wyhodowałam na własnej piersi.

Mówimy:

– Dostyc łez. Jeśli naprawdę taka jest Babki wola, spełnimy ją.

Ojciec

Kiedy przybywa Ojciec, pracujemy we troje w kuchni, ponieważ na dworze pada deszcz.

Ojciec zatrzymuje się przed drzwiami, ma skrzyżowane ręce i szeroko rozstawione nogi. Pyta:

– Gdzie jest moja żona?

Babka śmieje się szyderczo:

– Coś podobnego! Ona rzeczywiście miała męża.

Ojciec mówi:

– Tak, jestem mężem pani córki. A to są moi synowie.

Patrzy na nas i dorzuca:

– Bardzo urosliście. Ale nie zmieniliście się.

Babka mówi:

– Córka, czyli pańska żona, powierzyła mi te dzieci.

Ojciec mówi:

– Lepiej by zrobiła oddając je komuś innemu. Gdzie ona jest? Powiedziano mi, że wyjechała za granicę. Czy to prawda?

Babka mówi:

– To stara historia. Gdzie pan był do tej pory?

Ojciec mówi:

– Byłem jeńcem wojennym. A teraz chcę odnaleźć żonę. Nie próbuj niczego przede mną ukrywać, ty stara wiedźmo.

Babka mówi:

– Bardzo mi się podoba sposób, w jaki pan dziękuje za to, co zrobiłam dla chłopców.

Ojciec krzyczy:

– Mam to w nosie! Gdzie jest moja żona?

Babka mówi:

– Pan ma to w nosie? Mnie i dzieci? W takim razie pokażę panu, gdzie jest żona!

Babka wychodzi do ogródka, my za nią. Wskazuje laską kwadrat porośnięty kwiatami, które zasadziliśmy na grobie Matki:

– Tutaj! Tu leży pana żona. Pod ziemią.

Ojciec pyta:

– Nie żyje? Dlaczego? Od kiedy?

Babka mówi:

– Zginęła od pocisku. Kilka dni przed końcem wojny.

Ojciec mówi:

– Nie wolno grzebać ludzi, gdzie popadnie.

Babka mówi:

– Została pochowana tu, gdzie zginęła. Nie – gdzie popadnie. To mój ogródek. Należał także do niej, kiedy była mała.

Ojciec patrzy na mokre kwiaty i mówi:

– Chcę ją zobaczyć.

Babka mówi:

– Nie powinien pan. Nie wolno zakłócać spokoju umarłym.

Ojciec mówi:

– W każdym razie należy pochować ją na cmentarzu. Takie jest prawo. Przynieście mi łopatę.

Babka wzrusza ramionami:

– Przynieście mu łopatę.

Stojąc w strugach deszczu patrzymy, jak Ojciec niszczy nasz kwiatowy ogródek, obserwujemy, jak drąży coraz głębiej otwór. Dokopuje się do koców, rozsuwa je. Leży tam duży szkielet, a na nim mały – przyklejony do piersi.

Ojciec pyta:

– Co tu na niej jest?

Mówimy:

– To niemowlę. Nasza młodsza siostra.

Babka mówi:

– Przecież powiedziałam panu, żeby nie zakłócać umarłym spokoju. Niech pan idzie umyć się do kuchni.

Ojciec nie odpowiada. Przygląda się szkieletom. Twarz ma mokrą od potu, łez i deszczu. Z trudem wydostaje się z dołu i nie patrząc za siebie, odchodzi. Jego ręce i ubranie ociekają błotem.

Pytamy Babkę:

– Co robimy?

Babka mówi:

– Trzeba zasypać dół. Cóż innego możemy zrobić?

Mówimy:

– Niech Babka idzie się ogrzać. Wszystkim się zajmujemy.

Babka wraca do domu.

Owijamy szkielety w koc i przenosimy na strych. Rozkładamy kości na słomie, żeby wyschły. Następnie schodzimy i zasypujemy dziurę, w której już niczego nie ma.

Potem przez wiele miesięcy czyszcimy i polerujemy czaszkę i kości Matki oraz dziecka. Następnie odtwarzamy starannie szkielety, przywiązując każdą kość cienkimi drucikami. Po skończeniu pracy przyczepiamy do belki na strychu szkielet Matki, a na jej szyi wieszamy szkielet dziecka.

Powrót Ojca

Dopiero po kilku latach ponownie spotykamy Ojca.

Wcześniej Babka dostaje kolejnego wylewu, a my pomagamy jej umrzeć, tak jak nas o to prosiła. Leży teraz w tym samym grobie co Dziadek. Przed otwarciem grobu wyjęliśmy skarb i ukryliśmy go pod ławką stojącą przed oknem pokoju, w miejscu, gdzie jeszcze jest strzelba, naboje i granaty.

Pewnego wieczoru przychodzi Ojciec i pyta:

- Gdzie jest Babka?
- Nie żyje.
- Mieszkacie sami? Jak sobie radzicie?
- Bardzo dobrze, Ojczy.

Ojciec mówi:

- Przyszedłem tutaj w tajemnicy. Musicie mi pomóc.

Mówimy:

- Od wielu lat Ojciec nie dawał znaku życia.

Pokazuje nam ręce. Są bez paznokci. Zostały wyrwane z korzeniami.

- Wyszedłem z więzienia. Byłem torturowany.
- Dlaczego?
- Nie wiem. Za nic. Jestem osobą podejrzaną politycznie. Nie mogę wykonywać swojego zawodu. Cały czas mnie śledzą. Regularnie przeprowadzają rewizje w moim mieszkaniu. Nie mogę dłużej żyć w tym kraju.

Mówimy:

- Ojciec chce przekroczyć granicę.
- Tak. Wy tutaj mieszkacie, musicie więc wiedzieć, znać...
- Tak, wiemy, znamy. Granica jest nie do przekroczenia.

Ojciec opuszcza głowę, patrzy przez chwilę na swoje ręce, potem mówi:

- Jednak musi być jakiś sposób, jakaś możliwość przedostania się.
- Tak, z narażeniem życia.
- Wolę raczej umrzeć niż pozostać tutaj.
- Przed podjęciem decyzji niech Ojciec posłucha, co go może spotkać.

Ojciec mówi:

- Dobrze.

Wyjaśniamy:

- Podstawowa trudność to dojść do pierwszych drutów kolczastych i nie spotkać patrolu ani nie zostać zauważonym z wartowni. To jest do zrobienia. Znamy godziny przejścia patrolu, wiemy również, gdzie mieszczą się budki wartownicze. Ogrodzenie ma metr pięćdziesiąt centymetrów wysokości i metr szerokości. Potrzebne będą dwie deski. Jedna, żeby wspiąć się na ogrodzenie i druga, którą należy położyć na wierzchu, żeby utrzymać się w pozycji pionowej. Jeśli Ojciec straci równowagę, wpadnie pomiędzy druty i nie wyjdzie już stamtąd.

Ojciec mówi:

- Nie stracę równowagi.

Mówimy dalej:

– Należy zabrać obydwie deski, żeby w ten sam sposób przejść przez drugie ogrodzenie, które znajduje się siedem metrów dalej.

Ojciec śmieje się:

– To dziecinna igraszka.

– Tak, ale teren pomiędzy dwoma ogrodzeniami jest zaminowany.

Ojciec błędnie:

– W takim razie to niemożliwe.

– Nieprawda. To kwestia szczęścia. Myny są rozmieszczone zygzakiem, w kształcie litery W. Jeśli pójść w linii prostej, jest ryzyko, że trafi się tylko na jedną minę. Robiąc wielkie kroki ma się mniej więcej jedną szansę na siedem na ominięcie miny.

Ojciec zastanawia się przez chwilę, potem mówi:

– Podejmuję to ryzyko.

Odpowiadamy!

– W takim razie chcemy Ojcu pomóc. Podprowadzimy Ojca do pierwszego ogrodzenia.

Ojciec mówi:

– Zgoda. Dziękuję wam. Nie macie przypadkiem czegoś do jedzenia?

Przynosimy chleb z kozim serem. Podajemy wino pochodzące z dawnej winnicy Babki. Wlewamy Ojcu do kieliszka kilka kropli środka nasennego, który Babka umiała tak dobrze przygotowywać z roślin.

Odprowadzamy Ojca do pokoju i mówimy:

– Dobranoc, Ojcze. Dobrych snów. Obudzimy Ojca jutro.

Kładziemy się spać na narożnej ławie stojącej w kuchni.

Rozłąka

Następnego ranka wstajemy bardzo wcześnie. Upewniamy się, że Ojciec głęboko śpi.

Przygotowujemy cztery deski.

Odkopujemy skarb Babki: złote i srebrne monety, dużo klejnotów. Większą część wkładamy do płóciennej torby. Każdy z nas bierze granat na wypadek spotkania z żołnierzami. Likwidując patrol możemy zyskać na czasie.

Idziemy na zwiad w pobliże granicy, chcemy znaleźć najlepsze miejsce – martwy kął pomiędzy dwoma punktami obserwacyjnymi. Tam, pod wielkim drzewem ukrywamy płócienną torbę i dwie deski.

Wracamy do domu, jemy śniadanie. Później zanosimy posiłek Ojcu. Musimy nim potrząsnąć, żeby się obudził. Ojciec przecierając oczy mówi:

– Już dawno tak dobrze nie spałem.

Stawiamy mu na kolanach tacę ze śniadaniem.

Ojciec mówi:

– Co za uczta! Mleko, kawa, szynka, jajka, masło, konfitury! Te rzeczy są nie do zdobycia w Dużym Mieście. Skąd wy je macie?

– Pracujemy. Niech Ojciec je. Nie będzie czasu na następny posiłek przed wyruszeniem w drogę.

Ojciec pyta:

– Mam iść dziś wieczorem?

Mówimy:

– Idziemy natychmiast. Jak tylko Ojciec będzie gotowy.

Ojciec mówi:

– Czyście oszaleli? Nie mam zamiaru przechodzić przez tę cholerną granicę za dnia! Zobaczą nas.

Mówimy:

– Ojcze, my także musimy widzieć. Tylko głupi ludzie próbują przechodzić przez granicę w nocy. Nocą patrole chodzą cztery razy częściej, a strefa graniczna jest stale oświetlana reflektorami. Natomiast około jedenastej rano nadzór osłabia się. Strażnicy myślą, że nie istnieją tacy szaleńcy, którzy próbowaliby w tym czasie przechodzić przez granicę.

Ojciec mówi:

– Na pewno macie rację. Zdaję się na was.

Pytamy:

– Czy możemy przeszukać Ojcu kieszenie?

– Kieszenie? Dlaczego?

– Nikt nie powinien Ojca zidentyfikować. Jeśli coś się stanie, a oni dowiedzą się, że chodzi o naszego ojca, zostaniemy oskarżeni o współudział.

Ojciec mówi:

– O wszystkim pamiętacie.

Mówimy:

– Musimy dbać o własne bezpieczeństwo.

Przeszukujemy ubranie. Zabieramy dokumenty: dowód osobisty, notes z adresami, bilet na

pociąg, rachunki i zdjęcie matki. Wszystko, oprócz zdjęcia, palimy w kuchni.

Wychodzimy o jedenastej. Każdy z nas niesie deskę.

Ojciec niczego nie niesie. Prosimy tylko, żeby szedł za nami, robiąc możliwie jak najmniej hałasu.

Podchodzimy do granicy. Mówimy Ojcu, żeby położył się za dużym drzewem i leżał bez ruchu.

Wkrótce o kilka metrów od nas przechodzi patrol składający się z dwóch mężczyzn. Słyszymy, jak rozmawiają:

- Zastanawiam się, co dziś będzie do żarcia.
- To samo świństwo co zwykle.
- Świństwo świństwu nierówne. Wczoraj to było obrzydliwe, ale czasami jest niezłe.
- Niezłe? Nie mówiłbyś tak, gdybyś kiedykolwiek jadł zupę ugotowaną przez moją matkę.
- Nigdy nie jadłem zupy ugotowanej przez twoją matkę. Ja nigdy nie miałem matki. Zawsze jadłem same świństwa. W wojsku przynajmniej od czasu do czasu zjem coś niezłego.

Patrol oddala się. Mówimy:

- Niech Ojciec idzie. Mamy dwadzieścia minut do przyścia następnego patrolu.

Ojciec bierze pod pachę dwie deski, podchodzi do ogrodzenia, wspina się.

Kładziemy się na ziemi za dużym drzewem, zatykamy uszy rękoma, otwieramy usta.

Słysząc wybuch.

Podbiegamy do drutów kolczastych z dwiema pozostałymi deskami i płócienną torbą.

Ojciec leży w pobliżu drugiego ogrodzenia.

Tak, jest jeden sposób na przekroczenie granicy: wysłać kogoś przed sobą.

Jeden z nas bierze płócienną torbę, idzie po śladach Ojca, a potem po zastygłym w bezruchu jego ciele i przechodzi na drugą stronę granicy.

Ten, który pozostaje, wraca do domu Babki.

Dowód

Po powrocie do domu Babki Lucas kładzie się w cieniu krzewów, pod płotem otaczającym ogród. Czeka. Wojskowy pojazd zatrzymuje się przed budynkiem straży granicznej. Wsiadają z niego żołnierze i rzucają na ziemię ciało owinięte brezentem w barwach ochronnych. Z budynku wychodzi sierżant. Na jego znak żołnierze rozchylają brezent. Sierżant gwizdże:

– Niełatwo będzie go zidentyfikować! Trzeba być dumniem, żeby przedzierać się przez tę cholerną granicę, w dodatku za dnia!

Żołnierz mówi:

– Ludzie powinni wiedzieć, że to niemożliwe.

Inny żołnierz mówi:

– Miejscowi wiedzą. Próbują tylko ci, którzy przyjeżdżają z daleka.

Sierżant mówi:

– Dobrze, chodźmy teraz do tego idioty z naprzeciwka. Może on coś wie.

Lucas wchodzi do domu. Siada na narożnej ławie w kuchni. Kroi chleb, stawia na stole butlę wina i kozi ser. Ktoś puka.

Wchodzi sierżant z żołnierzem.

Lucas mówi:

– Czekałem na was. Siadajcie. Poczęstujcie się winem i serem.

Żołnierz mówi:

– Chętnie.

Bierze chleb i ser. Lucas nalewa wino.

Sierżant pyta:

– Czekałeś na nas? Dlaczego?

– Usłyszałem wybuch. Zawsze, kiedy jest wybuch, pytają mnie, czy kogoś nie widziałem.

– A ty nikogo nie widziałeś?

– Nie.

– Jak zwykle.

– Tak, jak zwykle. Nikt nie ogłasza mi wcześniej zamiaru przekroczenia granicy.

Sierżant śmieje się. On także częstuje się winem i serem.

– Mogłeś zauważyć, że ktoś włóczy się tu w pobliżu lub w lesie.

– Nikogo nie widziałem.

– Gdybyś kogoś zobaczył, powiedziałbyś?

– Gdybym powiedział, że powiedziałbym, nie uwierzylibyście.

Sierżant znowu się śmieje.

– Zastanawiam się czasem, dlaczego nazywają cię idiotą.

– Ja też się zastanawiam. Po prostu cierpię na chorobę nerwową, która jest skutkiem urazu psychicznego odniesionego w dzieciństwie w czasie wojny.

Żołnierz pyta:

– Co to znaczy? Co on mówi?

Lucas wyjaśnia:

– Moja głowa jest trochę skołatana od bombardowań. Byłem wtedy dzieckiem.

Sierżant mówi:

– Twój ser jest bardzo dobry. Dziękuję. Teraz pójdziesz z nami.

Lucas idzie za nimi. Sierżant pyta wskazując dało:

– Znasz tego człowieka? Widziałeś go już kiedyś?

Lucas przygląda się poszarpanemu ciału ojca.

– Ma zupełnie zniekształconą twarz.

Sierżant mówi:

– Można także poznać kogoś po ubraniu, butach, a nawet po rękach albo włosach.

Lucas mówi:

– Mogę tylko powiedzieć, że nie jest z naszego miasta. Ma nietutejsze ubranie. W naszym mieście nikt tak elegancko się nie ubiera.

Sierżant mówi:

– Dziękuję. To wszystko już widzieliśmy. Też nie jesteśmy idiotami. Pytam, czy widziałeś go już gdzieś wcześniej?

– Nie. Nigdzie. Ale widzę, że ma pozrywane paznokcie. Siedział w więzieniu.

Sierżant mówi:

– W naszych więzieniach nie stosuje się tortur. Ciekawe, że jego kieszenie są zupełnie puste. Żadnego zdjęcia, klucza czy portfela. Przecież musiał mieć dowód osobisty, a także przepustkę zezwalającą na wejście do strefy nadgranicznej.

Lucas mówi:

– Pewnie ukrył to wszystko w lesie.

– Też tak myślę. Nie chciał, żeby go zidentyfikowano. Zastanawiam się, kogo chciał w ten sposób osłonić. Gdybyś przypadkiem, zbierając grzyby, coś znalazł, przyniesiesz to do nas, prawda, Lucasie?

– Może pan na mnie liczyć, sierżancie.

Lucas siada na ławce w ogródku, opiera głowę o białą ścianę domu. Oślepia go słońce. Zamyka oczy:

– Co teraz robić?

– To, co poprzednio. Wstawać co rano, kłaść się wieczorem i robić wszystko, by nadal żyć.

– To potrwa długo.

– Być może całe życie.

Jazgotliwe głosy zwierząt budzą Lucasa. Wstaje, musi obrządzić inwentarz. Daje jeść świniom, kurom, królikom. Idzie nad rzekę po kozy, przyprowadza je, doi. Znosi mleko do kuchni. Siada na ławie i tak siedzi, nie ruszając się aż do wieczora. Wstaje o zmroku, wychodzi z domu, podlewa ogródek. Jest pełnia księżycy. Po powrocie do kuchni je trochę sera, popija winem. Wymiotuje wychylając się przez okno. Sprząta ze stołu. Wchodzi do pokoju Babki, otwiera okno, żeby przewietrzyć. Siada przed toaletką, patrzy na siebie w lustrze. Później otwiera drzwi do swojego pokoju. Patrzy na duże łóżko. Zamyka z powrotem drzwi i idzie do miasta.

Ulice są puste. Lucas idzie szybko. Zatrzymuje się przed otwartym oknem, w którym świeci się światło. To kuchnia. Jakaś rodzina je właśnie kolację. Przy stole matka i troje dzieci. Dwóch chłopców i dziewczynka. Jedzą kartoflanę. Ojca nie ma. Jest w pracy, w więzieniu albo w obozie. A może nie wrócił z wojny.

Lucas mijają hałaśliwe bary, gdzie jeszcze niedawno grywał na organkach. Nie wchodzi do środka, idzie dalej. Wybiera ciemne uliczki biegnące w kierunku zamku, potem małą mroczną ulicę, która prowadzi na cmentarz. Zatrzymuje się przed grobem Dziadka i Babki.

Babka umarła w ubiegłym roku na skutek powtórnego wylewu.

Dziadek umarł dawno. Ludzie z miasta mówili, że otruła go własna żona.

Ojciec umarł dzisiaj próbując przekroczyć granicę, Lucas nigdy nie pozna jego grobu.

Wraca do domu. Wspinając się na linie wchodzi na strych. Na górze jest siennik, stary wojskowy koc oraz kufer. Lucas otwiera kufer, wyjmując duży szkolny zeszyt, pisze w nim kilka zdań. Zamyka zeszyt i kładzie się na sienniku.

Ponad nim, w blasku księżyca przedostającym się przez okienko w dachu, kołyszą się przyczepione do belki dwa szkielety: matki i niemowlęcia.

Matka i siostrzyczka Lucasa umarły pięć lat temu. Zabił je pocisk na kilka dni przed końcem wojny, tutaj, w ogródku przy domu Babki.

Lucas siedzi na ławce w ogródku. Ma zamknięte oczy. Przed domem zatrzymuje się wóz ciągnięty przez konia. Hałas budzi Lucasa. Do ogródka wchodzi Józef, który zajmuje się uprawą i sprzedażą warzyw. Lucas spogląda na niego:

– Czego pan chce, Józefie?

– Czego chce? Dzisiaj był targ. Czekałem na ciebie do siódmej.

Lucas mówi:

– Przepraszam, Józefie. Zapomniałem, jaki dziś dzień. Jeśli pan chce, możemy szybko załadować towar.

– Żartujesz? Jest druga po południu. Nie przyjechałem po to, żeby ładować, ale żeby dowiedzieć się, czy nadal mam sprzedawać twój towar. Jeśli nie, to powiedz. Mnie jest wszystko jedno. Robię to, żeby ci wyświadczyć przysługę.

– Wiem, Józefie. Po prostu zapomniałem, że dzisiaj jest dzień targowy.

– Nie tylko dziś zapomniałeś. Zapomniałeś także w ubiegłym tygodniu. I jeszcze tydzień wcześniej.

Lucas mówi:

– Coś takiego! Nie może być!

Józef kiwa głową.

– Coś u ciebie nie gra. Co robiłeś z warzywami i owocami przez te trzy tygodnie?

– Nic. Ale codziennie podlewałem ogródek, tak sędzę.

– Tak sądzisz? Chodźmy zobaczyć.

Józef idzie na tył domu do warzywnika, Lucas za nim.

Ogrodnik pochyla się nad grządkami i zaczyna kłąć.

– Cholera jasna! Wszystko zmarnowałeś! Spójrz, pomidory na ziemi, przerośnięta fasola, pozółkłe ogórki i zgniłe truskawki! Oszalałeś czy co? Żeby tak zepsuć dobry towar! Zasługujesz na stryczek lub na kulę w łeb! W tym roku nie będziesz miał zielonego groszku ani moreli. Jabłka i śliwki można jeszcze uratować. Przynieś wiadro!

Lucas przynosi wiadro i Józef zaczyna zbierać leżące w trawie owoce. Mówi do Lucasa:

– Weź drugie wiadro i zbieraj wszystko, co zepsute. Może świnię to zjedzą. Rany boskie! Co ze zwierzętami?!

Józef biegnie na podwórko, Lucas za nim. Józef mówi wycierając czoło:

– Chwała Bogu, nie wyzdychały. Daj widły, trochę posprzątam. Jakim cudem nie zapomniałeś o karmieniu zwierząt?

– Nie dają o sobie zapomnieć. Słychać, kiedy są głodne.

Józef pracuje przez kilka godzin, Lucas pomaga mu posłusznie. Gdy słońce chyli się ku zachodowi, wchodzi do kuchni.

– Niech mnie diabli wezmą! Nigdy nie czułem podobnego smrodu. Co tutaj tak cuchnie?

Rozgląda się dokoła, spostrzega wielką miskę pełną koziego mleka.

– Mleko się skwaśliło. Zabierz to stąd i wylej do rzeki.

Lucas wykonuje polecenie. Gdy wraca, kuchnia jest już wywietrzona, podłoga umyta. Lucas schodzi do piwnicy, skąd wraca z butelką wina i kawałkiem słoniny.

Józef mówi:

– Przydałby się chleb do tego.

– Nie mam chleba.

Józef wstaje bez słowa i przynosi cały bochen z wozu.

– Kupiłem go wracając z targu. U nas w domu już się nie piecze chleba.

Józef je i pije. Pyta:

– Nie pijesz? Nie jesz? Lucasie, co się z tobą dzieje?!

– Jestem zmęczony. Nie mogę jeść.

– Jesteś blady, widać to nawet pod opalenizną. Została na tobie tylko skóra i kości.

– To nic poważnego. To przejdzie.

Józef mówi:

– Od razu domyśliłem się, że coś jest nie tak w twojej głowie. Pewnie z powodu jakiejś dziewczyny.

– Niej nie z powodu dziewczyny.

Józef przymruża znacząco oko.

– Ejże, ta młodość. Przykro by mi było, gdyby taki przystojny chłopak zaniedbywał się przez jakąś dziewczynę.

Lucas mówi:

– To nie przez dziewczynę.

– A przez co?

– Nie wiem.

– Nie wiesz? W takim razie trzeba iść do lekarza.

– Niech pan się mną nie przejmuje, Józefie, to przejdzie.

– Przejdzie, przejdzie. Zaniedbuje ogród, marnuje mleko, nie je, nie pije i myśli, że tak dalej można.

Lucas nie odpowiada.

Na odchodnym Józef mówi:

– Posłuchaj, Lucasie. Żebyś następnym razem nie zapomniał o dniu targowym, ja wstanę godzinę wcześniej, przyjadę cię obudzić i razem załadujemy warzywa, owoce i zwierzęta przeznaczone na sprzedaż. W porządku?

– Tak, dziękuję, Józefie.

Lucas daje pełną butelkę wina Józefowi, odprowadza go do wozu.

Poganiając konia batem, Józef krzyczy:

– Uważaj, Lucasie! Miłość czasem prowadzi do zguby.

Lucas siedzi na ławce w ogródku. Ma zamknięte oczy. Kiedy je otwiera, widzi dziewczynkę huśtającą się na gałęzi czereśni.

Lucas pyta:

– Co tutaj robisz? Kim jesteś?

Dziewczynka zeskakuje na ziemię, poprawia różowe wstążki przy warkoczach.

– Ciocia Leonia prosi, żebyś poszedł do księdza proboszcza. On jest zupełnie sam, bo ciocia Leonia nie może już pracować, bo jest za stara, leży w domu i już się nie podnosi z łóżka. Moja mama nie ma czasu chodzić do księdza, bo pracuje w fabryce, i mój tata także.

Lucas mówi:

– Rozumiem. Ile masz lat?

– Nie wiem dobrze. Ostatnio, kiedy były moje urodziny, miałam pięć lat, ale to była zima. A teraz już jest jesień i mogłabym pójść do szkoły, gdybym nie urodziła się za późno.

– Już jest jesień!

Dziewczynka śmieje się.

– Nie wiedziałaś o tym? Od dwóch dni mamy jesień, nawet jeśli wydaje się, że to lato, bo jest ciepło.

– Ale z ciebie mądrała!

– Pewnie! Mam starszego brata, który mnie wszystkiego uczy. Ma na imię Szymon.

– A ty jak masz na imię?

– Agnieszka.

– To ładne imię.

– Lucas także. Wiem, że nazywasz się Lucas, bo ciocia powiedziała: „Idź do Lucasa, on mieszka w ostatnim domu, naprzeciw strażników”.

– Nie zatrzymali cię strażnicy?

– Nie widzieli mnie. Przeszłam z tyłu.

Lucas mówi:

– Chciałbym mieć taką siostrzyczkę.

– A nie masz?

– Nie. Gdybym miał, zrobiłbym jej huśtawkę. Chcesz, żebym ci zrobił huśtawkę?

Agnieszka mówi:

– Już mam jedną w domu. Ale wolę huścić się na czymś innym. To bardziej zabawne.

Podskakuje, chwytając grubą gałąź czereśni i buja się ze śmiechem.

Lucas pyta:

– Nigdy nie jesteś smutna?

– Nie, bo zawsze coś mnie pociesza.

Zeskakuje na ziemię.

– Musisz szybko iść do księdza proboszcza. Ciocia mówiła mi wczoraj i przedwczoraj, i jeszcze wcześniej, ale ciągle zapominałam. Nakrzyczy na mnie.

Lucas mówi:

– Nie martw się. Pójdę dziś wieczorem.

– Dobrze, w takim razie wracam.

– Zostań jeszcze trochę. Chciałabyś posłuchać muzyki?

– Jakiej muzyki?

– Zobaczysz. Chodź.

Lucas bierze dziewczynkę na rękę, wchodzi do sypialni i sadza pośrodku dużego łóżka, nastawia płytę na starym gramofonie. Siada na podłodze obok łóżka i, podpierając rękoma głowę, słucha.

Agnieszka pyta:

– Płaczesz?

Lucas zaprzecza ruchem głowy.

Dziewczynka mówi:

– Boję się. Nie podoba mi się ta muzyka.

Lucas chwytając nogę dziewczynki; ścisną ją. Dziecko krzyczy:

– Boli! Puść mnie!

Lucas zwalnia uścisk ręki.

Kiedy płyta się kończy; Lucas wstaje; żeby przełożyć ją na drugą stronę. Dziewczynki już nie ma. Lucas słucha płyt do zachodu słońca.

Wieczorem Lucas przygotowuje koszyk z warzywami; ziemniakami; jajkami; serem. Zabija kurę; skubie ją i patroszy; bierze także mleko i butelkę wina.

Dzwoni do drzwi plebanii; nikt nie otwiera. Wchodzi przez otwarte drzwi dla służby, stawia koszyk w kuchni. Puka do pokoju, wchodzi.

Proboszcz, wysoki i szczupły starzec, siedzi przy biurku. Gra samotnie w szachy przy blasku świecy.

Lucas przyciąga krzesło bliżej biurka, siada naprzeciw starego człowieka, mówi:

– Niech mi ksiądz wybaczy.

Proboszcz mówi:

– Zwrócę ci z czasem wszystko, co jestem winien.

Lucas pyta:

– Od jak dawna nie przychodziłem?

– Od początku lata. Nie pamiętasz?

– Nie. Kto księdza żywił w tym czasie?

– Leonia przynosiła mi codziennie trochę zupy. Ale od kilku dni jest chora.

Lucas mówi:

– Przepraszam księdza.

– Przepraszasz? Dlaczego? Nie płaciłem ci od wielu miesięcy. Nie mam już pieniędzy. Kościół został odłączony od państwa. Nie jestem już wynagradzany za pracę. Muszę żyć z ofiar moich wiernych. Ale ludzie boją się przychodzić do kościoła. Na nabożeństwach widać tylko kilka ubogich staruszek.

Lucas mówi:

– Nie pieniądze były przyczyną mojej nieobecności. To coś jeszcze gorszego.

– Jak to gorszego?

Lucas opuszcza głowę.

– Zupełnie o księdzu zapomniałem. Zapomniałem także o ogródku, targu, mleku, serze. Zapomniałem nawet o jedzeniu. Przez kilka miesięcy spałem na strychu, bałem się wejść do swego pokoju. Dopiero dzisiaj; kiedy przyszła Agnieszka, siostrzenica Leonii; odważyłem się tam wejść. Dziewczynka przypomniała mi także o moim obowiązku względem księdza.

– Nie masz żadnego obowiązku; nie zaciągnąłeś względem mnie żadnego zobowiązania. Sprzedajesz towar i żyjesz z tej sprzedaży. Ponieważ nie mogę już płacić; to normalne; że niczego nie przynosisz.

– Powtarzam księdzu; że to nie z powodu pieniędzy. Proszę mnie zrozumieć.

– Wytlumacz; o co chodzi. Słucham.

– Nie wiem; jak dalej żyć.

Proboszcz wstaje; ujmuje twarz Lucasa w dłoń.

– Co się stało; moje dziecko?

Lucas potrząsa głową:

– Nie mogę nic więcej powiedzieć. To tak jak choroba.

– Rozumiem. Rodzaj choroby duszy; związanej z dorastaniem i spowodowanej być może zbyt wielką samotnością.

Lucas mówi:

– Być może. Przygotuję posiłek i zjemy razem. Ja też od dawna niczego nie jadłem. Kiedy

próbuję jeść; wymiotuję. Może przy księdzu uda mi się coś przełknąć.

Idzie do kuchni; rozpala ogień; gotuje kurę z jarzynami. Nakrywa do stołu; otwiera butelkę wina.

Proboszcz wchodzi do kuchni.

– Lucasio, powtarzam raz jeszcze, nie mam już czym płacić.

– Mimo wszystko musi ksiądz jeść.

– Tak, ale nie potrzebuję takiej uczt. Wystarczyłoby mi trochę ziemniaków albo kukurydzy.

Lucas mówi:

– Będzie ksiądz jadł to, co przyniosę, i nie mówmy więcej o pieniądzech.

– Nie mogę się na to zgodzić.

– Łatwiej jest dawać niż przyjmować, prawda? Duma jest grzechem, ojcze.

Jedzą w milczeniu. Piją wino. Lucas nie wymiotuje. Po posiłku zmywa naczynia. Proboszcz wraca do swojego pokoju. Lucas przychodzi do niego.

– Muszę teraz iść.

– Dokąd?

– Chodzę po ulicach.

– Mógłbym nauczyć się grać w szachy.

Lucas mówi:

– Chyba mnie to nie zainteresuje. To skomplikowana gra, wymaga dużej koncentracji.

– Spróbujmy.

Proboszcz wyjaśnia zasady gry. Grają jedną partię. Lucas wygrywa. Proboszcz pyta:

– Gdzie nauczyłeś się grać w szachy?

– Z książek. Ale pierwszy raz gram tak naprawdę.

– Przyjedziesz jeszcze zagrać ze mną?

Lucas przychodzi co wieczór. Ksiądz proboszcz robi postępy, partie stają się coraz bardziej interesujące, chociaż tym, kto zawsze wygrywa, jest Lucas...

Lucas znowu śpi w swoim pokoju na dużym łóżku. Nie zapomina już o dniu targowym, nie marnuje mleka. Zajmuje się stworzeniem, ogrodem, gospodarstwem. Zbiera w lesie grzyby i suche drewno. Zaczyna znowu łowić ryby.

W dzieciństwie Lucas łapał ryby ręką albo łowił je na wędkę. Teraz wymyślił system, dzięki któremu ryby zmieniają kierunek swojej wędrówki i wpadają do zbiornika, skąd nie mogą się wydostać. Lucas zbiera je tylko do sieci, kiedy potrzebuje świeżych ryb.

Wieczorami Lucas jada z księdzem proboszczem, gra z nim jedną lub dwie partie szachów, potem chodzi po ulicach miasta.

Pewnej nocy wstępuje do pierwszej knajpy, którą napotyka po drodze. Kiedyś, w czasie wojny, była to zupełnie przyzwoita kawiarnia. Teraz jest ponurym, prawie zupełnie opustoszałym miejscem.

Brzydka, zmęczona kelnerka krzyczy od baru:

– Ile?

– Trzy.

Lucas siada przy stole zaplamionym czerwonym winem, obsypanym popiołem z papierosów. Kelnerka przynosi mu szklanek miejscowego czerwonego wina. Od razu inkasuje pieniądze.

Po wypiciu Lucas wstaje i wychodzi. Idzie dalej, na Plac Główny. Zatrzymuje się przed księgarnią, która jest jednocześnie sklepem papierniczym, długo ogląda wystawę: szkolne zeszyty, ołówki, gumki i kilka książek.

Lucas wchodzi do baru naprzeciwko.

Ludzi trochę więcej, ale jeszcze bardziej brudno niż w tamtym barze. Podłoga posypana jest trocinami.

Lucas siada w pobliżu otwartych drzwi – tylko tam można złapać trochę świeżego powietrza.

Przy długim stole siedzi grupa strażników granicznych. Są z nimi dziewczęta. Śpiewają.

Jakiś staruszek w łachmanach przysiadł się do stołu Lucasa.

– Może byś coś zagrał?

Lucas woła:

– Pół litra i dwa kieliszki!

Starzec mówi:

– Nie chcę, żebyś mi fundował, tylko, żebyś zagrał. Jak dawniej.

– Nie mogę już grać jak dawniej.

– Rozumiem. Ale jednak zagraj. Zrobisz mi przyjemność.

Lucas nalewa wina.

– Pij.

Wyjmuje z kieszeni organki i zaczyna grać smutną piosenkę o miłości i rozstaniu.

Strażnicy i dziewczęta podchwytyją melodię.

Jedna z dziewcząt siada obok Lucasa, głaszcze jego włosy.

– Spójrzcie, jaki on śliczniutki.

Lucas przestaje grać, podnosi się.

Dziewczyna śmieje się:

– Co za dzikus!

Na dworze pada, Lucas wchodzi do trzeciego baru, zamawia jeszcze trzy kolejki. Gdy zaczyna grać, w jego stronę zwraca się kilka twarzy, które zaraz potem znowu pochylają się nad kieliszkami. Tutaj ludzie piją w milczeniu.

Nagle wysoki, silnie zbudowany mężczyzna bez nogi staje na środku sali w świetle samotnie wiszącej nagiej żarówki i, opierając się na kulach, intonuje zakazaną pieśń.

Lucas przygrywa mu na organkach.

Pozostali klienci dopijają w pośpiechu swoje wino i jedni po drugich wymykają się z baru.

Po twarzy mężczyzny płyną łzy przy dwóch końcowych zwrotkach pieśni:

Och, ten lud odkupił już

Przeszłość swą i przyszłe dni.

Następnego dnia Lucas idzie do księgarni. Wybiera trzy ołówki, paczkę papieru w kratkę i gruby zeszyt. Gdy podchodzi do kasy, otyły i blady księgarz powiada:

– Dawno ciebie nie widziałem. Wyjeżdżałeś?

– Nie, po prostu byłem bardzo zajęty.

– Zużywasz niesamowite ilości papieru. Czasami zastanawiam się, co z nim robisz.

Lucas mówi:

– Lubię mazać ołówkiem po białych kartkach. To dla mnie rozrywka.

– Pewnie masz już tego całe stosy.

– Dużo się marnuje. Pomazanych kartek używam do rozpalenia w piecu.

Księgarz mówi:

– Niestety, nie mam już takich wiernych klientów. Interes źle prosperuje. Przed wojną szło o wiele lepiej. Było tu dużo szkół. Szkoły wyższe, internaty, gimnazja. Wieczorami studenci spacerowali po ulicach, bawili się. Było także konserwatorium, co tydzień odbywały się koncerty

i przedstawienia teatralne. Popatrz teraz na ulice. Widać tylko dzieci i starców. Kilku robotników, kilku właścicieli winnic. W tym mieście nie ma już młodzieży. Wszystkie szkoły, oprócz podstawowej, zostały przeniesione w głąb kraju. Młodzi, nawet ci, którzy nie studiują, wyprowadzają się gdzie indziej, do miast tętniących życiem. Nasze miasto umarło, opustoszało. Strefa nadgraniczna, izolacja, zapomnienie. Znasz z widzenia wszystkich mieszkańców miasta. Zawsze te same twarze. Żaden obcy nie ma tu wstępu.

Lucas mówi:

– A strażnicy graniczni? Są młodzi.

– Tak, biedacy. Zamknięci w koszarach, patrolują miasto nocami. Zmienia się ich co pół roku, żeby nie mogli zżyć się z ludnością. W tym mieście jest dziesięć tysięcy mieszkańców oraz trzy tysiące obcych żołnierzy i dwa tysiące naszych strażników granicznych. Przed wojną mieliśmy pięć tysięcy studentów, a latem gościliśmy wielu turystów. Przyjeżdżali zarówno z kraju, jak i z zagranicy.

Lucas pyta.

– Granica była otwarta?

– Oczywiście. Chłopi z tamtej strony sprzedawali u nas towar, nasi studenci chodzili do nich na zabawy. Pociąg jeździł dalej do następnego dużego miasta w sąsiednim kraju. Teraz końcowa stacja jest w naszym mieście. Wysiadać, dokumenty proszę!

Lucas pyta:

– Można było swobodnie podróżować? Można było jeździć za granicę?

– Naturalnie. Ty tego nie pamiętasz. Teraz zdążysz zrobić krok, a już pytają cię o dowód osobisty i o specjalne zezwolenie na pobyt w strefie nadgranicznej.

– A jeśli ktoś go nie ma?

– Lepiej mieć.

– Ja nie mam.

– Ile masz lat?

– Piętnaście.

– Powinieneś mieć. Nawet dzieci mają legitymację szkolną. A jeśli będziesz chciał wyjechać z miasta, jak potem tu wrócisz?

– Nigdy nie wyjeżdżam z miasta.

– Nigdy? Nawet, gdy potrzebujesz kupić coś w sąsiednim mieście, czego u nas nie ma?

– Nie. Nie opuściłem miasta od chwili, gdy matka przywiozła mnie tutaj sześć lat temu.

Księgarz mówi:

– Jeśli nie chcesz mieć kłopotów, załatw sobie dowód osobisty. Idź do urzędu i wyjaśnij swój przypadek. Gdybyś miał jakieś trudności, poproś Piotra N. Powiedz, że przysłała cię Wiktor. Piotr pochodzi z tego samego miasta co ja. Z północy. Zajmuje ważne stanowisko w Partii.

Lucas mówi:

– To miło z pana strony. Ale dlaczego miałbym mieć trudności z wyrobieniem dowodu osobistego?

– Nigdy nic nie wiadomo.

Lucas wchodzi do dużego budynku stojącego w pobliżu zamku. Od frontu powiewają flagi. Liczne czarne tablice z połączanymi literami informują o biurach:

„Biuro Polityczne Partii Rewolucyjnej”

„Sekretariat Partii Rewolucyjnej”

„Towarzystwo Młodzieży Rewolucyjnej”

„Towarzystwo Kobiet Rewolucjonistek”

„Federacja Związków Rewolucyjnych”

Z drugiej strony drzwi zwykła, szara tablica z czerwonymi literami:

„Ewidencja ludności – pierwsze piętro”

Lucas wchodzi na piętro, puka do matowego okienka, nad którym jest umieszczony napis:
„Dowody osobiste”.

Mężczyzna w szarej bluzie odsuwa szybę i bez słowa spogląda na Lucasa.

Lucas mówi:

– Dzień dobry panu. Chciałbym wyrobić sobie dowód osobisty.

– Chcesz powiedzieć, przedłużyć, bo jest już nieważny?

– Nie, proszę pana. Nie mam dowodu osobistego. Nigdy nie miałem. Powiedziano mi, że powinienem go mieć.

Urzędnik pyta:

– Ile masz lat?

– Piętnaście.

– W takim razie rzeczywiście powinien go mieć. Daj mi legitymację szkolną.

Lucas mówi:

– Nie mam legitymacji. Żadnej.

Urzędnik mówi:

– To niemożliwe. Jeśli chodzisz jeszcze do szkoły podstawowej, masz legitymację szkolną; jeśli jesteś studentem, masz legitymację studencką; jeśli uczysz się zawodu, również masz legitymację ucznia.

Lucas mówi:

– Bardzo mi przykro. Nie mam ani jednej, ani drugiej. Nigdy nie chodziłem do szkoły.

– Jak to? Szkoła jest obowiązkowa do czternastu lat.

– Zostałem zwolniony z nauki z powodu przebytego urazu.

– A teraz? Co teraz robisz?

– Żyję z uprawy ogródka. Wieczorami gram w barach.

Urzędnik mówi:

– Ach, to ty. Lucas T., to twoje nazwisko?

– Tak.

– Z kim mieszkasz?

– Mieszkam sam w domu babki przy granicy. Babka umarła w zeszłym roku.

Urzędnik drapie się po głowie.

– Posłuchaj, twój przypadek jest wyjątkowy. Muszę się kogoś poradzić. Nie mogę sam zdecydować. Przyjdź za kilka dni.

Lucas mówi:

– Być może Piotr N. mógłby to załatwić.

– Piotr N.? Pierwszy sekretarz? Znasz go?

Podnosi słuchawkę.

Lucas mówi:

– Przychodzę z polecenia pana Wiktora.

Urzędnik rozłącza się, wychodzi z biura.

– Chodź. Zejdziemy piętro niżej.

Puka do drzwi, na których jest napisane: „Sekretariat Partii Rewolucyjnej”. Wchodzą. Za biurkiem siedzi młody mężczyzna. Urzędnik podaje mu nie wypełniony dokument.

– Chodzi o dowód osobisty.

– Zajmę się tym. Zostawcie nas.

Urzędnik wychodzi, młody mężczyzna wstaje i wyciąga rękę do Lucasa:

– Dzień dobry, Lucasie.

– Pan mnie zna?

– Wszyscy w mieście cię znają. Jestem szczęśliwy, że mogę ci oddać przysługę. Wypełnijmy ten dokument. Nazwisko, imię, adres, data urodzenia. Masz tylko piętnaście lat? Jesteś wysoki jak na swój wiek. Zawód? Mam wpisać „muzyk”?

Lucas mówi:

– Uprawiam także ogródek.

– W takim razie wpiszemy „ogrodnik”, to wygląda bardziej poważnie. W porządku, włosy kasztanowe, oczy szare... Przynależność polityczna?

Lucas mówi:

– Niech pan to wykreśli.

– Dobrze. A co mam wpisać tutaj: „Stosunek do władzy”?

– „Idiota”, jeśli pan może. Miałem uraz, nie jestem całkiem normalny.

Młody mężczyzna śmieje się.

– Nie całkiem normalny? Kto by w to uwierzył? Ale masz rację. Taki zapis pozwoli ci uniknąć wielu kłopotów. Na przykład służby wojskowej. Wpisuję: „Przewlekłe zaburzenia psychiczne”. Czy to ci odpowiada?

Lucas mówi:

– Tak, proszę pana. Dziękuję, proszę pana.

– Mów do mnie, Piotrze.

Lucas mówi:

– Dziękuję, Piotrze.

Piotr zbliża się do Lucasa, podaje dokument. Drugą ręką gładzi delikatnie jego twarz. Lucas zamyka oczy. Piotr całuje go długo w usta trzymając głowę Lucasa w dłoniach. Jeszcze przez chwilę patrzy na jego twarz, potem wraca za biurko.

– Wybacz, Lucasie, twoja uroda zrobiła na mnie wrażenie. Muszę uważać. Takich rzeczy partia nie wybacza.

Lucas mówi:

– Nikt się o niczym nie dowie.

Piotr mówi:

– Takich skłonności nie można ukrywać przez całe życie. Nie zostanę długo na tym stanowisku. Jestem tutaj dlatego, że zdezerterowałem, poddałem się i wróciłem ze zwycięską armią naszych Wyzwolicieli. Byłem jeszcze studentem, gdy wysłano mnie na wojnę.

Lucas mówi:

– Powinieneś ożenić się lub przynajmniej wziąć kochankę, żeby oddalić podejrzenia. Mógłbyś z łatwością zdobyć kobietę. Jesteś przystojny, męski. I jesteś smutny. Kobiety lubią smutnych mężczyzn. A poza tym masz dobrą pozycję.

Piotr śmieje się:

– Nie mam najmniejszego zamiaru zdobywać kobiety.

Lucas mówi:

– Może jednak są takie kobiety, które można by w pewien sposób pokochać.

– Lucasie, dużo wiesz jak na swój wiek!

– Nic nie wiem, domyślam się tylko.

Piotr mówi:

– Gdybyś czegokolwiek potrzebował, przyjdź do mnie.

Ostatni dzień roku. Przenikający chłód od północy zmroził ziemię.

Lucas schodzi nad rzekę. Zaniesie księdzu proboszczowi rybę na wieczór sylwestrowy.

Już zapadł zmrok. Lucas wziął ze sobą lampę osłoniętą kloszem od wiatru i kilof. Gdy zaczyna kuć lód pokrywający zbiornik, słyszy płacz dziecka. Kieruje tam światło swojej lampy.

Jakaś kobieta siedzi na mostku zbudowanym przez Lucasa przed wielu laty. Jest owinięta w koc, patrzy na rzekę, po której płyną grudy śniegu i kra. Spod koca dobiega płacz dziecka.

Lucas zbliża się, pyta kobietę:

– Kim jesteś? Co tutaj robisz?

Cisza. Wielkie czarne oczy kobiety nieruchomieją w świetle lampy.

Lucas mówi:

– Chodź.

Obejmuje ją prawym ramieniem i oświetlając drogę prowadzi w kierunku domu. Dziecko wciąż płacze.

W kuchni jest ciepło. Kobieta siada, odsłania pierś i karmi niemowlę.

Lucas odwraca się, podgrzewa resztkę zupy jarzynowej.

Dziecko śpi na kolanach matki. Matka patrzy na Lucasa.

– Chciałam go utopić. Ale nie mogłam.

Lucas pyta:

– Chcesz, żebym ja to zrobił?

– Mógłbyś?

– Topiłem myszy, koty, szczenięta.

– Dziecko to nie to samo.

– Chcesz, żebym je utopił czy nie?

– Nie, już nie chcę. Za późno.

Po chwili Lucas mówi:

– Jest tutaj wolny pokój. Możesz w nim spać razem z dzieckiem.

Kobieta wznosi czarne oczy na Lucasa:

– Dziękuję ci. Nazywam się Jasmina.

Lucas otwiera drzwi do pokoju Babki.

– Połóż dziecko na łóżku. Zostawmy otwarte drzwi, żeby ogrzać pokój. Po kolacji pójdziesz tam spać.

Jasmina kładzie dziecko i wraca do kuchni.

Lucas pyta:

– Głodna jesteś?

– Nie jadłam od wczorajszego wieczoru.

Lucas nalewa zupę do miski.

– Zjedz i idź spać. Jutro porozmawiamy, teraz muszę wyjść.

Wraca nad rzekę, łowi w sieć dwie ryby ze zbiornika i idzie na plebanię.

Jak zwykle przygotowuje posiłek i spożywa go z proboszczem. Rozgrywają partię szachów. Po raz pierwszy Lucas przegrywa.

Ksiądz proboszcz jest zły.

– Lucacie, jesteś dzisiaj taki roztargniony! Popełniasz elementarne błędy. Skup się i zacznijmy

od nowa.

Lucas mówi:

- Jestem zmęczony. Muszę wracać.
- Znowu będziesz się włóczył po knajpach.
- Ksiądz ma dobre informacje.

Proboszcz uśmiecha się.

– Spotykam się z wieloma starymi kobietami. Opowiadają mi o wszystkim, co dzieje się w mieście. Nie rób takiej miny! Idź, baw się dobrze. To wieczór sylwestrowy.

Lucas wstaje.

- Życzę księdzu szczęśliwego Nowego Roku.

Proboszcz także wstaje, kładzie dłoń na głowę Lucasa:

- Niech cię Bóg błogosławi. Niech ci ześle spokój ducha.

Lucas mówi:

- Nigdy nie zaznam wewnętrznego spokoju.
- Trzeba się modlić i mieć nadzieję, dzieciно.

Lucas idzie ulicą. Nie zwalnia kroku obok hałaśliwych barów, przyspiesza nawet i zaczyna biec po wąskiej nie oświetlonej drodze prowadzącej do domu Babki.

Otwiera drzwi. Jasmina jeszcze siedzi na narożnej ławie. Uchyliła drzwiczki piecyka i patrzy na ogień. Miska z wystygłą zupą stoi na stole.

Lucas siada naprzeciw Jasminy.

- Nie zjadłaś.
- Nie chce mi się jeść. Jestem jeszcze przemarznięta.

Lucas bierze z półki butelkę wódki, nalewa dwa kieliszki.

- Pij. To cię rozgrzeje od środka.

Lucas pije, Jasmina także. Jeszcze raz nalewa. Piją w milczeniu. Słuchają, jak z dala biją dzwony.

Lucas mówi:

- To północ. Zaczyna się nowy rok.

Jasmina opuszcza głowę na stół, płacze.

Lucas wstaje, zsuwa koc, okrywający ramiona Jasminy. Pieści czarne włosy, długie, błyszczące. Pieści także piersi nabrzmiałe od mleka. Odpina bluzkę, pochyla się, pije mleko.

Nazajutrz Lucas wchodzi do kuchni. Jasmina siedzi na ławce, trzyma dziecko na kolanach.

- Chciałabym jeszcze wykapać dziecko – mówi. – Potem odejdę.
- Dokąd pójdziesz?
- Nie wiem. Nie mogę zostać w tym mieście po tym, co się stało.

Lucas pyta:

– Co się stało? Chodzi o dziecko? W mieście jest wiele panien z dziećmi. Czy rodzice wyrzekli się ciebie?

– Nie mam rodziców. Matka umarła wydając mnie na świat. Mieszkałam z ojcem i ciotką, siostrą matki. Ciotka mnie wychowała. Gdy ojciec wrócił z wojny, ożenił się z nią. Ale jej nie kochał. Kochał tylko mnie.

Lucas mówi:

- Rozumiem.

– Właśnie. Kiedy ciotka dowiedziała się o wszystkim, doniosła na nas. Teraz ojciec siedzi w więzieniu. Ja do porodu pracowałam w szpitalu jako sprzątaczką. Po wyjściu ze szpitala poszłam do domu. Ciotka nie wpuściła mnie. Zwymyślała mnie przez zamknięte drzwi.

Lucas mówi:

- Znam tę historię. Słyszałem o niej w knajpach.
- Tak, wszyscy o tym mówią. To małe miasto. Nie mogę tutaj pozostać. Chciałam utopić dziecko, a potem przejść przez granicę.
- Nie przeszlabyś przez granicę. Wpadłabyś na minę.
- Wszystko mi jedno czy umrę.
- Ile masz lat?
- Osiemnaście.
- Za nudo, żeby umierać. Gdzie indziej możesz zacząć nowe życie. W innym mieście, kiedyś, gdy twoje dziecko będzie większe. Na razie możesz tu zostać, jak długo zechcesz.
- A ludzie w mieście! – mówi dziewczyna.
- W końcu ucichną plotki. Ludzie przestaną gadać. Nie musisz się z nimi spotykać. Tutaj nie jesteśmy w mieście, jesteśmy u mnie.
- Przygarnąłbyś mnie do siebie z dzieckiem?
- Możesz mieszkać w tym pokoju, możesz przychodzić do kuchni, ale nie wolno ci nigdy wchodzić do mojego pokoju ani na strych. Nie wolno ci także o nic pytać.

Jasmina mówi:

- Nie będę zadawać pytań ani ci przeszkadzać. Postaram się, aby dziecko też ci nie przeszkadzało. Będę gotować i sprzątać. Umieję wszystko zrobić. Zajmowałam się domem, bo ciotka pracuje w fabryce.

Lucas mówi:

- Woda się gotuje. Możesz przygotować kąpiel.

Jasmina stawia miskę na stole, odwija pieluszki i rozbiera dziecko. Lucas nagrzewa ręcznik nad kuchnią. Jasmina kąpie dziecko, Lucas przygląda się.

Mówi:

- Ma zniekształcone ramiona.

– Tak. Nogi także. Powiedziano mi o tym w szpitalu. To moja wina. Uciskałam brzuch gorsetem, żeby ukryć dążę. Będzie kaleką. Gdybym chociaż miała odwagę je utopić.

Lucas bierze w ramiona otulone ręcznikiem dziecko, patrzy na nieregularne rysy drobnej twarzyczki.

- Nie wspominaj już o tym, Jasmino.

- Będzie nieszczęśliwy – mówi dziewczyna.

– Ty także jesteś nieszczęśliwa, a przecież nie jesteś kaleką. Może nie będzie bardziej nieszczęśliwy od ciebie czy od kogokolwiek.

Jasmina bierze na ręce dziecko, jej oczy są pełne łez:

- Lucasie, jesteś bardzo miły.

- Wiesz, jak się nazywam?

- Wszyscy w mieście cię znają. Mówią, że jesteś pomyłony, ale ja w to nie wierzę.

Lucas wychodzi. Wraca z deskami.

- Zrobię mu kołyskę.

Jasmina pierze, przygotowuje posiłek. Gdy kołyska jest gotowa, kładą do niej dziecko, kołyszają je.

Lucas pyta:

- Jak się nazywa? Wybrałaś dla niego imię?

– Tak. W szpitalu pytają o imię dziecka, żeby zgłosić je do urzędu. Nazwałam go Mathias. To imię mojego ojca. Nic innego nie przyszło mi do głowy.

- Tak bardzo go kochałaś?

- Miałam tylko jego.

Wieczorem Lucas wraca z plebanii omijając bary. W kuchni pali się jeszcze ogień. Spoza nie domkniętych drzwi Lucas słyszy cichy śpiew Jasminy. Wchodzi do pokoju Babki. Ubrana w koszulę Jasmina kołysze dziecko przy oknie. Lucas pyta:

- Dlaczego jeszcze nie śpisz?
- Czekałam na ciebie.
- Nie musisz na mnie czekać. Zazwyczaj wracam o wiele później.

Jasmina uśmiecha się.

- Wiem. Grasz w barach.

Lucas podchodzi bliżej, pyta:

- Śpi?
- Od dawna. Ale lubię go kołysać.

Lucas mówi:

- Chodź do kuchni. Tutaj możemy go obudzić.

Siedzą w kuchni twarzą w twarz i bez słowa piją wódkę. Później Lucas pyta:

- Kiedy to się zaczęło między ojcem a tobą?
- Od razu. Gdy tylko wrócił.
- Ile miałaś lat?
- Dwanaście.
- Zgwałcił cię?

Jasmina śmieje się.

– Och, nie! Nie zgwałcił mnie. Po prostu kładł się obok, przyciskał mnie do siebie, całował, pieścił, płakał.

- Gdzie była wtedy ciotka?

– Pracowała w fabryce na zmiany. Kiedy szła na noc, ojciec spał ze mną w moim łóżku. To było wąskie łóżko stojące w ciemnej wnęce. Byliśmy szczęśliwi w tym łóżku we dwoje.

Lucas dolewa wódki.

- Mów dalej – prosi.

– Byłam coraz starsza. Ojciec pieścił moje piersi, mówił: „Wkrótce będziesz kobietą, odejdziesz z jakimś chłopcem”. Odpowiadałam: „Nie, nigdy nie odejdę”. Pewnej nocy ujęłam we śnie jego rękę, położyłam ją między nogi. Nacisnęłam na jego palce i po raz pierwszy doznałam rozkoszy. Następnego wieczoru poprosiłam, żeby jeszcze raz sprawił mi tę nieskończenie błogą rozkosz. Płakał, mówił, że tak nie można, że to źle, ale nalegałam, błagałam go. Wtedy pochylił się nad moim łonem, lizał je, ssał, całował, a ja doznałam jeszcze większej rozkoszy niż poprzedniego dnia.

Pewnego wieczoru położył się na mnie i włożył członek między moje uda mówiąc: „Ściskaj nogi, ściskaj bardzo mocno, nie pozwól mi wejść, nie chcę cię skrzywdzić”.

Kochaliśmy się w ten sposób przez wiele lat, lecz nadeszła noc, kiedy nie mogłam już dłużej się opierać. Tak bardzo go pragnęłam, rozchyliłam nogi, byłam zupełnie otwarta, wszedł we mnie.

Dziewczyna milknie, spogląda na Lucasa. Błyszczą jej wielkie czarne oczy, wydatne usta rozchylają się. Odpina koszulę, wydostaje pierś i pyta:

- Chcesz?

Lucas chwytając dziewczynę za włosy, ciągnie do pokoju, przewraca na łóżko Babki i bierze ją gryząc w kark.

W ciągu następnych dni Lucas odwiedza knajpy. Znowu chodzi po opustoszałych ulicach miasta.

Gdy wraca, idzie prosto do swojego pokoju.

Jednak pewnego wieczoru, pijany, otwiera drzwi do pokoju Babki. Kuchenne światło rozjaśnia izbę. Jasmina i dziecko śpią.

Lucas rozbiera się i wchodzi do łóżka Jasminy. Ciało Jasminy płonie, Lucas jest zimny jak lód. Jasmina zwrócona jest twarzą do ściany. Lucas przytula się do jej pleców, wkłada członek między uda.

Dziewczyna ściska uda, jęczy:

– Ojczy, och, ojczy!

Lucas mówi jej do ucha:

– Ściskaj. Ściskaj mocniej.

Dziewczyna broni się, ledwie łapie oddech. Lucas wnika w nią, ona krzyczy.

Zasłania ręką jej usta, naciąga pierzynę na głowę.

– Cicho bądź. Dziecko się obudzi!

Jasmina gryzie jego palce, ssie kciuk.

Gdy jest już po wszystkim, leżą razem kilka minut, potem Lucas wstaje.

Jasmina płacze.

Lucas idzie do swojego pokoju.

Jest lato. Wszędzie pełno dziecka. W pokoju Babki, w kuchni, w ogrodzie. Porusza się na czworakach.

Jest garbate, niekształtne. Ma zbyt chude nogi, za długie ręce, zdeformowane ciało.

Przyczołguje się także do pokoju Lucasa. Bębni piąstkami w drzwi, aż Lucas otworzy. Wspina się na duże łóżko.

Lucas nastawia płytę, dziecko buja się na łóżku.

Lucas nastawia inną płytę, dziecko chowa się pod kołdrę.

Lucas bierze kartkę papieru, rysuje na niej królika, kurę, świnkę. Dziecko śmieje się i całuje papier.

Lucas rysuje żyrafę i słonia, dziecko kręci głową i drze kartkę.

Lucas szykuje piaskownicę dla dziecka, kupuje łopatkę, konewkę i taczki.

Zawiesza huśtawkę, robi mu pojazd na kołach. Sadza dziecko do skrzyni, wozi je. Pokazuje mu ryby, wprowadza do klatki z królikami. Dziecko usiłuje głaskać króliki, ale one uciekają w przerażeniu na wszystkie strony.

Dziecko płacze.

Lucas idzie do miasta i kupuje pluszowego misia.

Dziecko patrzy na misia, bierze go, przemawia do niego, potrząsa nim, po czym rzuca Lucasowi pod nogi.

Jasmina podnosi misia, głaszcze go:

– Miś jest miły. To całkiem sympatyczny misiaczek.

Dziecko spogląda na matkę i zaczyna walić głową o podłogę w kuchni. Jasmina odkłada misia i bierze dziecko na ręce. Dziecko wrzeszczy, z całej siły bije matkę po głowie i kopie ją w brzuch. Jasmina puszcza je, dziecko chowa się pod stół i zostaje tam do wieczora.

Wieczorem Lucas przynosi małego kotka, któremu udało się ująć z życiem spod wideł Józefa. Zwierzątko stoi na podłodze w kuchni, miauczy i trzęsie się na całym ciele.

Jasmina stawia przed nim miskę mleka, kot nadal miauczy.

Jasmina wkłada kota do kołyski dziecka.

Dziecko wdrapuje się do kołyski, kładzie się obok kotka, przytula go do siebie. Kot broni się i drapie dziecko po twarzy i dłoniach.

Kilka dni później kot zjada wszystko, co mu się podaje, i śpi w kołysce w nogach dziecka.

Lucas prosi Józefa o pieska.

Pewnego dnia Józef przychodzi z czarnym szczeniakiem o długiej i poskręcanej sierści. Jasmina rozwiesza właśnie pranie w ogródku, dziecko śpi po obiedzie. Jasmina puka do drzwi Lucasa. Woła:

– Ktoś przyszedł!

Chowa się do pokoju Babki.

Lucas wychodzi do Józefa. Józef mówi:

– Przyniosłem psa, którego ci kiedyś obiecałem. To owczarek niziny. Będzie dobrym psem obronnym.

Lucas mówi:

– Dziękuję, Józefie. Niech pan wejdzie, wypijemy po szklaneczkę.

Wchodzą do kuchni, piją wino. Józef pyta:

– Nie chcesz mi przedstawić swojej żony?

Lucas mówi:

– Jasmina nie jest moją żoną. Nie wiedziała, co ze sobą zrobić, przygarnąłem ją.

Józef mówi:

– Całe miasto zna jej historię. To bardzo ładna dziewczyna. Ten pies ma być dla jej dziecka?

– Tak, dla jej dziecka.

Przed wyjściem Józef mówi jeszcze:

– Lucasie, jesteś za młody, żeby mieć na utrzymaniu żonę i dziecko. To duża odpowiedzialność.

Lucas mówi:

– To moja sprawa.

Po odejściu Józefa Jasmina wychodzi z pokoju Babki. Lucas trzyma na rękach pieska:

– Popatrz, co Józef przyniósł dla Mathiasa.

Jasmina mówi:

– Widział mnie. Czy coś mówił?

– Tak. Powiedział, że jesteś bardzo ładna. Jasmino, niepotrzebnie martwisz się o to, co ludzie mogą o nas pomyśleć. Powinnaś któregoś dnia pójść ze mną do miasta, aby kupić sobie jakieś ubrania. Od kiedy tu jesteś, nosisz ciągle tę samą sukienkę.

– Wystarczy mi ta sukienka. Nie chcę innej. Nie pójdę do miasta.

Lucas mówi:

– Chodźmy pokazać psa Mathiasowi.

Dziecko bawi się z kotem w kuchni pod stołem.

Jasmina mówi:

– Mati, to dla ciebie. Prezent.

Lucas siada z psem na narożnej ławie, dziecko wdrapuje mu się na kolana. Ogląda psa, odgarnia sierść kryjącą pyszczek. Pies liże twarz dziecka. Kot parska na psa i ucieka do ogrodu.

Jest coraz zimniej. Lucas mówi do Jasminy:

– Mathias potrzebuje ciepłych ubrań, ty także.

Jasmina mówi:

– Umieć robić na drutach. Przydałaby się wełna i druty.

Lucas kupuje koszyk motków i kilka par drutów różnych rozmiarów. Jasmina robi na drutach swetry, skarpety, szaliki, rękawiczki, czapki. Z reszty wełny wykonuje różnokolorowe kapy.

Lucas ją chwali.

Jasmina mówi:

- Umieć także szyć. W domu miałam po matce starą maszynę do szycia.
- Chcesz, żebym po nią poszedł?
- Miałbyś odwagę pójść do mojej ciotki?

Lucas wychodzi z taczkami. Puka do mieszkania ciotki Jasminy. Drzwi otwiera młoda jeszcze kobieta.

- Czego chcesz?
- Przyszedłem po maszynę Jasminy.

Kobieta mówi:

– Wejdz.

Lucas wchodzi do bardzo czystej kuchni. Ciotka Jasminy przygląda mu się.

– Ach, to ty. Biedny chłopaczyna. Jesteś jeszcze dzieckiem.

Lucas mówi:

- Mam siedemnaście lat.
- Jasmina wkrótce będzie miała dziewiętnaście. Jak się ona czuje?
- Dobrze.
- A dziecko?
- Też bardzo dobrze.

Po chwili ciszy kobieta mówi:

– Słyszałam, że dziecko urodziło się z wadami. To kara boska.

Lucas pyta:

– Gdzie jest maszyna do szycia?

Ciotka otwiera drzwi prowadzące do wąskiej ciemnej wnęki.

– Tutaj są wszystkie jej rzeczy. Zabierz je.

W kącie stoi maszyna do szycia i wiklinowy kufer. Lucas pyta:

- Nie było tutaj niczego więcej?
- Jej łóżko. Spaliłam je.

Lucas ładuje na taczki maszynę do szycia i kufer. Mówi:

- Dziękuję pani.
- Nie ma za co. Dobrze, że się tego pozbyłam.

Często pada. Jasmina szyje i robi na drutach. Dziecko już nie bawi się na dworze. Całe dnie spędza pod kuchennym stołem w towarzystwie psa i kota.

Dziecko mówi już kilka słów, ale jeszcze nie chodzi. Kiedy Lucas próbuje go postawić, mały broni się, ucieka na czworakach i chowa się pod stołem.

Lucas idzie do księgarni. Wybiera duże białe kartony, kredki i książki z obrazkami.

Wiktor pyta:

- Masz w domu jakieś dziecko?
- Tak. Ale nie moje.

Wiktor mówi:

– Jest tak wiele sierot. Piotr pytał, co u ciebie słyhać. Powinieneś iść do niego.

Lucas mówi:

- Jestem bardzo zajęty.
- Rozumiem. Dziecko. W twoim wieku.

Lucas wraca. Dziecko śpi na dywaniku pod kuchennym stołem. Jasmina szyje w pokoju Babki.

Lucas kładzie sprawunki koło dziecka. Wchodzi do pokoju, całuje Jasię w szyję. Jasmina odkłada szycie.

Dziecko rysuje. Rysuje psa i kota. Rysuje także inne zwierzęta. Rysuje drzewa, kwiaty, dom. Rysuje także matkę.

Lucas pyta Mathiasa:

– Dlaczego mnie nigdy nie narysujesz?

Dziecko kręci głową, chwytając książki i chowa się pod stół.

W wigilię Bożego Narodzenia Lucas ścina świerk w lesie. Kupuje kolorowe bombki i świece. Z pomocą Jasię ubiera choinkę w pokoju Babki. Pod drzewkiem leżą prezenty: materiały i para ciepłych butów dla Jasię, wełniany sweter dla Lucasa, książki i koń na biegunach dla Mathiasa.

Jasmina piecze kaczkę, gotuje ziemniaki, kapustę i fasolę. Ciastka są gotowe już od kilku dni.

Gdy pojawia się pierwsza gwiazda, Lucas zapala świece na choince. Jasmina wchodzi do pokoju niosąc Mathiasa na rękach.

Lucas mówi:

– Mathiasie, chodź po swoje prezenty. Dla ciebie są książki i koń na biegunach.

Dziecko mówi:

– Chcę konia.

Usiłuje dosiąść konia. Na próżno. Krzyczy:

– Koń jest za duży. To Lucas go zrobił. Lucas jest niedobry. Zrobił za dużego konia dla Mati.

Dziecko płacze i wali głową o podłogę. Lucas podnosi je, potrząsa nim.

– Koń nie jest za duży. To Mathias jest za mały, bo nie chce wstawać. Zawsze na czworakach jak zwierzę. Przecież ty nie jesteś zwierzęciem!

Chwytając brodę dziecka, aby zmusić je do spojrzenia w oczy. Mówi surowo:

– Nigdy nie będziesz chodził, jeśli tego nie zechcesz. Nigdy, rozumiesz?

Mathias wrzeszczy. Jasmina wrywa go Lucasowi.

– Daj mu spokój! Wkrótce będzie chodził.

Sadza dziecko na konia, buja.

Lucas mówi:

– Muszę wyjść. Połóż dziecko i poczekaj na mnie. Niedługo wrócę.

Idzie do kuchni, kroci upieczoną kaczkę na pół, wkłada ją do gorącego garnka, z boku układa warzywa i ziemniakami, zawija naczynie w ręcznik. Gdy przychodzi na plebanie, danie jest jeszcze ciepłe.

Po jedzeniu Lucas mówi:

– Przepraszam księdza, ale muszę wracać. Czekają na mnie.

Proboszcz mówi:

– Wiem, synu. Prawdę mówiąc zdziwiłem się, że przyszedłeś dziś wieczorem. Wiem, że żyjesz w grzechu z grzesznicą i owocem jej wyrodnej miłości. To dziecko nawet nie jest ochrzczone, chociaż nosi imię jednego z naszych świętych.

Lucas milczy, proboszcz mówi:

– Przyjdźcie we dwoje na pasterkę, przynajmniej w ten wieczór.

Lucas mówi:

– Nie możemy zostawić dziecka bez opieki.

– Więc przyjdź sam.

Lucas pyta:

– Dlaczego ksiądz tak do mnie mówi?

– Wybacz, Lucasie. Nerwy mnie poniosły. To dlatego, że traktuję cię jak własnego syna i

martwię się o twoją duszę.

Lucas odpowiada:

– Niech ksiądz nadal mnie tak traktuje. To dla mnie przyjemność. Ale przecież ksiądz dobrze wie, że nigdy nie chodzę do kościoła.

Lucas wraca. W domu Babki pogaszone są wszystkie światła. Kot i pies śpią w kuchni, połowa pieczonej kaczki leży nietknięta na stole.

Lucas chce wejść do pokoju. Drzwi są zamknięte na klucz. Puka, Jasmina nie odpowiada.

Lucas idzie do miasto. Za oknami palą się świeczki choinkowe. Bary są pozamykane. Lucas długo błąka się po ulicach, potem wchodzi do kościoła. Duży kościół jest zimny, prawie pusty. Lucas opiera się o ścianę w pobliżu drzwi. Daleko od niego, w drugim końcu przy ołtarzu, ksiądz proboszcz odprawia pasterkę.

Czyjaś ręka dotyka ramienia. Piotr mówi:

– Chodź, Lucasie. Wyjdziemy.

Na dworze pyta:

– Co tam robiłeś?

– A ty, Piotrze?

– Szedłem za tobą. Wychodziłem właśnie od Wiktora, kiedy cię zauważyłem.

Lucas mówi:

– Czuję się zagubiony, kiedy bary są zamknięte.

– Ja zawsze czuję się tutaj zagubiony. Chodź do mnie, żeby się rozgrzać przed powrotem do domu.

Piotr mieszka w ładnym budynku przy Placu Głównym. W jego pokoju stoją głębokie fotele, półki z książkami zasłaniają ściany, jest gorąco. Piotr stawia na stole wódkę.

– W tym mieście nie mam żadnego przyjaciela oprócz Wiktora, który jest miły i wykształcony, ale dość nudny. Bez przerwy narzeka.

Lucas zasypia. Kiedy budzi się o świcie, Piotr wciąż siedzi naprzeciwko i patrzy na niego.

Następnego lata dziecko zaczyna wstawać. Przywiera do grzbietu psa i krzyczy:

– Lucas! Popatrz! Popatrz!

Przybiega Lucas. Dziecko mówi:

– Mati jest większy od psa. Mati stoi.

Pies odskakuje, dziecko przewraca się. Lucas bierze je na ręce, unosi nad głowę, mówi:

– Mathias jest większy od Lucasa!

Dziecko śmieje się. Następnego dnia Lucas kupuje chłopcu rower na trzech kółkach.

Jasmina mówi do Lucasa:

– Za dużo wydajesz na zabawki.

Lucas mówi:

– Na rowerze będzie mógł lepiej ćwiczyć nogi.

Jesienią dziecko już pewnie chodzi, ale wyraźnie kuleje.

Pewnego ranka Lucas mówi do Jasminy:

– Wykap po obiedzie dziecko i ubierz je czysto. Idę z nim do lekarza.

– Do lekarza? Dlaczego?

– Nie widzisz, że kuleje?

Jasmina odpowiada:

– To cud, że w ogóle chodzi.

Lucas mówi:

– Chcę, żeby chodził tak jak wszyscy.

Oczy Jasminy napełniają się łzami.

– Dla mnie może być taki, jaki jest.

Kiedy dziecko jest umyte i ubrane, Lucas bierze je za rękę.

– Mathiasie, pójdziemy na długi spacer. Gdy się zmęczysz, będę cię niósł.

Jasmina pyta:

– Będziesz szedł z nim przez całe miasto aż do szpitala?

– A dlaczego nie?

– Ludzie będą na was patrzeć. Możecie spotkać ciotkę.

Lucas nie odpowiada.

Jasmina mówi jeszcze:

– Jeśli będą chcieli go zatrzymać, nie zostawisz go, prawda, Lucasie?

Lucas mówi:

– Też pytanie!

Po powrocie ze szpitala Lucas mówi tylko:

– Miałaś rację, Jasmino.

Zamyka się w pokoju, słucha płyt i nie otwiera, kiedy dziecko bębni piąstkami w drzwi.

Wieczorem, gdy Jasmina kładzie dziecko spać, Lucas wchodzi do pokoju Babki. Jak co wieczór siada obok kołyski i opowiada bajkę Mathiasowi. Potem mówi:

– Wkrótce twoja kołyska będzie za mała. Będę musiał zrobić ci łóżko.

Dziecko mówi:

– Zostawimy kołyskę dla psa i kota.

– Dobrze, zostawimy kołyskę. Zrobię ci także półkę na te książki, które już masz, i na inne, które ci kupię.

Dziecko mówi:

– Opowiedz jeszcze jedną bajkę.

– Muszę iść do pracy.

– W nocy się nie pracuje.

– Na mnie zawsze czeka praca. Muszę zarobić dużo pieniędzy.

– Po co są pieniądze?

– Po to, żeby kupić wszystko, co potrzebne dla nas trojga.

– Ubrania i buty?

– Tak. A także zabawki, książki i płyty.

– Zabawki i książki. To dobrze. Idź do pracy.

Lucas mówi:

– A ty idź spać, żebyś urosł.

Dziecko mówi:

– Wiesz dobrze, że nie urosnę. Lekarz tak powiedział.

– Źle go zrozumiałeś, Mathiasie. Urośniesz. Wolniej niż inne dzieci, ale urośniesz.

Dziecko pyta:

– Dlaczego wolniej?

– Dlatego, że ludzie są różni. Będziesz mniejszy od innych, ale za to mądrzejszy. Wzrost nie ma znaczenia. Liczy się tylko rozum.

Lucas wychodzi z domu. Jednak zamiast iść w kierunku miasta, schodzi nad rzekę, siada na wilgotnej trawie i wpatruje się w ciemną, mętną wodę.

Lucas mówi do Wiktora:

– Wszystkie książki dla dzieci są jednakowe, a bajki – głupie. To nie do przyjęcia dla czteroletniego dziecka.

Wiktor wzrusza ramionami:

– A co byś chciał? Podobnie jest z książkami dla dorosłych. Popatrz tylko. Kilka powieści napisanych ku chwale ustroju. Można by przypuszczać, że w naszym kraju nie ma już pisarzy.

Lucas mówi:

– Tak, znam te powieści. Są mniej warte niż papier, na którym zostały napisane. Co się stało z dawnymi książkami?

– Zakazane. Wykreślone. Wycofane z obiegu. Być może znajdziesz je w bibliotece, jeśli jeszcze istnieje.

– Biblioteka w naszym mieście? Nigdy o niej nie słyszałem. Gdzie się znajduje?

– Przy pierwszej ulicy na lewo idąc od zamku. Nie mogę ci podać nazwy, bo wciąż się zmienia. Bez przerwy nadają ulicom nowe nazwy.

Lucas mówi:

– Znajdę.

Na wskazanej przez Wiktora ulicy nie ma żywego ducha. Lucas czeka. Jakiś starzec wychodzi z domu. Lucas pyta:

– Czy wie pan, gdzie jest biblioteka?

Starzec wskazuje poszarzały, obdrapany budynek.

– To tam. Ale pewnie wkrótce gdzieś ją przeniosą. Co tydzień wywożą książki ciężarówką. Można by sądzić, że się wyprowadzają.

Lucas wchodzi od szarego budynku. Idzie długim, ciemnym korytarzem kończącym się szklanymi drzwiami, na których wisi zardzewiała tabliczka z napisem: „Biblioteka Publiczna”.

Lucas puka. Kobiety głos odpowiada:

– Proszę wejść!

Lucas wchodzi do przestronnego pomieszczenia, który tonie w blasku promieni zachodzącego słońca. Siedząca za biurkiem kobieta w okularach pyta:

– Czego pan chce?

– Chciałbym wypożyczyć książki.

Kobieta zdejmuje okulary, patrzy na Lucasa.

– Wypożyczyć książki? Od kiedy tutaj pracuję, nie przyszła ani jedna osoba, żeby wypożyczyć książkę.

– Od dawna tu pani jest?

– Od dwóch lat. Moim zadaniem jest zrobić porządek. Muszę posortować książki i usunąć te, które są na indeksie.

– A co się potem dzieje? Co pani z nimi robi?

– Wkładam je do skrzynek, a one są potem wywożone na przemiał.

– Dużo książek jest na indeksie?

– Prawie wszystkie.

Lucas patrzy na wielkie skrzynie wypełnione książkami.

– Ale ma pani smutną pracę.

Kobieta pyta:

– Lubi pan książki?

– Przeczytałem całą bibliotekę księdza proboszcza. Jest tam dużo książek, lecz nie wszystkie są interesujące.

Kobieta uśmiecha się.

– Wyobrażam sobie.

– Przeczytałem także te, które można kupić. Są jeszcze mniej interesujące.

Kobieta wciąż się uśmiecha:

– Jakie książki chciałby pan czytać?

– Książki umieszczone na indeksie.

Kobieta wkłada okulary mówiąc:

– To niemożliwe. Przykro mi. Proszę już iść!

Lucas nie rusza się. Kobieta powtarza:

– Powiedziałałam, żeby pan wyszedł.

Lucas mówi:

– Pani jest podobna do mojej matki.

– Gdy była młoda, prawda?

– Nie. Matka była młodsza od pani, gdy umarła.

Kobieta mówi:

– Przepraszam. Przykro mi.

– Matka miała czarne włosy. A pani ma siwe i nosi okulary.

Kobieta wstaje:

– Jest piąta. Zamykam.

Na ulicy Lucas mówi:

– Odprowadzę panią. Niech mi pani da koszyk. Wydaje się, że jest bardzo ciężki.

Idą w milczeniu. Kobieta zatrzymuje się przed niskim domkiem w pobliżu dworca:

– Tu mieszkam. Dziękuję. Jak się pan nazywa?

– Lucas.

– Dziękuję, Lucasie.

Bierze od niego koszyk. Lucas pyta:

– Co tam jest w środku?

– Brykiety węglowe.

Następnego dnia po południu Lucas wraca do biblioteki. Siwa kobieta siedzi przy biurku.

Lucas mówi:

– Wczoraj pani zapomniała wypożyczyć mi książkę.

– Wyjaśniłam panu, że to niemożliwe.

Lucas sięga do jednej ze skrzynek i bierze książkę.

– Niech mi pani pozwoli wziąć tę jedną.

Kobieta podnosi głos:

– Nawet nie spojrzął pan na tytuł. Proszę odłożyć tę książkę do skrzyni i wyjść!

Lucas odkłada książkę do skrzyni.

– Niech się pani nie gniewa. Nie wezmę żadnej książki. Poczekam na zamknięcie.

– Na nic pan nie będzie czekał! Proszę stąd wyjść! Znalazł się prowokator! Jak panu nie wstyd, w tak młodym wieku!

Kobieta zaczyna szlochać.

– Kiedy wreszcie przestaną mnie szpiegować, śledzić, podejrzewać?

Lucas opuszcza bibliotekę, siada na schodach domu naprzeciwko, czeka. Kilka minut po piątej

wychodzi kobieta, uśmiecha się.

– Przepraszam pana. Tak bardzo się boję. Cały czas się boję. Wszystkich.

Lucas mówi:

– Nie będę już pani prosił o książki. Wróciłem tylko dlatego, że pani przypomina mi matkę.

Wyjmuje zdjęcie z kieszeni.

– Niech pani spojrzy.

Kobieta patrzy na zdjęcie.

– Nie widzę żadnego podobieństwa. Pana matka jest młoda, ładna, elegancka.

Lucas pyta:

– Dlaczego nosi pani buty na płaskim obcasie i ten wypłowiasty żakiet? Dlaczego zachowuje się pani jak stara kobieta?

Kobieta mówi:

– Mam trzydzieści pięć lat.

– Moja matka miała tyle samo na tym zdjęciu. Mogłaby pani chociaż ufarbować włosy.

– Osiwiałam podczas jednej nocy. Wtedy, kiedy oni powiesili mojego męża za zdradę. Trzy lata temu.

Podaje koszyk Lucasowi:

– Proszę mnie odprowadzić.

Przed domem Lucas pyta:

– Mogę wejść?

– Do mnie nigdy nikt nie wchodzi.

– Dlaczego?

– Nie znam nikogo w tym mieście.

– Teraz mnie pani zna.

Kobieta uśmiecha się.

– Dobrze. Wejdz, Lucasie.

W kuchni Lucas mówi:

– Nie wiem, jak się pani nazywa. Chciałbym mówić pani po imieniu.

– Mam na imię Klara. Zanieś koszyk do pokoju i wyłóż z niego wszystko obok pieca. Zaparzę herbatę.

Lucas wkłada brykiety węglowe do drewnianej skrzynki. Podchodzi do okna, widzi zaniedbany ogródek, a dalej kolejowe podkłady porośnięte chwastami. Klara wchodzi do pokoju.

– Zapomniałam kupić cukru.

Stawia tacę na stole, podchodzi do Lucasa.

– Spokojnie tutaj. Nie jeżdżą już tędy pociągi.

Lucas mówi:

– Ładny ten dom.

– To dom służbowy. Należał do ludzi, którzy wyemigrowali.

– Meble także?

– W tym pokoju, tak. W sąsiednim pokoju są moje meble – łóżko, biurko, biblioteka.

Lucas pyta:

– Mogę zobaczyć tamten pokój?

– Może innym razem. Chodź na herbatę.

Lucas wypija łyk gorzkiej herbaty, potem mówi:

– Muszę iść, mam pracę, ale mógłbym przyjść później.

Klara mówi:

– Nie, nie przychodź. Wcześniej chodzę spać, żeby zaoszczędzić na węglu.

Kiedy Lucas wraca do domu, Jasmina i Mathias są w kuchni. Jasmina mówi:

– Mały nie chciał się położyć, czeka na ciebie. Nakarmiłam już zwierzęta, wydoiłam kozy.

Lucas opowiada Mathiasowi bajkę, potem idzie na plebanię. Wreszcie staje przed domkiem na ulicy Dworcowej. W oknach jest ciemno.

Lucas czeka na ulicy. Klara wychodzi z biblioteki bez koszyka. Mówi do Lucasa:

– Chyba nie będziesz codziennie tutaj na mnie czekał?

– Dlaczego? Czy to ci przeszkadza?

– Tak. To śmieszne i niepotrzebne.

Lucas mówi:

– Chciałbym cię odprowadzić.

– Nie mam koszyka. Zresztą nie wracam prosto do domu. Muszę zrobić zakupy.

Lucas pyta:

– Czy mogę przyjść do ciebie później?

– Nie!

– Dlaczego? Dziś piątek. Jutro nie pracujesz. Nie musisz iść wcześniej spać.

Klara mówi:

– Dość tego! Przestań się mną zajmować, przestań się zastanawiać, o której godzinie chodzę spać. Nie czekaj na mnie i nie włócz się za mną jak pies.

– Nie zobaczę cię do poniedziałku.

Klara wzdycha, kręci głową.

– Nie zobaczysz mnie ani w poniedziałek, ani nigdy, Lucasie, przestań mi dokuczać. Czego ty ode mnie chcesz?

Lucas mówi:

– Lubię na ciebie patrzeć. Nawet jeśli jesteś w tym starym żakiecie i masz siwe włosy.

– Zuchwalec!

Klara odwraca się na pięcie i idzie w kierunku Placu Głównego. Lucas za nią.

Klara wchodzi do sklepu odzieżowego, potem do sklepu z obuwiami. Lucas długo czeka. Potem Klara idzie jeszcze do spożywczego. Gdy wraca na ulicę Dworcową, niesie zakupy w obu rękach.

Podbiega Lucas.

– Pomogę ci.

Klara mówi nie zatrzymując się:

– Nie nalegaj! Idź sobie! I niech cię więcej nie oglądam!

– Dobrze, Klaro. Nie zobaczysz mnie więcej.

Lucas wraca do domu. Jasmina mówi:

– Mathias jest już w łóżku.

– Już? Dlaczego?

– Chyba się obraził.

Lucas wchodzi do pokoju Babki:

– Śpisz, Mathiasie?

Dziecko nie odpowiada. Lucas wychodzi z pokoju. Jasmina pyta:

– Późno wrócisz?

– Dziś piątek.

Dziewczyna mówi:

– Lucasie, wystarczy nam to, co mamy z ogródka i zwierząt. Przestań grać w barach. Nie

warto męczyć się po nocach za ten lichy grosz.

Lucas nie odpowiada. Robi wieczorny obrządek i wychodzi na plebanię.

Proboszcz mówi:

– Dawno nie graliśmy w szachy.

Lucas mówi:

– Teraz jestem bardzo zajęty.

Idzie do miasta, wchodzi do baru, gra na organkach, pije. Pije we wszystkich barach w mieście, potem idzie pod dom Klary.

Z kuchennych okien przysłoniętych gęstymi firankami ledwie prześwieca światło. Lucas okrąża budynek, wchodzi do ogródka Klary od strony toru kolejowego. Tutaj zasłonki są bardziej przezroczyste. Lucas rozróżnia dwie sylwetki w pokoju, w którym był wczoraj. Klara stoi oparta o piec. Mężczyzna podchodzi do niej, oddala się, znowu podchodzi. Coś mówi. Lucas słyszy jego głos, ale nie rozróżnia wyrazów.

Sylwetki łączą się. To trwa długo. Odchodzą od siebie. W sypialni zapala się światło. Nie ma już nikogo w salonie.

Kiedy Lucas dobiega do drugiego okna, światło gaśnie.

Lucas wraca przed dom. Czeka ukryty w cieniu.

Wczesnym rankiem mężczyzna wychodzi od Klary i oddala się szybkim krokiem. Lucas idzie za nim. Mężczyzna znika w jednym z budynków przy Placu Głównym.

Po powrocie do domu Lucas wchodzi do kuchni, żeby napić się wody.

Jasmina wychodzi z pokoju Babki.

– Czekałam na ciebie całą noc. Jest szósta rano. Gdzie byłeś?

– Na ulicy.

– Co się z tobą dzieje, Lucasie?

Dziewczyna wyciąga pieszczotliwie dłoń ku twarzy Lucasa. Lucas odtrąca jej rękę, wychodzi z kuchni i zamyka się w pokoju.

W sobotni wieczór Lucas chodzi od jednego baru do drugiego. Ludzie są pijani, a wtedy nie żałują pieniędzy.

Nagle Lucas dostrzega „ją” poprzez kłęby dymu. Siedzi sama blisko wejścia, popija czerwone wino. Lucas przysiada się do jej stolika:

– Klaro! Co tutaj robisz?

– Nie mogę spać. Chciałam popatrzeć na ludzi.

– Na tych ludzi?

– Wszystko jedno na jakich. Nie chcę być sama w domu. Zawsze sama.

– Wczoraj wieczorem nie byłaś sama.

Klara nie odpowiada, nalewa sobie wina, pije. Lucas wyrywa jej kieliszek z ręki.

– Już dosyć!

Klara śmieje się.

– Nie. Nigdy nie jest dosyć. Chcę pić, pić jeszcze.

– Nie tutaj! Nie z nimi!

Lucas ściska rękę Klary. Kobieta spogląda na niego, szepce:

– Szukałam ciebie.

Lucas mówi:

– Nie chciałaś już mnie więcej widzieć.

Klara nie odpowiada, odwraca głowę.

Klienci domagają się muzyki.

Lucas rzuca pieniądze na stolik:

– Chodźmy!

Bierze Klarę pod rękę, prowadzi ją do wyjścia. Towarzyszą mu śmiechy i grubiańskie uwagi.

Na dworze pada. Klara zatacza się, ślizga na wysokich obcasach. Lucas musi ją prawie nieść.

Kobieta zwała się w sypialni na łóżko, dygoce. Lucas zdejmuje jej buty, przykrywa ją. Idzie do drugiego pokoju, rozpala w piecu, który ogrzewa obydwie pomieszczenia. Parzy w kuchni herbatę, przynosi dwie filiżanki napoju. Klara mówi:

– W szafce kuchennej znajdziesz rum.

Lucas przynosi rum, dolewa po trochu do jednej i drugiej filiżanki.

Klara mówi:

– Jesteś za młody na alkohol.

Lucas mówi:

– Mam dwadzieścia lat. Nauczyłem się pić, gdy byłem dwunastolatkiem.

Klara przymyka oczy.

– Mogłabym prawie być twoją matką.

Po chwili dorzuca:

– Nie odchodź. Nie zostawiaj mnie samej.

Lucas siada na krześle przy biurku, patrzy na pokój. Oprócz łóżka stoi tylko to duże biurko i mała etażerka z książkami. Patrzy na książki, zna je, nie są ciekawe.

Klara śpi. Jedna ręka zwisa poza łóżko. Lucas ujmuje tę rękę. Całuje z wierzchu dłoń, potem od wewnątrz. Liże ją, język wędruje w kierunku łokcia. Klara nie rusza się.

Już jest ciepło. Lucas odchyła kołdrę. Ma przed sobą ciało Klary – białe i czarne.

Gdy Lucas był w kuchni, Klara zdjęła spódnicę i sweter. Teraz Lucas ściąga jej czarne pończochy, czarne podwiązki, czarny biustonosz. Przykrywa białe ciało kołdrą. Następnie wrzuca bieliznę do pieca. Przysuwa fotel, siada obok łóżka. Widzi książkę na podłodze. Przegląda ją. To stara zniszczona książka, na wyklejce nosi pieczęć biblioteki. Lucas czyta, mijają godziny.

Klara zaczyna jęczeć. Ma zamknięte oczy, twarz pokrytą potem, przewraca głowę na prawo, na lewo, mamrocze jakieś niezrozumiałe słowa.

Lucas idzie do kuchni, moczy ręcznik, kładzie go na czole Klary. Bełkot zamienia się we wrzask.

Lucas potrząsa Klarą, żeby ją obudzić. Kobieta otwiera oczy.

– W szufladzie biurka są środki uspokajające. Białe opakowanie.

Lucas znajduje środki uspokajające, Klara połyka dwa proszki z resztką ostygłej herbaty.

Mówi:

– Już lepiej. Zawsze ten sam koszmarny sen.

Przymyka oczy. Gdy jej oddech staje się regularny, Lucas wychodzi. Zabiera ze sobą książkę.

Idzie powoli w deszczu po wyludnionych ulicach, aż na drugi koniec miasta, do domu Babki.

W niedzielę po południu Lucas znów idzie do Klary. Puka do drzwi kuchni.

Klara pyta:

– Kto tam?

– To ja, Lucas.

Klara otwiera drzwi. Jest blada, ma na sobie stary czerwony szlafrok.

– Czego chcesz?

Lucas mówi:

– Przechodziłem tędy. Chciałem zapytać, czy dobrze się czujesz.

– Tak, czuję się bardzo dobrze.

Ręka, którą trzyma klamkę, drży.

Lucas mówi:

– Przepraszam. Bałem się.

– O co? Nie masz powodu, żeby się o mnie bać.

Lucas mówi cicho:

– Klaro, wpuść mnie, proszę.

Klara kiwa głową.

– Potrafisz być natarczywy, Lucasie. No, już dobrze, możesz wejść. Zrobię ci kawę.

Siadają w kuchni, piją kawę.

Klara pyta:

– Co się wydarzyło wczoraj wieczorem?

– Nie pamiętasz?

– Nie. Od śmierci męża się leczę. Środki, które zażywam, źle działają na moją pamięć.

Lucas mówi:

– Zabrałem cię z baru. Jeśli się bierze lekarstwa, nie należy pić.

Klara kryje twarz w dłoniach.

– Nie wyobrażasz sobie, co przeżyłam.

Lucas mówi:

– Znam ból rozłąki.

– Umarła ci matka.

– To jeszcze nie wszystko. Odszedł brat, z którym byłem bardzo zżyty.

Klara podnosi głowę, spogląda na Lucasa.

– Ja i Tomasz także byliśmy ze sobą bardzo zżyci. Oni go zamordowali. Czy zamordowali również twojego brata?

– Nie. Brat wyjechał. Przeszedł przez granicę.

– Dlaczego z nim nie wyjechałeś?

– Musiał ktoś z nas zostać, żeby opiekować się zwierzętami, ogródkiem, domem Babki.

Trzeba było także nauczyć się oddzielnie żyć. Na własny rachunek.

Klara kładzie rękę na dłoni Lucasa.

– Jak mu na imię?

– Claus.

– Claus wróci, lecz Tomasza już nigdy nie zobaczę.

Lucas wstaje.

– Może rozpalić w piecu? Masz lodowate ręce.

– To miło z twojej strony. Usmażę naleśniki. Nic jeszcze dzisiaj nie miałam w ustach.

Lucas czyści piec. Czarna bielizna spłonęła bez śladu. Rozpala ogień i wraca do kuchni.

– Zabrakło węgla.

Klara mówi:

– Przyniosę z piwnicy.

Bierze blaszane wiadro, Lucas mówi:

– Ja pójdę.

– Nie! Tam nie ma światła. Ja trafię po omacku.

Lucas siada w fotelu, wyjmując z kieszeni książkę, którą wziął od Klary. Czyta.

Klara przynosi naleśniki.

Lucas pyta:

- Kim jest twój kochanek?
- Śledziłeś mnie?

Lucas mówi:

– To dla niego ta czarna bielizna, dla niego buty na obcasie. Trzeba było sobie jeszcze ufarbować włosy.

Klara mówi:

- Nie twoja sprawa. Co czytasz?

Lucas pokazuje książkę.

- Pożyczyłem ją wczoraj od ciebie. Bardzo mi się spodobała.
- Nie miałeś prawa brać jej z domu. Muszę ją odnieść do biblioteki.

Lucas mówi:

- Nie gniewaj się, Klaro. Wybacz mi.

Klara odwraca się.

- A moja bielizna? Też ją pożyczyłeś?
- Nie. Spaliłem.
- Spaliłeś? Jakim prawem?

Lucas wstaje.

- Myślę, że będzie lepiej, jeśli już pójdę.
- Tak, idź już. Ktoś na ciebie czeka.
- To znaczy kto?
- Żona i dziecko, tak mi powiedziano.
- Jasmina nie jest moją żoną.
- Od czterech lat mieszka u ciebie z dzieckiem.
- To nie moje dziecko, chociaż teraz jestem jego ojcem.

W poniedziałek Lucas czeka przed biblioteką. Zapada wieczór, a Klary nie widać. Lucas wchodzi do szarego budynku, idzie długim korytarzem, puka do oszklonych drzwi. Nikt nie odpowiada; drzwi są zamknięte na klucz.

Lucas biegnie do domu Klary. Bez pukania wchodzi do kuchni, potem do salonu. Drzwi do sypialni są uchylone. Lucas woła:

- Klara?
- Wejź, Lucasie.

Lucas wchodzi do sypialni. Klara leży w łóżku. Lucas siada na brzegu łóżka, bierze Klarę za rękę – jest gorąca. Dotyka jej czoła.

- Pójdę po lekarza.
- Nie, nie warto. To tylko przeziębienie. Boli mnie głowa i gardło, to wszystko.
- Masz lekarstwa od bólu i gorączki?
- Nie, nie mam niczego. Jutro się zobaczy. Rozpal tylko w piecu i zrób mi trochę herbaty.

Klara mówi popijając herbatę:

- Dziękuję, Lucasie, że przyszedłeś.
- Wiedziałeś, że przyjdę.
- Miałam nadzieję. To okropne – chorować, gdy człowiek jest zupełnie sam.

Lucas mówi:

- Już nigdy nie będziesz sama, Klaro.

Klara przytula dłoń Lucasa do swego policzka.

- Byłam niedobra dla ciebie.
- Potraktowałaś mnie jak psa. To już nie ma znaczenia.

Głaszczke mokre od potu włosy Klary.

- Spróbuj zasnąć. Pójdę po lekarza i zaraz wrócę.
- Apteka jest już na pewno zamknięta.
- Postaram się, żeby ją otworzono.

Lucas biegnie na Plac Główny. Dzwoni do jedyne go aptekarza w mieście. Dzwoni wiele razy. Wreszcie w drewnianych drzwiach otwiera się okienko. Aptekarz pyta:

- O co chodzi?
- Potrzebne mi lekarstwa przeciwbólowe i obniżające gorączkę. To pilne.
- Ma pan receptę?
- Nie miałem czasu iść do lekarza.
- Nic dziwnego. Kłopot polega na tym, że bez recepty jest drogo.
- Nieważne.

Lucas wyjmuję z kieszeni banknot, aptekarz przynosi fiolkę proszków.

Lucas biegnie do domu Babki. Jasmina i dziecko są w kuchni. Jasmina mówi:

- Obrządziłam już zwierzęta.
- Dziękuję, Jasmino. Czy mogłabyś wieczorem zanieść jedzenie księdzu proboszczowi?

Dzisiaj mam mało czasu.

Jasmina mówi:

- Nie znam księdza proboszcza. Nie mam ochoty go spotkać.
- Wejdiesz tylko do kuchni i zostawisz koszyk na stole.

Jasmina milknie, spogląda na Lucasa. Lucas zwraca się do dziecka:

- Dziś wieczorem Jasmina opowie ci bajkę.

Mathias mówi:

- Jasmina nie umie opowiadać bajek.
- W takim razie ty jej opowiesz. I narysujesz mi coś ładnego.
- Dobrze, narysuję coś ładnego.

Lucas wraca do Klary. Rozpuszcza dwie pastylki w szklance wody, zanosz Klarze.

- Wypij to.

Klara posłusznie pije. Potem usypia.

Lucas bierze kieszonkową latarkę i schodzi do piwnicy. W rogu leży niewielka kupka węgla, wzdłuż ścian stoją torby. Niektóre z nich są otwarte, inne zawiązane sznurkiem. Lucas zagląda do jednej z toreb: pełno w niej ziemniaków. Rozwiązuje inną torbę; tutaj są brykiety węglowe. Wysypuje zawartość torby na ziemię, wypada pięć brykietów i około dwudziestu książek. Lucas bierze jedną z nich, a pozostałe wkłada z powrotem. Wraca na górę z książką i wiadrem węgla.

Siada obok łóżka Klary i czyta.

Rano Klara pyta:

- Byłeś tu przez całą noc?
- Tak. Przespałem się.

Przygotowuje herbatę, podaje Klarze lekarstwa, rozpala w piecu. Klara mierzy temperaturę. Ma jeszcze gorączkę.

Lucas mówi:

- Zostań w łóżku. Wrócę koło południa. Co chciałabyś zjeść?

Klara mówi:

– Nie jestem głodna. Ale czy mogłabym cię prosić, abys powiedział w biurze personalnym, że jestem chora?

– Dobrze, zrobię to. Nie martw się.

Lucas idzie do biura, potem wraca do domu, zabija kurę i gotuje ją z warzywami. W południe zanoszą rosół Klarze. Chora trochę zjada.

Lucas mówi do niej:

– Wczoraj wieczorem poszedłem do piwnicy po węgiel. Widziałem książki. Przynosisz je tutaj w koszyku, prawda?

Klara mówi:

– Tak. Nie mogę pozwolić, żeby oni wszystko zniszczyli.

– Pozwolisz mi je przeczytać?

– Czytaj, co zechcesz. Ale bądź ostrożny. Za to grozi mi deportacja.

– Wiem.

Pod wieczór Lucas wraca do domu. O tej porze roku w ogródku nie ma nic do zrobienia. Lucas obrządza zwierzęta, potem słucha płyt w pokoju. Dziecko puka do drzwi, wchodzi.

Siada na dużym łóżku, pyta:

– Dlaczego Jasmina płacze?

– Jasmina płacze?

– Tak. Prawie przez cały czas. Dlaczego?

– Nie powiedziała ci, dlaczego?

– Boję się zapytać.

Lucas odwraca się, żeby zmienić płytę.

– Pewnie dlatego płacze, bo jej ojciec siedzi w więzieniu.

– Co to jest więzienie?

– To taki duży dom z kratami w oknach. Zamyka się w nim ludzi.

– Dlaczego?

– Z różnych powodów. Uważa się, że są niebezpieczni. Mój ojciec także był zamknięty.

Dziecko podnosi wielkie czarne oczy na Lucasa.

– Ciebie także mogliby zamknąć?

– Tak, mnie także.

Dziecko pociąga noskiem, jego bródka zaczyna drgać.

– A mnie?

Lucas bierze chłopca na kolana, całuje go.

– Nie, ciebie nie. Nie zamyka się dzieci.

– A jak będę duży?

Lucas mówi:

– Do tego czasu wszystko się zmieni i nikogo już nie będą zamykać.

Dziecko milknie na chwilę, potem pyta:

– Ci, którzy są zamknięci, nie będą mogli nigdy wyjść z więzienia!

Lucas mówi:

– Wyjdą pewnego dnia.

– Ojciec Jasminy także?

– Tak, oczywiście.

– I ona nie będzie już płakać?

– Nie, nie będzie płakać.

– Twój ojciec też wyjdzie?

– On już wyszedł.

– A gdzie jest?

– Umarł. Miał wypadek.

– Gdyby nie wyszedł, nie miałby wypadku.

Lucas mówi:

– Muszę już iść. Wracaj do kuchni i nie mów Jasminie o ojcu, bo jeszcze bardziej się rozpłaczę. Bądź dla niej grzeczny i miły.

Jasmina pyta na progu kuchni:

– Wychodzisz, Lucasie?

Lucas nieruchomieje w pobliżu furki. Nie odpowiada.

Jasmina mówi:

– Chciałam tylko zapytać, czy znowu mam iść do księdza proboszcza.

Lucas odpowiada nie odwracając się:

– Tak. Ja nie mam na to czasu.

Do piątku Lucas spędza noce przy Klarze.

W piątek rano Klara mówi:

– Czuję się lepiej. W poniedziałek pójdę do pracy. Nie musisz już tutaj nocować. Poświęciłeś mi bardzo dużo czasu.

– Klaro, co chcesz przez to powiedzieć?

– Chciałabym zostać sama dziś wieczorem.

– „On” wraca! Czy tak?

W odpowiedzi Klara spuszcza wzrok. Lucas mówi:

– Nie możesz mi tego zrobić!

Klara patrzy Lucasowi w oczy.

– Zarzucałeś mi, że zachowuję się jak stara kobieta. Miałeś rację. Przecież jestem jeszcze młoda.

Lucas pyta:

– Kto to jest? Dlaczego przychodzi tylko w piątki? Dlaczego się z tobą nie ożeni?

– Jest żonaty.

Klara płacze. Lucas pyta:

– Dlaczego płaczesz? To raczej ja powinienem płakać.

Wieczorem Lucas idzie do baru. Potem spaceruje po ulicach. Pada śnieg. Lucas zatrzymuje się przed domem Piotra. W oknach jest ciemno. Lucas dzwoni, nikt nie odpowiada. Lucas ponownie dzwoni. Otwiera się okno, Piotr pyta:

– Kto tam?

– To ja, Lucas.

– Poczekaj, Lucasie. Już idę.

Okno zamyka się, a po chwili otwierają się drzwi. Piotr mówi:

– Wejdz, duszo pokutująca.

Piotr ma na sobie szlafrok. Lucas mówi:

– Obudziłem cię. Przepraszam.

– Nie szkodzi. Siadaj.

Lucas siada na skórzanym fotelu.

– Nie mam ochoty wracać do domu w taki ziąb. Daleka droga, a zresztą za dużo wypilem. Czy mogę przespać się u ciebie?

– Oczywiście, Lucasie. Połóż się w moim łóżku. Ja położę się na kanapie.

- Wolę kanapę. Wstanę rano i nie będę cię budził.
- Jak chcesz, Lucasie. Rozgość się. Przyniosę kołdrę.

Lucas zdejmuje marynarkę i buty, kładzie się na kanapie. Piotr wraca z grubą kołdrą. Przykrywa Lucasa, podsuwa mu poduszki pod głowę, siada obok niego na kanapie.

- Co się stało, Lucasie? Czy to z powodu Jasminy?

Lucas kręci głową.

- W domu wszystko w porządku. Po prostu chciałem cię zobaczyć.

Piotr mówi:

- Nie wierzę ci, Lucasie.

Lucas bierze rękę Piotra i przyciska do podbrzusza. Piotr cofa rękę, wstaje.

- Nie, Lucasie. Nie przestępuj progu mojego świata.

Wychodzi do sypialni, zamyka drzwi.

Lucas czeka. Po kilku godzinach wstaje, cicho otwiera drzwi, zbliża się do łóżka Piotra. Piotr śpi. Lucas wychodzi z sypialni, zamyka drzwi, wkłada buty, bierze marynarkę, sprawdza, czy nic mu nie wypadło z kieszeni, i bez szmeru opuszcza mieszkanie. Idzie na ulicę Dworcową, zaczajają się naprzeciw domu Klary.

Z domu wychodzi mężczyzna. Lucas idzie za nim, potem wyprzedza go po drugiej stronie ulicy. W drodze do swego domu mężczyzna musi przejść obok niewielkiego parku. Lucas kryje się tam pod osłoną krzewów. Owija wokół głowy długi czerwony szal zrobiony na drutach przez Jasminę, a gdy mężczyzna przybliży się, nagle zachodzi mu drogę. Poznaje go. To jeden z tych lekarzy, którzy badali Mathiasa w szpitalu.

Lekarz mówi.

- Kim pan jest? Czego pan chce?

Lucas chwytając mężczyznę za kołnierz płaszcza, wyjmując z kieszeni brzytwę.

- Jak jeszcze raz do niej pójdziesz, poderżnę ci gardło.

– Pan zupełnie oszalał! Wracam ze szpitala z nocnego dyżuru.

- Po co kłamiesz? Ja nie żartuję. Do wszystkiego jestem zdolny. Dzisiaj tylko cię ostrzegam.

Lucas wyciąga z kieszeni marynarki skarpetkę napełnioną kamykami, zadaje mężczyźnie cios w głowę, ów pada nieprzytomny na zmarzniętą ziemię.

Lucas wraca do Piotra, kładzie się na kanapie i usypia. O siódmej rano Piotr przynosi mu kawę:

- Zaglądałem już tutaj wcześniej. Myślałem, że poszedłeś do domu.

Lucas mówi:

- Nie ruszałem się stąd przez całą noc. To ważne, Piotrze.

Piotr patrzy na niego przez dłuższy czas.

- W porządku, Lucasie.

Lucas wraca do domu. Jasmina mówi:

- Był tu jakiś policjant. Masz iść na komisariat. Lucasie, co się stało?

Mathias mówi:

- Zamkną Lucasa w więzieniu. I już nigdy Lucas stamtąd nie wyjdzie.

Dziecko chichocze. Jasmina łapie je za rękę i wymierza policzek.

- Mógłbyś siedzieć cicho?

Lucas wrywa Jasminie dziecko i bierze je na ręce. Ociera łzy płynące po policzkach chłopca.

- Nie bój się, Mathiasie. Nie zamkną mnie.

Dziecko wpatruje się w Lucasa. Już nie płacze.

Mówi:

- Szkoda.

Lucas idzie na posterunek. Pyta o biuro komisarza. Puka i wchodzi. Klara i lekarz siedzą na wprost policjanta.

Komisarz mówi:

– Dzień dobry, Lucasie. Siadajcie.

Lucas siada na krześle obok mężczyzny, którego zaatakował przed paru godzinami.

Komisarz pyta:

– Czy rozpoznajecie napastnika, doktorze?

– To nie był napad, powtarzam panu. Poślizgnąłem się na lodzie.

– I upadliście na plecy. Gdy nasi ludzie was znaleźli, leżeliście na plecach. Ciekawe, skąd ten krwiak na waszym czole.

– Prawdę mówiąc, upadłem na twarz. Potem, gdy zacząłem odzyskiwać przytomność, odwróciłem się na plecy.

Komisarz mówi:

– No, tak. Twierdzicie także, że pełniliście nocny dyżur w szpitalu. Z naszych informacji wynika, że wieczorem opuściliście szpital o dziewiątej i że spędziliście noc u tej pani.

Lekarz mówi:

– Nie chciałem jej skompromitować.

Komisarz wraca do Lucasa:

– Sąsiadki tej pani widziały was u niej wielokrotnie.

Lucas mówi:

– Od pewnego czasu robiłem dla tej pani zakupy. Zwłaszcza w ostatnim tygodniu, kiedy była chora.

– Wiemy, że nie wróciliście na noc do domu. Gdzie byliście?

– Byłem za bardzo zmęczony, żeby wracać do domu. Po zamknięciu baru poszedłem do przyjaciela i spędziłem u niego noc. Pożegnałem go o siódmej trzydzieści.

– Co to za przyjaciel? Pewnie jakiś znajomy z baru.

– Nie. To Pierwszy Sekretarz.

– Twierdzicie, że spędziliście noc u Pierwszego Sekretarza?

– Tak. Piłem u niego kawę o siódmej rano.

Komisarz wychodzi z biura.

Lekarz odwraca się w stronę Lucasa, patrzy na niego przez chwilę. Lucas odpowiada mu spojrzeniem. Lekarz spogląda na Klarę, Klara patrzy przez okno. Lekarz mówi, patrząc przed siebie:

– Nie wniosłem przeciw panu skargi, chociaż doskonale pana rozpoznaję. Znaleźli mnie strażnicy graniczni patrolujący miasto i przyprowadzili tutaj jak jakiegoś pijaka. Cała ta sprawa jest dla mnie bardzo kłopotliwa. Proszę pana o dyskrecję. Jestem psychiatrą o międzynarodowej renomie. Mam dzieci.

Lucas mówi:

– Jedyne wyjście to przeprowadzka do innej miejscowości. Nasze miasto jest małe. Wcześniej czy później ludzie dowiedzieliby się o wszystkim. Pana żona także.

– Czy to groźba?

– Tak.

– Zostałem oddelegowany do tej przeklętej dziury. Nie ja decyduję, dokąd pojedzie.

– Wszystko jedno, dokąd pan pojedzie. Postara się pan o przeniesienie.

Wchodzi komisarz w towarzystwie Piotra. Piotr patrzy najpierw na Lucasa, potem na Klarę, a następnie na lekarza. Komisarz mówi:

– Wasze alibi zostało udowodnione, Lucasie.

Zwraca się do lekarza:

– Myślę, doktorze, że to wystarczy. Poślizgnęliście się wracając ze szpitala. W ten sposób załatwimy sprawę.

Lekarz pyta Piotra:

– Czy mogę przyjść do pańskiego biura w poniedziałek? Chciałbym opuścić to miasto.

Piotr mówi:

– Oczywiście. Może pan na mnie liczyć.

Lekarz wstaje, wyciąga rękę do Klary.

– Przykro mi.

Klara odwraca głowę, lekarz wychodzi z biura.

– Dziękuję panom.

Lucas mówi do Klary.

– Odprowadzę cię.

Klara idzie przodem w milczeniu.

Lucas i Piotr także wychodzą z komisariatu. Piotr patrzy na odchodzącą Klarę:

– A więc to z jej powodu.

Lucas mówi:

– Piotr, zrób wszystko, co możesz, żeby przenieść tego człowieka. Jeśli zostanie w naszym mieście, umrze.

Piotr mówi:

– Wierzę ci. Jesteś na to wystarczająco szalony. Nie martw się. Wyjedzie. Ale czy zdajesz sobie sprawę, co jej zrobiłeś, jeśli ona go kocha?

Lucas mówi:

– Ona go nie kocha.

Kiedy Lucas wraca z komisariatu, jest już prawie południe.

Dziecko pyta:

– Nie zamknęli cię?

Jasmina mówi:

– Mam nadzieję, że to nic poważnego.

Lucas mówi:

– Nie. Wszystko w porządku. Wezwali mnie na świadka pewnego zajścia.

Jasmina mówi:

– Powinieneś pójść do księdza proboszcza. On wcale nie je. Nawet nie ruszył tego, co zaniósłam mu wczoraj i przedwczoraj.

Lucas bierze butelkę koziego mleka i udaje się na plebanię. W kuchni na stole widać nietknięte dania. Kuchenka jest zupełnie zimna. Lucas przechodzi przez pustą izbę i bez pukania otwiera drzwi sypialni. Proboszcz leży w łóżku.

Lucas pyta:

– Ksiądz jest chory?

– Nie, tylko mi zimno. Wciąż mi zimno.

– Przecież przyniosłem księdzu dużo drewna. Dlaczego ksiądz nie rozpali ognia?

Proboszcz mówi:

– Trzeba oszczędzać. Drewno i w ogóle wszystko.

– Ksiądz jest po prostu zbyt leniwy, żeby sobie napalić.

– Jestem stary, nie mam już siły.

– Ksiądz osłabł, bo nie je.

– Nie mam apetytu. Nie chce mi się jeść od czasu, gdy przestałeś przynosić mi posiłki.

Lucas podaje proboszczowi szlafrok.

– Niech ksiądz się ubierze i przejdzie do kuchni.

Pomaga mu włożyć szlafrok, pomaga dojść do kuchni, pomaga usiąść na ławce, nalewa filiżankę mleka. Proboszcz pije.

Lucas mówi:

– Nie może ksiądz nadal mieszkać sam. Jest ksiądz za stary.

Proboszcz odstawia filiżankę, spogląda na Lucasa.

– Lucasie, ja odchodzę. Tak zdecydowali zwierzchnicy. Będę teraz odpoczywał w klasztorze. To miasto zostanie bez proboszcza. Raz w tygodniu będzie przyjeżdżał ksiądz z sąsiedniego miasta, żeby odprawić tutaj mszę.

– To rozsądna decyzja. Cieszę się ze względu na księdza.

– Będzie mi żal tego miasta. Spędziłem w nim czterdzieści pięć lat.

Proboszcz kontynuuje po chwili milczenia:

– Przez długi czas opiekowałeś się mną jak własnym ojcem. Chciałbym ci podziękować. Ale jak dziękować za tak wiele miłości i dobroci?

Lucas mówi:

– Niech ksiądz nie dziękuje. Nie ma we mnie ani miłości, ani dobroci.

– To ty tak uważasz, Lucasie. Ja wiem, że jest inaczej. Jeszcze nie zagoiła się rana, którą ci zadano.

Lucas milczy, proboszcz ciągnie dalej:

– Mam wrażenie, że opuszczam cię w wyjątkowo trudnym okresie, ale będę ci towarzyszył myślami i bezustanną modlitwą o zbawienie twojej duszy. Wstąpiłeś na złą drogę, czasem zastanawiam się, dokąd zmierzasz. Niespokojna i porywcza natura może doprowadzić cię do najgorszych występków. Jednak nie tracę nadziei. Nieskończone jest miłosierdzie boskie.

Proboszcz wstaje i ujmuje twarz Lucasa w dłonie.

– „Pamiętaj o swoim Stwórcy w kwiecie swojego wieku, zanim nadejdą złe dni i zbliżą się lata, o których powiesz: Nie podobają mi się”.

Lucas opuszcza głowę, opiera czoło o pierś starca.

– „Zanim się zaćmi słońce i światło, księżyc i gwiazdy, i znowu powrócą obłoki po deszczu”... To Księga Eklezjasty.

Wychudłym ciałem starca wstrząsa szloch.

– Tak. Zatem poznałeś. Jeszcze pamiętasz. Gdy byłeś dzieckiem, znałeś na pamięć całe strony Biblii. Czy masz teraz czas, aby do niej zaglądnąć?

Lucas tłumaczy się:

– Mam dużo pracy. Zresztą czytam inne książki.

Proboszcz mówi:

– Rozumiem. Rozumiem także, iż nudzi cię moja nauka. Idź już i nie wracaj tu więcej. Jutro wyjeżdżam pierwszym pociągiem.

Lucas mówi:

– Życzę księdzu spokojnego odpoczynku.

Po powrocie mówi Jasminie:

– Ksiądz proboszcz jutro wyjeżdża. Już nie będzie trzeba zanosić mu jedzenia.

Dziecko pyta:

– Jedzie sobie, bo przestałeś go kochać? Jasmina i ja także wyjedziemy, jeśli przestałeś nas kochać.

Jasmina mówi:

– Cicho bądź, Mathiasie!

Dziecko krzyczy:

– To ona tak powiedziała! Ale ty nas kochasz, prawda, Lucasie?

Lucas bierze chłopca na ręce.

– Oczywiście, Mati.

U Klary ogień tli się w piecu. Drzwi sypialni są uchylone.

Wchodzi Lucas. Klara leży z książką w dłoniach. Spogląda na Lucasa, zamyka książkę, odkłada ją na szafkę nocną.

Lucas mówi:

– Przepraszam, Klaro.

Klara odchyła kołdrę, która ją przykrywa. Jest naga. Wciąż patrzy na Lucasa:

– Tego właśnie chciałeś, tak?!

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem, Klaro.

Klara gasi nocną lampkę.

– Na co czekasz?

Lucas zapala lampkę przy biurku, kieruje snop światła na łóżko. Klara zamyka oczy.

Lucas klęka na łóżku, rozchyła nogi Klary, potem wargi sromowe. Wydostaje się stamtąd wąska strużka krwi. Lucas pochyla się, zlizuje krew. Klara jęczy, chwytając Lucasa za włosy.

Lucas zdejmując ubranie, kładzie się na Klarze, wchodzi w nią, krzyczy. Później wstaje, otwiera okno. Na dworze pada śnieg. Lucas wraca do łóżka. Klara obejmuje go, Lucas drży. Klara mówi:

– Uspokój się.

Głaszcze Lucasa po włosach i twarzy. Lucas pyta:

– Nie gniewasz się już na mnie z powodu tamtego mężczyzny?

– Nie. Lepiej, że wyjechał.

Lucas mówi:

– Wiedziałem, że go nie kochasz. Byłaś taka nieszczęśliwa zeszłego tygodnia w barze.

Klara mówi:

– Poznałam go w szpitalu. To on mnie leczył, gdy latem popadłam w kolejną depresję. Czwartą od śmierci Tomasza.

– Często ci się śni Tomasz?

– Co noc. Ale tylko w chwili egzekucji. Nigdy nie śni mi się szczęśliwy, radosny.

Lucas mówi:

– Ja wszędzie widzę brata. W moim pokoju, w ogródku, obok mnie na ulicy. Mówi do mnie.

– O czym?

– O swej śmiertelnej samotności.

Lucas zasypia w ramionach Klary. Gdy zapada głęboka noc, jeszcze raz wchodzi w nią delikatnie, powoli, jak we śnie.

Od tej pory Lucas spędza noce u Klary.

Tego roku zima jest bardzo surowa. Przez pięć miesięcy nie widać słońca. Nad opustoszałym miastem zalega lodowata mgła, ziemia jest zamrznięta, rzeka także.

W domu Babki bez przerwy pali się w kuchni. Szybko maleje zapas drewna przeznaczonego na opał. Każdego popołudnia Lucas chodzi do lasu po drewno, które następnie składa obok kuchni, aby wyschło.

Drzwi od kuchni są uchylone. W ten sposób ogrzewa się pokój Jasminy i dziecka. Pokój Lucasa nie jest ogrzewany.

Gdy Jasmina szyje w pokoju lub robi na drutach, Lucas siada z dzieckiem na utkany przez Jasminę dużym dywanie, który leży w kuchni na podłodze; bawią się tam razem z psem i kotem. Oglądają książki z obrazkami, rysują. Lucas uczy Mathiasa liczyć na liczydłach.

Jasmina przygotowuje kolację. We troje siadają na narożnej ławie w kuchni. Jedzą ziemniaki, fasolę, kapustę. Dziecku to nie smakuje, niewiele zjada. Lucas robi mu kanapki z marmoladą.

Po posiłku Jasmina zmywa naczynia, a Lucas odprowadza dziecko do pokoju, rozbiera je, układa do snu, opowiada bajkę. Gdy dziecko zasypia, Lucas idzie do Klary na drugi koniec miasta.

Przy ulicy Dworcowej kwitną kasztany. Ich białe płatki pokrywają ziemię tak grubą warstwą, że Lucas nie słyszy nawet własnych kroków. Wraca od Klary późną nocą.

Dziecko siedzi na narożnej ławie w kuchni. Lucas mówi:

– Jest piąta. Dlaczego tak wczesnie wstajesz?

Dziecko pyta:

– Gdzie jest Jasmina?

– Wyjechała do Dużego Miasta. Nudziła się tutaj.

Czarne oczy dziecka otwierają się szeroko:

– Wyjechała? Beze mnie?

Lucas odwraca się, rozpala ogień w kuchni. Dziecko pyta.

– Czy ona wróci?

– Nie, nie sądzę.

Lucas nalewa koziego mleka do garnka, który stawia na ogniu.

Dziecko pyta:

– Dlaczego nie wzięła mnie ze sobą? Obiecała, że mnie weźmie.

Lucas mówi:

– Pomyślała, że tutaj ze mną będzie ci lepiej, i ja też tak myślę.

Dziecko mówi:

– Nie jest mi tutaj z tobą lepiej. Z nią wszędzie byłoby mi lepiej.

Lucas mówi:

– W Dużym Mieście dziecku jest nudno. Nie ma tam ogródka ani zwierząt.

Dziecko mówi:

– Ale jest moja matka.

Wygląda przez okno. Po chwili odwraca się z twarzą wykrzywioną z bólu.

– Ona mnie nie kocha, bo jestem kaleką. To dlatego mnie tutaj zostawiła.

– To nieprawda, Mathiasie. Jasmina kocha cię całym sercem. Wiesz o tym dobrze.

– W takim razie przyjedzie po mnie.

Dziecko odsuwa filiżankę i talerz, wybiega z kuchni.

Lucas idzie podlać ogródek. Wschodzi słońce.

Pod drzewem śpi pies. Dziecko zbliża się z kijem w rękę. Lucas patrzy na dziecko. Dziecko podnosi kij i uderza psa. Pies ucieka ze skowytem. Dziecko patrzy na Lucasa.

– Nie lubię zwierząt. Nie lubię też ogródków.

Dziecko wali kijem w sałatę, pomidory, dynie, fasolę, kwiaty. Lucas przygląda się temu w milczeniu.

Dziecko wraca do domu, kładzie się w łóżku Jasminy. Lucas przychodzi do niego, siada na brzegu łóżka.

– Jesteś taki nieszczęśliwy, że zostałeś ze mną? Dlaczego?

Spojrzenie dziecka nieruchomieje na suficie.

– Bo cię nienawidzę.

– Nienawidzisz mnie?

– Tak, zawsze cię nienawidziłem.

– Nie wiedziałem. Możesz mi powiedzieć, dlaczego?

– Bo jesteś duży i ładny, i myślałem, że Jasmina cię kocha. Ale skoro wyjechała, to znaczy, że ona ciebie też nie kocha. Mam nadzieję, że jesteś tak samo nieszczęśliwy jak ja.

Lucas kryje twarz w dłoniach. Dziecko pyta:

– Płaczesz?

– Nie, nie płaczę.

– Ale jest ci smutno z powodu Jasminy?

– Nie, nie z powodu Jasminy. Jest mi smutno z twojego powodu, z powodu twojego zmartwienia.

– Naprawdę? Z mojego powodu? Dobrze ci tak.

Uśmiecha się.

– Przecież ja jestem tylko małym kaleką, natomiast Jasmina jest piękna.

Po chwili ciszy dziecko pyta:

– A gdzie jest twoja matka?

– Umarła.

– Ze starości?

– Nie. Umarła z powodu wojny. Zabił ją pocisk. Ją i moją siostrzyczkę.

– Gdzie one są teraz?

– Zmarli są wszędzie i nigdzie.

Dziecko mówi:

– One są na strychu. Widziałem je. Taki duży przedmiot z kości i mały przedmiot z kości.

Lucas pyta cichym głosem:

– Wszedłeś na strych? W jaki sposób?

– Wdrapałem się. To proste. Pokażę ci, jak.

Lucas milczy. Dziecko mówi:

– Nie bój się, nikomu nie powiem. Nie chcę, żeby ktoś nam je zabrał. Ja je kocham.

– Kochasz je?

– Tak. Zwłaszcza maleństwo. Jest brzydsze i mniejsze ode mnie. I nigdy nie urośnie. Nie wiedziałem, że to dziewczynka. Nie można rozpoznać, gdy się patrzy na te przedmioty z samych kości.

– Te przedmioty nazywają się szkieletami.

– Tak. To szkielety. Widziałem je także w dużej książce, która leży wysoko na bibliotece.

Lucas jest z dzieckiem w ogrodzie. Z drzwi od strychu zwisa sznurek dokładnie na wysokość wyciągniętej ręki Lucasa.

Lucas mówi do dziecka:

– Pokaż mi, jak się wdrapujesz.

Dziecko przysuwa stojącą nie opodal ogródkową ławkę pod okno pokoju Lucasa. Wspina się na nią, podskakuje, chwyta sznurek, opiera nogi o ścianę, aby opanować huśtanie, i przy pomocy rąk oraz nóg wciąga się do drzwi od strychu. Lucas za nim. Siadają na słomie, patrzą na przyczepione do belki szkielety.

Dziecko pyta:

– Nie zostawiłeś sobie szkieletu brata?

– Kto ci powiedział, że miałem brata?

– Nikt. Słyszałem, jak z nim rozmawiasz. Mówisz do niego, a on jest wszędzie i nigdzie, a więc także umarł.

Lucas mówi:

– Nie, nie umarł. Wyjechał do innego kraju. Wróci.

– Tak jak Jasmina. Ona też wróci.

– Właśnie. To podobna historia.

Dziecko mówi.

– To jest jedyna różnica między tymi, co umarli, a tymi, co wyjechali, prawda? Ci, którzy nie umarli, powrócą.

Lucas mówi:

– Ale jak dowiedzieć się, czy nie umarli po wyjeździe stąd?

– Nie można się tego dowiedzieć.

Dziecko milczy przez chwilę, potem pyta:

– Co zrobiłeś, gdy wyjechał twój brat?

– Nie wiedziałem, jak dalej żyć bez niego.

– A teraz wiesz?

– Tak. Od kiedy tutaj jesteś, wiem.

Dziecko otwiera kufer.

– Co to za grube zeszyty w tym kufrze?

Lucas zamyka kufer.

– Nic takiego. O, Boże! Na szczęście nie umiesz jeszcze czytać.

Dziecko śmieje się.

– Mylisz się. Umiem już czytać drukowane litery. Popatrz.

Dziecko otwiera z powrotem kufer, wyjmuje z niego starą Biblię Babki. Czyta pojedyncze słowa i całe zdania.

Lucas pyta:

– Jak nauczyłeś się czytać?

– Oczywiście z książek. Z moich i twoich.

– Pomogła ci Jasmina?

– Nie, ja sam. Jasmina nie lubi czytać. Powiedziała, że nigdy nie pójdę do szkoły. Ale ja pójdę już niedługo, prawda Lucasie?

Lucas mówi:

– Mogę cię sam wszystkiego nauczyć.

Dziecko mówi:

– Szkoła jest obowiązkowa dla dzieci, które skończą sześć lat.

– Ale nie dla ciebie. Możesz otrzymać zwolnienie.

– Z powodu mojego kalectwa, tak? Nie chcę tego twojego zwolnienia. Chcę chodzić do szkoły, tak jak inne dzieci.

Lucas mówi:

– Pójdiesz, jeśli chcesz. Ale dlaczego tak bardzo ci na tym zależy?

– Bo wiem, że w szkole będę najlepszym i najbardziej inteligentnym uczniem.

Lucas śmieje się.

– I bez wątpienia najbardziej zrozumiałym. Ja zawsze nie cierpiałem szkoły. Udawałem głuchego, żebym nie musiał do niej chodzić.

– Naprawdę?

– Tak. Posłuchaj, Mathiasie. Możesz przychodzić tutaj, kiedy chcesz. Możesz także przebywać w moim pokoju, nawet gdy mnie tam nie ma. Możesz czytać Biblię, słownik i encyklopedię, jeśli tak ci się podoba. Ale nie wolno ci ruszać tych zeszytów, synu z piekła rodem!

Po chwili dorzuca:

– Babka tak na nas wołała: „synu z piekła rodem”.

– Jakich „nas”? Na ciebie i kogo jeszcze? Na ciebie i brata?

– Tak. Na brata i na mnie.

Schodzą ze strychu, idą do kuchni. Lucas przygotowuje posiłek. Dziecko pyta:

– Kto teraz będzie zmywał, prał, szył?

– My dwaj. Razem. Ty i ja.

Jedzą. Lucas wychyla się przez okno, wymiotuje. Odwraca się, na twarzy ma kropelki potu, traci przytomność i osuwa się na podłogę w kuchni.

Dziecko krzyczy:

– Nie rób tego, Lucas, nie rób tego!

Lucas otwiera oczy.

– Nie krzycz, Mathiasie. Pomóż mi wstać.

Dziecko ciągnie go za rękę, Lucas chwyta się stołu.

Chwiejnym krokiem wychodzi z kuchni, siada na ławce w ogródku. Dziecko staje przed nim i patrzy.

– Co się dzieje, Lucasie? Przez chwilę byłeś nieżywy!

– Nie, po prostu zrobiło mi się niedobrze z powodu upału.

Dziecko pyta:

– To nie szkodzi, że wyjechała, prawda? To nie jest bardzo poważna sprawa, co? Nie umrzesz z tego powodu?

Lucas nie odpowiada, dziecko siada u jego stóp, obejmuje za nogi, kładzie mu czarną kędzierzawą główkę na kolanach.

– Może kiedyś będę twoim synem.

Kiedy dziecko zasypia, Lucas wraca na strych. Wyjmuje zeszyty z kufra, owija je w jutę i idzie do miasta.

Dzwoni do drzwi Piotra.

– Piotrze, chciałbym, żebyś to schował.

Kładzie paczkę na stole w salonie.

Piotr pyta:

– Co to jest?

Lucas odchyła płótno.

– Szkolne zeszyty.

Piotr kiwa głową.

– Dopiero co mówił mi o tym Wiktor. Piszesz. Kupujesz olbrzymie ilości papieru i ołówków. Od wielu lat kupujesz ołówki, papier w kratkę i duże szkolne zeszyty. Piszesz książkę?

– Nie, nie książkę. Po prostu robię notatki.

Piotr waży w rękach zeszyty.

– Notatki! Tu jest z pół tuzina grubych zeszytów.

– Przybywa ich z roku na rok. A jednak wiele wyrzucam. Zostawiam tylko te najważniejsze.

Piotr pyta:

– Dlaczego chcesz je ukryć? Przed policją?

– Przed policją? Co za pomysł! Przed dzieckiem. Zaczyna już czytać i wszędzie szpera. Nie chciałbym, aby przeczytał te zeszyty.

Piotr uśmiecha się.

– Matka dziecka też nie powinna ich znać, prawda?

Lucas mówi:

– Jasmina już u mnie nie mieszka. Wyjechała. Zawsze marzyła o Dużym Mieście. Dałem jej trochę pieniędzy.

– I zostawiła ci dziecko?

– Chciałem, żeby zostało ze mną.

Piotr zapala papierosa, spogląda na Lucasa w milczeniu.

Lucas pyta:

– Możesz przechować te zeszyty, czy nie?

– Oczywiście, mogę.

Piotr owija z powrotem zeszyty, zanosi je do sypialni. Gdy wraca, mówi:

– Schowałem je pod łóżko. Jutro znajdę dla nich lepsze miejsce.

Lucas mówi:

– Dziękuję, Piotrze.

Piotr śmieje się.

– Nie dziękuj mi. Interesują mnie twoje zeszyty.

– Masz zamiar je przeczytać?

– Oczywiście. Jeśli chcesz, żebym ich nie czytał, możesz je zanieść do Klary.

Lucas wstaje.

– Tylko nie to! Klara czyta wszystko, co wpadnie jej w ręce. Ale mógłbym powierzyć je Wiktorowi.

– Przeczytałbym je wtedy u Wiktora. On nie może mi niczego odmówić. Zresztą, wkrótce wyjeżdża. Wraca w rodzinne strony, do siostry. Ma zamiar sprzedać dom i księgarnię.

Lucas mówi:

– Oddaj zeszyty. Zakopię je gdzieś w lesie.

– Dobrze, zakop. Albo, jeszcze lepiej, spal. To jedyny sposób, żeby nikt ich nie przeczytał.

Lucas mówi:

– Muszę je zostawić. Dla Clausa. Są dla niego przeznaczone. Tylko dla niego.

Piotr włącza radio. Długo szuka, wreszcie znajduje spokojną muzykę.

– Usiądź jeszcze, Lucasie, i powiedz mi, kto to jest Claus?

– Mój brat.

– Nie wiedziałem, że masz brata. Nigdy mi o nim nie mówiłeś. Nikt mi o nim nie wspominał, nawet Wiktor, choć zna cię od dziecka.

Lucas mówi:

– Od wielu lat mój brat mieszka po tamtej stronie granicy.

– W jaki sposób przeszedł przez granicę? Mówi się, że to niemożliwe.

– Przeszedł i już.

Po chwili milczenia Piotr pyta:

– Utrzymujesz z nim korespondencję?

– Co rozumiesz przez „korespondencję”?

– To, co wszyscy rozumieją przez „korespondencję”. Czy pisze do ciebie? Czy ty do niego pisziesz?

– Każdego dnia piszę do niego w zeszycie. On na pewno robi to samo.

– Ale nigdy nie otrzymujesz od niego listów?

– Nie może mi przysyłać stamtąd listów.

– Wiele listów nadchodzi z tamtej strony granicy. Brat ani razu nie napisał do ciebie od wyjazdu? Nie podał ci adresu?

Lucas odrzuca głowę w tył, wstaje raptownie.

– Myślisz, że umarł, tak? Claus nie umarł. On żyje i wróci.

– Tak, Lucas. Twój brat wróci. Jeśli chodzi o zeszyty, mógłbym ci obiecać, że ich nie przeczytam, ale nie uwierzyłbyś mi.

– Masz rację, nie uwierzyłbym. Wiedziałem, że nie będziesz mógł się przed tym powstrzymać. Wiedziałem to przychodząc tutaj. Wolę, żebyś ty je przeczytał, a nie Klara czy ktoś inny.

Piotr mówi:

– Jest jeszcze coś, czego nie rozumiem: twój związek z Klarą. Ona jest dużo starsza od ciebie.

– Wiek nie ma znaczenia. Jestem jej kochankiem. To wszystko, co chciałeś wiedzieć?

– Nie, nie wszystko. To już wiedziałem. Ale czy ją kochasz?

Lucas otwiera drzwi.

– Nie znam znaczenia tego słowa. Nikt nie zna. Piotrze, nie spodziewałem się po tobie takich pytań.

– Cóż, w życiu często będziesz słyszał takie pytania. Niekiedy będziesz nawet musiał na nie odpowiedzieć.

– A ty, Piotrze? Któregoś dnia także będziesz musiał odpowiedzieć na pewne pytania. Czasem chodzę na wasze zebrania partyjne. Przemawiasz, a sala klaszcze. Czy naprawdę wierzysz w to, co mówisz?

– Muszę w to wierzyć.

– Ale tak w głębi duszy, co o tym myślisz?

– Ja nie myślę. Nie mogę sobie pozwolić na ten luksus. Siedzi we mnie strach. Od dziecka.

Klara stoi przed oknem, patrzy na pogrążony w ciemności ogródek. Nie odwraca się, gdy Lucas wchodzi do pokoju. Mówi:

– Lato jest straszne. Latem śmierć jest najbliżej. Wszystko wysycha, trąd dech, nieruchomieje. Minęły już cztery lata od dnia, w którym oni zabili Tomasza. W sierpniu, wczesnym rankiem, o świcie. Powiesili go. Co gorsze, każdego lata robią to samo. O świcie, gdy wracasz do domu, podchodzę do okna i widzę ich. Zaczynają od nowa, choć przecież nie można zabić tej samej osoby kilka razy.

Lucas całuje Klarę w kark.

– Co ci jest, Klaro? Co ci się dzisiaj stało?

– Dzisiaj otrzymałam list. Oficjalny list. Leży tam, na biurku, możesz go przeczytać. Donoszą w nim o rehabilitacji Tomasza, o jego niewinności. Nigdy nie wątpiłam w jego niewinność. Piszą: „Pani mąż był niewinny, zabiliśmy go przez pomyłkę. Zabiliśmy wiele niewinnych osób przez pomyłkę, ale teraz wraca porządek, przepraszamy i obiecujemy, że będziemy unikać podobnych pomyłek”. Mordują, a potem rehabilitują. Przepraszają, ale Tomasz jest martwy! Czy potrafia go wskrzesić? Czy mogą wykreślić z mojego żyda noc, kiedy osiwiłam i oszalałam z rozpaczy?

Tamtej letniej nocy byłam sama w mieszkaniu, w naszym mieszkaniu. Mieszkałam tam samotnie od wielu miesięcy. Kiedy uwięziono Tomasza, nikt nie chciał, nie mógł i nie śmiał mnie odwiedzać. Przyzwyczaiałam się do samotności. Nie było niczego niezwykłego w tym, że byłam sama. Nie spałam, ale do tego też byłam przyzwyczajona. Niezwykłe było natomiast to, że owej nocy nie płakałam. Poprzedniego wieczoru radio doniosło o egzekucji wielu osób oskarżonych o zdradę państwa. Pośród wymienionych nazwisk wyraźnie usłyszałam nazwisko Tomasza. O trzeciej nad ranem, w godzinie egzekucji, spojrzałam na zegar. Patrzyłam nań do siódmej, potem poszłam do pracy, do dużej biblioteki w stolicy. Usiadłam przy biurku w czytelni. Koleżanki przechodziły obok mnie jedna po drugiej. Słyszałam jak szepczą: „A jednak przyszła!” „Widziałas jej włosy?” Wyszłam z biblioteki, do wieczora chodziłam po ulicach,

zabłądziłam, nie wiedziałam, w jakiej jestem dzielnicy, choć przecież bardzo dobrze znałam miasto. Wróciłam taksówką. O trzeciej rano wyjrzałam przez okno. Zobaczyłam ich: wieszali Tomasza na fasadzie przeciwległego budynku. Zaczęłam krzyczeć. Przybiegli sąsiedzi. Karetka zabrała mnie do szpitala. A teraz oni mówią, że to była tylko pomyłka. Zamordowanie Tomasza, moja choroba, miesiące spędzone w szpitalu, siwe włosy na skroniach, to dla nich tylko pomyłka. W takim razie, niech mi zwrócą żywego i uśmiechniętego Tomasza. Tego Tomasza, który mnie obejmował, pieścił włosy, trzymał twarz w ciepłych dłoniach, całował oczy, uszy, usta.

Lucas dotyka ramion Klary, odwraca ją ku sobie:

– Kiedy wreszcie przestaniesz mówić o Tomaszu?

– Nigdy. Nigdy nie przestanę mówić o Tomaszu. A ty? Kiedy zaczniesz mówić o Jasminie?

Lucas mówi:

– Nie mam nic do powiedzenia. Zwłaszcza teraz, gdy już nie mieszka ze mną.

Klara bije i drapie Lucasa po twarzy, szyi, ramionach. Krzyczy:

– Nie mieszka z tobą? A gdzie jest? Co z nią zrobiłeś?

Lucas zaciąga Klarę na łóżko, kładzie się na niej.

– Uspokój się. Jasmina wyjechała do Dużego Miasta. To wszystko.

Klara obejmuje mocno Lucasa.

– Oni mi ciebie zabiorą, tak jak zabrali Tomasza. Wsadzą cię do więzienia, powieszą cię.

– Nie, to już skończone. Zapomnij o Tomaszu, więzieniu i stryczku.

O świcie Lucas wstaje.

– Muszę wracać. Dziecko wczesnie się budzi.

– Jasmina zostawiła dziecko?

– To kalekie dziecko. Cóż by z nim zrobiła w dużym mieście?

Klara znowu pyta:

– Jak mogła je zostawić?

Lucas mówi:

– Chciała je wziąć, ale jej nie pozwoliłem.

– Nie pozwoliłeś? Jakim prawem? To jej dziecko. Należy do niej.

Klara patrzy, jak Lucas się ubiera. Mówi:

– Jasmina wyjechała, ponieważ jej nie kochałeś.

– Pomogłem jej, kiedy była w tarapatkach. Niczego jej nie obiecywałem.

– Mnie także niczego nie obiecywałeś.

Lucas wraca, żeby przygotować Mathiasowi śniadanie.

Lucas wchodzi do księgarni, Wiktor pyta:

– Potrzebujesz papieru i ołówków, Lucanie?

– Nie. Chciałbym z panem porozmawiać. Piotr powiedział, że pan sprzedaje dom.

Wiktor wzdycha.

– W naszych sklepach nikt nie ma tyle pieniędzy, żeby kupić dom ze sklepem.

Lucas mówi:

– Ja chciałem kupić.

– Ty, Lucanie? A za co, mój chłopcze?

– Sprzedałbym dom Babki. Wojsko chce mi zań ofiarować niezłą sumę.

– Lucanie, obawiam się, że to nie wystarczy.

– Jestem także właścicielem dużego kawałka ziemi i wielu innych rzeczy. Odziedziczyłem po

Babce przedmioty wielkiej wartości.

Wiktor mówi:

– Przyjdź do mnie wieczorem. Zostawię otwarte drzwi.

Wieczorem Lucas wchodzi po wąskich, nie oświetlonych schodach prowadzących do mieszkania nad księgarnią. Puka do drzwi, spod których sączy się smuga światła.

Wiktor woła:

– Wejź, Lucasio!

Lucas wchodzi do pomieszczenia, w którym mimo otwartego okna jest gęsto od dymu z papierosów.

Sufit jest oblepiony grubą warstwą ciemnego brudu, tiulowe firanki mają żółty kolor. W pokoju tłoczno od starych mebli, kanap, tapczanów, stolików, lamp i innych dekoracyjnych przedmiotów. Na ścianach wiszą rozmaite obrazy i ryciny, a na podłodze leżą jedne na drugich zniszczone dywany.

Wiktor siedzi obok okna, przy stole nakrytym czerwonym pluszowym obrusem. Na stole pudełka cygar i paczki papierosów oraz różnego rodzaju popielniczki pełne niedopałków sąsiadują z kieliszkami i karafką wypełnioną do połowy żółtawym płynem.

– Podejź, Lucasio. Usiądź i weź kieliszek.

Lucas siada, Wiktor mu nalewa, opróżnia własny kieliszek, po czym ponownie go napełnia.

– Chciałbym poczęstować cię wódką lepszej jakości, na przykład tą, którą przywiozła mi siostra, ale niestety, już się skończyła. Siostra przyjechała do mnie w lipcu, był wtedy straszny upał, pamiętasz. Nie lubię upałów, nie lubię lata. Chyba że jest to deszczowe, chłodne lato, to owszem, ale pora kanikuły po prostu wpędza mnie w chorobę.

Siostra przywiozła mi litr wódki morelowej, którą pije się zazwyczaj w naszych stronach. Pewnie myślała, że ta butelka wystarczy na cały rok, a przynajmniej do Bożego Narodzenia. Prawda jest taka, że już pierwszego wieczoru wypilem połowę. Ponieważ było mi wstyd, najpierw schowałem butelkę, potem poszedłem kupić flaszkę marnej wódki – innej nie ma w sklepach – którą wlałem do przywiezionej przez siostrę butelki, po czym postawiłem ją na widocznym miejscu, o tam, na kredensie.

Co wieczór pijałem w ukryciu wódkę morelową kiepskiej jakości, lecz uspokajałem siostrę pokazując darowaną mi butelkę, której zawartość prawie się nie zmniejszała. Raz czy dwa, aby nie nabrała podejrzeń, nalałem sobie mały kieliszek tej wódki udając, że jest znakomita, choć dawno już nie miała pierwotnego smaku.

Nie mogłem doczekać się wyjazdu siostry. Nie dlatego, żeby przeszkadzała, wprost przeciwnie. Gotowała dla mnie, cerowała skarpetki, dbała o ubrania, szorowała kuchnię i wszystko, co brudne. Była mi bardzo pomocna, a ponadto po zamknięciu sklepu bardzo nam się przyjemnie gawędziło przy smacznej kolacji. Spała tutaj, w tym małym pokoju obok. Kładła się wcześniej i po cichu. Miałem dla siebie całą noc, by wzdłuż i wszerz przemierzać sypialnię, kuchnię i korytarz.

Lucasio, musisz wiedzieć, że kocham siostrę ponad życie. Nasi rodzice zmarli, gdy byliśmy młodzi, właściwie byłem jeszcze wtedy dzieckiem. Siostra jest starsza o pięć lat. Przygarnęły nas jakieś ciotki, ale zapewniam cię, że tak naprawdę to ona mnie wychowała.

Moje uczucia do niej nie osłabły z upływem czasu. Nigdy nie pojmiesz, z jaką radością patrzyłem, gdy wysiadała z pociągu. Nie widziałem jej od dwunastu lat. Były to lata wojny, biedy, przebywania w strefie nadgranicznej. Kiedy już udało jej się odłożyć trochę pieniędzy na podróż, to nie mogła uzyskać zezwolenia na pobyt w strefie nadgranicznej, i tak dalej. Jeśli chodzi o mnie, nigdy nie miałem gotówki, zresztą nie mógłbym zamknąć księgarni. Ona z kolei nie może tak nagle zostawiać klientek. Jest krawcową, a wiadomo, kobiety nawet w latach biedy

potrzebują krawcowej. Zwłaszcza w takich latach, kiedy nie mogą sobie pozwolić na nowe stroje. W tych biednych czasach przychodzą do siostry z najprzeróżniejszymi żądaniami: a to przeróbka spodni zmarłego męża na krótką spódnicę czy koszuli na bluzkę, a to z byle jakich skrawków materiału chcą mieć ubranka dla dzieci.

Wreszcie siostra zdołała zgromadzić niezbędne pieniądze oraz wymagane papiery i zezwolenia i wtedy napisała, że przyjeżdża.

Wiktor wstaje, wygląda przez okno.

– Nie ma jeszcze dziesiątej, prawda?

Lucas mówi:

– Jeszcze nie.

Wiktor z powrotem siada, nalewa do kieliszków, zapala cygaro.

– Czekałem na siostrę na dworcu. Po raz pierwszy w życiu czekałem na kogoś. Byłem zdecydowany przeczekać wiele pociągów, gdyby zaszła taka potrzeba. Siostra przyjechała ostatnim. Jechała cały dzień. Oczywiście od razu ją poznałem, ale jak bardzo różniła się od wizerunku, który zachowałem w pamięci! Przede wszystkim zmaląła. Zawsze była drobna, lecz nie do tego stopnia. Jej twarz – muszę przyznać, że brzydka – była pokryta tysiącem drobnym zmarszczek. Jednym słowem, bardzo się zestarzała. Rzecz jasna, nie wspominałem jej o tym, zostawiłem dla siebie te obserwacje, za to ona wybuchła płaczem mówiąc: „Och, Wiktorze! Jakże się zmieniłeś! Ledwo cię poznałam. Przytyłeś, wyłysiałeś i jesteś taki zaniedbany”.

Wziąłem walizki. Były ciężkie, naładowane konfiturami, kielbasą, wódką morelową. Siostra wypakowała wszystko w kuchni. Przywiozła nawet fasolę z ogródka. Od razu spróbowałem wódki. Gdy siostra gotowała fasolę, wypilem prawie ćwierć butelki. Po zmywaniu przyszła do mojego pokoju. Przez szeroko otwarte okna wpadało ciepłe powietrze. Ciągle piłem, wciąż podchodziłem do okna, paliłem cygara. Siostra opowiadała o wymagających klientkach, o swym samotnym i trudnym życiu... Słuchałem jej popijając wódkę i paląc cygara.

O dziesiątej w oknie naprzeciwko zapaliło się światło. Ukazał się siwy mężczyzna. Przeżuwał coś.

Zawsze jada o tej porze. Pojawia się w oknie o dziesiątej wieczorem i je. Siostra mówiła dalej. Pokazałem jej pokój i powiedziałem: „Pewnie jesteś zmęczona. Miałaś długą podróż. Odpocznij sobie”. Ucałowała mnie w obydwie policzki, wyszła do sąsiedniego pokoju, położyła się i, jak sądzę, usnęła. Wciąż piłem, chodziłem tam i z powrotem paląc cygara. Od czasu do czasu wyglądałem przez okno, widziałem siwego mężczyznę opartego o framugę okna. Słyszałem, jak pyta rzadkich o tej porze przechodniów: „Która jest godzina? Przepraszam, czy może mi pan podać godzinę”? Ktoś na ulicy odpowiedział mu: „Jest dwadzieścia po jedenastej”.

Bardzo źle spałem. Przeszkadzała mi cicha obecność siostry w sąsiednim pokoju. Nad ranem, a była to niedziela, słyszałem jeszcze, jak cierpiący na bezsenność mężczyzna pyta o godzinę i ktoś mu odpowiada: „Jest za piętnaście siódma”. Później, gdy wstałem, siostra krzątała się już w kuchni, okno naprzeciwko było zamknięte.

Co o tym myślisz, Lucasie? Przyjeżdża do mnie siostra, której nie widziałem od dwunastu lat, a ja niecierpliwie czekam, żeby wreszcie poszła spać, gdyż chcę spokojnie obserwować cierpiącego na bezsenność sąsiada, bo, prawdę mówiąc, jest to jedyny człowiek, który mnie interesuje, choć przecież kocham siostrę nad życie.

Nic nie mówisz, Lucasie, ale wiem, co myślisz. Uważasz, że oszalałem, i masz rację. Ogarnęła mnie jakaś obsesja na punkcie tego starca, który otwiera okno o dziesiątej wieczorem i zamyka o siódmej rano. Całą noc stoi w oknie. Nie wiem, co robi potem. Czy śpi, czy może ma inny pokój albo kuchnię, gdzie przebywa w ciągu dnia? Nigdy nie spotykam go na ulicy, nigdy nie widzę go za dnia, nie znam go, nikogo nigdy o niego nie pytałem. Jesteś pierwszą osobą, której o nim

mówię. O czym myśli przez całą noc stojąc w oknie? Jak się tego dowiedzieć? Po północy ulica jest zupełnie pusta. Nie może już nawet zapytać przechodniów o godzinę. Dopiero około szóstej, siódmej rano może zadać to pytanie. Czy naprawdę chce wiedzieć, która godzina, czy możliwe, żeby nie miał żadnego zegarka ani budzika? W takim razie, w jaki sposób pojawia się w oknie punktualnie o dziesiątej wieczorem? Tyle mam pytań dotyczących tego człowieka!

Pewnego wieczoru, już po wyjeździe siostry, starzec zwrócił się do mnie. Stałem w oknie i obserwowałem niebo starając się odnaleźć chmury zwiastujące zapowiadaną od kilku dni burzę. Cierpiący na bezsenność mężczyzna odezwał się do mnie z drugiej strony ulicy. Powiedział: „Już nie widać gwiazd. Zbliża się burza”. Nie odpowiedziałem mu. Spojrzałem na ulicę, najpierw w lewo, potem w prawo. Nie chciałem mieć z nim do czynienia. Wolałem go ignorować.

Usiadłem w rogu pokoju, gdzie nie mógł mnie widzieć. Teraz wiem, że jeśli tu zostanę, będę tylko pił, palił cygara i obserwował starca przez okno, a potem sam zacznę cierpieć na bezsenność.

Wiktor wygląda przez okno i osuwa się na fotel wzdychając:

– Już tam jest. Obserwuje mnie. Czeka na okazję, żeby ze mną porozmawiać. Ale ja nie dam sobą powodować, próżne jego starania, nie będę mu ulegał.

Lucas mówi:

– Niech pan się uspokoi, Wiktorze. Może to. tylko emerytowany stróż nocny, przyzwyczajony do spania w dzień?

Wiktor mówi:

– Nocny stróż? Być może. Nieważne. On mnie zniszczy, jeśli tutaj zostanę. Już prawie zwariowałem. Siostra też to zauważyła. Zanim wsiadła do pociągu, powiedziała: „Wiktorze, jestem już za stara, żeby odbyć jeszcze raz taką długą, męczącą podróż. Powinniśmy podjąć pewną decyzję, gdyż w przeciwnym razie nigdy więcej się nie zobaczymy”. Zapytałem: „Jaką decyzję”? Odpowiedziała: „Twoje interesy nie idą zbyt dobrze, wiem o tym. Siedzisz w sklepie przez cały dzień, a żaden klient nawet nie zajrzy. W nocy chodzisz tam i z powrotem po pokoju, rano jesteś zmęczony. Za dużo pijesz, wypijeś prawie pół butelki wódki, którą ci przywiozłam. Jak tak dalej pójdzie, wpadniesz w nałóg”.

Nie przyznałem się oczywiście, że podczas jej pobytu wypilem sześć innych butelek, nie licząc butelek wina, które otwieraliśmy do każdego posiłku. Nie wspomniałem także o cierpiącym na bezsenność starcu. Mówiła dalej: „Źle wyglądasz. Masz podkrążone oczy, jesteś blady i gruby. Jesz za dużo mięsa, masz za mało ruchu, nigdy nie wychodzisz, prowadzisz niezdrowy tryb życia”. Odpowiedziałem: „Nie martw się o mnie. Czuję się bardzo dobrze”. Zapaliłem cygaro. Pociąg opóźnił się. Siostra odwróciła głowę z niesmakiem: „Za dużo palisz. Właściwie bez przerwy”.

Nie przyznałem się także, iż dwa lata temu lekarze odkryli we mnie chorobę wieńcową wynikającą z nadużywania tytoniu. Mam niedrożną lewą arterię biodrową, obieg krwi w lewej nodze jest bardzo słaby, boli mnie biodro i łydka, nie mam czucia w dużym palcu lewej nogi. Lekarze przepisali mi leki, lecz jeśli nie rzucę palenia i nie zacznę gimnastykować się, poprawa nie nastąpi. Brak mi jednak silnej woli. Nie można żądać silnej woli od alkoholika. Gdybym chciał rzucić palenie, musiałbym najpierw przestać pić.

Kiedy zaczynam myśleć o tym, że powinienem przestać palić, wtedy natychmiast zapalam cygaro albo papierosa i paląc uświadamiam sobie, że jeśli nie przestanę palić, wkrótce w lewej nodze ustanie krążenie, co spowoduje gangrenę, a to z kolei doprowadzi do amputacji stopy lub całej nogi.

Nie wspomniałem o tym, żeby nie martwić siostry, ale ona i tak była zaniepokojona. Zanim wsiadła do pociągu, pocałowała mnie w policzki mówiąc: „Sprzedaj księgarnię i przyjedź w

nasze rodzinne strony. Będziemy skromnie żyć w rodzinnym domu. Będziemy spacerować po lesie, ja się wszystkim zajmę, a ty rzucisz palenie i picie, i wreszcie będziesz mógł napisać książkę”.

Pociąg odjechał, wróciłem do domu, nalałem sobie kieliszek wódki i zacząłem zastanawiać się, o jaką książkę jej chodziło?

Tego wieczoru, oprócz zwykłych leków poprawiających krążenie, zażyłem także prozerek nasenny i wypilem resztę wódki, która została w butelce siostry, czyli prawie pół litra. Następnego dnia, mimo środka nasennego, zbudziłem się bardzo rano, nie mając czucia w lewej nodze. Byłem zlany potem, serce biło mi gwałtownie, ręce drżały, ogarnął mnie okropny strach i niepokój. Spojrzałem na budzik; nie chodził. Dowlokłem się do okna, starzec z naprzeciwka był jeszcze na swoim miejscu. Zapytałem go przez pustą ulicę: „Przepraszam, czy może mi pan powiedzieć, która jest godzina, stanął mi zegarek”. Zanim odpowiedział, odwrócił się, jakby spoglądał na zegar ścienny: „Jest wpół do siódmej”. Chciałem się ubrać, ale byłem już ubrany. Spałem w butach i ubraniu. Wyszedłem na ulicę do pobliskiego sklepu spożywczego. Był jeszcze zamknięty. Czekałem na otwarcie chodząc wzdłuż i wszerz ulicy. Nadszedł sprzedawca, otworzył sklep, obsłużył mnie. Kupiłem pierwszą lepszą butelkę wódki, wróciłem do domu, wypilem kilka kieliszków, niepokój minął, starzec z przeciwka zamknął okno.

Zszedłem do księgarni, usiadłem za ladą. Nie zjawił się żaden klient. Było jeszcze lato, wakacje, nikt nie potrzebował książek ani czegokolwiek. Gdy tak siedziałem patrząc na półki pełne książek, przypomniałem sobie o mojej książce, o której wspomniała siostra, a którą kiedyś miałem zamiar napisać. Chciałem zostać pisarzem, pisać książki, to było marzenie mojej młodości, często rozmawialiśmy o tym z siostrą. Wierzyła we mnie, ja także w siebie wierzyłem, ale coraz mniej, aż w końcu zupełnie zapomniałem o pisaniu książek.

Mam zaledwie pięćdziesiąt lat. Gdy przestanę palić i pić, a raczej pić i palić, będę mógł jeszcze napisać książkę. Może nie kilka książek, ale jedną książkę chyba tak. Słuchaj, Lucasie, jestem przekonany, że każdy człowiek rodzi się po to, żeby napisać książkę. Genialną czy przeciętną, nieważne, lecz ten, kto niczego nie napisze, jest przegrany, gdyż przeszedł przez życie nie zostawiając śladu.

Jeśli tutaj zostanę, nigdy nie napiszę książki. Jedyne nadzieje to sprzedać dom i księgarnię, a potem wyjechać do siostry. Ona nie pozwoli mi pić ani palić, będziemy prowadzić proste życie, siostra wszystkim się zajmie, a gdy uwolnię się od nałogów, nie będę myślał o niczym innym jak tylko o pisaniu. Ty też napiszesz książkę, Lucasie. Nie wiem, o kim ani o czym. Wiem jednak, że piesz. Od dziecka kupujesz papier, ołówki, zeszyty.

Lucas mówi:

– Racja, Wiktorze. Nie mam nic ważniejszego od pisania. Niech pan poda cenę, chcę kupić dom i księgarnię. Dobijemy targu w ciągu kilku tygodni.

Wiktor pyta:

– Te wartościowe przedmioty, o których wspominałeś, co to jest?

– Złote i srebrne monety. Również biżuteria.

Wiktor uśmiecha się.

– Chciałbyś obejrzeć dom?

– To nie jest konieczne. Zrobię niezbędne przeróbki. Dla nas dwóch wystarczą te dwa pokoje.

– Jeśli dobrze sobie przypominam, było was troje.

– Zostaliśmy we dwóch. Matka dziecka odeszła.

Lucas mówi do dziecka:

– Przeprowadzimy się. Zamieszkamy w mieście, przy Placu Głównym. Kupiłem księgarnię.

Dziecko mówi:

– To dobrze. Będę miał bliżej do szkoły. Ale jak nas odnajdzie Jasmina, gdy wróci?

– Łatwo nas odszuka w takim małym mieście.

Dziecko pyta:

– Nie będziemy mieli zwierząt ani ogródka?

– Tam jest mały ogródek. Zostawimy psa i kota, a także kilka kur, żeby niosły jaja. Pozostałe zwierzęta sprzedamy Józefowi.

– Gdzie będę spał? Tam nie ma pokoju Babki.

– W małym pokoju obok mojego. Będziemy blisko siebie.

– Zostaniemy bez zwierząt i bez ogródka, z czego będziemy żyli?

– Z księgarni. Ze sprzedaży ołówków, książek, papieru. Pomożesz mi?

– Tak, chętnie. Kiedy się przeprowadzamy?

– Jutro. Józef przyjedzie po nas wozem.

Lucas wprowadza się z dzieckiem do domu Wiktora. Maluje pokoje; są teraz czyste i jasne. Obok kuchni, we wnęce, urządza łazienkę.

Dziecko pyta:

– Czy mogę mieć u siebie szkielety?

– To niemożliwe. Wyobraź sobie, że ktoś wchodzi do twojego pokoju.

– Nikt nie wejdzie do mojego pokoju. Z wyjątkiem Jasminy, kiedy wróci.

Lucas mówi:

– Zgoda. Możesz mieć szkielety. Ale schowamy je za zasłonką.

Lucas i dziecko porządkują zaniedbany ogródek Wiktora. Dziecko wskazuje na drzewo.

– Lucasic, spójrz na to drzewo. Jest zupełnie czarne.

Lucas mówi:

– To drzewo jest martwe. Trzeba będzie je wyciąć. Inne drzewa także gubią liście, ale to jest martwe.

Często, w środku nocy, dziecko się budzi, biegnie do pokoju Lucasa, wchodzi do jego łóżka, a gdy Lucasa nie ma, czeka, aż wróci, żeby opowiedzieć mu koszmarny sen. Lucas kładzie się wtedy obok dziecka i tuli chude ciało tak długo, aż przestanie drzeć.

Dziecko opowiada o swoich koszmarach, zawsze takich samych; powtarzają się one regularnie co noc.

Często śni mu się rzeka. Prąd unosi dziecko, które leży na powierzchni wody spoglądając na gwiazdy. Dziecko jest szczęśliwe, lecz powoli zbliża się ku niemu coś przerażającego, nagle to coś jest tuż-tuż, dziecko nie wie, co to jest, to coś wybuchu i krzyczy, i wyje, i oślepia.

W innym śnie pojawia się tygrys leżący obok łóżeczka dziecka. Wydaje się, że tygrys śpi; wygląda łagodnie i sympatycznie, chłopczyk bardzo chce go pogłaskać. Boi się, lecz chęć pogłaskania tygrysa jest coraz większa i dziecko nie może się już oprzeć pokusie. Dotyka paluszkami jedwabistej sierści tygrysa, a tygrys jednym zamachem łapy wrywa mu rękę.

Jeszcze inny jest sen o bezludnej wyspie. Chłopczyk bawi się taczkami, wysypuje do nich piasek, przewozi go dalej, wysypuje, odjeżdża, znowu napełnia taczki, wysypuje... trwa to przez pewien czas, aż nagle zapada noc, robi się coraz chłodniej, nikogo dokoła, jedynie gwiazdy jaśnieją w nieskończonej samotności.

Kolejny sen: chłopczyk chce wrócić do domu Babki, idzie ulicami, lecz ich nie poznaje, błędzi, ulice są puste, na dawnym miejscu nie ma już domu, wszystko się pozmieniało, Jasmina z płaczem woła dziecko, lecz ono nie wie, którą ulicą, jakim przejściem do niej trafić.

Najbardziej koszmarny jest sen o martwym drzewie, o czarnym drzewie z ogródka. Dziecko

patrzy na drzewo, które wyciąga ku niemu огоłocone gałęzie, mówiąc: „Jestem już tylko umarłym drzewem, ale kocham cię tak bardzo jak wtedy, gdy byłem żywe. Chodź, mój mały, chodź, niech cię uściskam”. Drzewo ma głos Jasminy, chłopczyk zbliża się, a czarne, martwe gałęzie oplatają się wokół niego i duszą go.

Lucas ścina martwe drzewo, tnie na kawałki, robi z nich ognisko w ogródku. Gdy ogień gaśnie, dziecko mówi:

– Teraz został z niej tylko popiół.

Idzie do pokoju. Lucas otwiera butelkę wódki. Pije. Robi mu się niedobrze. Wraca do ogródka, wymiotuje. Biały dym unosi się jeszcze nad szerniałym popiołem, ale zaczynają kapać grube krople deszczu; ulewa wieńczy dzieło ognia.

Po pewnym czasie dziecko znajduje Lucasa leżącego na mokrej trawie, w błocie. Potrząsa nim.

– Wstań, Lucasie. Trzeba wracać. Pada deszcz. Jest noc. Zrobiło się zimno. Możesz chodzić?

Lucas mówi:

– Zostaw mnie tutaj. Wracaj sam. Jutro wszystko będzie dobrze.

Dziecko siada obok Lucasa i czeka.

Wstaje słońce, Lucas otwiera oczy.

– Co się stało, Mati?

Dziecko mówi:

– To jeszcze jeden koszmarny sen.

Cierpiący na bezsenność starzec pojawia się w oknie każdego wieczoru o godzinie dziesiątej. Dziecko już śpi. Lucas wychodzi z domu, starzec pyta, która godzina, Lucas odpowiada i idzie do Klary. Gdy wraca o świcie, starzec znowu pyta o godzinę, Lucas mu ją podaje i kładzie się spać. Kilka godzin później w pokoju starca gaśnie światło, a na okno przylatują gołębie.

Pewnego ranka, gdy Lucas wraca do domu, starzec woła:

– Proszę pana!

Lucas mówi:

– Jest piąta.

– Wiem. Nie obchodzi mnie godzina. To po prostu sposób nawiązania rozmowy z ludźmi. Chciałbym tylko panu powiedzieć, że dzisiejszej nocy chłopiec był bardzo niespokojny. Obudził się około drugiej, kilka razy zaglądał do pana sypialni, długo patrzył przez okno. Wyszedł nawet na ulicę, skierował się w stronę baru, potem wrócił i, jak sądzę, położył się spać.

– Często tak robi?

– Tak, często się budzi. Prawie co noc. Ale dziś po raz pierwszy zobaczyłem, że wychodzi w nocy z domu.

– Zazwyczaj nie wychodzi nawet w dzień.

– Myślę, że szukał pana.

Lucas idzie do siebie, dziecko śpi kamiennym snem. Lucas wygląda przez okno, starzec pyta:

– Wszystko w porządku?

– Tak. Mathias śpi. A pan? Nigdy pan nie chodzi spać?

– Czasami drzemię, ale nie zasypiam. Nie śpię już od ośmiu lat.

– Co pan robi w ciągu dnia?

– Spaceruję. Gdy ogarnia mnie zmęczenie, idę do parku, aby odpocząć. Tam spędzam najwięcej czasu. Czasem zdrzemnę się kilka minut na ławce. Czy chciałby pan pójść ze mną któregoś dnia?

Lucas mówi:

– Możemy nawet teraz, jeśli pan ma ochotę.

– Zgoda. Nakarmię gołębie i schodzę.

Pustymi ulicami śpiącego jeszcze miasta idą w kierunku domu Babki. Starzec zatrzymuje się przed kilkoma metrami kwadratowymi pożółkłej trawy, nad którą dwa stare drzewa rozciągają огоłoczone gałęzie.

– Oto mój park. Jedyne miejsce, gdzie mogę się chwilę zdrzemnąć.

Starzec siada na jedynej ławce stojącej obok wyschniętej studzienki pokrytej rdzą i mchem. Lucas mówi:

– Są ładniejsze parki w mieście.

– Nie dla mnie.

Podnosi laskę i wskazuje na ładny duży dom.

– Był kiedyś nasz, żony i mój.

– Żona nie żyje?

– Trzy lata po wojnie zastrzelili ją kilkoma kulami z pistoletu. Wieczorem o dziesiątej.

Lucas siada obok starca.

– Pamiętam pana żonę. Mieszkaliśmy obok granicy. Wracając z miasta, mieliśmy zwyczaj

zatrzymać się tutaj, aby napić się wody i odpocząć. Kiedy pana żona zobaczyła nas przez okno, schodziła na dół i częstowała nas plackami ziemniaczanymi. Nigdy więcej nie jadłem takich placków. Pamiętam także jej uśmiech i akcent, pamiętam także, jak ją zamordowano. W całym mieście było o tym głośno.

– Co ludzie mówili?

– Mówili, że zabito ją dlatego, żeby można było upaństwowić trzy fabryki tekstylne, które do niej należały.

Starzec mówi:

– Odziedziczyła je po ojcu. Pracowałem w nich jako inżynier. Poślubiłem ją, ona została tutaj, bardzo lubiła to miasto. Zachowała jednak własną narodowość i oni musieli ją zabić. To było jedyne wyjście. Zabili ją w sypialni. Słyszałem z łazienki strzały. Morderca wszedł i wyszedł przez balkon. Ugodził ją kulą w głowę, klatkę piersiową i brzuch. W śledztwie stwierdzono, że sprawcą był jakiś pokrzywdzony robotnik, który dokonał tego czynu z żądzy zemsty, a następnie zbiegł za granicę.

Lucas mówi:

– Już wtedy nie można było przekroczyć granicy, a poza tym żaden robotnik nie miał pistoletu.

Starzec przymyka oczy, milczy. Lucas pyta:

– Kto teraz mieszka w waszym domu?

– Jest tam pełno dzieci. Zamieniono go na sierociniec. Ale już pora wracać, Lucasie. Wkrótce Mathias się obudzi, a pan musi otworzyć księgarnię.

– Racja. Już wpół do ósmej.

Czasem Lucas zagląda do parku, aby porozmawiać ze starcem. Mężczyzna opowiada o przeszłości, o szczęśliwych dniach spędzonych z żoną.

– Ciągle się śmiała. Była szczęśliwa i beztraska jak dziecko. Lubiła owoce, kwiaty, gwiazdy, obłoki. O zmierzchu wychodziła na balkon, żeby popatrzeć na niebo. Uważała, że nigdzie na świecie nie ma tak wspaniałych zachodów słońca jak w naszym mieście, mówiła, że tylko tutaj kolory nieba są tak olśniewające i takie piękne.

Starzec przymyka podkrążone, zżarte bezsennością oczy. Mówi dalej zmienionym głosem:

– Po zamordowaniu żony funkcjonariusze zarekwirowali dom i wszystko, co się w nim znajdowało, meble, zastawy, książki, biżuterię i garderobę żony. Pozwolili mi tylko zabrać jedną walizkę, do której zmieściło się trochę ubrań. Doradzili, abym wyjechał z miasta. Straciłem posadę w fabryce, zostałem bez pracy, domu, bez pieniędzy.

Poszedłem do przyjaciela lekarza, tego samego, którego wezwałem w dniu morderstwa. Dał mi pieniądze na pociąg. Powiedział: „Nigdy tu nie wracaj. To cud, że pozostawiono cię przy życiu”.

Pojechałem pociągiem do sąsiedniego miasta. Usiadłem w poczekalni dworcowej. Zostało mi jeszcze trochę pieniędzy i mogłem jechać dalej, może nawet do stolicy. Ale cóż bym robił w stolicy czy w jakimś innym mieście? Kupiłem w okienku bilet powrotny i wróciłem. Zastukałem do drzwi ubogiego domu naprzeciw księgarni. Znałem wszystkich pracowników naszych fabryk. Znałem także kobietę, która otworzyła mi drzwi. O nic nie zapytała, zaprosiła do środka, zaprowadziła do pokoju: „Może pan tutaj zostać, jak długo pan zechce”.

To kobieta w podeszłym wieku. W czasie wojny straciła męża, dwóch synów i córkę. Córka miała zaledwie siedemnaście lat. Zmarła na froncie; po strasznym wypadku, który ją zupełnie zeszpecił, zaangażowała się jako pielęgniarka. Gospodyni nigdy o tym nie wspomina, w ogóle niewiele mówi. Za jej cichą zgodą mieszkam w pokoju, którego okna wychodzą na ulicę. Sama

zajmuje inny pokój, mniejszy, od strony podwórka. Z tamtej strony znajduje się także kuchnia. Wchodzę do niej, kiedy chcę, i zawsze znajduję coś ciepłego na kuchence. Każdego ranka mam wypastowane buty, a uprane i uprasowane koszule wiszą na oparciu krzesła w korytarzu przed drzwiami. Gospodyni nigdy nie zagląda do mojego pokoju, w ogóle rzadko ją widuję. Żyjemy w innych godzinach. Nie wiem, z czego się utrzymuje. Przypuszczam, że z renty wdowiej i z ogródka.

Po kilku miesiącach od chwili, gdy zamieszkałem u niej, poszedłem do biura zatrudnienia i poprosiłem o jakąkolwiek pracę. Urzędnicy odsyłali mnie od jednego biura do drugiego, bali się podjąć jakąkolwiek decyzję; byłem osobą podejrzaną ze względu na małżeństwo z cudzoziemką. W końcu sekretarz partii Piotr zatrudnił mnie w charakterze człowieka do wszystkiego. Byłem dozorcą, szorowałem chodniki i podłogi, zamiatałem, sprzątałem zeschnięte liście i śnieg. Dzięki Piotrowi mam teraz prawo do emerytury, tak jak inni. Nie zostałem żebrakiem i mogę dożyć swoich lat w mieście, w którym się urodziłem i mieszkałem przez całe życie.

Pierwszą wypłatę położyłem wieczorem na stole w kuchni. Była to śmieszna kwota, ale dla gospodyni to było dużo, według niej o wiele za dużo. Odliczyła połowę pieniędzy, resztę zostawiła na stole i tak już pozostało: co miesiąc kładłem skromną pensję obok jej talerza, a ona odkładała dokładnie połowę obok mojego.

Z sierocińca wychodzi kobieta otulona wielką chustą. Jest chuda i blada, ma kościstą twarz i duże błyszczące oczy. Zatrzymuje się przed ławką, patrzy na Lucasa, uśmiecha się i mówi do starca:

– Widzę, że znalazł pan przyjaciela.

– Tak, znalazłem przyjaciela. Judyto, przedstawiam pani Lucasa. Jest właścicielem księgarni przy Placu Głównym. Judyta jest dyrektorką sierocińca.

Lucas wstaje, Judyta ściska jego dłoń.

– Powinna kupić książki dla naszych dzieci, ale mam tak wiele pracy, a poza tym nasz budżet jest bardzo skromny.

Lucas mówi:

– Mogę pani przysłać książki przez Mathiasa. W jakim wieku są dzieci?

– Mają od pięciu do dziesięciu lat. A kto to jest Mathias?

Starzec mówi:

– Lucas również zajmuje się sierotą.

Lucas mówi:

– Mathias nie jest sierotą. Jego matka wyjechała. Dziecko jest teraz moje.

Judyta uśmiecha się.

– Nie wszystkie moje dzieci są sierotami. Większość z nich nie zna ojca, zostały porzucone przez zgwałcone lub zdeprawowane matki.

Siada obok starca, pochyla głowę, przymyka oczy.

– Wkrótce trzeba będzie palić, Michale. Jeśli pogoda się nie zmieni, w poniedziałek zaczniemy ogrzewać.

Starzec obejmuje kobietę:

– Dobrze, Judyto. Przyjdę o piątej rano w poniedziałek.

Lucas patrzy na mężczyznę i kobietę, którzy z przymkniętymi oczami znieruchomieli w uścisku w głębokiej ciszy zapomnianego miasteczka pośród chłodniej wilgoci jesiennego poranka. Robi kilka kroków, by odejść, ale Judyta otrząsa się, otwiera oczy i wstaje.

– Niech pan zostanie, Lucasie. Dzieci wkrótce się obudzą. Muszę przygotować im śniadanie.

Całuje starca w czoło.

– Do poniedziałku, Michale. Do zobaczenia, Lucasie, z góry dziękuję panu za książki.

Judyta wraca do sierocińca, Lucas siada z powrotem.

– Jest bardzo ładna.

– Bardzo ładna, tak.

Starzec śmieje się.

– Na początku nie miała do mnie zaufania. Codziennie widywała mnie na tej ławce. Może myślała, że jestem podglądaczem. Pewnego dnia usiadła obok mnie i zapytała, co tutaj robię. Opowiedziałem jej o wszystkim. Było to na początku zeszłej zimy. Zapytała, czy nie chciałbym jej pomóc w ogrzewaniu sierocińca. Samej było jej trudno, bo miała tylko jedną szesnastoletnią dziewczynę do pomocy w kuchni. W domu nie ma centralnego ogrzewania, w każdym pokoju są piece kaflowe, a jest siedem pomieszczeń. Ależ byłem szczęśliwy, gdy znowu mogłem wejść do naszego domu, do naszych pokoi! Cieszyłem się także dlatego, że mogłem pomóc Judycie. Ta kobieta tak wiele przeszła. Jej mąż zaginął w czasie wojny, a ona była deportowana i poznała przedsiomek piekła. To nie przenośnia. Za drzwiami jej mieszkania płonął, rozpalony przez ludzi, prawdziwy ogień, który trawił ciała innych ludzi.

Lucas mówi:

– Wiem, o czym pan mówi. Sam widziałem podobne rzeczy w tym mieście.

– Musiał pan być bardzo młody.

– Byłem wtedy dzieckiem. Ale niczego nie zapomniałem.

– Zapomni pan. Takie jest życie. Z czasem wszystko się zaciera. Zacierają się wspomnienia, maleje ból. Pamiętam żonę, tak jak pamięta się ptaki albo kwiaty. Była cudownym zjawiskiem w świecie, w którym wszystko wydawało się lekkie, łatwe i piękne. Z początku przychodziłem tutaj dla zmarłej żony, teraz przychodzę dla żyjącej Judyty. Może to się panu wyda śmieszne, Lucasie, ale zakochałem się w Judycie. W jej sile, dobroci i czułości, którymi obdarza cudze dzieci.

Lucas mówi:

– Wcale nie wydaje mi się to śmieszne.

– W moim wieku?

– Wie nie ma znaczenia. Liczy się tylko to, co ważne. Kocha ją pan i ona także pana kocha.

– Judyta czeka na powrót męża.

– Wiele kobiet oczekuje lub oplakuje zmarłych czy zaginionych mężów. Ale sam pan dopiero co powiedział: „Ból maleje, zacierają się wspomnienia”.

Cierpiący na bezsenność starzec podnosi wzrok na Lucasa.

– Maleje, przygasa, tak, zgoda, lecz nie ginie zupełnie.

Jeszcze tego samego ranka Lucas wybiera książki dla dzieci, wkłada je do kartonowego pudła i mówi do Mathiasa:

– Czy mógłbyś zanieść te książki do sierocińca, który znajduje się obok parku przy drodze prowadzącej do domu Babki? To taki duży dom z balkonem, przed nim jest studzienka.

Dziecko mówi:

– Dobrze wiem, gdzie to jest.

– Dyrektorka nazywa się Judyta, dasz jej te książki ode mnie.

Dziecko odchodzi z książkami, wkrótce wraca. Lucas pyta:

– Spodobała ci się Judyta i dzieci?

– Nie widziałem ani Judyty, ani dzieci. Zostawiłem książki pod drzwiami.

– Nie wszedłeś do środka?

– Nie. Po co miałbym wchodzić? Żeby mnie tam zatrzymali?

– Co takiego? Co ty mówisz, Mathiasie?!

Dziecko zamyka się w swoim pokoju. Lucas zostaje w księgarni do zamknięcia, potem przygotowuje kolację i sam ją zjada. Bierze prysznic i właśnie zaczyna się ubierać, gdy dziecko wyskakuje nagle z pokoju.

– Wychodzisz, Lucasie? Dokąd chodzisz co wieczór?

Lucas mówi:

– Do pracy, wiesz o tym dobrze.

Dziecko kładzie się na łóżku Lucasa.

– Będę tu na ciebie czekał. Gdybyś pracował w barach, wracałbyś po zamknięciu, czyli o północy. Ale ty wracasz o wiele później.

Lucas siada na krześle naprzeciw dziecka.

– Tak, to prawda, Mathiasie. Wracam później. Mam przyjaciół, których odwiedzam po zamknięciu barów.

– Jakich przyjaciół?

– Nie znasz ich.

Dziecko mówi:

– Co noc jestem sam.

– Powinieneś spać w nocy.

– Spałbym, gdybyś ty spał w sąsiednim pokoju.

Lucas kładzie się obok Mathiasa, całuje go.

– Naprawdę myślałeś, że oddaję cię do sierocińca? Jak mogłeś w to uwierzyć?

– Nie całkiem uwierzyłem. Ale gdy przyszedłem pod drzwi, przestraszyłem się. Nigdy nic nie wiadomo. Jasmina także obiecywała, że nigdy mnie nie opuści. Nie посыłaj mnie tam więcej. Nie lubię chodzić w kierunku domu Babki.

– Rozumiem.

Dziecko mówi:

– Sieroty to takie dzieci, które nie mają rodziców. Ja też nie mam rodziców.

– Masz matkę, Jasminę.

– Jasmina wyjechała. A mój ojciec? Gdzie on jest?

– Ja jestem twoim ojcem.

– Ale ten drugi? Prawdziwy?

Lucas milczy przez chwilę, potem odpowiada:

– Umarł, zanim się urodziłeś. Zginął w wypadku, podobnie jak mój ojciec.

– Ojcowie zawsze giną w wypadkach. Czy ty również będziesz miał wkrótce wypadek?

– Nie. Ja bardzo uważam.

Lucas i dziecko pracują w księgarni. Dziecko bierze książki z kartonu i podaje Lucasowi, który stojąc na drabinie układa je na półkach. Jest deszczowy jesienny poranek.

Do sklepu wchodzi Piotr. Ma na sobie pelerynę z kapturem, krople deszczu spływają po jego twarzy, kapią na podłogę. Spod peleryny wyjmuję owiniętą w jutę paczkę.

– Weź ją, Lucasie. Oddaję ci. Już nie mogę jej dłużej trzymać. Już nie jest u mnie bezpieczna.

Lucas mówi:

– Jesteś blady, Piotrze. Co się dzieje?

– Czy ty w ogóle nie czytasz gazet? Nie słuchasz radia?

– Nigdy nie czytam gazet i słucham tylko starych płyt.

Piotr odwraca się w stronę dziecka.

– To jest dziecko Jasminy?

Lucas mówi:

– Tak, to jest Mathias. Mathiasie, powiedz Piotrowi dzień dobry. To przyjaciel.

Dziecko patrzy w milczeniu na Piotra.

Piotr mówi:

– Oczy Mathiasa powiedziały mi już „dzień dobry”.

Lucas mówi:

– Mathiasie, idź nakarmić zwierzęta.

Dziecko opuszcza oczy, grzebie w kartonie z książkami.

– O tej porze nie karmi się zwierząt.

Lucas mówi:

– Masz rację. Zostań tutaj i daj znać, gdy przyjdzie jakiś klient. Wejźmy na górę, Piotrze.

Wchodzą do pokoju Lucasa.

Piotr mówi:

– To dziecko ma cudowne oczy.

– Tak, oczy Jasminy.

Piotr podaje Lucasowi paczkę.

– Lucasie, w twoich zeszytach brakuje kartek.

– Tak, Piotrze. Przecież ci mówiłem, że wprowadzam poprawki, wykreślam i usuwam to, co zbędne.

– Poprawiasz, wykreślasz i usuwasz to, co zbędne. Twój brat Claus nic z tego nie rozumie.

– Claus rozumie.

– Ja także zrozumiałem.

– I dlatego mi je oddajesz? Bo wydaje ci się, że już wszystko rozumiałeś?

Piotr mówi:

– Lucasie, to, co się dzieje, nie ma nic wspólnego z twoimi zeszytami. To coś o wiele bardziej poważnego. W naszym kraju szykuje się powstanie. Kontrewolucja. Wszystkiemu dali początek intelektualiści, którzy pisali rzeczy, jakich nie powinni byli pisać. Potem przyszła kolej na studentów. Studenci zawsze gotowi są się zamęć. Zorganizowali manifestację, która przekształciła się w rozruchy przeciw siłom porządkowym. Jednak prawdziwe niebezpieczeństwo pojawiło się wtedy, gdy do studentów przyłączyli się robotnicy, a nawet część armii. Wczoraj wieczorem wojsko rozdało broń nieodpowiedzialnym osobom. Ludzie strzelają do siebie w stolicy, a zamieszki rozszerzają się na prowincję i ogarniają klasę chłopską.

Lucas mówi:

– To dotyczy wszystkich warstw społecznych.

– Oprócz jednej. Tej, do której należę.

– Jest was niewiele w porównaniu z tymi, którzy są przeciw wam.

– Jasne. Ale mamy potężnych przyjaciół.

Lucas milczy. Piotr otwiera drzwi:

– Lucasie, pewnie się już nie spotkamy. Rozstańmy się bez gniewu.

Lucas pyta:

– Dokąd jedziesz?

– Przywódcy partyjni mają przejść pod opiekę obcej armii.

Lucas wstaje, chwytając Piotra za ramiona, patrzy mu w oczy.

– Powiedz mi, Piotrze, czy ci nie wstyd?!

Piotr chwytając rękę Lucasa i przytula je do swojej twarzy. Zamyka oczy i mówi cicho:

– Tak, Lucasie. Bardzo mi wstyd.

Spod zamkniętych powiek spływa kilka łez. Lucas mówi:

– Nie. Tylko nie to. Weź się w garść.

Lucas odprowadza Piotra na ulicę. Wiedzie wzrokiem za czarną postacią, która w strugach deszczu, ze spuszczoną głową odchodzi w kierunku dworca. Gdy Lucas wraca do księgarni, dziecko mówi:

– Ładny jest ten pan. Kiedy tu znowu przyjedzie?

– Nie wiem, Mathiasie. Być może nigdy.

Wieczorem Lucas idzie do Klary. Wchodzi do ciemnego domu. Łóżko Klary jest zimne i puste. Lucas zapala nocną lampkę. Na poduszce leży kartka od Klary: „Idę pomścić Tomasza”.

Lucas wraca do domu. Zastaje dziecko w swoim łóżku. Mówi:

– Nie życzę sobie, żebyś co wieczór był w moim łóżku. Wracaj do swojego pokoju i śpij.

Dziecko pociąga noskiem, jego podbródek drży.

– Słyszałem, jak Piotr mówił, że ludzie strzelają do siebie w stolicy. Czy myślisz, że Jasminie grozi niebezpieczeństwo?

– Jasminie nie grozi niebezpieczeństwo, nie martw się.

– Powiedziałeś, że Piotr, być może, nigdy nie wróci. Sądzisz, że umrze?

– Nie, nie sądzę. Ale Klara na pewno.

– Kto to jest Klara?

– Przyjaciółka. Mathiasie, idź do łóżka i śpij. Jestem bardzo zmęczony.

W Małym Mieście prawie nic się nie dzieje. Z budynków państwowych znikają obce flagi oraz portrety przywódców. Przez miasteczko przechodzi pochód z dawnymi flagami narodowymi, ludzie śpiewają stary hymn, a także inne pieśni, które nawiązują do rewolucji z innej epoki.

Lokale są pełne. Ludzie rozmawiają, śmieją się i śpiewają głośniejsze niż zazwyczaj.

Lucas stale słucha radia, aż do dnia, w którym zamiast informacji nadają muzykę klasyczną.

Wygląda przez okno. Na Placu Głównym stoi czołg obcej armii.

Lucas wychodzi z domu po paczkę papierosów. Wszystkie sklepy są zamknięte. Lucas musi iść na dworzec. Po drodze widzi inne czołgi. Ich lufy kierują się w jego stronę, podążają za nim. Ulice są puste, okna i okiennice pozamykane. Jednak na dworcu i w jego okolicy jest pełno rozbrojonych miejscowych żołnierzy i strażników granicznych. Lucas zwraca się do jednego z nich:

– Co się dzieje?

– Nie wiem. Jesteśmy zdemobilizowani. Chciał pan odjechać? Nie ma pociągów dla cywilów.

– Nie chcę odjeżdżać. Przyszedłem po papierosy. Sklepy są pozamykane.

Żołnierz podaje Lucasowi paczkę papierosów.

– Nie może pan wejść do budynku dworcowego. Niech pan to bierze i wraca do siebie. Niebezpiecznie jest chodzić po ulicach.

Lucas wraca. Dziecko wstało, razem słuchają radia.

Dużo muzyki i kilka krótkich informacji:

„Wygraliśmy rewolucję. Lud odniósł zwycięstwo. Rząd poprosił naszego wielkiego przyjaciela o pomoc przeciwko wrogom ludu”.

I dalej:

„Zachowajcie spokój. Zakazuje się zgromadzeń przekraczających liczbę dwóch osób. Zakazuje się sprzedaży napojów alkoholowych. Restauracje i kawiarnie mają być zamknięte do czasu zaprowadzenia nowego porządku. Zabrania się indywidualnych wyjazdów pociągami lub autokarami. Przestrzegajcie godziny policyjnej. Nie opuszczajcie domów po zapadnięciu zmroku”.

I znowu muzyka, potem zalecenia i groźby:

„Należy wrócić do fabryk. Robotnicy, którzy nie przyjdą do pracy, zostaną zwolnieni. Sabotażyści zostaną oddani pod sąd wojenny. Grozi im kara śmierci”.

Dziecko mówi:

– Nic nie rozumiem. Kto wygrał rewolucję? Skąd tyle zakazów? Dlaczego oni są tacy niedobrzy?

Lucas wyłącza radio:

– Nie trzeba już słuchać radia. To na nic.

Jeszcze trwa opór, są walki i strajki. Są także aresztowania, uwięzienia, zniknięcia, egzekucje. Dwieście tysięcy ogarniętych paniką ludzi opuszcza kraju.

Kilka miesięcy później znowu nastaje cisza, spokój i porządek.

Lucas dzwoni do Piotra.

– Wiem, że wróciłeś. Dlaczego chowasz się przede mną?

– Nie chowam się przed tobą. Myślałem tylko, że nie chcesz mnie już widzieć. Czekałem, żebyś zrobił pierwszy krok.

Lucas śmieje się.

– Już zrobiłem. W sumie wszystko jest tak jak dawniej. Na nic była ta rewolucja.

Piotr mówi:

– Historia osądzi.

Lucas znowu się śmieje.

– Ależ to wielkie słowa. Piotrze, co się z tobą dzieje?

– Nie śmieję się. Przeszedłem poważny kryzys. Najpierw podałem się w partii do dymisji, potem pozwoliłem się przekonać, żeby wrócić na dawne miejsce. Bardzo lubię to miasto. Ono zniewala duszę. Kiedy raz ktoś tu zamieszka, nie może o nim zapomnieć. Zresztą ty jesteś tutaj, Lucasie.

– Czy to wyznanie miłosne?

– Nie. Przyjacielskie. Wiem, że nie mogę niczego od ciebie oczekiwać. A co z Klarą? Wróciła?

– Nie, Klara nie wróciła. Ktoś inny mieszka w jej domu.

Piotr mówi:

– W stolicy było trzydzieści tysięcy ofiar. Strzelano nawet do pochodu, w którym szły kobiety i dzieci. Jeśli Klara brała udział w czymś...

– Na pewno brała udział we wszystkim, co działo się w stolicy. Myślę, że połączyła się z Tomaszem, i tak jest dobrze. Bez przerwy mówiła o Tomaszu. Myślała tylko o nim, tylko jego kochała, to była jej choroba. Tak czy inaczej, umarłaby z jego powodu.

Po chwili Piotr mówi:

– Wiele osób przekroczyło granicę w tym burzliwym okresie, kiedy nie była strzeżona. Dlaczego nie skorzystałeś z okazji, żeby pojechać do brata?

– Nie pomyślałem o tym nawet przez chwilę. Jak mógłbym zostawić dziecko bez opieki?

– Mogłeś je wziąć ze sobą.

– To nie jest wyprawa dla małego dziecka.

– Jeśli ktoś naprawdę chce, wyjeżdża, dokąd chce, kiedy chce i z kim chce. Dziecko to tylko pretekst.

Lucas opuszcza głowę:

– Chłopiec musi tutaj pozostać. Czeka na matkę. Nie pojechałby ze mną.

Piotr nie odpowiada. Lucas podnosi głowę i spogląda na Piotra.

– Masz rację. Nie chcę jechać do Clausa. To on powinien wrócić, to on wyjechał.

Piotr mówi:

– Nie może wrócić ktoś, kto nie istnieje.

– Claus istnieje i wróci!

Piotr zbliża się do Lucasa, chwyta go za ramię.

– Uspokój się. Musisz wreszcie spojrzeć prawdzie w oczy. Ani twój brat nie wróci, ani matka dziecka, wiesz o tym dobrze.

Lucas szepce:

– Nie. Claus wróci.

Osuwa się na skraj fotela, uderza czołem o brzeg ławy, pada na dywan. Piotr wciąga go na kanapę, zwilża ręcznik i wyciera mokrą od potu twarz Lucasa. Kiedy Lucas odzyskuje przytomność, Piotr podaje mu kieliszek i podsuwa zapalonego papierosa.

– Przepraszam cię, Lucasie. Już nigdy nie będziemy rozmawiać o tych rzeczach.

Lucas pyta:

– O czym rozmawialiśmy?

– O czym?

Piotr zapala następnego papierosa.

– O polityce, oczywiście.

Lucas śmieje się.

– Ależ to musiało być nudne, skoro zdrzemnąłem się na kanapie.

– No, właśnie. Polityka zawsze cię nudziła, prawda, Lucasie?

Mathias ma sześć i pół roku. Pierwszego dnia nauki Lucas chce zaprowadzić go do szkoły, ale chłopiec woli iść sam. Gdy wraca w południe, Lucas pyta, jak było, a Mathias odpowiada, że dobrze.

Przez następne dni chłopiec mówi, że w szkole wszystko w porządku. Pewnego razu jednak wraca z rozciętym policzkiem. Mówi, że się przewrócił. Innego dnia ma czerwone ślady na prawej dłoni. Następnego dnia na tej dłoni czernieją paznokcie, z wyjątkiem kciuka. Chłopiec mówi, że przyciął drzwiami dłoń. Przez kilka tygodni musi pisać lewą ręką.

Pewnego wieczoru dziecko wraca z rozciętą i nabrzmiałą wargą. Nie może jeść. Lucas o nic nie pyta, wlewa mleko do buzi dziecka, potem kładzie na kuchennym stole skarpetę napełnioną kamykami, ostry kamień i brzytwę. Mówi:

– Taka była kiedyś nasza broń przed innymi dziećmi. Weź to. Broń się!

Dziecko mówi:

– Was było dwóch. Ja jestem sam.

– Sam też musisz umieć się bronić.

Dziecko patrzy na leżące na stole przedmioty.

– Nie mogę. Nigdy nie mógłbym nikogo uderzyć ani zranić.

– Dlaczego? Inni cię biją i ranią.

Dziecko patrzy Lucasowi w oczy.

– Moje fizyczne rany nie mają znaczenia. Lecz jeślibym miał skrzywdzić kogoś, zraniłbym siebie w taki sposób, że nie potrafiłbym tego znieść.

Lucas pyta:

– Chcesz, żebym porozmawiał z nauczycielem?

Dziecko mówi:

– Tylko nie to! Zabraniam ci! Nigdy tego nie rób, Lucasie! Czy ja się skarżę? Czy proszę cię o pomoc? O twoją broń?

Zrzuca ze stołu przedmioty służące do obrony.

– Jestem silniejszy od nich. Odważniejszy i, przede wszystkim, bardziej inteligentny. Tylko to się liczy.

Lucas wrzuca do wiadra na śmieci ostry kamień i skarpetę napelnioną kamykami. Składa brzytwę, chowa do kieszeni.

– Wciąż ją noszę przy sobie, ale już się nią nie posługuję.

Gdy dziecko układa się do snu, Lucas wchodzi do jego pokoju, siada na brzegu łóżka.

– Mathiasie, nigdy więcej nie będę się wtrącał do twoich spraw. Nie zadam ci żadnego pytania. Sam mi powiesz, kiedy będziesz chciał zrezygnować ze szkoły, dobrze?

Dziecko mówi:

– Nigdy nie będę chciał zrezygnować ze szkoły.

Lucas pyta:

– Powiedz, Mathiasie, czy płaczesz czasem wieczorem, gdy mnie nie ma?

Dziecko mówi:

– Jestem przyzwyczajony do samotności. Dobrze wiesz, że nigdy nie płacę.

– Tak, wiem. Nigdy też się nie śmiejesz. Gdy byłeś mały, wciąż się śmiałeś.

– To musiało być przed śmiercią Jasminy.

– Co ty mówisz, Mathiasie? Jasmina nie umarła.

– Umarła. Wiem o tym od dawna. W przeciwnym razie już by wróciła.

Lucas mówi po chwili:

– Nawet po wyjeździe Jasminy często się śmiałeś, Mathiasie.

Dziecko patrzy w sufit.

– Tak, być może. Zanim wyprowadziliśmy się z domu Babki. Nie powinniśmy byli wyprowadzać się z domu Babki.

Lucas bierze w dłonie twarz dziecka.

– Może masz rację. Może nie powinniśmy wyprowadzać się z domu Babki.

Chłopiec zamyka oczy, Lucas całuje go w czoło.

– Śpij dobrze, Mathiasie. A kiedy ogarnie cię smutek czy żal i nie będziesz chciał nikomu o tym powiedzieć, napisz, co czujesz. To ci pomoże.

Dziecko odpowiada:

– Już pisałem. Opisałem wszystko, co mi się przydarzyło, od kiedy tutaj mieszkamy. Koszmarne sny, szkoła, wszystko. Ja także mam swój duży zeszyt. Ty masz ich kilka, ja mam tylko jeden, cienki jeszcze. Nigdy nie pozwolę ci go przeczytać. Zabroniłeś mi czytać twoje, to ja nie pokażę ci mojego.

O dziesiątej rano do księgarni wchodzi brodaty starszy pan. To jeden z lepszych klientów. Lucas zna go z widzenia. Wstaje i pyta z uśmiechem:

– Czego pan sobie życzy?

– Dziękuję, tym razem niczego nie potrzebuję. Przyszedłem porozmawiać z panem na temat Mathiasa. Wysłałem kilka listów prosząc, żeby pan do mnie przyszedł.

Lucas mówi:

– Nie otrzymałem żadnego listu.

– Przecież pan podpisał.

Nauczyciel wyjmuje z kieszeni trzy koperty i podaje Lucasowi.

– Czy to nie pana podpis?

Lucas przygląda się listom.

– Tak i nie. To bardzo zręcznie podrobiony mój podpis.

Nauczyciel uśmiecha się odbierając listy.

– Tak też w końcu pomyślałem. Mathias nie chce, żebym z panem porozmawiał. Dlatego postanowiłem przyjść tutaj w czasie lekcji. Poprosiłem jednego ze starszych uczniów, żeby przypilnował moją klasę podczas mojej nieobecności. Jeśli pan sobie życzy, ta wizyta będzie naszą wspólną tajemnicą.

Lucas mówi:

– Tak. Myślę, że tak będzie lepiej. Mathias zabronił mi z panem rozmawiać.

– To bardzo dumne dziecko, a nawet zarozumiałe. Bezsprzecznie jest najbardziej inteligentnym uczniem w klasie. A jednak jedyna rada, jakiej mogę panu udzielić, brzmi: proszę go zabrać ze szkoły. Podpiszę niezbędne do tego papiery.

Lucas mówi:

– Mathias nie chce rezygnować ze szkoły.

– Gdyby pan wiedział, co on znosi! Okrucieństwo dzieci przekracza wszelkie wyobrażenia. Dziewczynki drwią z Mathiasa. Nazywają go „pajakiem”, „garbusem”, „bękartem”. Siedzi samotnie w pierwszym rzędzie i nikt nie chce zająć miejsca obok niego. Chłopcy biją go, kopią, okładają pięściami. Sąsiad siedzący z tyłu zwalił mu stół na palce. Wiele razy interweniowałem, ale to tylko pogorszyło sytuację. Nawet jego inteligencja zwraca się przeciw niemu. Uczniowie nie mogą ścierpieć, że Mathias wszystko wie, że we wszystkim jest najlepszy. Są zazdrośni i obrzydzają mu życie.

Lucas mówi:

– Wiem, chociaż Mathias nigdy o niczym mi nie mówi.

– To prawda. Nigdy się nie skarży. Nawet nie płacze. Ma niezwykle silny charakter. Ale nie może znieść nieskończoność takiego poniżenia. Niech pan go zabierze ze szkoły, co wieczór będę przychodził tutaj dawać mu lekcje; praca z tak zdolnym dzieckiem to dla mnie prawdziwa przyjemność.

Lucas mówi:

– Dziękuję panu. Jednak to nie zależy ode mnie. Mathias chce koniecznie chodzić do normalnej szkoły, tak jak inne dzieci. Dla niego rezygnacja ze szkoły oznaczałaby przyznanie się do inności, do kalectwa.

Nauczyciel mówi:

– Rozumiem. Lecz on jest inny i pewnego dnia będzie musiał się z tym pogodzić.

Lucas milczy, nauczyciel spaceruje oglądając książki na półkach.

– To przestronny lokal. Co by pan powiedział, gdyby wstawić tutaj kilka stolików z krzesłami i zrobić czytelnię dla dzieci? Mógłbym przynieść panu używane książki, mam ich tak dużo, że nie wiem, gdzie je trzymać. Wówczas dzieci, których rodzice nie mają ani jednej książki – a, proszę mi wierzyć, jest ich bardzo wielu – mogłyby przychodzić tu, żeby poczytać w ciszy przez godzinę lub dwie.

Lucas patrzy uważnie na nauczyciela.

– Myśli pan, że wtedy zmieniliby się stosunek innych dzieci do Mathiasa, prawda? Tak, warto spróbować. Być może jest to dobry pomysł, proszę pana.

Jest szósta wieczorem. Piotr dzwoni do drzwi księgarni. Lucas rzuca klucz przez okno. Piotr otwiera i wchodzi na górę:

– Nie przeszkadzam?

– Wcale. Wprost przeciwnie. Szukałem cię, ale zniknąłeś. Nawet Mathias martwił się, co się z tobą stało.

Piotr mówi:

– To miło. Śpi już?

– Jest u siebie, lecz nie wiem, co właściwie robi. Często budzi się w nocy i czyta, pisze, uczy się, rozmyśla.

– Może nas usłyszeć?

– Tak, jeśli będzie chciał.

– W takim razie wolę, żebyś przyszedł do mnie.

– Dobrze.

W domu Piotr otwiera wszystkie okna. Osuwa się na fotel.

– Ten upał jest nie do zniesienia. Weź coś do picia i siadaj. Wracam z dworca, jechałem przez cały dzień. Musiałem przesiadać się cztery razy, bardzo długo czekałem na połączenia.

Lucas podaje napoje.

– Skąd wracasz?

– Z rodzinnego miasta. Sędzia śledczy wezwał mnie tam w trybie pilnym. Chodzi o Wiktora. Udusił siostrę w ataku *delirium tremens*.

Lucas mówi:

– Biedny Wiktor. Widziałeś się z nim?

– Tak, widziałem. Jest w szpitalu psychiatrycznym.

– Jak się czuje?

– Bardzo dobrze, zachowuje spokój. Jest trochę opuchnięty od leków. Ucieszył się, gdy mnie zobaczył. Pytał o ciebie, księgarnię, o dziecko. Pozdrawia cię.

– A co powiedział na temat siostry?

– Po prostu stwierdził: „Stało się, niczego już nie można zmienić”.

Lucas pyta:

– Co go teraz czeka?

– Nie wiem. Jeszcze nie było procesu. Myślę, że pozostanie w szpitalu do końca życia. Więzienie to nie miejsce dla Wiktora. Spytałem, co mogę dla niego zrobić, a on mi odpowiedział, żebym systematycznie przysyłał mu coś do pisania. „Potrzebuję tylko papieru i ołówków. Tutaj wreszcie będę mógł napisać książkę”, powiedział.

– Tak, Wiktor chciał napisać książkę. Wspomniał mi o tym, gdy kupowałem od niego księgarnię. Właściwie w tym celu wszystko sprzedał.

– Tak, już zaczął pisać tę książkę.

Piotr wyjmując z teczki okazał maszynopis.

– Przeczytałem to w pociągu. Weź, przeczytaj i odnieś mi. Pisał na maszynie obok trupa siostry. Udusił siostrę i usiadł za biurkiem, żeby pisać. Tak ich znaleziono w pokoju Wiktora: na łóżku leżała uduszona siostra, a Wiktor stukał na maszynie popijając wódkę i paląc cygara. Następnego dnia klientki siostry wezwały policję. Zaraz po dokonaniu zbrodni Wiktor wyszedł z

domu, pobrał w banku pieniądze, kupił wódkę, papierosy i cygara. Czekałym pod drzwiami klientkom, które były umówione do miary, powiedział, że siostra odpoczywa znużona upałem i nie należy jej przeszkadzać. Uparte i bez wątpienia zniecierpliwione klientki, żadne nowych kreacji, wróciły następnego dnia, zastukały do drzwi, porozmawiały z sąsiadkami i stwierdziwszy, że coś tu nie gra, postanowiły zawiadomić policję. Policjanci wyważyli drzwi i znaleźli pijanego w sztok Wiktora, który spokojnie pisał na maszynie. Nie stawiał oporu, gdy go wyprowadzali; poszedł zabierając ze sobą maszynopis. Przeczytaj go. Mimo wielu błędów jest czytelny i niezwykle interesujący.

Lucas wraca do domu z opowiadaniem Wiktora i postanawia przepisać je w nocy do swojego zeszytu.

Mamy 15 sierpnia, trzy tygodnie temu nadeszły upały. Zarówno na dworze, jak i w domu skwar jest nie do zniesienia. Nie ma sposobu, żeby się przed nim obronić. Nie lubię gorąca, nie lubię lata. Chyba że jest to chłodne deszczowe lato, ale pora kanikuły zawsze wpędza mnie w chorobę.

Właśnie udusiłem siostrę. Leży na moim łóżku przykryta prześcieradłem. W taki upał ciało zacznie wkrótce cuchnąć. Nieważne. Później o tym pomyślę. Zamknąłem drzwi wejściowe na klucz i nie otwieram, gdy ktoś puka. Zamknąłem także okna i okiennice.

Prawie dwa lata mieszkałem z siostrą. Sprzedałem księgarnię i dom w odległym nadgranicznym miasteczku. Przyjechałem do siostry, żeby napisać książkę. W tamtej małej mieścinie wydawało mi się to niemożliwe ze względu na zbyt uciążliwą samotność, która mogła mnie wpędzić w chorobę i alkoholizm. Myślałem, że tutaj u boku siostry dbającej o dom, posiłki i ubranie, będę prowadził zdrowy tryb życia i odnajdę wewnętrzną równowagę, co pozwoli mi wreszcie zabrać się do książki, którą chciałem od dawna napisać.

Niestety, ciche i spokojne życie, które sobie wymarzyłem, zmieniło się wkrótce w piekło.

Siostra pilnowała mnie i wciąż szpiegowała. Od razu po przyjeździe zabroniła mi pić i palić, a gdy wracałem z zakupów czy ze spaceru, całowała mnie czule, lecz ja wiedziałem, że robi to, aby sprawdzić, czy pachnę alkoholem lub tytoniem.

Nie piłem przez kilka miesięcy, ale nie umiałem obejść się bez papierosów. Paliłem w ukryciu, jak dziecko. Kupowałem cygaro lub paczkę papierosów i szedłem do lasu na spacer. Wracając żułem igły świerku, ssałem miętowe cukierki, żeby tylko pozbyć się zapachu. Paliłem także w nocy przy otwartym oknie, nawet zimą.

Siadałem często przy biurku, brałem papier, ale w głowie miałem zupełną pustkę.

O czym miałem pisać? W moim życiu nic się nie działo, w moim życiu nigdy nic się nie zdarzyło, wokół mnie też nie. Nic takiego, co można by opisać. A zresztą siostra przeszkadzała mi bez przerwy, wchodziła do pokoju pod byle pretekstem. Przynosiła herbatę, odkurzała meble, układała w szafie uprane ubrania. Zaglądała mi przez ramię, żeby zobaczyć, czy pisanie posuwa się naprzód. Musiałem więc zapełniać stronę po stronie, a ponieważ nie miałem czym, zacząłem przepisywać fragmenty przypadkowych książek. Czasami siostra czytała jakieś zdanie, chwaliła je, z uśmiechem satysfakcji zachęcała do dalszej pracy.

Niczym nie ryzykowałem oszukując ją, ponieważ siostra nigdy nie czytała, być może nie przeczytała w życiu ani jednej książki, nie miała na to czasu, już jako młoda dziewczyna ciężko pracowała od świtu do nocy.

Wieczorem zmuszała mnie, abym siedział z nią w salonie.

– Dość pracy na dzisiaj. Porozmawiajmy trochę.

Mówiąc nie przerywała szycia w ręku czy na starej maszynie nożnej. Opowiadała o

sąsiadkach, klientkach, sukienkach, materiałach, zmęczeniu, ofiarach, które ponosiła myśląc o moim dziele i sukcesie.

Musiałem tam siedzieć bez papierosów, bez alkoholu, słuchając jej głupiego gadania. Kiedy wreszcie szła do sypialni, wracałem do siebie, zapalałem cygaro lub papierosa, brałem kartkę papieru i zapełniałem ją wyzwiskami pod adresem siostry, ograniczonych klientek oraz idiotycznych sukienek. Chowałem tę kartkę pośród innych, na których figurowały przepisane fragmenty przypadkowych książek.

Na gwiazdkę siostra podarowała mi maszynę do pisania.

– Twój rękopis jest już bardzo gruby, myślę, że wkrótce skończysz książkę. Potem trzeba będzie przepisać ją na maszynie. Uczyłeś się tego w szkole handlowej, a jeśli nawet trochę zapomniałeś z braku praktyki, teraz łatwo odzyskasz dawne umiejętności.

Byłem zrozpaczony, ale żeby zrobić przyjemność siostrze, natychmiast usiadłem za biurkiem i, niezbyt sprawnie, przepisałem kilka stron tekstu już uprzednio przepisanego z jakiejś książki. Siostra patrzyła na mnie kiwając z zadowoleniem głową.

– Nieźle, Wiktorze, jestem mile zaskoczona, całkiem dobrze to wychodzi. Wkrótce będziesz pisał tak szybko jak dawniej.

Gdy zostałem sam, przeczytałem zapisane kartki. Roilo się na nich od licznych błędów maszynowych, pomyłek i literówek.

Kilka dni później, wracając ze spaceru „dla zdrowia”, wstąpiłem do baru na przedmieściu. Chciałem tylko trochę się rozgrzać filiżanką herbaty, ponieważ z powodu złego krążenia zupełnie zeszytywniały mi zmarznięte ręce i nogi. Usiadłem przy stoliku w pobliżu pieca, a kiedy kelner zapytał, czego sobie życzę, odpowiedziałem:

– Herbatę.

Fotem dodałem:

– Z rumem.

Nie wiem, dlaczego to dodałem, nie miałem takiego zamiaru, a jednak dorzuciłem te słowa. Wypiłem herbatę z rumem i poprosiłem o jeszcze jedną porcję rumu, tym razem bez herbaty, a później o trzecią porcję rumu.

Rozejrzałem się niespokojnie dokoła. Miasto nie jest takie duże, prawie wszyscy mieszkańcy znają moją siostrę. Gdyby dowiedziała się od klientek lub sąsiadek, że wszedłem do baru! Jednak kiedy zobaczyłem tylko nieobecne, obojętne twarze zmęczonych ludzi, znikł mój niepokój. Zamówiłem jeszcze jedną porcję rumu i wyszedłem z baru. Stawiałem niepewne kroki, od wielu miesięcy nie piłem, alkohol szybko uderzył mi do głowy.

Nie wiedziałem, jak wrócić. Bałem się siostry. Przez pewien czas błądziłem po ulicach, potem kupiłem w sklepie paczkę miętowych cukierków, od razu wziąłem dwa do ust. Kiedy płaciłem, sam nie wiem dlaczego, jakby bezwiednie, powiedziałem do sprzedawczynie obojętnym głosem:

– Proszę mi jeszcze podać butelkę śliwownicy, dwie paczki papierosów i trzy cygara.

Włożyłem butelkę do wewnętrznej kieszeni jesionki. Na dworze padał śnieg, czułem się bardzo szczęśliwy. Nie bałem się już ani powrotu, ani siostry. Kiedy przyszedłem do domu, zawołała z pokoju, który był równocześnie pracownią krawiecką:

– Wiktorze, mam pilną pracę. Kolacja jest w piekarniku. Ja zjem później.

Zjadłem pospiesznie w kuchni, po czym wycofałem się do swojego pokoju i zamknąłem drzwi na klucz. Po raz pierwszy ośmieliłem się zamknąć drzwi na klucz. Gdy siostra chciała wejść, zawołałem, ośmieliłem się zawołać:

– Nie przeszkadzaj! Mam wspaniałe pomysły! Muszę je zanotować, zanim ulecą.

Siostra odpowiedziała nieśmiało:

– Nie chciałam ci przeszkadzać. Chciałam tylko życzyć ci dobrej nocy.

– Dobranoc, Zofio!

Wciąż nie odchodziła.

– Mam bardzo wymagającą klientkę. Muszę skończyć jej sukienkę na Nowy Rok. Wiktorze, przepraszam, że musiałeś sam zjeść kolację.

– Nie szkodzi – odpowiedziałem uprzejmie – idź spać, Zofio, już późno.

Po chwili zapytała:

– Wiktorze, dlaczego zamknąłeś drzwi na klucz? Nie powinieneś zamykać drzwi na klucz. To nie jest konieczne.

Wypiłem łyk wódki, żeby się uspokoić.

– Nie chcę, aby mi przeszkadzano. Piszę.

– To dobrze. To bardzo dobrze, Wiktorze.

Wypiłem butelkę wódki, była to tylko półlitrowka, wypaliłem dwa cygara i kilka papierosów. Niedopałki rzucałem za okno. Ciągłe padał śnieg. Bidy puch pokrywał niedopałki i pustą butelkę, którą także cisnąłem przez okno, hen, daleko, na ulicę.

Rankiem następnego dnia siostra zapukała do moich drzwi. Nie odpowiedziałem. Zapukała jeszcze raz. Zawołałem:

– Daj mi spać!

Usłyszałem, jak odchodzi.

Wstałem dopiero o drugiej po południu. Siostra czekała na mnie w kuchni z obiadem. Oto nasz dialog:

– Trzy razy podgrzewałam obiad.

– Nie jestem głodny. Zrób mi kawy.

– Jest druga. Jak można spać do tej pory?

– Pisałem do piątej rano. Jestem artystą. Mam prawo pracować, kiedy chcę, gdy czuję przypływ natchnienia. Pisanie to nie to samo, co szycie sukienek. Zapamiętaj to sobie dobrze, Zofio.

Siostra patrzyła na mnie z podziwem.

– Masz rację, Wiktorze, wybacz mi. Czy wkrótce skończysz książkę?

– Tak, już wkrótce.

– Co za szczęście! To będzie piękna książka. Przekonały mnie o tym fragmenty, które dałeś mi do przeczytania.

Pomyślałem: Co za idiotka!

Coraz więcej piłem, stawałem się nieostrożny. Zostawiałem papierosy w jesionce. Siostra, pod pretekstem czyszczenia ubrań, grzebała mi po kieszeniach. Pewnego dnia weszła do pokoju potrząsając opróżnioną do połowy paczką.

– Palisz!

Odpowiedziałem wyzywająco:

– Tak, palę. Nie mogę pisać bez palenia.

– Obiecałeś mi, że nie będziesz palił!

– Sobie też obiecałem. Jednak doszedłem do wniosku, że nie potrafię pisać, gdy nie palę. Dla mnie jest to bardzo trudny wybór, Zofio. Jeśli przestanę palić, przestanę także pisać. Postanowiłem, że lepiej palić i pisać, niż żyć bez pisania. Wkrótce dobrnę do końca książki, powinnaś pozwolić mi skończyć książkę, Zofio, nie bacząc na to, czy palę czy nie palę.

Siostra wyszła pod wrażeniem moich słów, potem wróciła z popielniczką, którą postawiła na biurku.

– Zatem pal, w końcu to nie ma większego znaczenia, i jeśli to służy pisaniu książki...

Żeby pić, przyjąłem następującą taktykę: kupowałem wódkę w różnych dzielnicach miasta

uważając, aby nie iść dwa razy pod rząd do tego samego sklepu. Przynosiłem butelkę w wewnętrznej kieszeni jesionki, potem chowałem ją do wciśniętego w róg korytarza stojaka na parasole, a kiedy siostra wychodziła z domu lub szła spać, zabierałem butelkę, zamykałem się w pokoju, piłem i paliłem do późnej nocy.

Unikałem barów, wracałem trzeźwy ze spacerów, i wszystko dobrze się układało między siostrą a mną, aż do wiosny tego roku, kiedy to siostra zaczęła się niecierpliwic.

– Skończysz wreszcie tę książkę, Wiktorze? To nie może trwać wiecznie. Nigdy nie wstajesz przed drugą po południu, źle wyglądasz, wkrótce nie tylko ty się rozchorujesz, lecz i ja przy tobie.

– Skończyłem ją, Zofio. Teraz muszę wprowadzić niezbędne poprawki i przepisać całość na maszynie. To ogromna praca.

– Nigdy bym nie pomyślała, że pisanie książki zajmuje tak dużo czasu.

– Książka to nie sukienka, Zofio, nie zapominaj o tym.

Nadeszło lato. Cierpiałem niemiłosiernie z powodu upału. Popołudnia spędzałem w lesie leżąc pod drzewami. Czasem zasypiałem, śniły mi się najróżniejsze rzeczy. Pewnego wieczoru burza zaskoczyła mnie we śnie, straszna burza. Było to czternastego sierpnia. Wyszedłem z lasu tak szybko, jak tylko chora noga mi na to pozwoliła. Schroniłem się pospiesznie w pierwszym spotkanym po drodze barze. Robotnicy, zwykli ludzie, siedzieli tam przy kieliszku. Wszyscy cieszyli się z burzy, gdyż od kilku miesięcy nie padał deszcz. Poprosiłem o lemoniadę. Zaśmiali się, a jeden z nich wyciągnął w moją stronę kieliszek czerwonego wina. Wziąłem. Następnie zamówiłem butelkę i poczęstowałem wszystkich. Deszcz padał, a my piliśmy beztrósko, zamawiałem butelkę po butelce, czułem się wspaniale, zewsząd otaczała mnie serdeczna przyjaźń. Wydałem wszystkie pieniądze, które miałem przy sobie. Moi kompani wychodzili jedni po drugich, lecz ja nie miałem ochoty wracać, czułem się osamotniony, nie miałem własnego domu, nie wiedziałem, dokąd pójść, chciałem wrócić do siebie, do księgarni w odległym miasteczku, które było idealnym miejscem, teraz wiedziałem o tym na pewno, nie powinienem był nigdy opuścić tego miasteczka przy granicy, aby przyjechać do siostry, którą znienawidziłem już w dzieciństwie.

Właściciel baru powiedział:

– Zamykamy!

Na ulicy chora lewa noga ugięła się pode mną, upadłem.

Nie pamiętam dalszego ciągu. Gdy się obudziłem zlany potem, leżałem w swoim łóżku. Nie miałem odwagi wyjść z pokoju. Powoli wracały strzępy zdarzeń. Rozochoczone, obłeśne twarze biesiadników w knajpie na przedmieściu... Potem deszcz i błoto... mundury policjantów, którzy mnie wyprowadzali... wykrzywiona i blada twarz siostry... moje obelgi na jej widok... śmiech policjantów...

W domu panowała cisza. Na dworze znowu świeciło słońce, był piekielny upał.

Wstałem, wyciągnąłem spod łóżka starą walizkę, zacząłem pakować do niej ubrania. To było jedyne wyjście: jak najszybciej stąd wyjechać. Szumiało mi w głowie. Piekłły mnie oczy, usta, gardło. Miałem zawroty, musiałem usiąść. Pomyślałem, że w tym stanie nigdy nie dotrę na dworzec. Poszperałem w koszu na papiery, znalazłem ledwie napoczętą butelkę wódki. Wypiłem duszkiem kilka łyków. Poczuję się lepiej. Dotknąłem głowy. Miałem bolesny guz za lewym uchem. Znowu sięgnąłem po butelkę. Podniosłem ją do ust, wtem do pokoju weszła siostra. Odstawiłem butelkę, czekałem. Siostra także czekała. Długo trwała cisza. Wreszcie siostra przerwała ją spokojnym, lecz dziwnym głosem:

– Co masz mi do powiedzenia?

– Nic – odpowiedziałem.

Wrzasnęła:

– Więc to tak! Tak po prostu! Wielmożny pan nie ma nic do powiedzenia! Upija się w sztok, tarza w błocie, zgarnia go policja, a on nie ma nic do powiedzenia!

Rzekłem:

– Zostaw mnie. Odchodzę.

Syknęła:

– Tak, widzę, że się pakujesz. Ale dokąd, głupi durniu, pójdziesz bez pieniędzy?

– Mam jeszcze w banku pieniądze ze sprzedaży księgarni.

– Ach tak? Ciekawa jestem, ile zostało tych pieniędzy? Upłynniłeś księgarnię za bezcen, a marne grosze, jakie wziąłeś, roztrwoniliś na alkohol i papierosy.

Oczywiście nigdy nie wspomniałem jej o złotych i srebrnych monetach ani o otrzymanej dodatkowo biżuterii, które także zdeponowałem w banku. Odpowiedziałem po prostu:

– Zostało mi jeszcze dosyć, żeby odjechać.

Rzekła:

– A ja? Nie płaciłeś mi. Żywiłam cię, dałam mieszkanie, opiekowałam się tobą. Kto mi za to wszystko zwróci?

Zamknąłem walizkę.

– Zwrócę ci. Pozwól mi odjechać.

Nagle złagodniała, mówiąc:

– Wiktorze, nie bądź dzieckiem. Po raz ostatni ci wybaczam. Wczoraj wieczorem to był tylko wypadek, chwilowe załamanie. Wszystko się zmieni, gdy skończysz książkę.

Spytałem:

– Jaką książkę?

Podniosła „moje dzieło”.

– Tę książkę. Twoją książkę.

– Nie napisałem ani jednej linijki.

– Jest tutaj prawie dwieście stron maszynopisu.

– Tak, dwieście stron przepisanych z różnych książek.

– Przepisanych? Nie rozumiem.

– Nigdy niczego nie zrozumiesz. Przepisałem te dwieście stron z rozmaitych książek. Nie ma tam ani jednej mojej linijki.

Patrzyła na mnie. Wziąłem butelkę i piłem. Długo.

Potrząsnęła głową.

– Nie wierzę ci. Jesteś pijany. Nie wiesz, co mówisz. Dlaczego miałbyś to robić?

Zaśmiałem się drwiąco.

– Żebyś myślała, że piszę. Ale ja nie mogę tutaj pisać. Przeszkadzasz mi, bez przerwy mnie szpiegujesz, nie dajesz mi pisać. Twój widok, twoja obecność w domu nie pozwalają mi pisać. Wszystko psujesz, poniżasz, niweczysz wszelkie pomysły, niszczysz moje życie, wolność, inspirację. Pilnujesz mnie od dziecka, dyrygujesz mną, cholernie mi się naprzykrzasz od dzieciństwa!

Zamilkła na chwilę, potem wyrecytowała jednym tchem wbijając wzrok w leżący na podłodze wytarty dywan:

– Wszystko poświęciłam dla twojej pracy, dla twojej książki: własną pracę, klientki, minione lata. Chodziłam na palcach, żeby ci tylko nie przeszkadzać. A ty przez prawie dwa lata pobytu u mnie nie napisałeś ani jednej linijki? Tylko jesz, palisz i pijesz! Jesteś leniuchem, do niczego się

nie nadajesz, ty pijaku i pasożycie! Opowiedziałam wszystkim klientkom o twojej książce. A ty niczego nie napisałeś?! Stanę się pośmiewiskiem całego miasta! Zhańbiłeś mój dom! Powinnam była pozwolić ci gnić w tamtej przebrzydłej mieścinie i twojej zafajdanej księgarni. Mieszkałeś samotnie od ponad dwudziestu lat, dlaczego nie napisałeś książki tam, gdzie ci nie przeszkadzałam, gdzie nikt ci nie przeszkadzał? Dlaczego? Otóż dlatego, że nawet w najbardziej sprzyjających warunkach i najkorzystniejszej sytuacji nie potrafiłbyś napisać ani jednej linijki byle jakiej książki.

Piłem przez cały czas, gdy mówiła, a kiedy jej odpowiedziałem, wydawało mi się, że mój głos dochodzi z sąsiedniego pokoju. Odrzekłem, że ma rację: nie mogę i nie będę mógł napisać czegokolwiek, dopóki będzie żyła. Przypomniałem jej także o inicjowanych przez nią w dzieciństwie – wszak była ode mnie starsza o kilka lat – eksperymentach seksualnych, które szokowały mnie bardziej, niżby mogła przypuszczać.

Siostra odpowiedziała, że były to tylko dziecinne zabawy i że w złym tonie jest wspominać o nich teraz, tym bardziej że pozostała dziewicą, a „tamte rzeczy” już dawno jej nie interesują.

Powiedziałem, że wiem, iż „tamte rzeczy” przestały ją interesować, że zadowala się głaskaniem bioder i piersi klientek, bo obserwowałem ją podczas przymiarek i widziałem, jak wielką przyjemność jej sprawia dotykanie tych młodych i pięknych kobiet, jej, która nigdy nie była młoda ani piękna, za to zawsze zepsuta.

Powiedziałem jej, że ze względu na brzydotę i obłudny purytanizm nie zdołała nigdy zwrócić na siebie uwagi żadnego mężczyzny. I dlatego właśnie zaczęła się kręcić koło swoich klientek i pod pretekstem przymiarek czy układania fałd na materiale pozwał da sobie na obmacywanie kobiet, które zamawiały u niej sukienki.

Siostra powiedziała:

– Przekroczyłeś już granicę, Wiktorze. Wystarczy!

Chwyciła butelkę, moją butelkę wódki, uderzyła nią o maszynę, wódka rozlała się na biurko. Zbliżała się do mnie trzymając stłuczoną szyjkę od butelki.

Wstałem, chwyciłem ją za rękę, ugryzłem w nadgarstek, wypuściła butelkę. Upadliśmy na łóżko, powaliłem się na nią, ścisnąłem rękoma jej chudą szyję, a gdy przestała się bronić, miałem wytrysk.

Następnego dnia Lucas oddaje Piotrowi maszynopis Wiktora. Kilka miesięcy później Piotr znowu jedzie do rodzinnego miasta, żeby wziąć udział w procesie. Jest nieobecny przez kilka tygodni. Wracając wstępuje do księgarni, głaszcząc dziecko po główce i mówi do Lucasa:

– Przyjdź do mnie dziś wieczorem.

Lucas mówi:

– Widzę, że to coś poważnego.

Piotr kiwa głową.

– Nie zadawaj mi teraz pytań. Do zobaczenia.

Po wyjściu Piotra Mathias zwraca się do Lucasa:

– Czy Piotra spotkało nieszczęście?

– Nie, nie Piotra, ale obawiam się, że jednego z jego przyjaciół.

Dziecko mówi:

– To na jedno wychodzi, a może to nawet gorzej.

Lucas przytula Mathiasa.

– Masz rację. Czasami to gorzej.

Lucas idzie do Piotra, pyta:

– A więc?

Piotr jednym haustem wychyla kieliszek wódki, który sobie nalał.

– Skazany na karę śmierci. Powieszony wczoraj rano. Pij!

Piotr podnosi butelkę, sprawdza poziom płynu, mówi drwiąco:

– Tak, wypilem już połowę butelki. Mogę być zmiennikiem Wiktora.

Lucas wstaje.

– Przyjdę kiedy indziej. Nie ma o czym z tobą rozmawiać w takim stanie.

Piotr mówi:

– Wprost przeciwnie. Tylko w takim stanie mogę rozmawiać o Wiktorze. Siadaj. Weź, to jest twoje. Od Wiktora.

Popycha w kierunku Lucasa małą płócienną torebkę.

Lucas pyta:

– Co to jest?

– Złote monety i biżuteria. Także pieniądze. Wiktor nie zdążył ich wydać. Powiedział do mnie: „Proszę oddać to wszystko Lucasowi. Zbyt drogo zapłacił za mieszkanie i księgarnię. Natomiast panu, Piotrze, przekazuję mój dom rodzinny. Ani ja, ani siostra nie mamy spadkobiercy. Niech pan sprzeda ten dom, Piotrze, on jest przeklęty, od dzieciństwa wisi nad nim klątwa. Niech pan go sprzeda i wróci do tej małej dalekiej miejsciny, tego wymarzonego miejsca, którego nie powinienem był nigdy opuszczać.

Po chwili Lucas mówi:

– Spodziewałeś się łżejszego wyroku dla Wiktora. Myślałeś nawet, że uniknie więzienia i że będzie mógł dokończyć życia w szpitalu psychiatrycznym.

– Pomyliłem się, to wszystko. Nie mogłem przewidzieć opinii psychiatrów, którzy ustalili, że Wiktor miał pełną świadomość dokonywanego czynu, ani tego, że Wiktor zachowa się na procesie jak dureń. W ogóle nie przejawiał skruchy, nie było po nim widać żadnego żalu czy wyrzutów sumienia. Bez przerwy powtarzał: „Musiałem to zrobić, musiałem ją zabić, to była jedyna możliwość, żeby napisać książkę”. Sędziowie stwierdzili, że człowiek nie ma prawa zabijać pod pretekstem, że ktoś przeszkadza w napisaniu książki. Oświadczyli także, że nie wolno być pobłażliwym dla kogoś, kto wypija kilka kieliszków wódki, a potem zabija człowieka ze wszech miar godnego szacunku. Uznali, że Wiktor jest osobnikiem egoistycznym, perwersyjnym, groźnym dla otoczenia. Oprócz mnie wszyscy świadkowie zeznawali przeciw niemu, a na korzyść siostry, która wiodła przykładne, godne szacunku życie i była poważana przez wszystkich, zwłaszcza przez klientki.

Lucas pyta:

– Czy widziałeś się z nim poza salą sądową?

– Tak. Po ogłoszeniu wyroku. Mogłem wchodzić do celi i zostawać tam tak długo, jak chciałem. Dotrzymywałem mu towarzystwa do ostatniego dnia.

– Bał się?

– Czy się bał? To chyba nie jest właściwe słowo. Na początku nie wierzył, nie mógł uwierzyć we wszystko, co się stało. Może czekał na ulaskawienie, może na cud, sam nie wiem. Wyzbył się złudzeń w dniu, w którym napisał testament. Ostatniego wieczoru powiedział do mnie: „Piotrze, wiem, że umrę, ale nie rozumiem tego. Zamiast jednego trupa, będą dwa – siostry i mój. Komu jest potrzebny drugi nieboszczyk? Na pewno nie Bogu. On nie chce ciał. Społeczeństwu? Gdyby pozwoliło mi żyć, zyskałoby jedną lub kilka książek zamiast trupa, który nie przyniesie nikomu pożytku”.

Lucas pyta:

– Byłeś przy egzekucji?

- Nie. Poprosił mnie o to, ale odmówiłem. Uważasz, że stchórzyłem, tak?
- Nie po raz pierwszy. Ale rozumiem cię.
- Ty byś poszedł?
- Tak, gdyby mnie o to poprosił.

Księgarnia została zamieniona na czytelnię. Niektóre dzieci zaczęły tu regularnie przychodzić, żeby poczytać lub porysować, inne zaglądają od czasu do czasu, gdy jest im zimno lub kiedy zmęczą się długą zabawą na śniegu. Te zostają ledwie kwadrans, ot tyle, by się rozgrzać przeglądając książki z obrazkami. Są także takie, które patrzą przez szybę wystawową, lecz uciekają, jeśli tylko Lucas wyjdzie zaprosić je do środka.

Od czasu do czasu Mathias schodzi do czytelnii, siada obok Lucasa z książką, po godzinie lub dwóch idzie na górę i wraca w porze zamknięcia. Stroni od dzieci. Gdy już wszystkie wyjdą, porządkuje książki, opróżnia kosz na papiery, stawia krzesła na stoły i wyciera brudną podłogę. Prowadzi także rachunki:

– Znowu ukradli nam siedem kredek, trzy książki i zmarnowali kilkanaście kartek.

Lucas mówi:

– Nie szkodzi, Mathiasie. Gdyby poprosili, dałbym im to wszystko. To nieśmiałe dzieci, wolą wziąć po kryjomu. Nic nie szkodzi.

Późnym popołudniem, kiedy wszyscy czytają w skupieniu, Mathias podsuwa Lucasowi kartkę papieru. Lucas czyta: „Spójrz na tę kobietę!” Za szybą z ulicznego mroku wyłania się cień kobiety, jakaś sylwetka bez twarzy wpatruje się w oświetloną salę księgarni. Gdy Lucas wstaje, cień znika.

Mathias szepcze:

– Ona wszędzie za mną chodzi. Na przerwach obserwuje mnie spoza ogrodzenia boiska. Idzie za mną, gdy wracam do domu.

– Czy coś do ciebie mówi?

– Nie. Kilka dni temu dawała mi jabłko, ale nie wziąłem. Innym razem, kiedy czterech chłopców powaliło mnie na śnieg i usiłowało rozebrać, nakrzyczała na nich i spoliczkowała. Uciekłem wtedy.

– Zatem nie ma złych zamiarów, obroniła ciebie.

– Tak, ale dlaczego? Nie ma żadnego powodu, żeby mnie bronić. I dlaczego za mną chodzi? Dlaczego mi się przygląda? Boję się jej spojrzenia. Boję się jej oczu.

Lucas mówi:

– Nie zwracaj na nią uwagi, Mathiasie. Wiele kobiet straciło dzieci w czasie wojny. Nie mogą o nich zapomnieć. Dlatego przywiązują się do innego dziecka, które przypomina im utraconą pociechę.

Mathias uśmiecha się drwiąco.

– Zdziwiłbym się, gdybym mógł komuś przypominać jego własne dziecko.

Wieczorem Lucas dzwoni do drzwi ciotki Jasmyny. Otwiera się okno.

– Czego pan chce?

– Porozmawiać z panią.

– Nie mam czasu. Muszę iść do pracy.

– Poczekam.

Gdy kobieta wychodzi z domu, Lucas mówi:

– Odprowadzę panią. Często pracuje pani w nocy?

– Co trzeci tydzień. Tak jak wszyscy. O czym pan chce ze mną rozmawiać? O pracy?

– Nie. O dziecku. Chciałbym prosić, żeby zostawiła je pani w spokoju.

- Nic mu nie zrobiłam.
- Wiem. Ale chodzi pani za Mathiasem, przygląda mu się. To go niepokoi. Rozumie pani?
- Tak. Biedactwo. Własna matka je zostawiła...

Idą w ciszy po ośnieżonej i pustej ulicy. Kobieta zasłania twarz szalem, jej ramionami wstrząsa tłumiony szloch.

Lucas pyta:

- Kiedy zwolnią pani męża?
- Męża? On nie żyje. Nie wiedział pan?
- Nie. Przepraszam.

– Oficjalnie popełnił samobójstwo. Dowiedziałam się jednak od kogoś, kto z nim siedział, a potem wyszedł na wolność, że to nie było samobójstwo. Koledzy z celi zabili go za to, co zrobił córce.

Stoją teraz przed dużą fabryką tekstylną oświetloną neonami. Ze wszystkich stron pospiesznie nadchodzą skurczone cienie, które znikają za żelazną bramą. Nawet w tym miejscu hałas maszyn jest ogłuszający.

Lucas pyta:

- Gdyby pani mąż nie umarł, przyjęłaby go pani?
- Nie wiem. Chyba nie miałby odwagi wrócić do tego miasta. Myślę, że pojechałby do stolicy odszukać Jasmine.

Rozlega się wycie syreny fabrycznej. Lucas mówi:

- Pójdę już. Spóźni się pani.

Kobieta podnosi bladą, młodą jeszcze twarz; jej czarne oczy lśnią jak wzrok Jasmine.

– Teraz, kiedy zostałam sama, być może mogłabym, jeśli się pan zgodzi, wziąć dziecko do siebie.

Lucas przekrzykuje syrenę fabryczną:

– Wziąć Mathiasa? Nigdy! On jest tylko mój! Zabraniam pani zbliżać się do niego, przyglądać mu się, mówić do niego, śledzić go!

Kobieta cofa się w kierunku fabrycznej bramy.

- Niech się pan uspokoi. Czy pan oszalał? To była tylko propozycja.

Lucas odwraca się i biegnie do księgarni. Opiera się o ścianę domu, czeka, aż ucichnie łomot serca.

Do księgarni wchodzi młodziutka dziewczyna, staje przed Lucasem, uśmiecha się.

- Nie poznaje mnie pan?
- Powinienem cię poznać?
- Mam na imię Agnieszka.

Lucas zamyśla się.

- Przykro mi panienko, nie pamiętam.

– A jednak jesteśmy starymi przyjaciółmi. Przyszłam kiedyś do pana posłuchać muzyki. To prawda, miałam wtedy zaledwie sześć lat. Chciał mi pan zrobić huśtawkę.

Lucas mówi:

- Przypominam sobie. Przysłała cię ciotka Leonia.

– Tak, zgadza się. Już nie żyje. Teraz przychodzę na polecenie, dyrektora fabryki, żeby kupić ilustrowane książki dla dzieci z przedszkola.

- Pracujesz w fabryce? Powinnaś jeszcze się uczyć.

Agnieszka czerwieni się.

– Mam piętnaście lat. W zeszłym roku zrezygnowałam ze szkoły. Nie pracuję w fabryce, lecz w przedszkolu. Dzieci nazywają mnie panienką.

Lucas uśmiecha się.

– Ja także nazwałem cię panienką.

Dziewczyna podaje banknoty Lucasowi.

– Poproszę o książki oraz papier i kredki do rysowania.

Agnieszka często przychodzi do księgarni. Długo szpera wśród książek na półkach, siada z dziećmi, czyta i rysuje.

Gdy Mathias widzi ją po raz pierwszy, mówi do Lucasa:

– To bardzo ładna kobieta.

– Kobieta? Przecież to jeszcze dziewczynka.

– Ma piersi, więc nie jest już dziewczynką.

Lucas zerka na piersi Agnieszki wyraźnie zarysowane pod czerwoną trykotową bluzką.

– Masz rację, Mathiasie, ma piersi. Nie zauważyłem ich wcześniej.

– Jej włosów też nie widziałeś? Ma bardzo ładne włosy. Spójrz, jak się złocą w słońcu.

Lucas zerka na długie jasne włosy Agnieszki, które lśnią w słońcu. Mathias ciągnie dalej:

– Spójrz na jej czarne rzęsy.

Lucas mówi:

– To tusz.

– Jej usta.

– To szminka. Nie powinna się jeszcze malować.

– Masz rację, Lucasie. Bez makijażu też byłaby piękna.

Lucas śmieje się.

– A ty nie powinieneś się jeszcze rozglądać za dziewczynami.

– Nie rozglądałem się za dziewczynami ze szkoły. Są głupie i brzydkie.

Agnieszka wstaje, wspina się na drabinkę, sięga po książkę. Ma bardzo krótką spódniczkę, widać jej podwiązki i czarne pończochy, w których leci oczko. Gdy to spostrzega, ślini wskazujący palec i usiłuje zatrzymać oczko. W tym celu pochyla się i wtedy widać także białe majtki w różowe kwiatki, majtki małej dziewczynki.

Pewnego wieczoru zostaje do zamknięcia sklepu. Mówi do Lucasa:

– Pomogę panu sprzątać.

Lucas mówi:

– Mathias mi pomaga. Bardzo dobrze to robi.

Mathias mówi do Agnieszki.

– Gdy mi pomożesz, szybciej skończę i będę mógł ci zrobić naleśniki z dżemem, jeśli je lubisz.

Agnieszka mówi:

– Wszyscy lubią naleśniki z dżemem.

Lucas idzie do pokoju. Po pewnym czasie Mathias woła:

– Chodź jeść, Lucasie!

Jedzą w kuchni naleśniki z dżemem, piją herbatę. Lucas milczy. Agnieszka i Mathias bez przerwy się śmieją. Po posiłku Mathias mówi:

– Trzeba odprowadzić Agnieszkę. Jest ciemno.

Agnieszka mówi:

– Mogę wrócić sama. Nie boję się ciemności.

Lucas mówi:

– Chodź. Odprowadzę cię.

Agnieszka pyta przed swoim domem:

– Nie chce pan wejść?

– Nie.

– Dlaczego?

– Jesteś jeszcze dzieckiem, Agnieszko.

– Nie, nie jestem już dzieckiem. Jestem kobietą. Przychodzą do mnie mężczyźni. Rodziców nie ma. Pracują. A nawet gdyby byli... Mam własny pokój i robię w nim, co mi się podoba.

Lucas mówi:

– Dobranoc, Agnieszko. Muszę już iść.

Agnieszka mówi:

– Wiem, dokąd pan chodzi. Tam dalej, na małą uliczkę, do wojskowych dziwek.

– Zgadza się. Ale to nie twoja sprawa.

Następnego dnia Lucas mówi do Mathiasa:

– Powinieneś zapytać mnie o zdanie, zanim zaprosisz kogoś do stołu.

– Nie podoba ci się Agnieszka? Szkoda. Jest w tobie zakochana. To widać. To dla ciebie tak często tutaj przychodzi.

Lucas mówi:

– Masz bujną wyobraźnię, Mathiasie.

– Nie chciałbyś się z nią ożenić?

– Ożenić się? Co za pomysł! Nie, na pewno nie.

– Dlaczego? Czekasz wciąż na Jasmine? Ona już nie wróci.

Lucas mówi:

– Nie chcę się z nikim żenić.

Jest wiosna. Drzwi wychodzące na ogródek są otwarte. Mathias zajmuje się roślinami i zwierzętami. Ma białego królika, kilka kotów i czarnego psa, którego dostał od Józefa. Z niecierpliwością czeka na wyklucie kurczaków wysiadywanych przez kurę w kurniku.

Lucas patrzy na salę, w której dzieci pochłonięte lekturą pochylają się nad książkami.

Jakiś chłopczyk podnosi wzrok, uśmiecha się do Lucasa. Ala jasne włosy i niebieskie oczy, jest tutaj po raz pierwszy.

Lucas nie może oderwać spojrzenia od tego dziecka. Siada za ladą, otwiera książkę i wciąż patrzy na nieznanego chłopca. Wtem ostry ból przeszywa spoczywającą na książce lewą rękę Lucasa. Został w nią wbity cyrkiel. Na pół sparaliżowany przenikliwym bólem, Lucas odwraca się powoli w stronę Mathiasa:

– Dlaczego to zrobiłeś?

Mathias cedzi przez zęby:

– Nie chcę, żebyś na niego patrzył!

– Na nikogo nie patrzę.

– Patrzysz! Nie kłam! Widziałem, jak na niego patrzysz. Nie chcę, żebyś tak na niego patrzył!

Lucas wyciąga cyrkiel, przykładając chusteczkę do dłoni.

– Idę na górę zdezynfekować ranę.

Kiedy wraca, nie ma już dzieci. Mathias zamknął kratę w drzwiach:

– Powiedziałem im, że dziś wcześniej zamykamy.

Lucas bierze Mathiasa na ręce, zanoszą do mieszkania, kładzie na łóżku.

– Co ci jest, Mathiasie?

– Dlaczego tak patrzyłeś na tego chłopca o jasnych włosach?

- Przypominał mi kogoś.
- Kogoś, kogo kochałeś?
- Tak, brata.
- Nie powinieneś kochać nikogo oprócz mnie, nawet brata.

Lucas milczy, dziecko mówi dalej:

– Nie warto być mądrym dzieckiem. Lepiej być pięknym blondynkiem. Gdybyś się ożenił, mógłbyś mieć dzieci, takie jak ten chłopiec o jasnych włosach, takie jak twój brat. Miałbyś swoje własne dzieci: piękne, jasnowłose, zdrowe. Nie jestem twoim synem. Jestem synem Jasminy.

Lucas mówi:

– Jesteś moim synem. Nie chcę innych dzieci.

Pokazuje obandażowaną rękę.

– Zraniłeś mnie, wiesz?

Dziecko mówi:

– Ty także mnie zraniłeś, choć o tym nie wiesz.

Lucas mówi:

– Nie chciałem cię zranić. Mathiasie, musisz wiedzieć, że jesteś jedyną osobą na świecie, na której mi zależy.

Dziecko mówi:

– Nie wierzę ci. Tylko Jasmina naprawdę mnie kochała, ale ona nie żyje. Już nieraz ci to mówiłem.

– Jasmina żyje, tylko wyjechała.

– Nie wyjechałaby beze mnie, więc nie żyje.

Dziecko mówi jeszcze:

– Trzeba zlikwidować czytelnię. Dlaczego wpadłeś na pomysł, żeby ją otworzyć?

– Zrobiłem to dla ciebie. Sądziłem, że dzięki niej zyskasz przyjaciół.

– Nie chcę przyjaciół. Nigdy nie prosiłem cię o czytelnię. Proszę natomiast, żebyś ją zamknął.

Lucas mówi:

– Zamknę ją. Jutro wieczorem powiem dzieciom, że przy tak ładnej pogodzie mogą czytać i rysować na dworze.

Następnego dnia przychodzi chłopczyk o jasnych włosach. Lucas nie patrzy w jego stronę. Wbija spojrzenie w linijki i litery książki.

Mathias mówi:

– Nie masz odwagi na niego spojrzeć? Przecież tak bardzo tego pragniesz. Od pięciu minut nie przewróciłeś ani jednej kartki.

Do księgarni wchodzi Agnieszka, Mathias biegnie na jej spotkanie, dziewczynka całuje go. Mathias pyta:

– Dlaczego przestałaś przychodzić?

– Nie miałam czasu. Wyjechałam na kurs pedagogiczny. Rzadko przyjeżdżałam.

– Ale teraz zostaniesz tutaj?

– Tak.

– Przyjdziesz do nas dziś wieczorem na naleśniki?

– Przy szłabym chętnie, ale muszę zająć się młodszym bratem. Nasi rodzice pracują.

Mathias mówi:

– Weź ze sobą młodszego brata. Dla wszystkich wystarczy naleśników. Pójdę już przygotować ciasto.

– A ja posprzątam za ciebie księgarnię.

Mathias idzie na górę, Lucas mówi do dzieci:

– Możecie zabrać książki ze stolików. Weźcie też papier i po pudełku kredek. Latem nie będziemy was tutaj trzymać w zamknięciu. Pójdźcie czytać i rysować w ogródkach lub parkach. Jeśli będziecie czegoś potrzebować, zwróćcie się do mnie.

Dzieci wychodzą, tylko chłopczyk o jasnych włosach nie rusza się z miejsca. Lucas pyta cicho:

– A ty? Dlaczego nie wracasz do domu?

Dziecko nie odpowiada. Lucas zwraca się do Agnieszki:

– Nie wiedziałem, że to twój brat. Nic o nim nie wiedziałem.

– Jest nieśmiały. Ma na imię Samuel. Poradziłam mu, żeby tutaj przychodził, ponieważ umie już czytać. To mój młodszy brat. Starszy Szymon już od pięciu lat pracuje w fabryce jako kierowca ciężarówki.

Chłopczyk o jasnych włosach wstaje, bierze siostrę za rękę.

– Przyjdziemy do pana na naleśniki?

Agnieszka mówi:

– Tak, chodźmy. Trzeba pomóc Mathiasowi.

Wchodzi po schodach prowadzących do mieszkania. W kuchni Mathias miesza ciasto naleśnikowe. Agnieszka mówi:

– Mathiasie, przedstawiam ci mojego młodszego brata. Ma na imię Samuel. Możecie zostać przyjaciółmi, jesteście prawie w tym samym wieku.

Mathias wybałusza oczy, upuszcza drewnianą łyżkę, wychodzi z kuchni. Agnieszka pyta Lucasa:

– Co się stało?

Lucas mówi:

– Mathias pewnie poszedł po coś do swego pokoju. Zaczynaj smażyć naleśniki, Agnieszko, zaraz wracam.

Lucas wchodzi do pokoju Mathiasa. Dziecko leży na pierzynie, mówi:

– Zostaw mnie w spokoju. Chcę spać.

– Zaprosiłeś ich, Mathiasie. Wróć, tego wymaga grzeczność.

– Zaprosiłem Agnieszkę. Nie wiedziałem, że on jest jej bratem.

– Ja też nie wiedziałem. Zrób to dla Agnieszki, Mathiasie. Lubisz ją, prawda?

– A ty lubisz jej brata. Kiedy zobaczyłem was wchodzących razem do kuchni, zrozumiałem, że jesteście prawdziwą rodziną. Piękni rodzice o jasnych włosach z pięknym jasnowłosym dzieckiem. Ja nie mam rodziny. Nie mam matki ani ojca, nie mam jasnych włosów, jestem brzydkim kaleką.

Lucas tuli go do siebie.

– Mathiasie, mój mały chłopcze, jesteś całym moim życiem.

Mathias uśmiecha się.

– Dobrze, chodźmy jeść.

W kuchni, pośrodku nakrytego stołu, wznosi się stos naleśników.

Agnieszka dużo mówi, często wstaje, żeby nalać herbaty. Zajmuje się zarówno młodszym bratem, jak i Mathiasem.

– Dżemu? Sera? Czekolady?

Lucas obserwuje Mathiasa. Chłopiec mało je, nie odwraca oczu od jasnowłosego dziecka. Jasnowłose dziecko je dużo, uśmiecha się do Lucasa, gdy spotkają się ich spojrzenia, uśmiecha się do siostry, która mu coś podaje, lecz kiedy spojrzenie jego niebieskich oczu trafia na ponury wzrok Mathiasa, wbija wzrok w ziemię.

Agnieszka zmywa naczynia z Mathiasem. Lucas idzie do swojego pokoju. Mathias woła go po pewnym czasie:

– Trzeba odprowadzić Agnieszkę i brata.

Agnieszka mówi:

– Naprawdę nie boimy się wracać sami.

Mathias nalega:

– Odprowadź ich. Tego wymaga grzeczność.

Lucas odprowadza gości. Życzy im bardziej nocy, a potem idzie usiąść na ławce w parku odwiedzanym przez cierpiącego na bezsenność starca.

Cierpiący na bezsenność starzec mówi:

– Jest wpół do czwartej. O jedenastej dziecko rozpało ogień w pokoju. Pozwoliłem sobie interweniować, chociaż nie mam takiego zwyczaju. Bałem się pożaru. Spytałem chłopca, co robi, odpowiedział, żebym się nie martwił, gdyż po prostu pali stare klasówki w blaszanym wiadrze pod oknem. Zapytałem, dlaczego nie spali tych papierów w kuchni, a on odpowiedział, że nie ma ochoty chodzić z tym do kuchni. Wkrótce ogień zgasł i nie widziałem już więcej dziecka ani nie słyszałem hałasu.

Lucas wchodzi na schody, otwiera drzwi do swojego pokoju, a potem do pokoju dziecka. Pod oknem stoi białe blaszane wiadro z resztkami spalonego papieru. Łóżko dziecka jest puste. Na poduszce leży zamknięty niebieski zeszyt. Na białej naklejce napis: ZESZYT MATHIASA. Lucas otwiera zeszyt; w środku są tylko puste strony i ślad po wyrwanych kartkach. Lucas rozsuwa ciemnoczerwone zasłony. Obok szkieletów matki i niemowlęcia wisi zsiniałe już ciało Mathiasa.

Cierpiący na bezsenność starzec słyszy przeciągłe wycie. Wychodzi na ulicę, dzwoni do Lucasa. Nikt nie odpowiada. Starzec wspina się po schodach, wchodzi do pokoju Lucasa, widzi następne drzwi, otwiera. Lucas leży na łóżku przyciskając do piersi ciało dziecka.

– Lucas?

Lucas nie odpowiada, wpatruje się w sufit szeroko otwartymi oczyma.

Starzec schodzi na ulicę, idzie do Piotra, dzwoni. Piotr otwiera okno.

– Co się dzieje, Michale?

– Lucas pana potrzebuje. Stało się wielkie nieszczęście. Niech pan zaraz przyjdzie.

– Wracaj do siebie, Michale. Ja wszystkim się zajmę.

Idzie do Lucasa. Widzi blaszane wiadro oraz dwa ciała leżące na łóżku. Odsuwa zasłonę, spostrzega szkielety i wiszący na tym samym haku kawałek odciętego brzytwą sznurka. Podchodzi do łóżka, delikatnie odsuwa ciało dziecka i wymierza Lucasowi dwa policzki:

– Obudź się!

Lucas zamyka oczy, Piotr potrząsa nim.

– Powiedz, co się stało!

Lucas mówi:

– To Jasmina. Zabrała mi go.

Piotr mówi surowo:

– Lucasie, tego nikt więcej nie może usłyszeć. Nigdy. Zrozumiałeś? Spójrz na mnie!

Lucas spogląda na Piotra.

– Tak, zrozumiałem. Piotrze, co ja mam teraz robić?

– Nic. Leż. Przyniosę ci coś na uspokojenie. Zajmę się także wszystkimi formalnościami.

Lucas obejmuje ciało Mathiasa.

– Dziękuję, Piotrze. Nie potrzebuję niczego na uspokojenie.

– Nie? To chociaż spróbuj płakać. Gdzie masz klucze?

- Nie wiem. Może zostały w drzwiach wejściowych.
 - Zamknę cię. Nie powinieneś wychodzić w tym stanie. Zaraz wracam.
- Piotr znajduje w kuchni torbę, odczepia szkielety, wkłada je do torby i zabiera do siebie.

Lucas i Piotr idą za wozem Józefa, na którym leży trumna dziecka.

Na cmentarzu, na wykopanej górze ziemi siedzi grabarz i je słoninę z cebulą.

Mathias zostaje złożony do grobu Babki i Dziadka Lucasa.

Kiedy grabarz zasypał otwór, Lucas sam umocował krzyż, na którym został wyryty napis: „Mathias” oraz dwie daty. Dziecko żyło siedem lat i cztery miesiące.

Józef pyta:

- Odwieźć cię, Lucasie?

Lucas mówi:

- Wracaj, Józefie, dziękuję. Dziękuję za wszystko.
- Nie ma po co tutaj zostawać.

Piotr mówi:

- Jedziemy, Józefie. Wracam z panem.

Lucas słyszy turkot odjeżdżającego wozu. Siada obok grobu. Wokół śpiewają ptaki.

Jakaś kobieta w czerni podchodzi po cichu i kładzie u stóp krzyża bukiet fiołków.

Później wraca Piotr. Opiera dłoń na ramieniu Lucasa.

- Chodź. Wkrótce się ściemni.

Lucas mówi:

- Nie mogę zostawić go tutaj samego w nocy. Boi się ciemności. Jest jeszcze taki mały.
- Nie, teraz już się niczego nie boi. Chodź, Lucasie.

Lucas wstaje, wpatruje się w grób.

– Powinienem być pozwolić mu odejść z matką. Piotrze, popełniłem straszliwy błąd chcąc zatrzymać dziecko za wszelką cenę.

Piotr mówi:

– Każdy z nas popełnia w życiu jakiś wielki błąd, a gdy zdamy sobie z niego sprawę, jest za późno, żeby cokolwiek naprawić.

Wracają do miasta. Przed księgarnią Piotr pyta:

- Przyjdiesz do mnie, czy wolisz wrócić do siebie?
- Wolę wrócić.

Lucas wchodzi do mieszkania. Siada za biurkiem, patrzy na zamknięte drzwi dziecinnego pokoju, otwiera szkolny zeszyt, pisze:

Jeśli chodzi o Mathiasa, wszystko w porządku. Wciąż jest najlepszy w szkole i nie miewa już koszmarnych snów.

Zamyka zeszyt, wychodzi z domu, wraca na cmentarz i zasypia na grobie dziecka.

Cierpiący na bezsenność starzec budzi go o świcie.

- Chodź, Lucasie. Trzeba otworzyć księgarnię.
- Dobrze, Michale.

Claus przyjeżdża pociągiem. Dworzec nie zmienił się, ale teraz na pasażerów czeka autokar.

Claus nie wsiada do autokaru, idzie pieszo w kierunku centrum. Kwitną kasztany, ulica jest tak pusta i cicha jak dawniej.

Mężczyzna zatrzymuje się na Placu Głównym. Tam, gdzie stały zwyczajne niskie domki, wznosi się teraz duży dwupiętrowy budynek. To hotel. Claus wchodzi i pyta recepcjonistkę:

– Kiedy zbudowano ten hotel?

– Stoi już z dziesięć lat, proszę pana. Życzy pan sobie pokój?

– Jeszcze nie wiem. Wróć za kilka godzin. Czy mogę zostawić tutaj walizkę?

– Oczywiście.

Claus kontynuuje wędrowkę, przemierza miasto, zostawia za sobą ostatnie domy, idzie nie utwardzoną drogą prowadzącą na boisko. Mija boisko i siada na trawie nad brzegiem rzeki. Chwilę później jakieś dzieci zaczynają grać w piłkę. Claus pyta jedno z nich:

– Od dawna jest tutaj to boisko?

Dziecko wzrusza ramionami.

– Boisko? Zawsze tu było.

Claus wraca do miasta, idzie drogą pod górę prowadzącą na zamek, potem zagląda na cmentarz. Długo szuka, lecz nie odnajduje grobu Babki i Dziadka. Kieruje się w stronę miasta, siada na ławce przy Placu Głównym, patrzy na ludzi, którzy robią zakupy, wracają z pracy, spacerują lub przejeżdżają obok na rowerze. Jest bardzo mało samochodów. Po zamknięciu sklepów plac pustoszeje, a Claus wraca do hotelu.

– Biorę pokój, proszę pani.

– Na ile dni?

– Jeszcze nie wiem.

– Mogę pana prosić o paszport?

– Proszę.

– Pan jest cudzoziemcem? Gdzie nauczył się pan tak dobrze mówić w naszym języku?

– Tutaj. Spędziłem dzieciństwo w tym mieście.

Recepcjonistka przygląda mu się.

– To chyba było dawno temu.

Claus mówi z uśmiechem:

– Sądzi pani, że jestem taki stary?

Młoda kobieta czerwieni się.

– Nie, nie to chciałam powiedzieć. Dam panu najładniejszy pokój, prawie wszystkie są wolne, sezon jeszcze się nie zaczął.

– Macie dużo turystów?

– Tak, latem. Polecam panu także naszą restaurację.

Claus wchodzi do pokoju na pierwszym piętrze. Obydwa okna wychodzą na plac.

Claus je w pustej restauracji i wraca do pokoju. Otwiera walizkę, układa ubrania w szafie, przyciąga fotel do okna i patrzy na wyludnioną ulicę. Z drugiej strony placu stare domy zachowały swój dawny wygląd. Są odrestaurowane, pomalowane na różowo, żółto, niebiesko, zielono. Na parterze każdego budynku znajdują się różne sklepy: spożywczy, „pamiątki”, nabiałowy, księgarnia, „moda”. Księgarnia mieści się w niebieskim domu, tam gdzie dawniej

Claus kupował papier i ołówki.

Następnego dnia Claus znowu idzie na boisko, do zamku, na cmentarz i na dworzec. Gdy jest zmęczony, wchodzi do baru lub odpoczywa na ławce w parku. Późnym wieczorem wraca na Plac Główny, wchodzi do księgarni.

Siwy mężczyzna siedzący za ladą czyta przy świetle biurowej lampki. W sklepie panuje półmrok, nie ma żadnego klienta. Siwy mężczyzna podnosi się.

– Przepraszam, zapomniałem zapalić światło.

Sala rozwidnia się, jaśnieją okna wystawowe.

Mężczyzna pyta:

– Czym mogę służyć?

Claus mówi:

– Niech pan sobie nie przeszkadza. Popatrzę tylko.

Mężczyzna zdejmuje okulary:

– Lucas!

Claus uśmiecha się.

– Pan zna mojego brata! Gdzie on jest?

Mężczyzna powtarza:

– Lucas!

– Jestem bratem Lucasa. Mam na imię Claus.

– Lucasie, nie żartuj, proszę cię.

Claus wyjmuje paszport z kieszeni.

– Niech pan sam zobaczy.

Mężczyzna patrzy badawczym wzrokiem na paszport.

– To niczego nie dowodzi.

Claus mówi:

– Przykro mi, ale tylko w ten sposób mogę dowieść własnej tożsamości. Jestem Clausem T. i szukam brata Lucasa. Pan go zna. Na pewno mówił panu o mnie, o swoim bracie Clausie.

– Tak, często o panu mówił, ale muszę przyznać, że nigdy nie wierzyłem w pana istnienie.

Claus śmieje się.

– Mnie także nie wierzono, gdy mówiłem komuś o Lucasie. Nie sądzi pan, że to śmieszne?

– Nie, niezupełnie. Proszę, usiądźmy tam.

Wskazuje niski stół i fotele stojące w głębi sklepu, tuż przed oszklonymi drzwiami otwartymi na ogródek.

– Jeśli nie jest pan Lucasem, muszę się przedstawić. Nazywam się Piotr. Piotr N. Ale jeśli pan nie jest Lucasem, dlaczego przyszedł pan właśnie tutaj?

Claus mówi:

– Przyjechałem wczoraj. W pierwszej kolejności poszedłem do domu Babki, ale ten dom już nie istnieje. Na jego miejscu jest boisko. Do księgarni wstąpiłem dlatego, że pamiętam ją z dzieciństwa. Często kupowaliśmy tu papier i ołówki. Pamiętam jeszcze właściciela. Taki błądy i otyły mężczyzna. Miałem nadzieję, że go tu zastanę.

– Wiktora?

– Nie wiem, jak miał na imię. Nigdy nie wiedziałem.

– Nazywał się Wiktor. Nie żyje.

– Oczywiście. Już wtedy nie był młody.

Piotr patrzy na pogrążający się w mroku ogródek. Claus mówi:

– Wierzyłem naiwnie, że spotkam Lucasa w domu Babki. Po tylu latach. Gdzie jest teraz mój brat?

Piotr wciąż wpatruje się w mrok.

– Nie wiem.

– Czy ktoś w mieście mógłby to wiedzieć?

– Nie, nie sądzę.

– Dobrze go pan znał?

Piotr patrzy Clausowi w oczy.

– Tak dobrze, jak tylko można kogoś poznać.

Piotr nachyla się nad stołem, chwytając Clausa w ramiona.

– Przestań, Lucasiu. Skończ tę komedię! Po co to wszystko?! Nie wstyd ci postępować tak ze mną?

Claus uwalnia się z objęcia, wstaje.

– Widzę, że Lucas i pan byliście ze sobą bardzo zżyci.

Piotr osuwa się na fotel.

– Tak, bardzo. Proszę mi wybaczyć. Poznałem Lucasa, gdy miał piętnaście lat. Zniknął mając lat trzydzieści.

– Zniknął? Chce pan powiedzieć, że wyjechał z miasta?

– Z miasta, a może i z kraju. A dziś wraca pod innym imieniem. Wynikająca z waszych imion gra słów zawsze wydawała mi się głupia.

– Nasz dziadek nosił podwójne imię: Claus-Lucas. Matka, która bardzo kochała ojca, dała nam te dwa imiona. To nie Lucas jest przed panem, to Claus.

Piotr wstaje.

– Dobrze, Clausie. W takim razie muszę panu oddać coś, co powierzył mi pański brat, Lucas. Proszę na mnie poczekać.

Piotr idzie na górę do mieszkania, chwilę później schodzi niosąc pięć dużych szkolnych zeszytów.

– Proszę. Są przeznaczone dla pana. Na początku było ich więcej, ale brał je, poprawiał, usuwał zbędne fragmenty. Sądzę, że gdyby miał czas, usunąłby wszystko.

Claus zaprzecza ruchem głowy.

– Nie, nie wszystko. Zostawiłby to, co najważniejsze. Dla mnie.

Bierze zeszyty, uśmiecha się.

– Wreszcie jest dowód istnienia Lucasa. Dziękuję panu, Piotrze. Nikt ich nie czytał?

– Oprócz mnie nikt.

– Zatrzymałem się w hotelu naprzeciw. Przyjdę jeszcze.

Claus czyta całą noc, tylko od czasu do czasu odrywa wzrok, by popatrzeć na ulicę.

Mieszkanie nad księgarnią ma trzy okna; w dwóch długo pali się światło, trzecie jest ciemne.

Rano, gdy Piotr podnosi sklepową kratę, Claus idzie spać. Po południu Claus wychodzi z hotelu, je w jednym z bardziej uczęszczanych barów, w którym podają ciepłe dania o każdej porze dnia.

Jest pochmurno. Claus wraca na boisko, siada nad brzegiem rzeki. Zostaje tam aż do zapadnięcia zmroku i pierwszych kropli deszczu. Gdy wraca na Plac Główny, księgarnia jest już zamknięta. Claus dzwoni do drzwi mieszkania. Piotr wychyla się przez okno.

– Drzwi są otwarte. Czekałem na pana. Proszę wejść na górę.

Claus zastaje Piotra w kuchni. Ze stojących na kuchence garnków unosi się para. Piotr mówi:

- Kolacja jeszcze nie gotowa. Mam wódkę. Napije się pan?
- Tak. Przeczytałem zeszyty. Co było potem? Po śmierci dziecka?

– Nic. Lucas wciąż pracował. Rano otwierał sklep, wieczorem zamykał. W milczeniu obsługiwał klientów. Prawie się nie odzywał. Niektórzy sądzili, że jest niemową. Często przychodziłem do niego, graliśmy w szachy bez słowa. Przegrywał. Przestał czytać i pisać. Myślę, że niewiele jadł i chyba wcale nie spał. Przez całą noc paliło się światło w jego pokoju, ale Lucasa tam nie było. Spacerował po nie oświetlonych ulicach i po cmentarzu. Mówił, że idealnym miejscem do spania jest grób ukochanej osoby.

Piotr milknie, napełnia kieliszki. Claus mówi:

- A co było dalej? Niech pan opowiada, Piotrze.

– Dobrze. Pięć lat później dowiedziałem się, że w czasie prac związanych z budową boiska odkryto zwłoki kobiety zakopane nad brzegiem rzeki w pobliżu domu waszej Babki. Powiadomiłem o tym Lucasa. Podziękował mi, a następnego dnia zniknął. Od tamtego czasu nikt go nie widział. Na biurku zostawił list, w którym powierzył mi dom i księgarnię. Wie pan, najbardziej smutne w owej historii jest to, że nie zdołano zidentyfikować ciała Jasminy. Władze lekko potraktowały całą sprawę. Od czasu wojny i rewolucji ten nieszczęsny kraj jest zasłany trupami. Mogły to być zwłoki jakiejś nieznaney kobiety, która próbowała przekroczyć granicę i skoczyła na minę. Lucasowi nic nie groziło.

Claus mówi:

- Mógłby teraz wrócić. Jest ustawa o przedawnieniu.
- Tak, przypuszczam, że po dwudziestu latach można mówić o przedawnieniu.

Piotr patrzy Clausowi w oczy.

- Właśnie, Clausie. Lucas mógłby teraz wrócić.

Claus wytrzymuje spojrzenie Piotra:

- Tak. Możliwe, że Lucas wróci.

– Ludzie mówią, że ukrywa się w lasach i włóczy po ulicach, gdy zapadnie zmrok. Ale to tylko plotki.

Piotr kręci głową.

- Claus, niech pan wejdzie do pokoju. Pokażę panu list od Lucasa.

Claus czyta:

Powierzam Piotrowi N. dom i księgarnię, która stanowi jego część, pod warunkiem, że pozostawi wszystko w nie zmienionym stanie do powrotu mojego brata Clausa T.

Podpisał: Lucas T.

Piotr mówi:

– To on podkreślił: „w nie zmienionym stanie”. Teraz, niezależnie od tego, czy jest pan Clausem czy Lucasem, dom należy do pana.

– Piotrze, przyjechałem tu na krótko, mam wizę tylko na trzydzieści dni. Jestem obywatelem innego państwa, a wie pan dobrze, iż żaden cudzoziemiec nie może być właścicielem jakiegokolwiek majątku znajdującego się w tym kraju.

Piotr mówi:

– Ale może pan przyjąć czerpane z księgarni zyski, jako że od dwudziestu lat odkładam co miesiąc do banku pieniądze.

- Z czego zatem pan żyje?

– Mam partyjną emeryturę i wynajmuję dom Wiktora. Tylko dla was dwóch zajmuję się księgarnią. Starannie prowadzę rachunki. Może pan je przejrzeć.

Lucas mówi:

- Dziękuję, Piotrze. Nie potrzebuję pieniędzy i nie mam ochoty przeglądać rachunków.

Przyjechałem tylko zobaczyć się z bratem.

- Dlaczego nigdy pan do niego nie napisał?
- Postanowiliśmy się rozstać. To miało być rozstanie na zawsze. Granica nie wystarczała, potrzebne było także milczenie.
- A jednak pan wrócił. Dlaczego?
- Próba trwała wystarczająco długo. Jestem zmęczony i chory, chcę ponownie ujrzeć Lucasa.
- Dobrze pan wie, że go pan nie zobaczy.

Z sąsiedniego pokoju woła kobiecy głos:

– Kto przyszedł, Piotrze?!

Claus spogląda na Piotra:

- Ma pan żonę? Jest pan żonaty?
- Nie, to Klara.
- Klara? Więc nie umarła?
- Sądzono, że umarła, ale tylko była internowana. Wróciła po zniknięciu Lucasa. Nie miała pracy ani pieniędzy. Szukała Lucasa. Przygarnąłem ją do siebie, czyli tutaj. Mieszka w pokoiku dziecka. Troszczę się o nią. Chce pan ją zobaczyć?
- Tak, chciałbym ją zobaczyć.

Piotr otwiera drzwi do pokoju:

– Klaro, przyszedł do nas przyjaciel.

Claus wchodzi do pokoju. Klara siedzi przed oknem w fotelu na biegunach. Kolana ma otulone kocem, ramiona szalem. Trzyma książkę, ale nie czyta, buja się. Jej spojrzenie ginie w otwartym oknie.

Claus mówi:

– Dobry wieczór, Klaro.

Klara nie odwraca się, recytuje monotonna:

– Deszcz, ciągle deszcz. Gęste zimne krople padają na domy, drzewa, groby. Kiedy oni przychodzą do mnie, deszcz spływa po ich zniekształconych twarzach. Patrzą na mnie i robi się coraz bardziej zimno. Ściany mnie nie chronią. Nigdy mnie nie chroniły. Złudna ich wytrzymałość, brudna biel.

Nagle jej głos zmienia się:

– Piotrze, jestem głodna! Kiedy jemy? Zawsze spóźniasz się z posiłkami.

Piotr wraca do kuchni. Claus mówi:

– To ja, Klaro.

– To ty?

Spogląda na Clausa, wyciąga do niego ramiona. On siada u jej stóp, obejmuje nogi, kładzie głowę na kolanach. Klara głaszcze jego włosy. Claus ujmuje rękę Klary, przytula do policzka, całuje. Wychudłą, szczupłą dłoń pokrywają starcze plamy.

Kobieta mówi:

– Tak długo wiodłam samotne życie, zbyt długo, Tomaszu.

Po jej twarzy płyną łzy. Claus wyciera je chusteczką.

– Nie jestem Tomaszem. Nie pamiętasz już Lucasa?

Klara zamyka oczy, kiwa głową.

– Nie zmieniłeś się, Tomaszu. Trochę się zestarzałeś, ale wciąż jesteś taki sam. Pocałuj mnie.

Uśmiecha się rozchylając bezzębne usta.

Claus cofa się, wstaje. Podchodzi do okna, patrzy na ulicę. Plac Główny jest pusty, ponury w

strugach deszczu. Tylko Grand Hôtel wylania się z ciemności dzięki oświetlonemu wejściu.

Klara znowu zaczyna się bujać.

– Niech pan wyjdzie. Kim pan jest?! Co pan robi w moim pokoju? Dlaczego Piotr nie przychodzi? Muszę zjeść i iść spać. Jest późno.

Claus wychodzi z pokoju Klary, zastaje Piotra w kuchni.

– Klara jest głodna.

Piotr zanosz Klarze tacę z jedzeniem. Gdy wraca, mówi:

– Bardzo lubi jeść. Trzy razy dziennie zanoszę jej posiłki. Na szczęście dużo śpi dzięki lekom.

– Jest dla pana wielkim ciężarem.

Piotr podaje ragoût z kluskami.

– Nie takim wielkim. Nie przeszkadza mi. Traktuje mnie jak służącego, ale to nie ma znaczenia. Niech pan je, Clausie.

– Nie jestem głodny. Nigdy nie wychodzi?

– Klara? Nie. Nie chce, a zresztą zgubiłaby się. Dużo czyta i lubi patrzeć na niebo.

– A starzec cierpiący na bezsenność? Chyba mieszkał naprzeciw, tu, gdzie teraz jest hotel.

Piotr wstaje.

– Tak, zgadza się. Ja też nie jestem głodny. Może wyjdziemy.

Idą ulicą. Piotr wskazuje na jeden z budynków.

– Kiedyś tam mieszkałem. Na pierwszym piętrze. Jeśli nie jest pan zmęczony, pokażę panu dom, w którym mieszkała Klara.

– Nie jestem zmęczony.

Piotr zatrzymuje się przed małym parterowym domem przy ulicy Dworcowej.

– To tutaj. Wkrótce ten dom zostanie zburzony, podobnie jak większość budynków przy tej ulicy. Są zbyt stare, pozbawione wygód.

Clausa chwyta dreszcz.

– Wracajmy. Zmarzłem.

Żegnają się przed drzwiami hotelu. Claus mówi:

– Wiele razy chodziłem na cmentarz, ale nie znalazłem grobu Babki.

– Pokażę go panu jutro. Niech pan przyjdzie do księgarni o osiemnastej. Będzie jeszcze widno.

W opuszczonej części cmentarza Piotr wbija parasol w ziemię.

– To ten grób.

– Skąd taka pewność? Wokół tylko zielsko, nie ma krzyża. Może się pan mylić.

– Mogę się mylić? Gdyby pan wiedział, ile razy przychodziłem tutaj po Lucasa. A także później, gdy jego już nie było. To miejsce stało się dla mnie celem niemalże codziennych spacerów.

Wracają do miasta. Piotr zajmuje się Klarą, potem piją wódkę w dawnym pokoju Lucasa. Deszcz pada na parapet, kapie do mieszkania. Piotr idzie po ścierkę, żeby wytrzeć wodę.

– Claus, niech pan opowie mi o sobie.

– Nie mam nic do powiedzenia.

– Czy tam jest łatwiejsze życie?

Claus wzrusza ramionami.

– Tamto społeczeństwo oparte jest na pieniądzu. Nie ma w nim miejsca na pytania dotyczące życia. Przez trzydzieści lat byłem śmiertelnie samotny.

– Nie miał pan nigdy żony ani dziecka?

Claus uśmiecha się.

– Miałem dużo kobiet, ale nie miałem dzieci.

Po chwili pyta:

– Co pan zrobił ze szkieletami, Piotrze?

– Powiesiłem je na miejsce. Chce pan zobaczyć?

– Nie trzeba przeszkadzać Klarze.

– Nie będziemy przechodzić przez jej pokój. Są inne drzwi. Nie pamięta pan?

– Dlaczego miałbym pamiętać?

– Mógł je pan zauważyć wchodząc poprzednio na piętro. To pierwsze drzwi po lewo, gdy się patrzy z klatki schodowej.

– Nie, nie zauważyłem ich.

– Ach, prawda: drzwi nie odróżniają się od ścian, są pokryte tą samą tapetą.

Wchodzą do niewielkiego pomieszczenia oddzielonego od pokoju Klary grubą kotarą. Piotr zapala latarkę, oświetla szkielety.

Claus mówi po cichu:

– Są trzy.

Piotr mówi:

– Nie musi pan szeptać. Klara się nie obudzi. Bierze mocne środki nasenne. Zapomniałem panu powiedzieć, że dwa lata po pogrzebie Mathiasa Lucas odkopał jego ciało. Stwierdził, że tak będzie lepiej, gdyż jest już bardzo zmęczony nocami spędzonymi przy dziecku na cmentarzu.

Piotr kieruje światło latarki na siennik umieszczony pod szkieletami.

– Tutaj spał.

Claus dotyka siennika i leżącego na nim wojskowego szarego koca.

– To ciepłe.

– O czym pan myśli, Clausie?

– Chciałbym spędzić tutaj jedną noc, czy mogę, Piotrze?

– Jest pan u siebie.

Protokół sporządzony przez władze miasta K. z przeznaczeniem dla ambasady w D.

Przedmiot protokołu: Prośba o repatriację obywatela waszego kraju Clausa T. przebywającego obecnie w więzieniu w mieście K.

Pięćdziesięcioletni Claus T., posiadający ważny paszport z trzydziestodniową wizą turystyczną, przybył do naszego miasta 2. kwietnia bieżącego roku. Wynajął pokój w jedynym hotelu w mieście – Grand Hôtelu przy Placu Głównym.

Claus T. spędził trzy tygodnie w hotelu w charakterze turysty; spacerował po mieście, zwiedzał zabytki, spożywał posiłki w restauracji hotelowej lub w znanych restauracjach w mieście.

Claus T. często chodził do księgarni naprzeciw hotelu. Kupował tam papier i ołówki. Znając miejscowy język, chętnie rozmawiał z właścicielką księgarni, panią B., jak również z innymi osobami w wielu miejscach publicznych.

Po upływie trzech tygodni, Claus T. zapytał panią B., czy zgodziłaby się wynająć mu na miesiąc dwa pokoje nad księgarnią. Ponieważ zaproponował wysoką cenę, pani B. odstąpiła swoje dwupokojowe mieszkanie i przeniósła się w pobliże do córki.

Claus T. trzykrotnie prosił o przedłużenie wizy, z czym nie miał trudności. Niemniej jednak czwarta prośba o przedłużenie wizy została odrzucona w sierpniu. Claus T. nie przywiązywał żadnego znaczenia do powyższej odmowy i, na skutek zaniedbań naszych urzędników, sprawa

tkwiła w miejscu aż do października. 30. października, w trakcie rutynowej kontroli tożsamości, nasza lokalna policja stwierdziła, że papiery Lucasa T. nie są w porządku.

W owym czasie Claus T. nie miał już pieniędzy. Zalegał pani B. z dwumiesięcznym czynszem, prawie wcale nie jadł, chodził od baru do baru grając na organkach. Pijacy fundowali mu alkohol, pani B. przynosiła mu codziennie talerz zupy.

Podczas przesłuchania Claus T. utrzymywał, że urodził się w naszym kraju i spędził dzieciństwo u babki w naszym mieście oraz oświadczył, że chce tu pozostać do powrotu brata Lucasa T. Wspomniany wyżej Lucas nie figuruje w żadnym spisie mieszkańców miasta K. Claus T. także w nim nie figuruje.

Prosimy o uregulowanie załączonego rachunku (grzywna, koszty śledztwa, czynsz pani B.) i o repatriację Clausa T. pod groźbą odpowiedzialności karnej.

Podpisano, w imieniu władz miasta K.: I. S.

Postscriptum:

Naturalnie, ze względów bezpieczeństwa, przeczytaliśmy posiadany przez Clausa T. rękopis. W owym rękopisie usiłuje on udowodnić istnienie brata Lucasa, który rzekomo sam napisał większą część tekstu, natomiast on, Claus, miałby dopisać jedynie końcowe strony, czyli ósmy rozdział. Otóż od początku do końca obserwujemy jednakowy charakter pisma, a na kartkach nie widać upływu lat. Całość została napisana w tym samym czasie, przez tę samą osobę, w okresie nie przekraczającym sześciu miesięcy, to znaczy przez Clausa T. podczas jego pobytu w naszym mieście.

Jeśli chodzi o treść rękopisu, mamy tu niewątpliwie do czynienia z fikcją, gdyż ani opisane wydarzenia, ani wspomniane w nich osoby nie istniały w mieście K., poza jednym wyjątkiem, a mianowicie domniemaną babką Clausa T., której ślad odnaleźliśmy w dokumentach. Ta kobieta rzeczywiście posiadała dom na terenie obecnego boiska. Zmarła bez spadkobiercy trzydzieści pięć lat temu. W naszych spisach figuruje pod nazwiskiem Marii Z., z męża V.

Niewykluczone, że w czasie wojny powierzono jej opiekę nad jednym lub kilkorgiem dzieci.

Trzecie kłamstwo

Autorka dziękuje fundacji Pro Helvetia za pomoc w redakcji tego dzieła.

Część pierwsza

Siedzę w więzieniu w Małym Mieście mojego dzieciństwa. To nie jest prawdziwe więzienie, tylko cela w budynku miejscowej policji. Ten budynek nie różni się niczym od innych domów w mieście; jest jednopiętrowy.

Moja cela pewnie była kiedyś pralnią; drzwi i okno wychodzą na podwórze. Kraty w oknie zostały dorobione od wewnątrz w taki sposób, aby nie można było dosięgnąć i stłuc szyby. Umywalka i klozet są ukryte za zasłoną. Przy jednej ścianie stoi stół i cztery krzesła przyśrubowane do podłogi, do przeciwnej przylegają cztery składane łóżka. Trzy są złożone.

Jestem sam w celi. Niewielu jest przestępców w tym mieście, a gdy znajdzie się jakiś, natychmiast zostaje przeniesiony do pobliskiego miasta wojewódzkiego, dwadzieścia kilometrów stąd. Ja nie jestem przestępcą. Jestem tu tylko dlatego, że moje dokumenty nie są w porządku, mam nieważną wizę. Porobiłem również długi.

Rano strażnik przynosi mi śniadanie: mleko, kawę, chleb. Wypijam trochę kawy i idę pod prysznic. Strażnik kończy moje śniadanie i sprząta celę. Drzwi są otwarte, mogę wyjść na podwórze, jeśli mam ochotę. Podwórze jest otoczone wysokim murem pokrytym bluszczem i dzikim winem. Za murem, na lewo od mojej celi, znajduje się szkolny dziedziniec. Słyszę, jak w czasie przerw dzieci śmieją się, bawią i pokrzykują. Szkoła była już tam, gdy byłem dzieckiem, przypominam sobie, chociaż nigdy do niej nie chodziłem, ale wtedy więzienie znajdowało się w innym miejscu, to także sobie przypominam, gdyż raz tam poszedłem.

Spaceruję po podwórzu godzinę rano i godzinę wieczorem. Wyniosłem takie przyzwyczajenie z dzieciństwa, gdy w wieku lat pięciu ponownie musiałem uczyć się chodzić.

Drażni to strażnika, ponieważ wówczas nie odzywam się i nie słyszę żadnego pytania.

Wzrok mam wbity w ziemię, ręce założone do tyłu, chodzę, zakręcam wzdłuż muru. Podwórko jest wybrukowane, ale w szparach między kamieniami rośnie trawa.

To prawie kwadrat. Piętnaście kroków wzdłuż, trzynaście wszere. Zakładając, że robię metrowe kroki, powierzchnia podwórza wynosi sto dziewięćdziesiąt pięć metrów kwadratowych. Ale moje kroki są pewnie krótsze.

Na środku podwórza stoi okrągły stół z dwoma krzesłami ogrodowymi, a w głębi przy murze drewniana ławka.

Siadając na tej właśnie ławce mogę zobaczyć największy skrawek nieba, które pamiętam z lat dziecińczych.

Od razu pierwszego dnia przyszła mnie odwiedzić właścicielka księgarni przynosząc moje osobiste rzeczy i zupę jarzynową. Codziennie, około południa, przychodzi z zupą. Mówię jej, że tutaj dobrze dają jeść; dwa razy dziennie strażnik przynosi pełen posiłek z restauracji obok, ale ona wciąż przychodzi z zupą. Zjadam trochę przez grzeczność, następnie daję garnek strażnikowi, który zjada resztę.

Przepraszam właścicielkę księgarni za bałagan, jaki zostawiłem w jej mieszkaniu.

Kobieta odpowiada:

– Jakież to ma znaczenie? Już wszystko posprzątałyśmy z córką. Było wyjątkowo dużo papierów. Spaliłam zmięte kartki oraz te, które leżały w koszu. Inne zostawiłam na stole, ale przyszła policja i je zabrała.

Milczę przez chwilę, potem mówię:

– Jestem pani winien komorne za dwa miesiące.

Kobieta śmieje się:

– Zbyt wiele od pana brałam za takie małe mieszkanie. Ale jeśli panu zależy, zapłaci pan przy następnej okazji. Może w przyszłym roku.

Mówię:

– Myślę, że więcej tu nie przyjadę. Zapłaci pani ambasada.

Pyta, czy czegoś nie potrzebuję, mówię:

– Tak, papieru i ołówków. Ale jestem bez grosza.

Kobieta mówi:

– Sama powinnam o tym pomyśleć.

Następnego dnia przynosi zupę, papier w kratkę i ołówki.

Mówię do niej:

– Dziękuję. Ambasada za wszystko pani zapłaci.

Kobieta odpowiada:

– Wciąż pan mówi o zapłacie. Wolałabym, żeby pan mówił o czymś innym. Na przykład co pan pisze?

– To, co piszę, nie ma żadnego znaczenia.

Kobieta nalega:

– Ciekawa jestem, czy opisuje pan prawdziwe rzeczy, czy też wymyślone.

Odpowiadam, że próbuję opisywać prawdziwe zdarzenia, ale nadchodzi chwila, gdy stają się one nie do zniesienia ze względu na zawartą w nich prawdę i wtedy jestem zmuszony je zmieniać. Mówię, że próbuję opowiedzieć własne życie, ale nie mogę, brak mi odwagi, to zbyt bolesne. Wówczas upiększam wszystko i opisuję rzeczy nie tak, jak wyglądały naprawdę, lecz tak, jak chciałbym, żeby wyglądały.

Właścicielka księgarni mówi:

– Tak. Życie jest często bardziej smutne od najsmutniejszej książki.

Mówię:

– To prawda. Najbardziej smutna książka nie dorówna smutkowi, jaki niesie życie.

Po chwili kobieta pyta:

– Pan kuleje po wypadku?

– Nie, po chorobie z wczesnego dzieciństwa.

Kobieta dodaje:

– Prawie nie widać.

Śmieję się.

Znowu mam o czym pisać, ale nie mam co pić, nie mam także papierosów, oprócz dwóch czy trzech, które daje mi strażnik po jedzeniu. Domagam się widzenia z oficerem policji, który od razu daje na to zgodę. Biuro jest na piętrze. Wchodzę. Siadam na krześle naprzeciw oficera. Ma rude włosy i twarz pokrytą piegami. Na stole przed nim – rozpoczęta partia szachów. Oficer patrzy na grę, przesuwając pionek, zaznacza ruch w notesie, podnosi bładoniebieskie oczy.

– Czego pan sobie życzy? Śledztwo nie zostało jeszcze skończone. Trzeba będzie poczekać parę tygodni, może miesiąc.

Mówię:

– Nie spiesz mi się. Bardzo dobrze się tutaj czuję. Potrzebuję tylko kilku drobiazgów.

– Na przykład?

– Gdyby pan dorzucił do kosztów mojego utrzymania litr wina i dwie paczki papierosów dziennie, ambasada nie miałaby nic przeciw temu.

Oficer odpowiada:

– Wiem. Ale zaszkodziłoby to pańskiemu zdrowiu.

Mówię:

– Czy pan sobie zdaje sprawę, co może przytrafić się alkoholikowi, któremu nagle zabroniono pić?

Mówi:

– Nie. I nie obchodzi mnie to.

Mówię:

– Grozi mi *delirium tremens*. Mogę w każdej chwili umrzeć.

– Niech pan nie żartuje.

Oficer spogląda na grę. Mówię:

– Czarny skoczek.

Oficer nadal wpatruje się w grę:

– Dlaczego? Nie widzę.

Przesuwam skoczka. Oficer zaznacza ruch w notesie. Długo się zastanawia. Zbija wieżę.

– Nie!

Odstawia wieżę, spogląda na mnie:

– Pan jest dobrym graczem?

– Nie wiem. Już dawno nie grałem. W każdym razie jestem lepszy od pana.

Oficer oblewa się rumieńcem, który pokrywa jego piegi:

– Zacząłem zaledwie trzy miesiące temu. I nikt mnie nie uczył. Mógłby pan udzielić mi kilku lekcji?

Mówię:

– Chętnie. Ale niech się pan nie gniewa, jeśli wygram.

Oficer mówi:

– Nie interesuje mnie wygrywanie. Chcę tylko się nauczyć.

Wstaję.

– Niech pan przyjdzie z szachami, kiedy pan zechce. Najlepiej z rana. Wtedy umysł jest bardziej świeży niż po południu czy wieczorem.

Oficer mówi:

– Dziękuję.

Przenosi wzrok na szachownicę, ja czekam, pokasłuję.

– A jeśli chodzi o wino i papierosy?

Mówi:

– Nie ma problemu. Wydam polecenia. Otrzyma pan papierosy i wino.

Opuszczam biuro oficera. Schodzę na podwórze. Siadam na ławce. Jesień jest ciepła tego roku. Zachodzi słońce, niebo mieni się kolorami pomarańczy, żółci, fioletu, czerwieni oraz innymi, dla których brakuje słów.

Prawie codziennie gram z oficerem w szachy przez niemal dwie godziny. Partie przeciągają się, oficer długo się zastanawia, wszystko notuje, zawsze przegrywa.

Natomiast po południu, kiedy właścicielka księgarni składa robótkę i idzie otworzyć sklep, gram w karty ze strażnikiem. W tym kraju gra się w karty inaczej niż gdziekolwiek. Wprawdzie sposób nie jest wyszukany i liczy się szczęście, jednak wciąż przegrywam. Gramy na pieniądze, ale ponieważ nie mam ani grosza, strażnik spisuje moje długi. Po każdej rozgrywce śmieje się głośno, żartując:

– Jestem rogakzem! Jestem szczęściarzem!

Za kilka miesięcy jego żona spodziewa się dziecka. Młody małżonek mówi często:

– Jeśli to będzie chłopiec, a pan jeszcze stąd nie wyjedzie, daruję panu długi.

Często wspomina o żonie, o tym, jaka jest piękna, zwłaszcza teraz, kiedy przytyła, a jej piersi i pośladki podwoiły objętość. Opowiada także w szczegółach, jak się poznali, „chodzili” ze sobą, spacerowali zakochani po lesie, ona się opierała, on zwyciężył, potem trzeba było przyspieszyć ślub ze względu na dziecko.

Lecz z jeszcze drobniejszymi szczegółami i większą lubieżnością opowiada o tym, co jadł poprzedniego wieczoru. Jak żona przygotowywała posiłek, jakich składników użyła, w jaki sposób i w ciągu jakiego czasu, bo „im dłużej się dusi, tym lepsze”.

Oficer nie rozmawia, o niczym nie opowiada. Zwierzył mi się tylko, że śledząc notatki rozgrywa ponownie nasze partie szachów w samotności, raz po południu w biurze i drugi raz wieczorem w domu. Spytałem, czy jest żonaty, odpowiedział wzruszając ramionami:

– Ja? Żonaty?

Właścicielka księgarni też o niczym nie opowiada. Twierdzi, że nie ma nic do powiedzenia, wychowała dwoje dzieci i od sześciu lat jest wdową, to wszystko. Kiedy pyta mnie o życie w innym kraju, odpowiadam, że mam jeszcze mniej do powiedzenia niż ona, ponieważ nie wychowałem żadnego dziecka i nigdy nie miałem żony.

Pewnego dnia mówi do mnie:

– Jesteśmy prawie w tym samym wieku.

Zaprzeczam:

– To by mnie zdziwiło. Wygląda pani o wiele młodziej ode mnie.

Czerwieni się.

– Skądże znowu. Nie czekam na komplementy. Chciałam jedynie powiedzieć, że skoro spędził pan dzieciństwo w tym mieście, musieliśmy pewnie chodzić do tej samej szkoły.

Mówię:

– Tak, tylko że ja nie chodziłem do szkoły.

– Niemożliwe. Szkoła była już obowiązkowa.

– Nie dla mnie. Byłem wtedy niedorozwinięty umysłowo.

Właścicielka księgarni mówi:

– Nie można z panem poważnie porozmawiać. Cały czas pan żartuje.

Jestem poważnie chory. Dziś mija właśnie rok, od kiedy o tym wiem.

Zaczął się to w innym kraju, w mojej przybranej ojczyźnie, pewnego listopadowego poranka. O piątej.

Na. dworze jeszcze ciemno. Z trudem łapię oddech. Przenikliwy ból nie daje mi oddychać. Ten ból zaczyna się w klatce piersiowej, przenika boki, plecy, ramiona, ręce, gardło, kark, szczęki. Tak jakby olbrzymia dłoń pragnęła zmiażdżyć górną część mojego ciała.

Wyciągnąć ramię, powoli, zapalić lampkę nocną.

Usiąść spokojnie na łóżku. Poczekać. Wstać. Dojść do biurka, do telefonu. Usiąść na krześle. Wezwać pogotowie. Nie! Nie pogotowie. Przeczekać.

Pójść do kuchni. Zaparzyć kawę. Nie spieszyć się. Nie oddychać głęboko. Łapać powietrze powoli, spokojnie, lekko.

Po kawie wziąć prysznic, ogolić się, umyć zęby. Wrócić do pokoju, ubrać się. Poczekać do ósmej i zatelefonować, ale nie na pogotowie, lecz po taksówkę i do mojego prywatnego lekarza.

Przyjmuje mnie od razu. Osluchuje, robi prześwietlenie płuc, bada serce, mierzy ciśnienie.

– Proszę się ubrać.

Siedzimy teraz twarzą w twarz w gabinecie.

– Czy pan wciąż pali? Ile? Czy pan wciąż pije? Ile?

Mówię prawdę. Chyba nigdy go nie okłamywałem. Wiem, że zarówno moje zdrowie, jak i choroba są mu zupełnie obojętne.

Zapisuje coś w karcie, spogląda na mnie:

– Pan robi wszystko, żeby się zniszczyć. Pańska sprawa. To dotyczy tylko pana. Już dziesięć lat temu zabroniłem panu pić i palić. Pan robi to nadal. Ale jeśli chce pan pożyć jeszcze przez kilka lat, trzeba natychmiast przestać.

Pytam:

– Co mi jest?

– Prawdopodobnie *angina pectoris*. To było do przewidzenia. Ale ja nie jestem specjalistą chorób serca.

Podaje mi kartkę.

– Kieruję pana do znanego kardiologa. Proszę udać się z tym do szpitala na dokładne badania. Im szybciej, tym lepiej. Na razie niech pan bierze te leki w razie bólu.

Daje mi receptę.

Pytam:

– Czy będę miał operację?

Mówi:

– Jeśli nie jest za późno.

– A w przeciwnym razie?

– W każdej chwili grozi panu zawał.

Idę do najbliższej apteki, otrzymuję dwie fiołki lekarstw. W jednej powszechnie dostępne środki przeciwbólowe, na drugiej napis: „Trinitrine, wskazania: angina pectoris, skład: nitroglycerinum”.

Wracam do domu, biorę po jednym proszku z każdej fiołki, kładę się do łóżka. Ból szybko mija, zasypiam.

Chodzę po ulicach miasta mego dzieciństwa. To martwe miasto, okna i drzwi domów są pozamykane, panuje całkowita cisza.

Docieram do starej szerokiej ulicy, wzdłuż której stoją drewniane domy i zmurszałe szopy. Ziemia jest pokryta kurzem; miło stąpać bosą nogą po takiej powierzchni.

Czuję dziwne napięcie.

Oglądam się i widzę pumę na drugim końcu ulicy. Wspaniałe, złocistobezowe zwierzę o jedwabistej sierści błyszczącej w promieniach palącego słońca.

Nagle wszystko staje w ogniu. Domy i szopy płoną, a ja muszę nadal iść tą ognistą ulicą, gdyż puma także rusza w pewnej odległości za mną z majestatycznym spokojem.

Dokąd uciec? Nie ma wyjścia. Ogień lub kły.

Może na koniec ulicy?

Ta ulica musi gdzieś się kończyć, wszystkie ulice gdzieś się kończą, prowadzą do jakiegoś placu, innej ulicy, na pole, wieś... chyba że chodzi o ślepą uliczkę, to pewnie jest ślepa ulica, tak, na pewno.

Czuję za sobą sapanie pumy, zupełnie blisko. Nie mam odwagi odwrócić się, nie mogę już iść dalej, nogi wrastają mi w ziemię. Przerazono czekam, aż puma wreszcie rzuci się na mnie, rozszarpie mi plecy do pośladków, poćwiartuje głowę i twarz.

Ale puma wyprzedza mnie, idzie dalej niewzruszona i kładzie się u stóp dziecka, które jest na końcu ulicy, choć przedtem go nie było, a teraz głaszcze leżącą u stóp pumę.

Dziecko mówi do mnie:

– Moja puma nie jest groźna, nie trzeba się jej bać. Nie jada ludzi, nie jada mięsa, jada tylko dusze.

Nie ma już płomieni, przestało się żarzyć, ulicę pokrywa chłodny, miękki popiół.

Pytam dziecko:

– Jesteś moim bratem, prawda? Czekałeś na mnie?

Dziecko kręci głową:

– Nie, nie mam brata, na nikogo nie czekam. Jestem strażnikiem wiecznej młodości. Mężczyzna czekający na brata siedzi na ławce przy Placu Głównym. Jest bardzo stary. Być może czeka właśnie na ciebie.

Znajduję brata na ławce przy Placu Głównym. Gdy mnie spostrzeża, wstaje.

– Spóźniłeś się. Musimy się pospieszyć.

Wchodzimy na cmentarz, siadamy na pożółkłej trawie. Wokół wszystko jest wilgotne: krzyże, drzewa, krzewy, kwiaty. Brat porusza laską ziemię, wychodzą z niej białe robaki.

Brat mówi:

– Nie wszystko umarło. Takie rzeczy są wciąż żywe.

Robaki roją się. Robi mi się niedobrze na ich widok. Mówię:

– Gdy człowiek się zastanowi, nie może kochać życia.

Brat unosi laską mój podbródek:

– Nie zastanawiaj się. Spójrz! Czy widziałeś już gdzieś takie piękne niebo?

Podnoszę wzrok. Nad miastem zachodzi słońce.

Odpowiadam:

– Nie, nigdy. Nigdzie.

Idziemy obok siebie w kierunku zamku, zatrzymujemy się na dziedzińcu u podnóża murów obronnych. Brat wspina się na mur, zaczyna tańczyć w rytm muzyki, która jak się zdaje, wydobywa się spod ziemi. Tańczy unosząc ramiona do nieba i gwiazd, do księżyca, który wynurza się w pełni. Szczupła sylwetka w czarnym długim płaszczu przesuwają się wzdłuż fortyfikacji tańcząc, a ja na dole biegnę za nim i krzyczę:

– Nie! Nie rób tego! Zatrzymaj się! Zejdź! Zaraz spadniesz!

Zatrzymuje się nade mną.

– Nie pamiętasz? Chodziliśmy po dachach, nigdy nie baliśmy się, że spadniemy.

– Byliśmy młodzi, nie kręciło nam się w głowie. Zejdźże stamtąd!

Brat śmieje się:

– Nie bój się, nie spadnę, umiem fruwać. Co noc unoszę się nad miastem.

Podnosi rękę, skacze, rozbija się na brukowanym dziedzińcu u moich stóp. Pochylam się nad nim, biorę w dłonie jego łysą głowę, spoglądam na twarz pełną zmarszczek, płaczę.

Twarz rozmięka, zanikają oczy i już tylko trzymam w dłoniach jakąś nieznaną kruchą czaszkę, która rozsypuje się między palcami niczym drobny piasek.

Budzę się zalany łzami. W pokoju panuje półmrok, przespałem większą część dnia. Zmieniam mokrą od potu koszulę, myję twarz. Patrząc w lustro zastanawiam się, kiedy ostatni raz płakałem. Nie pamiętam.

Zapalam papierosa, siadam przy oknie, widzę, jak nad miastem zapada noc. Pod moim oknem pusty ogródek, w nim samotne drzewo, już bez liści. Dalej domy i coraz więcej światła w oknach. Za oknami – życie. Spokojne, normalne, ciche życie. Małżeństwa, dzieci, rodziny. Słyszę także odległy szum samochodów. Zastanawiam się, dlaczego ludzie jeżdżą nawet nocą. Dokąd spieszą? Po co?

Wkrótce śmierć wszystko zniweczy.

Boję się jej.

Boję się umierać, ale nie pójdę do szpitala.

Więszą część dzieciństwa spędziłem w szpitalu. Wszystko bardzo dokładnie pamiętam. Przypominam sobie własne łóżko stojące między dwudziestoma innymi łózkami, szafkę na korytarzu, wózek, kule, salę tortur z basenem, jej wyposażenie. Przesuwające się taśmy, po których trzeba było chodzić w nieskończoność trzymając się pasa, obręcze, z których należało zwisać, nieruchome rowery, na których trzeba było pedałowac, nawet gdy wyło się z bólu.

Pamiętam nie tylko cierpienia, lecz także zapachy; woń leków, z którą mieszał się odór krwi, potu, moczu, kału.

Przypominam sobie jeszcze zastrzyki, białe fartuchy pielęgniarek, pytania bez odpowiedzi, a zwłaszcza czekanie. Czekanie na co? Prawdopodobnie na wyzdrowienie, ale być może także na coś innego.

Później dowiedziałem się, że przybyłem do szpitala w stanie śpiączki, z poważną chorobą. Miałem wówczas cztery lata, zaczęła się wojna.

Nie wiem, co się wydarzyło, zanim trafiłem do szpitala.

Ów biały dom z zielonymi okiennicami mieszczący się przy spokojnej uliczce, kuchnia, w której śpiewała matka, podwórko, na którym ojciec rąbał drewno... czy pełnia szczęścia w białym domku była niegdyś rzeczywistością, czy też wymyśliłem ją sobie bądź wymarzyłem podczas nie kończących się nocy pięcioletniego pobytu w szpitalu?

A śpiący na sąsiednim łóżku w małym pokoju i oddychający tym samym rytmem co ja, mój brat, którego imię chyba jeszcze pamiętam, umarł czy też nigdy nie istniał naprawdę?

Pewnego dnia przenieśliśmy się do innego szpitala. Ten nowy nazywał się ośrodkiem rehabilitacyjnym, ale był mimo wszystko szpitalem. Pokoje, łóżka, szafki, pielęgniarki, wszystko okazało się takie samo, i nadal trzeba było wykonywać bolesne ćwiczenia.

Ośrodek otoczony był olbrzymim parkiem. Mogliśmy wychodzić z budynku, żeby taplać się w basenie pełnym błota. Im grubiej oblepialiśmy się błotem, tym bardziej pielęgniarki były zadowolone. Mogliśmy także jeździć na kucykach o długiej sierści, które powoli wozily nas po parku na swych grzbietach.

Gdy miałem sześć lat, rozpocząłem naukę w małej szpitalnej sali. Osmioro czy dwanaścioro dzieci – zależało to od stanu zdrowia – uczestniczyło w prowadzonych przez nauczycielkę lekcjach.

Nauczycielka nie nosiła białego fartucha, lecz krótkie obcisłe spódnice, bluzki w żywych kolorach i buty na wysokich obcasach. Nie nosiła także czepka, miała rozpuszczone do ramion włosy, których kolor przypominał kasztany leżące pod drzewami parku we wrześniu.

Miałem pełne kieszenie tych błyszczących owoców. Bombardowałem nimi pielęgniarki i opiekunki.

Wieczorem ciskałem kasztany na łóżka tych, którzy jęczeli lub płakali, żeby ich uciszyć. Celowałem nimi także w szklarnię, gdzie staruszek ogrodnik hodował sałatę, którą potem musieliśmy jeść. Pewnego wczesnego ranka zostawiłem ze dwadzieścia kasztanów przed drzwiami dyrektorki, żeby spadła ze schodów, ale usiadła tylko na grubym tyłku i niczego sobie nie połamała.

W owym czasie nie jeździłem już na wózku, chodziłem o kulach, mówiono, że robię duże postępy.

Uczyłem się od ósmej do południa. Po posiłku leżakowałem, ale zamiast spać czytałem

książki, które dawała mi nauczycielka, lub te, które brałem sobie od dyrektorki, kiedy nie było jej w gabinecie. Po południu gimnastykowałem się tak jak wszyscy, a wieczorem odrabiałem jeszcze lekcje.

Lekcje odrabiałem w pośpiechu, a potem pisałem listy. Do nauczycielki. Nigdy ich jej nie dawałem. Do rodziców, do brata. Nigdy ich nie wysyłałem. Nie znałem adresu.

W ten sposób minęły prawie trzy lata. Nie potrzebowałem już kul, mogłem chodzić z laską. Umiałem czytać, pisać, liczyć. Nie otrzymywaliśmy ocen, ale do wywieszzonego na ścianie mojego nazwiska często dołączano złotą gwiazdę. Moją mocną stroną było zwłaszcza liczenie w pamięci.

Nauczycielka miała pokój w szpitalu, ale nie zawsze tam spała. Wieczorem wychodziła na miasto i wracała dopiero nad ranem. Zapytałem, czy nie wzięłyby mnie ze sobą, odpowiedziała, że to niemożliwe, nie wolno mi było opuszczać ośrodka, ale obiecała, że przyniesie czekoladę. Częstowała mnie czekoladą w tajemnicy, gdyż miała jej za mało, aby obdarować wszystkich.

Pewnego wieczoru powiedziałem do niej:

– Mam dość spania z chłopcami. Chciałbym spać z kobietą.

Zaśmiała się.

– Chcesz spać w pokoju z dziewczynkami?

– Nie. Nie z dziewczynkami. Z kobietą.

– Z jaką kobietą?

– Na przykład z panią. Chciałbym spać w pani pokoju, w pani łóżku.

Pocałowała mnie w powieki.

– Mali chłopcy w twoim wieku powinni spać sami.

– Pani także śpi sama?

– Tak, ja także.

Pewnego popołudnia przyszła pod moją kryjówkę znajdującą się w konarach drzewa orzechowego, którego gałęzie tworzyły coś w rodzaju wygodnego fotela, gdzie mogłem czytać i skąd było widać miasto.

Powiedziała do mnie:

– Dziś wieczorem, gdy wszyscy zasną, będziesz mógł przyjść do mojego pokoju.

Nie czekałem, aż wszyscy zasną. Mógłbym tak czekać do rana. Nigdy nie spali w tym samym czasie. Jedni płakali, inni dziesięć razy w ciągu nocy wychodzili do ubikacji, jeszcze inni kładli się razem do łóżka, żeby robić różne świństwa, byli także tacy, którzy rozmawiali do świtu.

Jak zwykle bekisy dostały ode mnie po gębach, potem poszedłem do sparaliżowanego chłopca o jasnych włosach, który nie rusza się ani nie mówi. Patrzy tylko z uśmiechem w sufit albo w niebo, jeśli się go wyniesie na dwór. Wziąłem jego rękę, przytuliłem do mojej twarzy, potem wziąłem jego twarz w swoje ręce. Uśmiechnął się patrząc w sufit.

Opuściłem sypialnię, poszedłem do pokoju nauczycielki. Był pusty. Położyłem się w jej łóżku. Ładnie pachniało. Usnąłem. Kiedy się obudziłem w środku nocy, spała obok mnie z rękoma skrzyżowanymi na wysokości twarzy. Rozsunąłem jej ręce, oplotłem je wokół siebie, przytuliłem się do niej, tkwiłem tak do rana bez zmrużenia oka.

Niektórzy z nas otrzymywali listy, pielęgniarki rozdzielają je lub czytały tym, którzy sami nie umieli. Później ja im czytałem, gdy o to poprosili. Zazwyczaj czytałem dokładnie odwrotnie niż brzmiała treść listu. Było to mniej więcej tak: „Nasze Drogie Dziecko! Nie wracaj szybko do zdrowia. Bardzo nam dobrze bez ciebie. Wcale nam ciebie nie brakuje. Wierzmy, że zostaniesz tam, gdzie jesteś, gdyż nie mamy ochoty opiekować się w domu inwalidą. Mimo wszystko trochę

cię całujemy, i bądź grzeczny, gdyż twoi opiekunowie są zacynymi ludźmi. Nie potrafilibyśmy lepiej tobą się zająć. Mamy szczęście, że ktoś robi to za nas, bo nie ma już dla ciebie miejsca w naszej rodzinie, gdzie wszyscy jesteśmy zdrowi. Twoi rodzice, siostry i bracia”.

Adresat listu mówił wówczas:

– Pielęgniarka czytała mi co innego.

Odpowiadałem:

– Czytała co innego, ponieważ nie chciała, żebyś się martwił. Ja przeczytałem ci to, co jest napisane. Myślę, że powinieneś znać prawdę.

Wtedy on mówił:

– Tak, powinienem. Ale nie lubię prawdy. Lepiej było tak, jak poprzednio. Dobrze, że pielęgniarka przeczytała mi co innego.

I zaczynał płakać.

Wielu z nas otrzymywało także paczki. Ciasto, herbatniki, szynkę, kielbasę, konfitury, miód. Dyrektorka powiedziała, że wszyscy powinniśmy dzielić się zawartością paczek. Były jednak dzieci, które ukrywały żywność w łózkach lub szafkach.

Podchodziłem do jednego z nich i pytałem:

– Nie boisz się, że to zatrute?

– Zatrute? Dlaczego?

– Rodzice wolą mieć martwe dziecko niż kalekie. Nigdy o tym nie pomyślałeś?

– Nie, nigdy. Kłamiesz. Idź sobie.

Później widziałem, jak wyrzuca paczkę do kosza na śmieci.

Niektórzy rodzice odwiedzali dzieci. Czekałem na nich przy wejściu do ośrodka. Pytałem o cel wizyty, o nazwisko dziecka. Gdy odpowiedzieli, mówiłem:

– Bardzo mi przykro. Wasze dziecko zmarło dwa dni temu. Nie otrzymaliście jeszcze zawiadomienia?

Potem odchodziłem pospiesznie i chowałem się.

Wezwała mnie dyrektorka. Zapytała:

– Dlaczego jesteś taki niedobry?

– Ja? Niedobry? Nie wiem, o czym pani mówi.

– Owszem, wiesz bardzo dobrze. Powiedziałaś rodzicom, że ich dziecko nie żyje.

– A co? Żyje?

– Tak. I wiesz o tym bardzo dobrze.

– Pewnie pomyliłem nazwisko. Wszystkie nazwiska są tutaj takie podobne.

– Oprócz twojego, prawda? Tylko, że w tym tygodniu nie zmarło żadne dziecko.

– Nie? W takim razie pomyliłem ten tydzień z ubiegłym.

– Tak, na pewno. Ale radzę ci, żebyś już więcej nie mylił nazwisk ani tygodni. I zabraniam ci rozmawiać z rodzicami oraz gośćmi. Zabraniam ci także czytać listy dzieciom, które nie potrafią czytać same.

Powiedziałem:

– Chciałem jedynie wyświadczyć im przysługę.

Odpowiedziała:

– Od tej pory nie będziesz nikomu wyświadczał przysług. Zrozumiałeś?

– Tak, pani dyrektor, zrozumiałem. Ale żeby ktoś nie miał pretensji, jeśli nie pomogę mu wejść na schody, nie podniosę, gdy upadnie, nie wytłumaczę matematyki, nie poprawię błędów ortograficznych w liście. Jeśli nie chce pani, abym świadczył przysługi, niech pani nakaze, by nikt mnie o nie nie prosił.

Długo patrzyła na mnie, zanim powiedziała:

– Dobrze. Wyjdź stąd.

Wyszedłem z gabinetu, zobaczyłem płaczące dziecko, które upuściło jabłko i nie mogło go podnieść. Przeszedłem obok mówiąc:

– Możesz sobie płakać, od tego jabłko nie wróci, niezdar.

Siedzące na wózkach dziecko poprosiło:

– Nie mógłbyś mi go podnieść?

Odpowiedziałem:

– Radź sobie sam, idioto.

Wieczorem dyrektorka przyszła do jadalni, wygłosiła przemówienie, pod koniec powiedziała, że lepiej nie prosić mnie o wyświadczenie przysług, że można prosić tylko pielęgniarki, nauczycielkę, ewentualnie, w wyjątkowych wypadkach, ją samą, czyli panią dyrektor.

Na skutek tego wszystkiego dwa razy w tygodniu musiałem chodzić do małego pokoju obok izby chorych, gdzie w wielkim fotelu siedziała pewna starsza pani kryjąc nogi pod grubym kocem. Słyszałem już coś o tym. Dzieci, które chodziły do tego pokoju, opowiadały, że starsza pani jest bardzo miła, tak jak babcia, i że jest z nią dobrze; można poleżeć na polowym łóżku lub siedząc przy stole rysować, co się chce. Można także oglądać książki z obrazkami i mówić różne rzeczy.

Gdy poszedłem tam po raz pierwszy, nie rozmawialiśmy, powiedziałem tylko dzień dobry, potem nudziłem się, nie zainteresowały mnie jej książki, nie miałem ochoty rysować, chodziłem więc od drzwi do okna i od okna do drzwi.

Po pewnym czasie staruszka zapytała:

– Dlaczego tak chodzisz bez przerwy?

Zatrzymałem się, żeby jej odpowiedzieć:

– Muszę ćwiczyć chorą nogę. Chodzę, gdy tylko mam wolną chwilę i gdy nie mam nic innego do zrobienia.

Uśmiechnęła się do mnie, a jej zmarszczki jeszcze bardziej się pogłębiły.

– Wydaje mi się, że twoja noga jest w dobrym stanie.

– Niezupełnie.

Odrzuciłem łaskę na łóżko, zrobiłem kilka kroków, upadłem obok okna.

– Widzi pani ten dobry stan?

Doczołgałem się, sięgnąłem po łaskę.

– Dobrze będzie wtedy, kiedy będę mógł obejść się bez tego.

Potem nie chciałem do niej chodzić. Wszędzie mnie szukano, na próżno. Siedziałem na gałęzi drzewa orzechowego w głębi ogrodu. Tylko nauczycielka знаła moją kryjówkę.

Ostatnim razem dyrektorka sama zaprowadziła mnie do małego pokoju zaraz po obiedzie. Popchnęła mnie w drzwiach, upadłem na łóżko. Zostałem na nim. Starsza pani spytała:

– Pamiętasz swoich rodziców?

Odpowiedziałem:

– Nie, wcale. A pani?

Pytała dalej:

– O czym myślisz wieczorem przed snem?

– O spaniu. A pani nie?

Rzekła:

– Doniosłeś rodzicom o śmierci ich dziecka. Dlaczego?

– Żeby im zrobić przyjemność.

– Jak to?

– Przyjemniej wiedzieć, że dziecko umarło, niż że jest kaleką.

– Skąd wiesz?

– Wiem i już.

Starsza pani zapytała jeszcze:

– Tak sądzisz, ponieważ twoi rodzice nigdy nie przychodzą?

Powiedziałem jej:

– Co to panią może obchodzić?

Mówiła dalej:

– Nigdy do ciebie nie piszą. Nie wysyłają paczek. Dlatego mścisz się na innych dzieciach.

Podniosłem się z łóżka mówiąc:

– Tak, i na pani także.

Uderzyłem ją laską, upadłem.

Zaczęła wyc.

Cały czas wyla, a ja biłem ją leżąc na ziemi w miejscu, gdzie upadłem. Moje uderzenia sięgały tylko do jej nóg i kolan.

Weszły zaalarmowane krzykiem pielęgniarki. Obezwładniły mnie i zaprowadziły do innego małego pokoju przypominającego poprzedni, tylko że nie było w nim biurka ani biblioteki, lecz jedno jedyne łóżko i nic poza tym. Były także kraty w oknach i drzwi zamykano od zewnątrz.

Usnąłem na chwilę.

Kiedy się obudziłem, zastukałem w drzwi, zacząłem je kopać i krzyczeć. Wołałem, żeby przynieśli moje rzeczy, lekcje do odrobienia, książki.

Nikt nie odpowiadał.

W nocy nauczycielka weszła do pokoju, położyła się obok mnie na wąskim łóżku. Ukryłem twarz w jej włosach i nagle wstrząsnął mną dreszcz. Przeszył moje dało, dostałem czkawki, łzy napłynęły mi do oczu, nos zwilgotniał. Łkałem bez opamiętania.

Mieliśmy coraz mniej żywności w ośrodku, trzeba było zamienić park na ogródek warzywny. Kto tylko mógł, pracował w nim pod kierunkiem starszka ogrodnika. Sadziliśmy ziemniaki, sialiśmy fasolę i marchew. Żałowałem, że już nie jeżdżę na wózku.

Z powodu alarmów musieliśmy także coraz częściej schodzić do piwnicy, prawie co noc. Pielęgniarki znosiły na rękach tych, którzy nie mogli chodzić. Pomiedzy stosem ziemniaków a workami z węglem odnajdowałem nauczycielkę, przytulałem się do niej mówiąc, że nie trzeba się bać.

Przebywaliśmy w klasie, kiedy na ośrodek spadła bomba; nie było wtedy alarmu. Bomby zaczęły spadać wokół nas, uczniowie chowali się pod ławki, a ja stałem, gdyż właśnie recytowałem wiersz. Nauczycielka rzuciła się w moją stronę, przewróciła mnie na podłogę, nic nie widziałem, przywaliła mnie, próbowałem ją odepchnąć, ale była coraz bardziej ciężka. Gęsty, ciepły i słony płyn zalewał mi oczy, usta, szyję; straciłem przytomność.

Obudziłem się w sali gimnastycznej. Jakaś zakonnica wycierała mi twarz wilgotnym ręcznikiem. Powiedziała do kogoś:

– Ten chyba nie jest ranny.

Zacząłem wymiotować.

W sali gimnastycznej na materacach leżeli ludzie. Dorośli i dzieci. Niektórzy krzyczeli, inni nie ruszali się; nie wiadomo było, czy żyją. Szukałem wśród nich nauczycielki, ale jej nie znalazłem. Nie było także sparaliżowanego chłopca o jasnych włosach.

Następnego dnia przesłuchiwali mnie; wypytywali o nazwisko, rodziców, adres, ale puszczałem mimo uszu te pytania, nie odpowiadałem na nie, w ogóle nic nie mówiłem.

Stwierdzili, że jestem niemową, i dali mi spokój.

Dostałem nową laskę i pewnego ranka zakonnica wzięła mnie za rękę. Poszliśmy na dworzec, wsiedliśmy do pociągu, przyjechaliśmy do innego miasta. Doszliśmy pieszo aż do ostatniego budynku na skraju lasu. Siostra zostawiła mnie tam u starej wieśniaczki, którą później nauczyłem się nazywać „Babką”.

Ona mówiła do mnie „sukinsynu”.

Siedzę na dworcowej ławce. Czekam na pociąg. Mam około godziny czasu.

Widzę stąd całe miasto. Miasto, w którym mieszkałem prawie czterdzieści lat.

Gdy przyjechałem tutaj przed laty, ujrzałem małe urocze miasteczko, jezioro, las, stare niskie domy, liczne parki. Teraz autostrada oddziela miasto od jeziora, las został spustoszony, parki zniknęły, nowe wysokie budynki szpecą otoczenie. Stare wąskie uliczki pełne są samochodów, które zatrzymują się na chodnikach. Dawne bary zostały zastąpione restauracjami bez stylu lub jadłodajniami typu self-service, w których je się w pośpiechu, czasem nawet na stojąco.

Spoglądam na to miasto po raz ostatni. Już tu nie powrócę. Nie chcę tutaj umrzeć.

Z nikim się nie pożegnałem, nikomu nie powiedziałem „do widzenia”. Nie mam tu przyjaciół ani przyjaciółek. Dawne kochanki są pewnie mężatkami, matkami, zdążyły się postarzeć. Przestałem już rozpoznawać je na ulicy.

Mój najlepszy przyjaciel Piotr, opiekun z czasów młodości, zmarł dwa lata temu na zawał. Jego żona Klara, moja pierwsza kochanka, już dawno popełniła samobójstwo, ponieważ nie mogła znieść zbliżającej się starości.

Odjeżdżam nie zostawiając nikogo ani niczego. Wszystko sprzedałem. Nie było tego wiele. Meble bez wartości, podobnie jak książki. Wziąłem tylko trochę pieniędzy za stare pianino i niektóre obrazy – to wszystko.

Nadjeżdża pociąg, wsiadam. Niosę tylko jedną walizkę. Nie mam teraz więcej rzeczy niż w chwili przyjazdu. Nie dorobiłem się kokosów w tym bogatym i wolnym kraju.

Mam turystyczną wizę pozwalającą na miesięczny pobyt w ojczystym kraju, mogę ją jednak przedłużyć. Myślę, że wystarczy mi pieniędzy na kilka miesięcy, może na rok. Wziąłem także zapas leków.

Dwie godziny później wjeżdżam na duży międzynarodowy dworzec. Znowu czekam, potem wsiadam do nocnego pociągu, w którym mam zarezerwowaną kuszetkę. Poprosiłem o miejsce na dole, gdyż wiem, że nie usnę i będę często wychodził na papierosa.

Na razie jestem sam.

Powoli wagon zapełnia się. Stara kobieta, dwie dziewczyny, mężczyzna, prawie w moim wieku. Wychodzę na korytarz, zapalam papierosa, wpatruję się w noc. Około drugiej kładę się i chyba trochę śpię.

Wczesnym rankiem wjeżdżamy na duży dworzec. Trzy godziny czekania. Spędzam je w bufecie przy kilku kawach.

Tym razem wsiadam do pociągu z mojego ojczystego kraju. Jest w nim wielu podróżnych. Ławki są niewygodne, okna brudne, popielniczki przepełnione, podłoga czarna i lepka, z ubikacji prawie nie da się korzystać. Nie ma wagonu restauracyjnego ani bufetu. Podróżni wyjmują własne śniadania, jedzą, po czym zostawiają tłuste papiery i puste butelki na stoliku przy oknie lub rzucają je na podłogę, pod fotele.

Tylko dwóch podróżnych mówi językiem mojego kraju. Słucham ich, lecz się nie odzywam.

Patrzę przez okno. Krajobraz zmienia się. Opuszczony górski rejon, wjeżdżamy na równinę.

Znowu zaczyna mnie boleć.

Połykam lekarstwa bez wody. Nie pomyślałem, żeby zabrać ze sobą picie, a wzdragam się poprosić o nie podróżnych.

Zamykam oczy. Wiem, że zbliżamy się do granicy.

Jesteśmy. Pociąg zatrzymuje się, wchodzą strażnicy graniczni, celnicy i policjanci. Proszą mnie o dokumenty, oddają je z uśmiechem. Zatrzymują się natomiast dłużej przy dwóch podróżnych mówiących językiem mojego kraju, zadają im pytania, przeszukują bagaże.

Pociąg rusza i odtąd na każdej stacji wsiadają już tylko miejscowi.

Do mojego Małego Miasta nie docierają pociągi z zagranicy. Dojeżdżam do sąsiedniego miasta, które leży bardziej w głębi kraju, jest także trochę większe. Mógłbym od razu skorzystać z połączenia; ktoś wskazuje mi składający się z trzech wagonów mały czerwony pociąg, który co godzinę odjeżdża z peronu pierwszego w kierunku Małego Miasta. Patrzę, jak pociąg oddala się.

Opuszczam dworzec, biorę taksówkę, każę zawieźć się do hotelu. Wchodzę do pokoju, kładę się i natychmiast zasypiam.

Po przebudzeniu odsłaniam okno. Wychodzi na zachód. W oddali, za górą, w moim Małym Mieście, zachodzi słońce.

Codziennie chodzę na dworzec, patrzę, jak przyjeżdża i odjeżdża czerwony pociąg. Potem spaceruję po ulicach. Wieczorem piję z nieznajomymi w hotelowym barze lub gdzieś w mieście.

Mam pokój z balkonem. Często na nim siadam, zwłaszcza teraz, gdy zrobiło się ciepło. Widzę stąd bezkresne niebo, jakiego nie widziałem od czterdziestu lat.

Spaceruję coraz dalej, nawet za miasto, chodzę po polach.

Idę wzdłuż muru z kamienia i metalu. Za murem śpiewa jakiś ptak, spostrzegam bezlistne gałęzie drzew kasztanowych.

Kuta z żelaza brama jest otwarta. Wchodzę, siadam w pobliżu wejścia na wielkim kamieniu pokrytym mchem. Ten olbrzymi kamień nazywaliśmy „czarną skałą”, choć przecież nigdy nie był czarny, był raczej szary lub niebieski, a teraz jest zupełnie zielony.

Patrzę na park, poznaję go. Poznaję także duży budynek w głębi parku. Drzewa są być może te same, ptaki na pewno nie. Minęło tyle lat. Jak długo żyją drzewa? Jak długo żyją ptaki? Nie mam pojęcia.

A jak długo żyją ludzie? Wydaje mi się, że całe wieki, gdyż widzę, jak zbliża się dyrektorka ośrodka.

Pyta mnie:

– Co pan tutaj robi, proszę pana?

Wstaję, odpowiadam:

– Tylko patrzę, pani dyrektor. W dzieciństwie spędziłem tutaj pięć lat.

– Kiedy to było?

– Około czterdziestu lat temu. Dokładnie czterdzieści pięć. Poznaję panią. Była pani dyrektorką ośrodka rehabilitacyjnego.

Kobieta zaczyna krzyczeć:

– Co za bezczelność! Niech pan sobie wyobrazi, że czterdzieści lat temu nie było mnie jeszcze na świecie. Ale ja poznaję zboczeńców z daleka. Niech pan stąd idzie albo wezwę policję.

Odchodzę, wracam do hotelu, piję z nieznajomym. Opowiadam mu historię z dyrektorką.

– Oczywiście, że to nie ta sama. Tamta już pewnie nie żyje.

Mój nowy przyjaciel podnosi kieliszek.

– Konkluzja: albo dyrektorki upodobniają się z czasem do siebie, albo bardzo długo żyją. Jutro pojedę z tobą do ośrodka. Będziesz mógł go sobie swobodnie zwiedzać.

Następnego dnia nieznajomy przyjeżdża po mnie do hotelu. Podwozi mnie do ośrodka. Tuż przed wejściem, już w bramie, mówi:

– Wie pan, tamta starsza kobieta, którą pan widział, to ta sama. Tylko że nie jest już dyrektorką ani tu, ani nigdzie. Dowiadywałem się. Ten pański ośrodek jest teraz domem starców.

Mówię:

– Chciałbym tylko zobaczyć sypialnię. I ogród.

Orzech jest na miejscu, ale wydaje mi się, że skarłał. Niedługo zupełnie uschnie.

Mówię do nieznajomego:

– To drzewo wkrótce umrze.

Odpowiada mi:

– Niech pan nie będzie sentymentalny. Wszystko umiera.

Wchodzimy do budynku. Idziemy korytarzem, wchodzimy do pokoju, który zajmowałem z innymi dziećmi czterdzieści lat temu. Zatrzymuję się na progu, patrzę. Nic się nie zmieniło. Białe ściany, tuzin białych pustych łóżek. O tej porze łóżka zawsze są puste.

Wbiegam na pierwsze piętro, otwieram drzwi do pokoju, w którym byłem zamknięty przez wiele dni. Łóżko stoi na tym samym miejscu. Być może widzę to samo łóżko.

Młoda kobieta, która nas oprowadza, mówi:

– Tutaj wszystko było zburzone. Wszystko zostało jednak odbudowane. Teraz jest tak jak dawniej. To ładny budynek, nie trzeba go zmieniać.

Pewnego popołudnia znowu zaczynam odczuwać ból. Wracam do hotelu, biorę leki, pakuję się, płacę rachunek, wzywam taksówkę.

– Na dworzec.

Taksówka zatrzymuje się przed dworcem, mówię do kierowcy:

– Niech pan mi kupi bilet do K. Jestem chory.

Kierowca odpowiada:

– To nie należy do moich obowiązków. Przywiozłem pana na dworzec. Niech pan wysiada. Nie chcę tu chorego. – Stawia moją walizkę na chodniku, otwiera drzwi od mojej strony. – Niech pan stąd wysiada. Niech pan wyjdzie z mojego samochodu.

Wyjmuję z portfela banknot i podaję mu:

– Proszę pana.

Kierowca wchodzi do budynku dworcowego, wraca z biletem, pomaga mi wysiąść z taksówki, bierze mnie pod ramię, niesie walizkę, odprowadza na peron pierwszy, czeka razem ze mną na pociąg. Gdy nadjeżdża pociąg, pomaga mi wsiąść, stawia obok mnie walizkę, prosi kontrolera o opiekę nade mną w czasie podróży.

Pociąg rusza. Przedziały są prawie puste. Nie wolno palić.

Zamykam oczy, ból ustaje. Pociąg zatrzymuje się prawie co dziesięć minut. Wiem, że czterdzieści lat temu odbyłem już podobną podróż.

Pociąg zatrzymał się, zanim wjechał na dworzec Małego Miasta. Zakonnica pociągnęła mnie za rękę, potrząsnęła mną, nawet nie drgnąłem. Wyskoczyła z pociągu, pobiegła na pole. Wszyscy podróżni wybiegli z pociągu, pokładli się na polu. Zostałem sam w przedziale. Nad nami przelatywały samoloty, ostrzeliwały pociąg. Gdy wróciła cisza, wróciła także zakonnica. Zbiła mnie po twarzy, pociąg ruszył.

Otwieram oczy. Wkrótce będziemy na miejscu. Już widzę srebrzysty obłok nad wierzchołkiem góry, potem pojawiają się wieże zamku i dzwonnice licznych kościołów.

22 kwietnia, po czterdziestu latach nieobecności, powracam do Małego Miasta mojego dzieciństwa.

Dworzec nie zmienił się. Jest trochę bardziej czysty i rosną tu nawet kwiaty. To są tutejsze kwiaty, nie znam ich nazwy, ale nigdzie indziej takich nie widziałem.

Jest także autobus, który odjeżdża zabierając nielicznych podróżnych oraz robotników z pobliskiej fabryki.

Nie wsiadam do autobusu. Zostaję przed dworcem, stawiam walizkę na ziemi, spoglądam na wysadzaną kasztanami ulicę Dworcową, która prowadzi do miasta.

– Czy mogę panu ponieść walizkę?

Przedemną stoi chłopiec, mający z dziesięć lat.

Mówi:

– Spóźnił się pan na autobus. Następny jest za pół godziny.

Odpowiadam mu:

– Nie szkodzi. Pójdę pieszo.

Chłopiec mówi:

– Ma pan ciężką walizkę.

Podnosi walizkę i już jej nie puszcza.

Śmieję się:

– Tak, jest ciężka. Wiem, że nie uniesiesz jej zbyt daleko. Ja także nosiłem kiedyś walizki.

Chłopiec odstawia walizkę:

– Ach, tak? Kiedy?

– Gdy byłem w twoim wieku. Dawno temu.

– A gdzie?

– Tutaj. Przed tym dworcem.

Chłopiec mówi:

– Bez trudu udźwignę tę walizkę.

Odpowiadam:

– Dobrze, ale wyruszę dziesięć minut przed tobą. Chcę iść sam. Nie spiesz się, mam czas. Będę na ciebie czekał w „Czarnym Ogrodzie”. Jeśli jeszcze istnieje.

– Tak, proszę pana, istnieje.

„Czarny Ogród” jest niewielkim parkiem na końcu kasztanowej alei i nie ma w nim nic czarnego oprócz kutego w żelazie ogrodzenia. Siadam na ławce, czekam na chłopca. Wkrótce nadchodzi, stawia walizkę na ławce naprzeciwko, siada zdyszany.

Zapalam papierosa, pytam:

– Dlaczego tak pracujesz?

Chłopiec mówi:

– Chcę kupić sobie rower. Terenowy. Mógłby pan dać mi papierosa?

– Nie, nie dam ci żadnego papierosa. Ja właśnie umieram z powodu palenia. Chciałbyś umrzeć od papierosów?

Odpowiada mi:

– Co za różnica, od czego się umiera... Tak czy inaczej uczeni mówią...

– Co mówią uczeni?

– Że wszystko na ziemi jest do niczego. I że nic nie można zrobić. Już za późno.

– Gdzie o tym słyszałeś?

– Wszędzie. W szkole, a zwłaszcza w telewizji.

Wyrzucam niedopałek:

– I tak nie dostaniesz papierosa.

Chłopiec mówi:

– Pan jest niedobry.

Odpowiadam:

– Tak, jestem niedobry. I co z tego? Czy jest w tym mieście jakiś hotel?

– Oczywiście, jest wiele hoteli. Nie wie pan? A wydaje się, że zna pan dobrze miasto.

Mówię:

– Gdy tutaj mieszkałem, nie było żadnego hotelu.

Chłopiec mówi:

– W takim razie to musiało być dawno temu. Przy Placu Głównym mamy zupełnie nowy hotel. Nazywa się Grand Hotel, ponieważ jest największy ze wszystkich.

– Chodźmy tam.

Gdy dochodzimy do hotelu, dziecko stawia walizkę.

– Nie mogę wejść, proszę pana. Recepcjonistka mnie zna. Powie matce.

– O czym? Że niosłeś mi walizki?

– Tak, matka nie chce, żebym nosił walizki.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Nie chce, żebym to robił. Chce, żebym się tylko uczył.

Pytam:

– Czym zajmują się twoi rodzice?

Mówi:

– Nie mam rodziców. Tylko matkę. Nie mam ojca. Nigdy go nie miałem.

– Co robi twoja matka?

– Pracuje właśnie tutaj, w hotelu. Myje podłogę dwa razy dziennie. Ale chciałaby, żebym został uczniem.

– W jakiej dziedzinie?

– Skąd mam wiedzieć? Przecież nie zna się na tym. Myślę, że chciałaby, żebym został profesorem lub lekarzem.

Mówię:

– Dobrze. Ile chcesz za niesienie walizki?

Chłopiec mówi:

– Ile pan da, proszę pana.

Daję mu dwie monety.

– Wystarczy?

– Tak, proszę pana.

– Nie, proszę pana. Nie wystarczy. Przecież nie dźwigałeś tej ciężkiej walizki od dworca za tak drobną sumę!

Chłopiec mówi:

– Biorę to, co mi dają, proszę pana. Nie mam prawa żądać więcej. Zresztą niektórzy ludzie są biedni. Zdarza się, że niosę walizkę za darmo. Lubię tę pracę. Lubię czekać na dworcu. Lubię patrzeć na przyjezdnych. Miejscowych znam z widzenia. Lubię patrzeć na tych, którzy przyjeżdżają z daleka. Tak jak pan. Pan przyjeżdża z daleka, prawda?

– Tak, z bardzo daleka. Z innego kraju.

Podaję mu banknot i wchodzę do hotelu.

Wybieram narożny pokój, skąd widzę cały plac, kościół, sklep spożywczy, inne sklepy, księgarnię.

Jest dziewiąta wieczorem, na placu nie ma nikogo. W domach zapalają się światła. Ludzie zaciągają zasłony, zamykają okiennice, spuszczaają żaluzje, plac się zamyka.

Siadam przed oknem, do późnej nocy patrzę na plac, na domy.

W dzieciństwie często marzyłem o tym, żeby mieszkać w domu przy Placu Głównym, właściwie było mi wszystko jedno w którym, lecz upodobałem sobie niebieski dom, gdzie była – i ciągle jeszcze jest – księgarnia.

Mieszkałem jednak tylko w małym, zaniedbanym domu Babki, z dala od centrum, na skraju miasta, w pobliżu granicy.

Gdy mieszkałem u Babki, pracowałem od świtu do nocy tak jak ona. Miałem jedzenie i dach nad głową, ale nigdy nie dostawałem pieniędzy. A przecież potrzebowałem ich, żeby kupić mydło, pastę do zębów, ubranie i buty. Dlatego wieczorami przychodziłem do miasta, aby grać w barach na organkach. Sprzedawałem zbierane w lesie drewno, grzyby, kasztany. Sprzedawałem także jajka, które kradłem Babce, a także ryby, gdyż bardzo szybko nauczyłem się je łowić. Świadczyłem też ludziom różne inne przysługi. Przekazywałem wiadomości, listy i paczki. Ludzie mieli do mnie zaufanie, gdyż sądzili, że jestem głuchoniemy.

Na początku nie odzywałem się nawet do Babki, ale wkrótce zacząłem mówić cyfry, żeby móc handlować.

Często włóczyłem się po Placu Głównym. Patrzyłem na wystawę księgarni będącej zarazem sklepem papierniczym, spoglądałem na biały papier, szkolne zeszyty, gumki, ołówki. To wszystko było dla mnie za drogie.

Kiedy tylko mogłem, chodziłem na dworzec i czekałem na podróżnych, którym nosiłem walizki, żeby zarobić trochę więcej pieniędzy.

Dzięki temu mogłem kupić papier, ołówek, gumkę i duży zeszyt, w którym spisywałem swoje pierwsze kłamstwa.

Kilka miesięcy po śmierci Babki do domu weszli bez pukania jacyś ludzie. Było ich trzech, w tym jeden w mundurze strażnika granicznego. Dwóch pozostałych było po cywilnemu. Jeden z nich nic nie mówił, tylko pisał. Był młody, chyba w moim wieku. Drugi miał siwe włosy. To on zadawał mi pytania.

– Od kiedy tutaj mieszkasz?

Mówię:

– Nie wiem. Od zbombardowania szpitala.

– Jakiego szpitala?

– Nie wiem. Ośrodka.

Wtrąca się mężczyzna w mundurze:

– Gdy obejmowałem dowództwo nad plutonem, on już tu był.

Cywil pyta:

– Kiedy to było?

– Trzy lata temu. Ale on był tu już wcześniej.

– Skąd wiecie?

– To było widać. Pracował koło domu jak ktoś, kto mieszkał tu od dawna.

Mężczyzna o siwych włosach zwraca się do mnie:

– Czy pani V., z domu Maria Z., to twoja krewna?

Mówię:

– To była moja babka.

Mężczyzna pyta:

– Czy masz papiery potwierdzające ten stopień pokrewieństwa?

Mówię:

– Nie, nie mam żadnych papierów. Mam tylko papier, który kupuję w księgarni.

Mężczyzna mówi:

– Dobrze, wystarczy. Proszę notować!

Młody cywil zaczyna pisać:

– Pani Maria V., nazwisko panieńskie Maria Z., zmarła nie pozostawiając spadkobiercy, dlatego też wszystkie posiadane przez nią dobra, dom i ziemia, przechodzą na własność państwa i od tej pory należą do gminy K., która będzie nimi dysponować według własnego uznania.

Mężczyźni wstają, pytam ich:

– Co mam robić?

Patrzą na siebie. Mężczyzna w mundurze mówi:

– Masz się stąd wyprowadzić.

– Dlaczego?

– Dlatego, że to nie jest twoja własność.

Pytam:

– Kiedy mam się wyprowadzić?

– Nie wiem.

Spoglądam na siwego mężczyznę w cywilu, który mówi:

– Uprzedzimy cię w odpowiednim czasie. Ile masz lat?

– Wkrótce skończę piętnaście. Nie mogę się wyprowadzić wpierw, nim dojrzeją pomidory.

Mężczyzna mówi:

– Oczywiście, pomidory. Masz tylko piętnaście lat? W takim razie nie będzie żadnego problemu.

Pytam:

– Dokąd mam pójść?

Cywil milczy przez chwilę, patrzy na mężczyznę w mundurze, mężczyzna w mundurze patrzy na cywila, cywil opuszcza wzrok.

– Nie martw się. Zajmiemy się tobą. Przede wszystkim musisz zachować spokój.

Trzej mężczyźni wychodzą. Idę za nimi po trawie, żeby nie robić hałasu.

Strażnik graniczny mówi:

– Nie można by go zostawić w spokoju? To dobry chłopak i tak ciężko pracuje.

Mężczyzna w cywilu mówi:

– Nie o to chodzi. Istnieje prawo. Posiadłość pani V. jest własnością gminy. Już prawie dwa lata ten chłopak mieszka tutaj bezprawnie.

– A komu to szkodzi?

– Nikomu. Ale właściwie dlaczego tak bronicie tego małego nicponia?

– Od trzech lat obserwuję, jak zajmuje się ogródkiem i zwierzętami. To nie jest żaden drań, a już na pewno nie większy od pana.

– Macie czelność nazywać mnie łobuzem?

– Ja tego nie powiedziałem. Powiedziałem tylko, że on nie jest większym łobuzem od pana. Zresztą, co mnie to obchodzi. I pan, i on. Za trzy tygodnie zostaną zdemobilizowani, wrócę do siebie i zajmę się własnym ogródkiem. A pan będzie miał to dziecko na sumieniu, jeśli wyrzuci je pan na ulicę. Życzę dobrej nocy i spokojnych snów.

Cywil mówi:

– Nie wyrzucimy go na ulicę. Zajmiemy się nim.

Odchodzą. Kilka dni później powracają. Ten sam siwy mężczyzna, młodzieniec, jest z nimi także kobieta w podeszłym wieku. Nosi okulary, które ją upodabniają do dyrektorki ośrodka.

Kobieta zwraca się do mnie:

– Posłuchaj uważnie. Nie chcemy cię skrzywdzić, chcemy się tobą zaopiekować.

Zaprowadzimy cię do ładnego domu, w którym są takie dzieci jak ty.

Mówię do niej:

– Nie jestem już dzieckiem. Nie potrzebuję, żeby się mną opiekowano. I nie chcę już iść do szpitala.

Kobieta mówi:

– To nie szpital. Tam będziesz mógł się uczyć.

Jesteśmy w kuchni. Kobieta coś mówi, nie słucham jej. Siwowłosa mężczyzna również coś mówi. Jego także nie słucham.

Tylko młodzieniec, który wszystko notuje, milczy, nawet na mnie nie spojrzy.

Kobieta wychodząc mówi:

– Nie martw się. Jesteśmy z tobą. Wkrótce wszystko się ułoży. Nie zostawimy cię samego. Zaopiekujemy się tobą. Uratujemy cię.

Mężczyzna dorzuca:

– Zostaniesz tutaj jeszcze przez lato. Rozbiórka zacznie się pod koniec sierpnia.

Boję się, boję się domu, w którym zaopiekują się mną, w którym zostaną uratowani. Muszę stąd wyjechać. Zastanawiam się dokąd.

Kupuję mapę kraju i plan stolicy. Codziennie chodzę na dworzec, sprawdzam rozkład jazdy pociągów. Pytam, ile kosztuje bilet do takiego czy innego miasta. Mam niewiele pieniędzy, a nie chcę korzystać ze spadku po Babce, która mnie uprzedzała:

– Nikt nie może wiedzieć, że to masz. Będą cię wypytywać, zamkną cię, wszystko ci odbiorą. Nigdy nie mów prawdy. Udawaj, że nie rozumiesz pytań. Lepiej, żeby cię brali za idiotę.

Spadek po Babce, czyli schowana w płócienny worek biżuteria oraz złote i srebrne monety, został zakopany pod ławką stojącą przed domem. Gdybym spróbował to sprzedać, oskarżono by mnie o kradzież.

To właśnie na dworcu spotkałem mężczyznę, który chciał przekroczyć granicę.

Jest wieczór. Mężczyzna stoi przed dworcem trzymając ręce w kieszeniach. Inni podróżni już odjechali. Opustoszał Plac Dworcowy.

Mężczyzna przywołuje mnie gestem, podchodzę do niego. Nie ma bagażu.

Mówię:

– Zazwyczaj noszę walizki podróżnych. Ale widzę, że pan nie ma bagażu.

Mężczyzna mówi:

– Nie, nie mam.

Mówię:

– Może mógłbym panu w czymś pomóc? Widzę, że jest pan tutaj obcy.

– Po czym poznasz, że jestem obcy?

Mówię:

– Nikt w naszym mieście tak się nie ubiera. Poza tym tutaj wszyscy mieszkańcy mają podobne twarze. Takie znane, swojskie. Ludzi z naszego miasta można wszędzie poznać, nawet jeśli nie zna się ich osobiście. Gdy przyjeżdża ktoś obcy, od razu to widać.

Mężczyzna rozgląda się dokoła:

– Myślisz, że już mnie zauważyli?

– Na pewno. Ale to bez znaczenia, jeśli pana dokumenty są w porządku. Rano pokaże je pan na policji i będzie pan mógł zostać w naszym mieście, jak długo zechce. Nie ma tutaj hotelu, lecz mogę wskazać domy, w których wynajmują pokoje.

Mężczyzna mówi:

– Chodź za mną.

Wyrusza w stronę miasta, ale zamiast iść główną ulicą, zbacza w prawo, w wąską odludną uliczkę, po chwili siada obok zakurzonych krzewów. Siadam obok niego, pytam:

– Pan próbuje się ukryć? Dlaczego?

Mężczyzna pyta:

– Znasz miasto?

– Tak, doskonale.

– A granicę?

– Także.

– Rodzice?

– Nie mam.

– Umarli?

– Nie wiem.

– U kogo mieszkasz?

– U siebie. W domu Babki. Ona nie żyje.

– Z kim mieszkasz?

– Sam.

– Gdzie jest twój dom?

– Na drugim końcu miasta. Blisko granicy.

– Mogę dziś u ciebie przenocować? Mam dużo pieniędzy.

– Tak, może pan przenocować.

– Znasz ulice i przejścia, którymi można niepostrzeżenie dotrzeć do twojego domu?

– Tak.

– Chodźmy. Idę za tobą.

Idziemy za domami, po polach. Czasem musimy przeskoczyć przez ogrodzenie albo bramę, przejść przez ogród lub prywatne podwórko. Zapadła noc, mężczyzna porusza się z tyłu bezszelestnie.

Przed domem Babki chwalam go:

– Szedł pan za mną bez trudu pomimo swojego wieku.

Mężczyzna śmieje się.

– Pomimo mojego wieku? Mam zaledwie czterdzieści lat, poza tym byłem na wojnie. Nauczyłem się poruszać w mieście bez hałasu.

Po chwili dorzuca:

– Masz rację. Jestem już stary. Straciłem młodość na wojnie. Masz coś do picia?

Stawiam butelkę wódki na stole i mówię:

– Chce pan przekroczyć granicę, prawda?

Mężczyzna znowu się śmieje.

– W jaki sposób zgadłeś? Masz coś do jedzenia?

Mówię:

– Mogę przyrządzić panu omlet z grzybami. Mam także kozi ser.

Przygotowuję posiłek, mężczyzna pije.

Jemy. Pytam go:

– W jaki sposób znalazł się pan w strefie przygranicznej? Potrzebne jest specjalne pozwolenie, żeby wjechać do naszego miasta.

Mężczyzna mówi:

– W tym mieście mieszka moja siostra. Poprosiłem o pozwolenie, aby ją odwiedzić, i otrzymałem je.

– Ale nie pójdzie pan do niej.

– Nie, nie chcę robić jej kłopotu. Weź to i spal w piecu.

Podaje mi dowód oraz inne dokumenty. Wrzucam wszystko do ognia.

Pytam:

– Dlaczego chce pan stąd wyjechać?

– To nie twoja sprawa. Pokaż mi drogę, o nic więcej cię nie proszę. Zostawiam ci wszystkie pieniądze, jakie mam.

Kładzie na stole banknoty.

Mówię:

– Niewiele pan traci zostawiając te pieniądze. Są bez wartości po drugiej stronie granicy.

Mężczyzna mówi:

– Ale tutaj, dla takiego chłopaka jak ty, są wiele warte.

Wrzucam banknoty do ognia.

– Wie pan, mnie pieniądze nie są właściwie potrzebne. Mam tu wszystko, czego mi potrzeba.

Patrzymy na palące się banknoty. Mówię:

– Przekraczając granicę ryzykuje pan życie.

Mężczyzna mówi:

– Wiem.

Mówię:

– Musi pan również wiedzieć, że w każdej chwili mogę pana wydać. Naprzeciw mojego domu jest posterunek straży granicznej, z którą współpracuję. Jestem donosicielem.

Bardzo błady mężczyzna mówi:

– Donosiciel, w twoim wieku?

– Wiek nie gra roli. Wydałem już wielu takich, którzy chcieli przejść przez granicę. Widzę wszystko, co dzieje się w lesie, i donoszę o tym.

– Ale dlaczego?

– Dlatego, że czasami przysyłają prowokatorów, żeby zobaczyć, czy ich wydam. Do dziś byłem zmuszony wydawać ich bez względu na to, czy byli prowokatorami, czy też nie.

– Dlaczego do dziś?

– Dlatego, że jutro chcę z panem przejść przez granicę. Ja także mam ochotę stąd wyjechać.

Następnego dnia, tuż przed południem, przechodzimy przez granicę.

Mężczyzna idzie pierwszy, ma pecha. W pobliżu drugiego ogrodzenia wybucha mina i mężczyzna wylatuje w powietrze. Ja idę z tyłu, nic mi nie grozi.

Patrę na opustoszały plac do późnej nocy. Kiedy wreszcie zasypiam, mam sen.
Schodzę nad rzekę, tam, na skarpie, siedzi mój brat z wędką i łowi ryby. Siadam obok:

– Biorą?

– Nie. Czekałem na ciebie. – Wstaje, składa wędkę. – Już od dawna w tej rzece nie ma ryb.

Nie ma w niej nawet wody.

Bierze kamień, rzuca go na inne kamienie pokrywające wyschnięte koryto rzeki.

Idziemy w stronę miasta. Zatrzymuję się przed domem o zielonych okiennicach. Brat mówi:

– Tak, to był nasz dom. Poznałeś go.

Mówię:

– Poznałem. Ale dawniej nie stał tutaj. Był w innym mieście.

Brat poprawia mnie:

– W innym życiu. A teraz stoi tutaj i jest pusty.

Przychodzimy na Plac Główny.

Przed drzwiami księgarni, na schodach prowadzących do mieszkania, siedzą dwaj mali chłopcy.

Brat mówi:

– To moi synowie. Ich matka odeszła. Wchodzimy do przestronnej kuchni. Brat przygotowuje kolację. Dzieci jedzą w milczeniu nie podnosząc oczu.

Mówię:

– Twoi synowie są szczęśliwi.

– Bardzo szczęśliwi. Położę ich spać.

Wracając mówi:

– Chodźmy do mojego pokoju.

Wchodzimy do dużego pokoju, brat wyjmuje butelkę ukrytą za książkami w bibliotece.

– To wszystko, co zostało. Beczki są puste. Pijemy. Brat gładzi czerwony pluszowy obrus leżący na stole.

– Widzisz, nic się nie zmieniło. Wszystko zostawiłem. Nawet ten okropny obrus. Jutro możesz sprowadzić się do domu.

Mówię:

– Nie chcę. Wolę pobawić się z twoimi dziećmi. Brat mówi:

– Moje dzieci się nie bawią.

– A co robią?

– Przygotowują się do przejścia przez życie. Mówię:

– Przeszedłem przez życie i niczego nie znalazłem.

Brat mówi:

– Cóż miałbyś znaleźć? Czego szukałeś?

– Ciebie. To dla ciebie wróciłem.

Brat śmieje się:

– Dla mnie? Wiesz dobrze, że jestem tylko snem. Trzeba się z tym pogodzić. Nigdzie niczego nie ma.

Zimno mi, wstaję.

– Późno już, muszę wracać.

- Wracać? Dokąd?
- Do hotelu.
- Do jakiego hotelu? Jesteś tutaj u siebie. Zaraz powiem rodzicom.
- Rodzicom? Gdzie oni są?

Brat wskazuje brązowe drzwi prowadzące do innego pokoju.

- Tam są. Śpią.
- Razem?
- Jak zawsze.

Mówię:

- Nie trzeba ich budzić.

Brat mówi:

- Dlaczego nie? Ucieszą się, gdy znów cię zobaczą po tylu latach.

Cofam się w stronę wyjścia.

- Ale ja nie chcę, nie mogę się z nimi spotkać.

Brat chwyta mnie za rękę.

– Tak, ty nie chcesz, ty nie możesz. A ja ich widzę codziennie. Musisz raz ich zobaczyć, jeden jedyny raz!

Brat ciągnie mnie w stronę brązowych drzwi; wolną ręką chwytam ze stołu ciężką szklaną popielniczkę i walę brata w kark.

Brat uderza czołem o drzwi, pada na podłogę, wokół jego głowy widać krew.

Wychodzę z domu, siadam na ławce. Ogromny księżyc oświetla pusty plac.

Jakiś starzec zatrzymuje się przede mną, prosi o papierosa. Częstuję go i podaję ogień.

Stoi przede mną paląc papierosa.

Po kilku chwilach pyta:

- A więc zabiłeś go?

Mówię:

- Tak.

Starzec mówi:

- Zrobiłeś to, co do ciebie należało. To dobrze. Niewielu ludzi robi to, co do nich należy.

Mówię:

- To dlatego, że chciał otworzyć drzwi.

– Dobrze zrobiłeś. Dobrze zrobiłeś nie pozwalając na to. Musiałeś go zabić. Teraz wszystko powróci do ładu, znowu zapanuje porządek.

Mówię:

- Ale jego już nie ma. Co mi tam porządek, jeśli on już tu nie wróci.

Starzec mówi:

- Wprost przeciwnie. Od tej pory będzie przy tobie w każdej chwili i w każdym miejscu.

Starzec oddala się, dzwoni do drzwi małego domku, wchodzi do środka.

Gdy się budzę, plac od dawna już tętni życiem. Ludzie chodzą pieszo lub jeżdżą na rowerach. Jest bardzo mało samochodów. Sklepy są otwarte, księgarnia także. Słychać, jak ktoś odkurza korytarz hotelowy.

Otwieram drzwi, wołam sprzątaczkę:

- Czy może mi pani przynieść kawę?

Odwraca się, jest młodą kobietą o bardzo czarnych włosach.

- Nie mogę obsługiwać klientów, proszę pana, jestem tylko sprzątaczką. Nie podajemy do

pokoi. Na dole jest bar i restauracja.

Wracam do pokoju, myję zęby, biore prysznic, potem znowu kładę się do łóżka. Jest mi zimno. Ktoś puka do drzwi, wchodzi sprzątaczką, stawia tacę na stoliku nocnym.

– Później pan zapłaci za kawę w barze.

Kładzie się obok na łóżku, całuje mnie. Odwracam głowę.

– Nie, ślicznotko. Jestem stary i chory. Sprzątaczką wstaje, mówi:

– Bardzo mało zarabiam. Moja praca jest źle płatna. Chciałabym kupić rower terenowy synkowi na urodziny. I nie mam męża.

– Rozumiem.

Podaję jej banknot nie wiedząc, czy to mało czy dużo. Nie jestem jeszcze przyzwyczajony do tutejszych cen.

Około trzeciej po południu wychodzę z hotelu.

Idę powoli. Mimo to po trzydziestu minutach dochodzę do końca miasta. Tutaj, na miejscu domu Babki, jest bardzo dobrze utrzymane boisko. Bawią się na nim dzieci.

Długo siedzę nad rzeką, potem wracam. Przechodzę przez starą część miasta, idę wąskimi uliczkami wokół zamku, wchodzę na cmentarz, ale nie znajduję grobu Babki.

Codziennie przez wiele godzin spaceruję po ulicach miasta. Lubię zwłaszcza wąskie uliczki, gdzie domy zagłębiają się w ziemię, a okna sięgają bruku. Czasami siadam w parku albo na murowanym ogrodzeniu zamku lub cmentarnych kamieniach. Kiedy jestem głodny, wchodzę do jakiegoś małego baru i zjadam co mają. Potem piję z robotnikami, prostymi ludźmi. Nikt mnie nie rozpoznaje, nikt mnie już nie pamięta.

Pewnego dnia wchodzę do księgarni, żeby kupić papier i ołówki. Gruby pan, którego spotykałem w dzieciństwie, już tutaj nie pracuje, teraz sklep prowadzi jakaś kobieta. Siedzi w fotelu obok oszklonych drzwi wychodzących na ogródek i robi na drutach. Na mój widok uśmiecha się:

– Znam pana z widzenia. Codziennie patrzę, jak pan wchodzi i wychodzi z hotelu. Chyba że wraca pan tak późno, że już śpię. Mieszkam nad księgarnią i lubię spoglądać wieczorem na plac.

Mówię:

– Ja także.

Kobieta pyta:

– Przyjechał pan tutaj na wakacje? Na jak długo?

– Tak, na wakacje. W pewnym sensie. Chciałbym tu pozostać tak długo, jak tylko będę mógł. To zależy i od wizy, i od pieniędzy.

– Od wizy? Jest pan cudzoziemcem? Nie powiedziałbym.

– Spędziłem dzieciństwo w tym mieście. Urodziłem się w tym kraju. Ale od dawna mieszkam za granicą.

Kobieta mówi:

– Wielu cudzoziemców przyjeżdża teraz, gdy kraj jest wolny. Ci, którzy wyjechali po rewolucji, wracają, żeby odwiedzić go, ale jest także dużo turystów. Wie pan, jak robi się ciepło, będą zjeżdżać pełnymi autokarami. Skończy się nasz spokój.

Rzeczywiście, hotel zapelnia się coraz bardziej. W soboty organizowane są wieczorki taneczne. Czasami trwają do czwartej nad ranem. Nie znoszę ani muzyki, ani krzyków i śmiechów rozbawionych biesiadników. Zostaję więc na ulicy, siadam na ławce z kupioną wcześniej w ciągu dnia butelką wina i czekam.

Pewnego wieczoru przysiada się do mnie jakiś chłopczyk:

– Czy mogę zostać z panem? Trochę się boję w nocy.

Poznaję go po głosie. To dziecko, które w dniu przyjazdu niosło moją walizkę. Pytam:

– Co tu robisz tak późno?

Odpowiada:

– Czekam na matkę. Kiedy jest zabawa, musi zostać dłużej, żeby pomóc przy obsłudze gości i zmywaniu.

– No to co? Powinieneś wrócić do domu i spać spokojnie.

– Nie mogę spać spokojnie. Boję się, że matce coś się przytrafi. Mieszkamy daleko stąd, nie mogę pozwolić, żeby wracała sama w nocy. Niektórzy mężczyźni atakują kobiety chodzące samotnie nocą. Widziałem to w telewizji.

– A dzieci nie atakują?

– Raczej nie. Tylko kobiety. Zwłaszcza te ładniejsze. Ja mógłbym się obronić. Bardzo szybko biegam.

Czekamy. Powoli w hotelu robi się cicho. Wychodzi z niego kobieta, ta sama, która co rano przynosi mi kawę. Chłopczyk podbiega do niej, odchodzą razem trzymając się za ręce.

Z hotelu wychodzą inni pracownicy, oddalają się szybko.

Idę do swego pokoju.

Nazajutrz mówię właścicielce księgarni:

– Nie mogę już dłużej pozostać w hotelu. Jest tam za dużo ludzi, za wiele hałasu. Czy zna pani kogoś, kto mógłby wynająć mi pokój?

Kobieta mówi:

– Niech pan zamieszka u mnie. Tu, na górze.

– Przeszkadzałbym pani.

– Ależ skądże. Przeprowadzę się do córki, która mieszka w pobliżu. Będzie pan miał ode piętro. Dwa pokoje, kuchnia, łazienka.

– Za ile?

– Ile płaci pan w hotelu?

Wymieniam sumę. Uśmiecha się:

– To są ceny dla turystów. Wezmę od pana połowę tej kwoty. Będę panu także sprzątać po zniknięciu sklepu. Na ogół wtedy pana nie ma, nie będę więc przeszkadzać. Chciałby pan zobaczyć mieszkanie?

– Nie, jestem pewien, że mi się spodoba. Kiedy mógłbym się sprowadzić?

– Jutro, jeśli pan sobie życzy. Zabiorę tylko ubrania i osobiste drobiazgi.

Następnego dnia pakuję walizkę, płacę rachunek w hotelu. Przychodzę do księgarni tuż przed zamknięciem. Właścicielka daje mi klucz:

– To klucz do drzwi wejściowych. Można wejść do mieszkania bezpośrednio ze sklepu, ale pan będzie korzystał z drugich drzwi, które wychodzą na ulicę. Zaraz je panu pokażę.

Zamyka sklep. Wchodzimy po wąskich schodach, docieramy na podest rozjaśniony dwoma oknami wychodzącymi na ogródek. Właścicielka księgarni tłumaczy:

– Na lewo są drzwi do sypialni, na wprost jest łazienka. Drugie drzwi prowadzą do salonu, skąd można także przejść do sypialni. W głębi mieści się kuchnia. Jest tam lodówka. Zostawiłam w niej trochę jedzenia.

Mówię:

– Potrzebuję tylko kawy i wina. Jem w barach.

Kobieta mówi:

– To niezdrowo. Kawa stoi na półce, a w lodówce jest butelka wina. Pójdę już. Myślę, że spodoba się tutaj panu.

Odchodzi. Od razu otwieram butelkę wina; jutro kupię na zapas. Wchodzę do salonu. Jest to skromnie umeblowany duży pokój. Między dwoma oknami stoi duży stół pokryty czerwonym

pluszowym obrusem. Od razu kładę na nim papiery i ołówki. Potem idę do sypialni. To wąski pokój z jednym oknem lub raczej oszklonymi drzwiami otwierającymi się na mały balkon.

Stawiam walizkę na łóżku, układam ubrania w pustej szafie.

Tego wieczoru nie wychodzę. Siadam w starym fotelu przed jednym z okien salonu i kończę butelkę wina. Patrzę na plac, potem kładę się do łóżka, które pachnie mydłem.

Nazajutrz, gdy wstaję około dziesiątej, znajduję dwie gazety na kuchennym stole i garnek z zupą jarzynową w kuchni. Najpierw parzę sobie kawę, którą piję czytając gazety. Zupę jem później, przed wyjściem, około czwartej po południu.

Właścicielka księgarni nie krępuje mnie swoją obecnością. Spotykam ją tylko wtedy, gdy schodzę na dół, żeby z nią porozmawiać. Kiedy mnie nie ma, ona sprząta mieszkanie, zabiera także brudną bieliznę i przynosi wypraną i wyprasowaną.

Czas szybko płynie. Muszę pojechać do sąsiedniego miasta wojewódzkiego, żeby przedłużyć wizę. Młoda kobieta stawia pieczętkę w moim paszporcie: PROLONGOWANO NA JEDEN MIESIĄC. Płacę, dziękuję. Kobieta uśmiecha się do mnie.

– Dziś wieczorem będę w barze w Grand Hotelu. Można się tam niezłe zabawić. Jest dużo cudzoziemców, spotka pan rodaków.

Mówię:

– Dobrze, być może przyjdę.

Natychmiast wsiadam do czerwonego pociągu, żeby wrócić do siebie, do mojego miasta.

Następnego miesiąca młoda kobieta nie jest już taka miła, bez słowa stempluje paszport, a za trzecim razem uprzedza mnie oschle, że na tym koniec, gdyż nie można czterokrotnie przedłużyć wizy.

U schyłku lata już prawie nie mam pieniędzy i muszę oszczędzać. Kupuję organki i chodzę grać po barach, tak jak w dzieciństwie. Goście fundują mi picie. Jeśli chodzi o jedzenie, wystarcza mi zupa jarzynowa przynoszona przez właścicielkę księgarni. We wrześniu i październiku nie mogę już nawet płacić czynszu. Właścicielka księgarni nie domaga się pieniędzy, nadal sprząta, pierze moją bieliznę, przynosi zupę.

Nie wiem, jak to zrobię, ale nie chcę wracać do tamtego kraju, muszę tu zostać, muszę umrzeć tutaj, w tym mieście.

Od dnia przyjazdu zniknęły moje dolegliwości, mimo że nadużywam alkoholu i papierosów.

30 października oblewam urodziny w jednym z bardziej znanych barów w mieście. Współbiesiadnicy fundują mi trunki. Pary tańczą przy dźwiękach moich organków. Jakieś kobiety całują mnie. Jestem pijany. Zaczynam opowiadać o bracie, jak zawsze, gdy za dużo wypiję. Wszyscy w mieście znają tę opowieść: szukam brata, z którym mieszkałem tutaj do piętnastego roku życia. Muszę go odnaleźć, czekam na niego, wiem, że wróci, kiedy tylko dowie się, że przyjechałem z zagranicy.

To wszystko jest zwykłym kłamstwem. Bardzo dobrze wiem, że mieszkałem u Babki w tym mieście i że już wtedy wyobrażałem sobie jedynie, że jest nas dwóch – brat i ja, tylko dlatego, żeby jakoś znieść uciążliwą samotność.

Około północy w lokalu nastaje cisza. Przestaję grać, już tylko piję.

Na wprost mnie siada obdarty starzec. Pije z mojego kieliszka. Mówi:

– Pamiętam was dwóch bardzo dobrze. Twojego brata i ciebie.

Nie odpowiadam. Jakiś młodszy mężczyzna przynosi litr wina do stołu. Proszę o czysty kieliszek. Pijemy.

Młodszy mężczyzna pyta:

– Co mi dasz, jeśli znajdę twojego brata?

Odpowiadam:

– Nie mam już pieniędzy.

Śmieje się:

– Możesz przecież kazać, aby ci przysłano pieniądze z zagranicy. Wszyscy cudzoziemcy są bogaci.

– Ale nie ja. Nawet nie mogę zafundować ci kieliszka.

Młody człowiek mówi:

– Nie szkodzi. Jeszcze jeden litr na mój rachunek.

Kelnerka przynosi wino, mówi:

– Na tym koniec. Dalej was nie obsługuję. Jeśli zaraz nie zamkniemy, będziemy mieli kłopoty z policją.

Starzec wciąż popija obok nas mamrocząc od czasu do czasu:

– O tak, dobrze znałem was obydwu, już wtedy były z was niezłe ziółka. O tak, tak.

Młody mężczyzna mówi:

– Wiem, że twój brat ukrywa się w lesie. Czasem widzę go z daleka. Żyje jak dzikie zwierzę. Uszył sobie ubranie z wojskowych koców i chodzi boso, nawet zimą. Je trawę, korzenie, kasztany i leśne zwierzęta. Nosi długie siwe włosy i siwą brodę. Ma nóż i zapalniczki, pali papierosy, które sam zwija, co dowodzi, że czasem zagląda nocą do miasta. Być może znają go mieszkające za cmentarzem i żyjące ze sprzedaży własnych wdzięków panienki. A przynajmniej jedna z nich. Być może przyjmują go w tajemnicy i zaspokajają jego potrzeby. Można by zorganizować zasadzkę. Jeśli pójdziemy wszyscy, złapiemy go.

Wstaję, uderzam go.

– Kłamca! To nie jest mój brat. Jeśli chcesz kogoś łapać, nie licz na mnie.

Zadaję mu kolejne ciosy, spada z krzesła. Przewracam stół, krzyczę:

– To nie jest mój brat!

Kelnerka wybiega na ulicę krzycząc:

– Policja! Policja!

Ktoś pewnie zadzwonił, gdyż bardzo szybko przybywają policjanci. Jest ich dwóch. Przyszli pieszo. W knajpie nastaje cisza. Jeden z policjantów pyta:

– Co się dzieje? Dlaczego lokal nie jest jeszcze zamknięty?

Pobity przeze mnie mężczyzna jęczy:

– Pobił mnie.

Kilka osób pokazuje mnie palcem:

– To ten.

Policjant podnosi mężczyznę.

– Przestań jęczeć. Nic ci nie jest. Jesteś jak zwykle zalany. Lepiej byś sobie poszedł. Może by tak wszyscy już sobie poszli?

Odwraca się do mnie.

– Nie znam pana. Poproszę dokumenty.

Próbuję uciec, ale chwytają mnie stojący wokół ludzie. Policjant przeszukuje mi kieszenie, znajduje paszport. Długo mu się przygląda, w końcu mówi do kolegi:

– Jego wiza jest nieważna od kilku miesięcy. Musimy go zabrać.

Wyrwam się, lecz zakładają mi kajdanki i wyprowadzają na ulicę. Chwieję się, ledwie mogę iść, prawie mnie niosą na posterunek policji. Tu zdejmują kajdanki, kładą na łóżku i wychodzą zamykając za sobą drzwi.

Następnego ranka przesłuchuje mnie oficer policji. Jest młody, ma rude włosy i twarz pokrytą piegami.

Mówi do mnie:

– Nie ma już pan prawa pobytu w naszym kraju. Musi pan wyjechać.

Mówię:

– Nie mam pieniędzy na pociąg. Już w ogóle nie mam pieniędzy.

– Zawiadomię waszą ambasadę. Odeślą pana.

Mówię:

– Nie chcę stąd wyjeżdżać. Muszę odnaleźć brata.

Oficer wzrusza ramionami:

– Wróci pan, kiedy pan zechce. Może pan nawet tutaj zamieszkać na stałe, ale istnieją w tym celu odpowiednie przepisy. Wyjaśnią je panu w ambasadzie. Jeśli chodzi o pańskiego brata, podejmiemy niezbędne działania, aby go odnaleźć. Czy ma pan o nim jakieś informacje mogące nam pomóc?

– Tak, mam jego własny rękopis. Leży w moim mieszkaniu nad księgarnią, w salonie na stole.

– W jaki sposób stał się pan właścicielem tego rękopisu?

– Ktoś zostawił go na moje nazwisko w recepcji hotelowej.

Oficer mówi:

– Ciekawe, bardzo ciekawe.

Pewnego listopadowego ranka zostaję wezwany do biura oficera policji. Prosi, abym usiadł, podaje mi rękopis.

– Proszę, oddaję go panu. To tylko fikcja, a pana brat nie ma z tym nic wspólnego.

Milczymy. Okno jest otwarte. Pada, jest zimno. W końcu oficer przerywa ciszę:

– Nawet na pana temat niczego nie znaleźliśmy w archiwach miasta.

– Oczywiście. Babka nigdy nie podała mnie do ewidencji. I nigdy nie chodziłem do szkoły. Ale wiem, że urodziłem się w stolicy.

– Stołeczne archiwa zostały całkowicie zniszczone podczas bombardowań. Przyjdą po pana o czternastej.

Te słowa dorzucił w pośpiechu.

Chowam ręce pod stół, bo czuję, że drżą.

O czternastej? Dzisiaj?

– Tak, bardzo mi przykro. To tak nagle. Powtarzam – może pan wrócić, kiedy zechce. Może pan zamieszkać tu na stałe, tak robią liczni emigranci. Teraz nasz kraj jest wolny. Wkrótce nie będzie pan już potrzebował wizy.

Mówię do niego:

– Dla mnie to będzie za późno. Jestem chory na serce. Wróciłem, ponieważ chciałem tu umrzeć. Jeśli chodzi o brata, być może nigdy nie istniał naprawdę.

Oficer mówi:

– No właśnie. Jeśli wciąż pan będzie snuł opowieści o bracie, ludzie pomyślą, że mają do czynienia z wariatem.

– Pan też tak myśli?

Przeczy ruchem głowy.

– Nie, myślę tylko, że miesza pan rzeczywistość z literaturą. Myślę także, iż powinien pan wyjechać stąd, zastanowić się trochę i potem wrócić. Być może na stałe. Tego właśnie życzę i panu, i sobie.

– Ze względu na nasze partie szachów?

– Nie, nie tylko.

Wstaje, podaje mi rękę.

– Nie będzie mnie o czternastej. Mówię panu do widzenia teraz. Proszę wracać do celi.

Wracam do celi. Strażnik mówi:

– Chyba dziś pana zabierają.

– Tak, chyba.

Kładę się na łóżku, czekam. W południe przychodzi właścicielka księgarni z zupą. Mówię, że muszę wyjechać. Kobieta płacze. Wyjmuje z torby sweter i mówi:

– Zrobiłam ten sweter dla pana. Niech pan go włoży. Jest zimno.

Wkładam sweter, mówię:

– Dziękuję. Jestem jeszcze winien komorne za dwa miesiące. Mam nadzieję, że ambasada zapłaci pani.

Kobieta mówi:

– Ależ to bez znaczenia! Wróci pan, prawda?

– Spróbuję.

Wychodzi we łzach. Musi otworzyć księgarnię.

Strażnik i ja siedzimy w celi. Strażnik mówi:

– Jakoś dziwnie się czuję, gdy pomyślę, że jutro już tu pana nie będzie. Ale pewnie pan wróci. Wymażę pański dług.

Mówię:

– O nie, tylko nie to. Proszę niczego nie wymazywać. Zapłacę panu, gdy przyjedzie ktoś z ambasady.

Strażnik mówi:

– Nie, nie, to było tylko tak, dla zabawy. Zresztą często oszukiwałem.

– Ach, to dlatego wciąż pan wygrywał!

– Proszę nie mieć mi tego za złe, nie mogę powstrzymać się od oszukiwania.

Pociąga nosem:

– Wie pan, jeśli będę miał syna, dam mu pańskie imię.

Mówię do niego:

– Raczej niech pan da mu imię mojego brata Lucasa. To mnie bardziej ucieszy.

Zastanawia się:

– Lucas? Tak, to ładne imię. Porozmawiam o tym z żoną. Być może zgodzi się. Zresztą ona nie ma nic do powiedzenia. To ja rządę w domu.

– Jestem o tym przekonany.

Policjant przychodzi po mnie do celi. Wychodzę na podwórze ze strażnikiem. Stoi tam elegancko ubrany mężczyzna w kapeluszu, krawacie i z parasolem. Kamienna kostka na podwórzu lśni od deszczu.

Mężczyzna z ambasady mówi:

– Czeka na nas samochód. Już uregulowałem pańskie długi.

Mówi w języku, którego nie powinienem znać, ale który przecież rozumiem. Wskazuję na strażnika:

– Jestem winien temu panu pewną sumę. To honorowy dług.

Mężczyzna pyta:

– Ile?

Płaci, bierze mnie pod rękę, prowadzi do wielkiego czarnego auta stojącego przed budynkiem. Drzwi otwiera kierowca w czapce z daszkiem.

Samochód rusza. Pytam mężczyznę z ambasady, czy moglibyśmy zatrzymać się na chwilę przed księgarnią przy Placu Głównym, ale on patrzy na mnie i nie rozumie, wówczas zdaję sobie sprawę, że odezwałem się do niego w moim dawnym języku, w języku tego kraju.

Kierowca prowadzi szybko, mijamy plac, jedziemy już ulicą Dworcową, moje Małe Miasto wkrótce zostaje z tyłu.

W samochodzie jest ciepło. Patrę na przesuwane się za oknem wioski, pola, akacje i topole, krajobraz mojego kraju zlanego deszczem, smaganego wiatrem.

Nagle odwracam się do mężczyzny z ambasady:

– To nie jest droga do granicy. Jedziemy w przeciwnym kierunku.

Mężczyzna mówi.

– Najpierw zawieziemy pana do ambasady, do stolicy. Za kilka dni przejedzie pan przez granicę pociągiem.

Zamykam oczy.

Chłopiec przechodzi przez granicę.

Mężczyzna idzie z przodu, chłopiec czeka. Wybuch. Chłopiec zbliża się. Mężczyzna leży obok drugiego ogrodzenia. Chłopiec rusza do przodu. Idąc po śladach mężczyzny, a potem po jego nieruchomym ciele, przechodzi na drugą stronę, chowa się za krzakami.

Grupa strażników granicznych przyjeżdża samochodem terenowym. Sierżant i kilku żołnierzy. Jeden z nich mówi:

– Biedny dureń!

Inny dorzuca:

– Zabrakło mu szczęścia. Był już tak blisko.

Sierżant krzyczy:

– Przestańcie się wymądrzać! Trzeba go stąd usunąć.

Żołnierze mówią:

– Jeśli coś z niego zostało.

– Co z nim zrobimy?

Sierżant mówi:

– Trzeba zidentyfikować zwłoki. Takie są przepisy. Musimy zabrać ciało. Są ochotnicy?

Żołnierze spoglądają po sobie:

– Tam są miny. Można nie wrócić.

– I co z tego? To wasz obowiązek. Banda tchórzów!

Jeden żołnierz podnosi rękę.

– Ja.

– Brawo. Idź, chłopcze. Pozostali, cofnąć się.

Żołnierz zbliża się powoli do rozczłonkowanego ciała, potem zaczyna biec. Przemyka obok chłopca, ale go nie dostrzega.

Sierżant wrzeszczy:

– Łajdak! Strzelać! Ognia!

Żołnierze nie strzelają.

– Jest już z drugiej strony. Nie można strzelać na tamtą stronę.

Sierżant podnosi karabin. Naprzeciw pojawiają się dwaj obcy strażnicy graniczni. Sierżant opuszcza broń, podaje ją jednemu z żołnierzy. Podchodzi do ciała, bierze na plecy, wraca i zrzuca je na ziemię. Wyciera twarz rękawem munduru.

– Zapłacicie mi za to, skurwysyny, jesteście bandą zasańców.

Żołnierze zawijają ciało w brezent, kładą je z tyłu samochodu, odjeżdżają. Dwaj obcy strażnicy graniczni także odchodzą.

Chłopiec leży nieruchomo, zasypia. Wczesnym rankiem budzi się ze śpiewem ptaków. Przyciska do siebie płaszcz i gumowce, wyrusza w stronę wioski. Spotyka dwóch strażników granicznych, którzy pytają go:

– Ej, ty! Skąd idziesz?

– Z drugiej strony granicy.

– Przeszedłeś przez granicę? Kiedy?

– Wczoraj. Z ojcem. Ale ojciec przewrócił się i już nie wstał po wybuchu, zabrali go tamci strażnicy.

– Tak, byliśmy tam. Ale ciebie nie widzieliśmy. Żołnierz dezterter również ciebie nie widział.
– Schowałem się. Bardzo się bałem.
– Skąd umiesz mówić w naszym języku?
– Nauczyłem się od wojskowych w czasie wojny. Myślicie, że zaopiekują się moim ojcem?
Strażnicy wbijają wzrok w ziemię.
– Na pewno. Chodź z nami. Pewnie jesteś głodny.
Strażnicy odprowadzają chłopca do wioski, oddają go pod opiekę żony jednego z kolegów.
– Daj mu jeść, a potem zaprowadź na policję. Powiedz im, że przyjdziemy o jedenastej, żeby sporządzić raport.

Żona strażnika jest grubą blondynką o czerwonej i uśmiechniętej twarzy.

Kobieta pyta chłopca:

– Lubisz mleko i ser? Obiad jeszcze nie jest gotowy.

– Tak, proszę pani, ja wszystko lubię. Mogę zjeść cokolwiek.

Kobieta podaje jedzenie.

– Nie, poczekaj. Najpierw idź się umyć. Przynajmniej twarz i ręce. Upiorę ci ubranie, ale pewnie nie masz w co się przebrać.

– Nie mam, proszę pani.

– Pożyczę ci koszulę męża. Będzie na ciebie za duża, ale to nie szkodzi. Podwiniesz sobie rękawy. Trzymaj ręcznik. Tam jest łazienka.

Chłopiec bierze ze sobą płaszcz i gumowce. Wchodzi do łazienki, myje się, wraca z kuchni, je chleb z serem, pije mleko.

Mówi:

– Dziękuję pani.

Kobieta odpowiada:

– Jesteś grzeczny i dobrze wychowany. I bardzo dobrze mówisz w naszym języku. Twoja matka została z tamtej strony?

– Nie, zginęła w czasie wojny.

– Biedne dziecko. Chodź, musimy iść do komisariatu. Nie bój się, policjant jest bardzo miły, to przyjaciel męża.

W komisariacie kobieta mówi do policjanta:

– To jest syn tego mężczyzny, który wczoraj próbował przedostać się przez granicę. Mój mąż przyjdzie tu o jedenastej. Chętnie zatrzymam tego chłopca, póki nie nadejdzie decyzja w jego sprawie. Być może trzeba będzie go odesłać, jest niepełnoletni.

Policjant mówi:

– Zobaczymy. W każdym razie dzisiaj zje u pani obiad.

Kobieta odchodzi, a policjant podaje chłopcu kwestionariusz.

– Wypełnij go. Jeśli nie rozumiesz jakiegoś pytania, to powiedz.

Chłopiec oddaje kwestionariusz, a policjant czyta głośno:

– Nazwisko i imię: Claus T. Wiek: osiemnaście lat. Nie jesteś duży jak na swój wiek.

– To z powodu choroby przebytej w dzieciństwie.

– Masz dowód osobisty?

– Nie, niczego nie mam. Przed wyjściem spaliliśmy z ojcem wszystkie dokumenty.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Żeby utrudnić identyfikację. To ojciec kazał wszystko spalić.

– Twój ojciec skoczył na minę. Gdybyś szedł obok niego, też trafiłbyś na minę.

– Nie szedłem obok niego. Powiedział, żebym poczekał, aż będzie z drugiej strony, i szedł za nim z daleka.

– Dlaczego uciekliście?
– Ojciec tak chciał. Cały czas trzymano go w więzieniach, śledzono. Nie mógł już dłużej tam żyć.

Wziął mnie ze sobą, ponieważ nie chciał zostawić mnie samego.

– A matka?

– Zginęła podczas bombardowania. Potem mieszkałem z babką, ale ona także zmarła.

– A więc nie masz tam nikogo. Nikogo, kto mógłby się o ciebie upomnieć. Oprócz policji, jeśli miałeś nieszczęście popełnić jakąś zbrodnię.

– Nie popełniłem żadnej zbrodni.

– Dobrze, poczekamy na decyzję zwierzchników. Na razie nie możesz opuszczać wioski.
Proszę. Podpisz tutaj ten dokument.

Chłopiec podpisuje protokół, w którym znajdują się trzy kłamstwa.

Mężczyzna, z którym przedostał się przez granicę, nie był jego ojcem.

Chłopiec nie ma osiemnastu, lecz piętnaście lat.

Nie nazywa się Claus.

Kilka tygodni później jakiś mężczyzna z miasta przyjeżdża do budynku straży granicznej. Mówi do chłopca:

– Nazywam się Piotr N. Od tej pory będę się tobą zajmował. To jest twój dowód. Brakuje tylko podpisu.

Chłopiec ogląda dowód. Figuruje w nim wcześniejsza o trzy lata data urodzenia, imię Claus, obywatelstwo: „brak przynależności państwowej”.

Jeszcze tego samego dnia Piotr i Claus jadą autobusem do miasta. Podczas jazdy Piotr zadaje pytania:

– Co robiłeś dawniej, Clausie? Uczyłeś się?

– Uczyłem? Nie. Pracowałem w ogródku, opiekowałem się zwierzętami, grałem na organkach w barach, nosiłem bagaże podróżnych.

– A co chciałbyś robić w przyszłości?

– Nie wiem. Nic. Dlaczego trzeba koniecznie coś robić?

– Trzeba zarabiać, żeby żyć.

– Tak, wiem o tym. Zawsze to robiłem. Mogę zająć się czymkolwiek, aby zarobić trochę pieniędzy.

– Trochę pieniędzy? Zająć się czymkolwiek? Możesz dostać stypendium i uczyć się.

– Nie chcę się uczyć.

– Mimo wszystko powinieneś trochę się poduczyć, żeby lepiej poznać język. Mówisz poprawnie, ale musisz także nauczyć się czytać i pisać. Będziesz mieszkał w internacie razem z innymi uczniami. Dostaniesz swój pokój. Nauczysz się języka, a potem zobaczymy.

Piotr i Claus spędzają noc w hotelu w dużym mieście. Rano jadą pociągiem do mniejszego miasta, położonego między jeziorem a lasem. Internat mieści się przy stromej uliczce, pośrodku ogrodu, w pobliżu centrum miasta.

Wita ich małżeństwo, dyrektor i dyrektorka internatu. Prowadzą Clausa do pokoju. Okno wychodzi na ogród.

Claus pyta:

– Kto zajmuje się ogrodem?

Dyrektorka mówi:

– Ja, ale dzieci bardzo mi pomagają.

Claus mówi:

– Ja również będę pani pomagał. Ma pani piękne kwiaty.

Dyrektorka mówi:

– Dziękuję, Clausie. Możesz czuć się u nas całkiem swobodnie, ale wieczorem musisz wracać najpóźniej o jedenastej. Będziesz sam sprzątał pokój. Odkurzacze jest u dozorczyni.

Dyrektor mówi:

– Gdybyś miał jakieś problemy, zwróć się do mnie.

Piotr mówi:

– Dobrze ci tutaj będzie, prawda, Clausie?

Claus ogląda jeszcze jadalnię, przysznice i świetlicę. Zostaje przedstawiony znajdującym się tam dziewczętom i chłopcom.

Później Piotr oprowadza Clausa po mieście, a na koniec zaprasza go do siebie.

– Zawsze mnie tu znajdziesz, gdybyś mnie potrzebował. To jest moja żona Klara.

Jedzą we troje obiad, potem Piotr i Claus spędzają popołudnie w sklepach kupując ubrania i buty.

Claus mówi:

– Przez całe życie nie miałem tylu ubrań.

Piotr uśmiecha się.

– Możesz teraz wyrzucić stary płaszcz i gumowce. Co miesiąc będziesz dostawał pieniądze na zakup przyborów szkolnych, otrzymasz także kieszonkowe. Powiedz mi, jeśli będziesz jeszcze czegoś potrzebował. Internat i szkoła są oczywiście opłacone.

Claus pyta:

– Kto mi daje te pieniądze? Czy to pan?

– Ja jestem tylko twoim opiekunem. Pieniądze daje państwo. Nie masz rodziców, a więc państwo ma obowiązek zająć się tobą do czasu, gdy będziesz w stanie sam zarabiać na życie.

Claus mówi:

– Mam nadzieję, że to wkrótce nastąpi.

– Za rok zdecydujesz, czy chcesz studiować, czy uczyć się zawodu.

– Nie chcę studiować.

– To się jeszcze okaże. Czyżbyś nie miał żadnych ambicji, Clausie?

– Ambicji? Nie wiem. Chcę tylko mieć spokój, żeby pisać.

– Pisać? Co? Chcesz zostać pisarzem?

– Tak. Nie trzeba koniecznie studiować, aby zostać pisarzem. Wystarczy tylko umieć pisać bez błędów. Chcę nauczyć się poprawnie pisać w waszym języku, to wszystko.

Piotr mówi:

– Pisaniem nie zarobisz na życie.

Claus mówi:

– Wiem. Ale będę mógł pracować w ciągu dnia, a wieczorami spokojnie pisać. Tak jak robiłem u Babki.

– Jak to? Już coś pisałeś?

– Tak. Zapełniłem kilka zeszytów. Są zawinięte w mój stary płaszcz. Kiedy nauczę się pisać w waszym języku, przetłumaczę je i pokażę panu.

Zeszyty są w pokoju Clausa. Chłopiec rozwiązuje sznurek, którym jest związany stary płaszcz. Kładzie na stole pięć szkolnych zeszytów. Peter otwiera jeden po drugim.

– Naprawdę chciałbym wiedzieć, co zawierają te zeszyty. Czy to rodzaj pamiętnika?

Claus mówi:

– Nie, to są kłamstwa.

– Kłamstwa?

– Tak. Zmyślane rzeczy. Nieprawdziwe historie, które mogłyby być prawdziwe.

Piotr mówi:

– Clausie, naucz się szybko pisać w naszym języku.

Przyjeżdżamy do stolicy około siódmej wieczorem. Pogoda popsowała się, jest zimno, a krople deszczu zmieniły się w kryształki lodu.

Budynek ambasady otoczony jest dużym ogrodem. Zaprowadzono mnie do ciepłego pokoju z podwójnym łóżkiem i łazienką. To jakby apartament w luksusowym hotelu.

Kelner przynosi mi jedzenie. Niewiele jem. Ten posiłek nie przypomina jedzenia, do którego zdążyłem już ponownie przywyknąć w Małym Mieście. Wystawiam tacę przed drzwiami. Na korytarzu, kilka metrów dalej, siedzi jakiś mężczyzna.

Biorę prysznic, myję zęby nową szczoteczką, którą znalazłam w łazience. Był tam także szlafrok, a na łóżku leżała piżama. Kładę się spać.

Powraca ból. Odczekuję chwilę, ale ból staje się nie do zniesienia. Wstaję, szperam w walizce, znajduję lekarstwa, biorę dwie pigułki i znowu kładę się spać. Ból, zamiast zmaleć, nasila się. Z trudem docieram do drzwi, otwieram je, mężczyzna jeszcze siedzi na korytarzu. Mówię do niego:

– Proszę wezwać lekarza. Jestem chory. Na serce.

Podnosi słuchawkę telefonu wiszącego na ścianie.

Nie pamiętam dalszego ciągu, tracę przytomność. Odzyskują ją na szpitalnym łóżku.

Leżę w szpitalu trzy dni. Jestem poddawany różnorodnym badaniom. W końcu przychodzi do mnie kardiolog.

– Może pan wstać i ubrać się. Odwieziemy pana do ambasady.

Pytam:

– Nie będziecie mnie operować?

– Operacja nie jest konieczna. Pana serce jest w doskonałym stanie. Bóle spowodowane są lękami, niepokojem, głęboką depresją. Proszę nie brać już nitrogliceryny, tylko leki uspokajające, które panu przepisałem.

Podaje mi rękę.

– Niech się pan nie obawia, będzie pan jeszcze długo żył.

– Nie chcę długo żyć.

– Gdy wyleczy się pan z depresji, zmieni pan zdanie.

Wracam samochodem do ambasady. Zostaję odprowadzony do biura. Młody uśmiechnięty mężczyzna o kręconych włosach mówi wskazując skórzany fotel:

– Proszę usiąść. Cieszę się, że w szpitalu wszystko dobrze się skończyło. Ale nie dlatego tutaj pana sprowadziłem. Poszukuje pan rodziny, a zwłaszcza brata, prawda?

– Tak, brata bliźniaka. Jednak bez większej nadziei. Czyżby pan wpadł na jakiś ślad? Powiedziano mi, że archiwa zostały zniszczone.

– Nie były mi potrzebne archiwa. Po prostu wziąłem książkę telefoniczną. W tym mieście żyje człowiek noszący to samo nazwisko co pan. Nie tylko to samo nazwisko, ale także to samo imię.

– Claus?

– Tak. Klaus T., pisane przez K. Jest zatem oczywiste, że nie może tu chodzić o pańskiego brata. Może on jednak być spokrewniony z pańską rodziną i, ewentualnie, udzielić panu informacji. Oto jego adres i numer telefonu na wypadek, gdyby zechciał pan skontaktować się z nim.

Biorę adres i mówię:

– Nie wiem. Chciałbym najpierw zobaczyć ulicę i dom, w którym mieszka.

– Rozumiem pana. Można by tam pojechać około siedemnastej. Pojadę z panem. Nie powinien pan sam poruszać się bez ważnych dokumentów.

Jedziemy przez miasto. Jest już prawie zupełnie ciemno. W samochodzie kędzierzawy mężczyzna mówi:

– Zasięgnąłem informacji w sprawie pańskiego imiennika. To jeden z bardziej znanych poetów w kraju.

Mówię:

– Właścicielka księgarni, która wynajmowała mi mieszkanie, nigdy o nim nie wspominała. A przecież musiała znać jego nazwisko.

– Niekoniecznie. Klaus T. pisze pod pseudonimem literackim Klausego Lucasa. Ma opinię odludka. Trudno go spotkać, nikt nie zna jego prywatnego życia.

Samochód zatrzymuje się w wąskiej uliczce między dwoma rzędami parterowych domów otoczonych ogródkami.

Kędzierzawy mężczyzna mówi:

– To tutaj. Pod numerem osiemnastym. To jedna z ładniejszych dzielnic w mieście. Bardzo spokojna, ale także bardzo droga.

Nic nie mówię. Patrzę na dom. Jest trochę oddalony od ulicy. Z ogródka kilka stopni prowadzi do drzwi wejściowych. Zielone okiennice od ulicy są jeszcze otwarte. W kuchni pali się światło, wkrótce dwa okna w salonie rozjaśniają się bladoniebieskim blaskiem. W gabinecie na razie panuje mrok. Druga strona domu, ta od podwórka, jest stąd niewidoczna. Są tam jeszcze trzy pokoje: sypialnia rodziców, pokój dziecienny i pokój gościnny, który najczęściej służył Matce za pracownię do szycia.

Na podwórku było coś w rodzaju szopy na drewno, rowery i niepotrzebne zabawki. Pamiętam dwa czerwone rowerki na trzech kółkach i drewniane hulajnogi. Pamiętam także dwa kółka od sersa, które toczyliśmy laseczką wzdłuż ulicy. O jedną ze ścian oparty był olbrzymi latawiec. Na podwórku była także dwuosobowa huśtawka. Matka bujała nas, a my unosiliśmy się aż do gałęzi orzecha, który być może znajduje się jeszcze za domem.

Pracownik ambasady pyta:

– Czy to coś panu przypomina?

Odpowiadam:

– Nie, nic. Miałem wówczas zaledwie cztery lata.

– Chciałby pan dzisiaj tam pójść?

– Nie. Wieczorem zatelefonuję.

– Tak będzie lepiej. Klaus T. rzadko widuje się z ludźmi. Być może spotkanie z nim okaże się niemożliwe.

Wracamy do ambasady. Wchodzę do pokoju. Zostawiam kartkę z numerem telefonu obok aparatu. Biorę lek na uspokojenie, otwieram okno. Pada śnieg. Płatki miękko opadają na pożółkłą trawę w ogródku i na czarną ziemię. Kładę się do łóżka.

Wędruję ulicami nieznanego miasta. Pada śnieg, robi się coraz ciemniej. Ulice, którymi idę, są coraz słabiej oświetlone. Nasz dawny dom mieści się przy najdalszej ulicy. Za nią są już tylko pola. Jest czarna noc. Naprzeciw domu znajduje się bar. Wchodzę, zamawiam butelkę wina. Jestem jedynym klientem.

Okna domu zapalają się jednocześnie. Przez zasłony dostrzegam snujące się cienie. Kończę pić wino, wychodzę z baru, idę na drugą stronę ulicy, dzwonię do furtki. Nikt nie odpowiada, dzwonek jest zepsuty. Otwieram kutą w żelazie furtkę, nie była zamknięta na klucz. Wchodzę po

pięciu schodkach prowadzących na werandę. Znowu dzwonię. Dwa, trzy razy. Męski głos pyta spoza drzwi:

– O co chodzi? Czego pan chce? Kim pan jest?

Odpowiadam:

– To ja, Claus.

– Claus, jaki Claus?

– Przecież macie syna o imieniu Claus?

– Nasz syn jest w domu. Z nami. Niech pan stąd odejdzie.

Mężczyzna oddala się od drzwi. Ponownie dzwonię, pukam, wołam:

– Ojcze, ojcze, pozwól mi wejść! Pomyliłem się. Mam na imię Lucas. Jestem twoim synem Lucasem.

Kobięcy głos mówi:

– Wpuść go.

Otwierają się drzwi. Starzec mówi:

– No, dobrze, niech pan wejdzie.

Prowadzi mnie do salonu, siada w fotelu. Bardzo stara kobieta siedzi w drugim.

Staruszka mówi:

– Zatem twierdzi pan, że jest naszym synem Lucasem? Gdzie się pan podziewał do tej pory?

– Byłem za granicą.

Ojciec mówi:

– Właśnie, za granicą. A dlaczego teraz wracasz?

– Żeby się z wami spotkać. Z tobą, Matką oraz Klausem.

Matka mówi:

– Klaus nas nie opuścił.

Ojciec mówi:

– Szukaliśmy cię przez wiele lat.

Matka kontynuuje:

– Już zapomnieliśmy o tobie. Nie powinieneś wracać. Wszystkim przeszkadzasz. Prowadzimy spokojne życie, nie chcemy, żeby nam przeszkadzano.

Pytam:

– Gdzie jest Klaus? Chcę go zobaczyć.

Matka mówi:

– Jest w swoim pokoju. Jak zawsze. Nie trzeba go budzić. Ma tylko cztery lata, potrzebuje snu.

Ojciec mówi:

– Nie wygląda na to, by pan był Lucasem. Proszę stąd wyjść.

Już ich nie słucham, opuszczam salon, otwieram drzwi do pokoju dziecinnego, zapalam światło. Siedzący na łóżku chłopczyk spogląda na mnie i zaczyna płakać. Nadbiegają moi rodzice. Matka bierze chłopczyka na rękę, kołysze go.

– Nie bój się, mój maleńki.

Ojciec chwyta mnie za ramię, przeprowadza przez salon i werandę, otwiera drzwi i wypycha na schody.

– Obudziłeś go, głupcze. Wynoś się stąd!

Przewracam się, uderzam głową o stopień, leżę na śniegu w kałuży krwi.

Budzę się z zimna. Wiatr i śnieg wpadają do pokoju, podłoga pod oknem jest mokra.

Zamykam okno, idę do łazienki po ręcznik, wycieram kałużę wody. Drzę, szczękam zębami.

W łazience jest ciepło, siadam na brzegu wanny, biorę lekarstwo, czekam, aż przestanę drżeć.

Jest siódma wieczorem. Kelner przynosi posiłek. Pytam, czy mógłbym otrzymać butelkę wina.

Odpowiada:

– Zobaczę.

Kilka minut później przynosi butelkę.

Mówię:

– Może pan sprzątnąć tacę.

Piję. Chodzę po pokoju. Od okna do drzwi, od drzwi do okna. O ósmej siadam na łóżku i nakręcam numer do brata.

Część druga

Jest ósma, dzwoni telefon. Matka już się położyła. Natomiast ja, jak co wieczór, oglądam w telewizji kryminał.

Wypluwam w papierową serwetkę herbatnik, który właśnie jem. Później znowu będę mógł go wziąć.

Podnoszę słuchawkę. Nie przedstawiam się, mówię tylko:

– Halo, słucham.

Po tamtej stronie słychać męski głos:

– Tu Lucas T. Chciałbym rozmawiać z moim bratem Klausem T.

Milczę. Pot spływa mi po plecach. W końcu mówię:

– To pomyłka. Ja nie mam brata.

Głos mówi:

– Ależ tak. Chodzi o brata bliźniaka. Lucasa.

– Mój brat umarł dawno temu.

– Nie, ja nie umarłem. Żyję, Klausie, i chciałbym się z tobą spotkać.

– Gdzie pan jest? Skąd pan przyjeżdża?

– Długo mieszkalem za granicą. Teraz jestem tutaj, w stolicy, w ambasadzie.

Biorę głęboki oddech i mówię jednym tchem:

– Nie sądzę, żeby pan był moim bratem. Nie widuję nikogo, nie życzę sobie, żeby mi przeszkadzano.

Mój rozmówca nalega:

– Klaus, tylko pięć minut. Proszę cię jedynie o pięć minut. Za dwa dni wyjadę z kraju i już więcej tu nie powrócę.

– Niech pan przyjdzie jutro. Ale nie wcześniej niż o ósmej wieczorem.

Mój rozmówca mówi:

– Dziękuję. Będę w domu, to znaczy u ciebie, o ósmej trzydzieści.

Odkłada słuchawkę.

Wycieram czoło. Wracam przed telewizor. Nie rozumiem już wcale filmu. Wyrzucam resztkę herbatnika do kosza. Nie chce mi się już jeść. „W domu”. Tak, niegdyś to był nasz dom, ale dawno temu. Teraz ja tutaj mieszkam, wszystko wokół należy tylko do mnie.

Otwieram po cichu drzwi do pokoju Matki. Śpi. Jest taka drobna, można by sądzić, że to dziecko. Odsuwam siwe włosy z jej twarzy, całuję ją w czoło, głaszczę leżące na kołdrze pomarszczone ręce. Uśmiecha się przez sen, ścisną moją dłoń, szepce:

– Mój maleńki. Jesteś tutaj.

Po chwili dorzuca imię brata:

– Lucas, mój maleńki Lucas.

Wychodzę z pokoju, idę do kuchni po butelkę mocnego trunku, usadawiam się w gabinecie, żeby pisać jak co noc. To był gabinet ojca, niczego w nim nie zmieniłem, ani starej maszyny do pisania, ani niewygodnego drewnianego fotela, ani lampy, ani nawet oprawki na ołówek. Próbuje pisać, lecz mogę jedynie płakać myśląc o „tym czymś”, co nam wszystkim zepsuło życie.

Jutro przyjdzie Lucas. Wiem, że to on. Kiedy tylko zadzwonił telefon, od razu wiedziałem, że to on. Mój telefon prawie nigdy nie dzwoni. Założyłem go z myślą o Matce, w razie nagłego wypadku, a także po to, aby zamawiać zaopatrzenie w dni, kiedy nie mam siły pójść do sklepu

lub wtedy, gdy nie mogę wyjść ze względu na stan zdrowia Matki.

Jutro przyjedzie Lucas. Co zrobić, żeby Matka o niczym się nie dowiedziała? Żeby nie obudziła się podczas wizyty Lucasa? Przenieść ją? Gdzieś zaprowadzić? Dokąd? Jak? Jaki powód jej podać? Wierzy, że to jedyne miejsce, w którym Lucas może odnaleźć nas po powrocie.

Rzeczywiście odnalazł nas tutaj.

Jeśli to na pewno on.

To na pewno on.

Nie potrzebuję żadnego dowodu na to, że to on. Zawsze wiedziałem, że nie umarł i że wróci.

Ale dlaczego teraz? Dlaczego dopiero teraz? Dlaczego po pięćdziesięciu latach nieobecności?

Muszę się bronić. Muszę bronić Matki. Nie chcę, żeby Lucas zburzył nasz spokój, przyzwyczajenia, szczęście. Nie chcę wstrząsów w naszym życiu. Ani Matka, ani ja nie znieśliśmy, gdyby Lucas zaczął rozgrzebywać przeszłość, snuć wspomnienia, zadawać Matce pytania.

Muszę za wszelką cenę powstrzymać Lucasa, nie pozwolić, aby otworzył bolesną ranę.

Jest zima. Muszę oszczędzać węgiel. Trochę ogrzewam pokój Matki elektrycznym piecykiem, który włączam na godzinę przed jej snem, wyłączam, gdy tylko zaśnie, i ponownie włączam na godzinę przed wstaniem.

Jeśli chodzi o mnie, ciepło od kuchni i piec węglowy w salonie w zupełności mi wystarczają. Wstaję wcześniej, żeby rozpalić najpierw w kuchni, a jeśli jest dość polan, palę nimi także w piecu w salonie. Dorzucam kilka kawałków węgla, a w pół godziny później również i tam robi się ciepło.

Późnym wieczorem, kiedy Matka już śpi, otwieram drzwi do gabinetu, a wtedy od razu wpada tam ciepło z salonu. Takie małe pomieszczenie bardzo szybko się ogrzewa. Właśnie tutaj przebieram się w piżamę i szlafrok, a potem piszę. Gdy kończę pisać, idę prosto do sypialni i kładę się spać.

Dzisiejszego wieczoru krążę po mieszkaniu. Wielokrotnie zatrzymuję się w kuchni. Potem wchodzę do pokoju dzieciennego. Patrę przez okno na ogródek. Nagie konary orzecha stukają w szyby. Drobnym śnieg pokrywa gałęzie i ziemię cienką zamarzającą warstwą.

Chodzę od jednego pokoju do drugiego. Otworzyłem już drzwi gabinetu, właśnie tutaj przyjmę brata. Zamknę za nim zaraz drzwi, nawet gdyby miało być zimno, nie chcę, żeby Matka nas usłyszała lub żeby zbudziła ją nasza rozmowa.

Co powiedziałbym jej wówczas?

Powiedziałbym:

– Połóż się, Mamo, to tylko dziennikarz.

Natomiast bratu powiedziałbym:

– To tylko Antonia, moja teściowa, matka żony. Mieszka u nas już kilka lat, od czasu kiedy została wdową. Ma skołatana głowę. Wszystko miesza, wszystko jej się myli. Niekiedy wyobraża sobie, że jest moją matką, i mówi, że mnie wychowała.

Nie mogę pozwolić, żeby się spotkali, gdyż od razu się rozpoznają. Matka pozna Lucasa. A jeśli nawet Lucas nie pozna matki, ona rozpoznając go powie:

– Lucasio, mój synu!

Nie chcę żadnego „Lucasio, mój synu!” Teraz już nie. To byłoby zbyt proste.

Dzisiaj, podczas poobiedniej drzemki Matki, w całym domu przesunąłem o godzinę zegarki na rękę i zegary ściennie. Na szczęście teraz wcześniej zapada zmrok. Około piątej po południu jest

już zupełnie ciemno.

O godzinę wcześniej przygotowuję kolację dla Matki. Purée z marchewki, kilka ziemniaków, kotlet mielony, a na deser krem karmelowy.

Nakrywam do stołu w kuchni, idę do sypialni po Matkę. Matka przychodzi do kuchni, mówi:

– Nie jestem jeszcze głodna.

Odpowiadam:

– Mamo, ty nigdy nie jesteś głodna. Trzeba jeść.

Matka mówi:

– Zjem później.

Odpowiadam:

– Później wszystko będzie zimne.

Matka mówi:

– Możesz przecież podgrzać. Albo wcale nie będę jadła.

Mówię:

– Zaparzę ci ziółek na apetyt.

Do herbatki ziołowej dorzucam często zażywany przez Matkę proszek nasenny. Obok filiżanki kładę jeszcze jedną kapsułkę.

Dziesięć minut później Matka zasypia przed telewizorem. Biorę ją na ręce, zanoszę do sypialni, rozbieram, kładę do łóżka.

Wracam do salonu. Przyciszam telewizor, ściemniam obraz. W kuchni cofam wskazówki budzika na właściwe miejsce, a w salonie – wskazówki zegara ściennego.

Mam jeszcze czas zjeść kolację przed przyjściem brata. Połykam w kuchni trochę purée z marchewki i kawałek kotleta mielonego. Matka ma kłopoty z rozdrabnianiem pokarmu mimo sztucznego uzębienia, które niedawno kazałem jej wstawić. Ma także problemy z trawieniem.

Po kolacji zmywam, potem wkładam do lodówki to, co zostało – wystarczy na jutrzejszy obiad.

Siadam w salonie. Stawiam dwa kieliszki i butelkę wódki na małym stoliku obok fotela. Piję, czekam. Dokładnie o ósmej zaglądam do sypialni Matki. Mocno śpi. Zaczyna się film kryminalny, próbuję go oglądać. Około ósmej dwadzieścia rezygnuję z filmu, zajmuję miejsce przed oknem kuchni. Tutaj jest zgaszone światło, nikt nie może zobaczyć mnie z zewnątrz.

Punktualnie o dwudziestej trzydziści duży czarny samochód zatrzymuje się przed domem, parkuje na chodniku. Wychodzi z niego mężczyzna, zbliża się do furtki, dzwoni.

Wracam z salonu, mówię przez domofon:

– Proszę wejść. Drzwi są otwarte.

Zapalam lampę na werandzie, siadam w fotelu, wchodzi brat. Jest szczupły i blady, idzie w moją stronę chwiejnym krokiem, pod pachą niesie teczkę. Łzy napływają mi do oczu, wstaję, wyciągam rękę.

– Witam pana.

Brat mówi:

– Nie zajmę ci wiele czasu. Czeka na mnie samochód.

Mówię:

– Proszę do gabinetu. Tam nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Zostawiam włączony telewizor. Jeśli Matka obudzi się, usłyszy film kryminalny, który oglądam co wieczór.

Brat pyta:

– Nie wyłączysz telewizora?

– Nie. Po co? W gabinecie nie będziemy go słyszeć.

Biorę butelkę i dwa kieliszki, siadam za biurkiem, wskazuję miejsce naprzeciw mnie:

– Proszę siadać.

Podnoszę butelkę.

– Nalać?

– Proszę.

Pijemy. Brat mówi:

– To był gabinet ojca. Nic się nie zmieniło. Poznają lampę, maszynę do pisania, biurko, krzesła.

Uśmiecham się:

– Co jeszcze pan poznaje?

– Wszystko. Werandę i salon. Wiem, gdzie jest kuchnia, pokój dziecinny i sypialnia rodziców.

Mówię:

– To nie takie trudne. Wszystkie domy budowane są podobnie.

Brat kontynuuje:

– Przed oknem dziecinnego pokoju rósł orzech. Jego gałęzie dotykały szyby, do nich przywiązana była huśtawka. Dwuosobowa. W głębi podwórza, pod wiatą, trzymaliśmy hulajnogę i rowery.

Mówię:

– Pod wiatą są jeszcze zabawki, ale to nie te same. Należą do moich wnuków.

Milczymy. Znowu napełniam kieliszki. Kiedy Lucas wypija, pyta:

– Powiedz mi, Klausie, gdzie są nasi rodzice?

– Moi zmarli. Pańscy – nie wiem.

– Klausie, dlaczego nie mówisz do mnie „ty”? Jestem twoim bratem Lucasem. Dlaczego nie chcesz mi uwierzyć?

– Dlatego, że mój brat nie żyje. Chciałbym zobaczyć pańskie dokumenty, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Brat wyjmuję z kieszeni zagraniczny paszport, podaje mi go. Mówi:

– Nie należy nazbyt wierzyć w to, co jest tam napisane. Ten dokument zawiera kilka błędów.

Przeglądam paszport:

– Zatem nazywa się pan Claus, przez C. Pańska data urodzenia jest inna niż moja, a przecież Lucas i ja byliśmy bliźniakami. Pan jest trzy lata starszy ode mnie.

Oddaję paszport. Ręce brata drżą, głos także:

– Miałem piętnaście lat, kiedy przeszedłem przez granicę. Podałem fałszywą datę urodzenia, aby sprawić wrażenie, że jestem starszy, a więc pełnoletni. Nie chciałem, żeby oddano mnie pod kuratelę.

– A imię? Dlaczego zmienił pan imię?

– Z twojego powodu, Klausie. Kiedy wypełniałem kwestionariusz w biurze straży granicznej, myślałem o tobie, o twoim imieniu, które towarzyszyło mi przez całe dzieciństwo. Dlatego zamiast Lucas napisałem Claus. Ty zrobiłeś to samo publikując wiersze pod pseudonimem Klaus Lucasa. Dlaczego Lucas? Dla mojej pamięci?

Mówię:

– Faktycznie, dla pamięci mojego brata. Ale skąd pan wie, że publikuję wiersze?

– Ja także piszę, ale nie wiersze.

Otwiera teczkę, wyjmuję z niej duży szkolny zeszyt, który kładzie na stole.

– Oto mój ostatni rękopis. Jest nie dokończony. Nie będę miał czasu, żeby dopisać koniec. Zostawiam ci go. Dokończysz za mnie. Musisz dokończyć.

Otwieram zeszyt, ale brat powstrzymuje mnie ruchem ręki:

– Nie, nie teraz. Po moim wyjściu. Jest jedna ważna rzecz, której chciałbym się dowiedzieć. Skąd mam ranę?

– Jaką ranę?

– Ranę w okolicy kręgosłupa. Ranę postrzałową. Skąd ją mam?

– A cóż ja mogę o tym wiedzieć? Mój brat Lucas nie miał żadnej rany. Chorował w dzieciństwie. Chyba na heinemedinę. Miałem zaledwie cztery czy pięć lat, kiedy zmarł, nie pamiętam dokładnie. O tym wszystkim powiedziano mi dużo później.

Brat mówi:

– Właśnie. Ja także przez dłuższy czas myślałem, że chorowałem w dzieciństwie. Tak mi mówiono. Ale później dowiedziałem się, że byłem ranny. Gdzie? Jak? Przecież dopiero zaczynała się wojna.

Milczę, wzruszam ramionami. Lucas mówi dalej:

– Jeśli twój brat nie żyje, musi mieć grób. Własny grób. Gdzie on jest? Możesz mi go pokazać?

– Nie, nie mogę. Brat został pochowany w zbiorowej mogile w mieście S.

– Ach tak? A gdzie jest grób Ojca i grób Matki? Możesz mi je pokazać?

– Nie, również nie mogę. Ojciec nie wrócił z wojny, a matka została pochowana z Lucasem w S.

Brat pyta:

– W takim razie nie zmarłem na heinemedinę?

– Nie. Mój brat zginął podczas bombardowania. Matka pojechała z nim do S., aby oddać go na leczenie do ośrodka rehabilitacyjnego. Ośrodek został zbombardowany i ani matka, ani brat nie powrócili.

Lucas mówi:

– Jeśli ktoś ci tak powiedział, to skłamał. Matka nie pojechała ze mną do S. Nigdy nie przyjechała mnie odwiedzić. Zanim zbombardowano ośrodek, przebywałem w nim przez wiele lat pod pretekstem rzekomej choroby przebytej w dzieciństwie. Nie zginąłem podczas bombardowania, przeżyłem.

Znowu wzruszam ramionami.

– Pan przeżył. Mój brat nie. Ani moja matka.

Patrzemy sobie w oczy, wytrzymuję jego spojrzenie.

– Jak pan sam widzi, chodzi o dwie różne historie. Musi pan prowadzić dalsze poszukiwania w innym kierunku.

Brat kręci głową:

– O nie, Klausie, i wiesz o tym bardzo dobrze. Wiesz, że jestem twoim bratem Lucasem, ale zaprzeczasz temu. Czego się boisz? Powiedz mi, Klausie, czego?

Odpowiadam:

– Niczego. A czegoż miałbym się bać? Gdybym był przekonany, że pan jest moim bratem, byłbym najszcześliwszym z ludzi odnajdując pana.

Lucas pyta:

– W jakim celu przychodziłbym do ciebie, gdybym nie był twoim bratem?

– Nie wiem. A w dodatku pana wygląd...

– Mój wygląd?

– Tak. Czy między nami istnieje choćby najdrobniejsze fizyczne podobieństwo? Lucas i ja byliśmy prawdziwymi bliźniakami, podobnymi do siebie jak dwie krople wody. Pan ma inną twarz i waży ze trzydzieści kilogramów mniej ode mnie.

Lucas mówi:

– Zapominasz o mojej chorobie, o kalectwie. To cud, że znowu zacząłem chodzić.

Mówię:

– Zostawmy ten temat. Proszę mi powiedzieć, co działo się z panem po bombardowaniu.

Brat mówi:

– Ponieważ rodzice nie zgłosili się po mnie, zostałem umieszczony u starej wieśniaczki w miasteczku K. Mieszkałem i pracowałem u niej do wyjazdu za granicę.

– Co pan robił za granicą?

– Zajmowałem się wieloma rzeczami, a potem pisałem książki. A ty, Klausie, jak sobie radziłeś po śmierci Matki i Ojca? Według tego, co mówisz, bardzo wczesnie zostałeś sierotą.

– Tak, bardzo wczesnie. Ale miałem szczęście. Spędziłem w sierocińcu zaledwie kilka miesięcy. Zaprzyjaźniona rodzina przyjęła mnie do siebie. Czuję się u nich bardzo dobrze. To była liczna rodzina z czworgiem dzieci. Później poślubiłem najstarszą ich córkę, Sarę. Mieliśmy dwoje dzieci: dziewczynkę i chłopca. Teraz jestem dziadkiem, szczęśliwym dziadkiem.

Lucas mówi:

– To dziwne. Wchodząc tutaj odniosłem wrażenie, że mieszkasz sam.

– Chwilowo jestem sam, to prawda. Ale tylko do Bożego Narodzenia. Muszę skończyć pilną pracę. Chodzi o wybór nowych wierszy. Potem jadę do Sary, mojej żony, do dzieci i wnuków czekających na mnie w miasteczku K. Wspólnie spędzimy zimowe wakacje. Mamy tam dom odziedziczony po rodzicach żony.

Lucas mówi:

– Mieszkałem w K. Znam bardzo dobrze to miasto. Gdzie mieści się wasz dom?

– Przy Placu Głównym, na wprost Grand Hotelu, obok księgarni.

– Niedawno spędziłem kilka miesięcy w K. Mieszkałem właśnie nad księgarnią.

Mówię:

– Co za zbieg okoliczności. To bardzo ładne miasto, nieprawdaż? W dzieciństwie często spędzałem w nim wakacje. Moi wnukowie również bardzo lubią tam jeździć. Zwłaszcza bliźniacy, synowie córki.

– Bliźniacy? Jak się nazywają?

– Oczywiście Klaus i Lucas.

– Oczywiście.

– Mój syn ma na razie tylko córeczkę, która ma na imię Sara, tak jak babcia, czyli moja żona.

Ale syn jest młody, jeszcze może mieć dzieci.

Lucas mówi:

– Jesteś szczęśliwym człowiekiem, Klausie.

Odpowiadam:

– Tak. Bardzo szczęśliwym. Sądzę, że pan również ma rodzinę.

Lucas mówi:

– Nie. Zawsze byłem sam.

– Dlaczego?

Brat mówi:

– Nie wiem. Może dlatego, że nikt nie nauczył mnie kochać.

Mówię:

– Szkoda. Dzieci dają wiele radości. Nie mogę sobie wyobrazić żyda bez nich.

Brat wstaje:

– Czekaj na mnie samochód. Nie będę ci dłużej przeszkadzał.

Uśmiecham się:

– Nie przeszkadzał mi pan. Czy wróci pan do swojej przybranej ojczyzny?

– Tak. Nic tu po mnie. Żegnaj, Klausie.

Wstaje:

– Odprowadzę pana.

Przy furtce podaję mu rękę.

– Do widzenia panu. Wierzę, że w końcu odnajdzie pan swoją prawdziwą rodzinę. Życzę szczęścia.

Brat mówi:

– Nadal grasz swoją rolę, Klausie. Gdybym wiedział, że masz tak twarde serce, nie próbowałbym cię odnaleźć. Szczerze żałuję, że przyszedłem.

Brat wsiada do dużego czarnego samochodu, który od razu rusza z miejsca.

Wchodzę na schody werandy, poślizguję się na oblodzonych stopniach, upadam, uderzam czołem o kamienny kant, krew zalewa mi oczy, miesza się ze łzami. Mam ochotę zamarznąć tu i umrzeć, ale nie mogę, jutro rano muszę zająć się Matką.

Idę do domu, kieruję się do łazienki, obmywam ranę, dezynfekuję, zaklejam plastrem, potem wracam do gabinetu, żeby przeczytać rękopis brata.

Następnego dnia Matka pyta:

– Gdzie się uderzyłeś, Klausie?

Mówię:

– Na schodach. Poszedłem sprawdzić, czy dobrze zamknąłem furtkę. Poślizgnąłem się na oblodzonych stopniach.

Matka mówi:

– Na pewno za dużo wypiliśmy. Jesteś pijakiem, niedołągą i fajtłapą. Jeszcze nie przygotowałeś mi herbaty? Coś podobnego! A w dodatku tutaj jest potwornie zimno. Nie mógłbyś wstawać pół godziny wcześniej, żebym miała ogrzane mieszkanie i ciepłą herbatę, kiedy się budzę? Jesteś leniuchem, do niczego się nie nadajesz.

Mówię:

– Proszę, oto herbata. Za kilka minut będzie ciepło, zobaczysz. Prawdę mówiąc, wcale się nie kładłem, pisałem przez całą noc.

Matka mówi:

– Znowu? Wielmożny pan woli pisać przez całą noc, zamiast napalić i zaparzyć herbatę. Powinieneś pisać w ciągu dnia, pracować tak jak wszyscy, a nie siedzieć po nocach.

Odpowiadam:

– Tak, Mamo. Lepiej byłoby pracować w dzień. Ale w drukarni przyzwyczałem się do pracy nocnej. Nic na to nie poradzę. Zresztą w ciągu dnia zbyt wiele rzeczy mi przeszkadza. Zakupy, posiłki, hałas uliczny.

Matka mówi:

– A także ja, prawda? Powiedz, powiedz to wyraźnie, to ja ci przeszkadzam w ciągu dnia. Możesz pisać dopiero wtedy, gdy matka zaśnie, tak? Wieczorem tylko czekasz, żebym poszła się położyć. Zrozumiałam to, już dawno zrozumiałam.

Mówię:

– Rzeczywiście, Mamo, muszę być zupełnie sam, kiedy piszę. Potrzebuję ciszy i samotności.

Matka mówi:

– Wydaje mi się, że nie jestem zbyt hałaśliwa ani zaborcza. Wystarczy, że mi powiesz, a nie ruszę się z pokoju. A kiedy będę już w grobie, przestanę ci wreszcie zawadzać, nie będziesz musiał robić zakupów ani przygotowywać posiłków i nie pozostanie ci nic innego do roboty, jak

tylko pisać. Ja przynajmniej spotkam się z moim synkiem Lucasem, który nigdy mnie źle nie traktował, nigdy nie czekał na moją śmierć czy nieobecność. Tam będę szczęśliwa i nikt niczego nie będzie mi zarzucał.

Mówię:

– Mamo, ja ci niczego nie zarzucam i wcale mi nie przeszkadzasz. Chętnie robię zakupy i przygotowuję posiłki, ale potrzebuję nocy, żeby pisać. Od kiedy przestałem pracować w drukarni, wiersze są jedynym źródłem naszego dochodu.

Matka mówi:

– Właśnie. Nie powinienesz być porzucać drukarni. Miałaś tam normalną, uczciwą pracę.

Mówię:

– Mamo, wiesz dobrze, że choroba zmusiła mnie do zrezygnowania z tej pracy. Musiałem się zwolnić, żeby ratować zdrowie.

Matka nie odpowiada, siada przed telewizorem, lecz przy kolacji znowu zaczyna:

– Dom popada w ruinę. Rynna oberwana, woda spływa jak bądz do ogródka, tylko patrzeć, jak będzie się lało w mieszkaniu. Zielsko zarasta grządki, pokoje szerniały od dymu z papierosów wielmożnego pana. Nie tylko kuchnia pożółkła od tego dymu, ale także firanki w oknach salonu. O gabinecie i pokoju dziecinnym lepiej nie wspominać, dym wszystko przeżarł. Nie można już oddychać w tym domu, ani nawet w ogródku, gdzie kwiaty więdną z powodu trującego zapachu, który wydobywa się z mieszkania.

Mówię:

– Tak, Mamo. Uspokój się, Mamo. Nie ma kwiatów w ogródku, ponieważ jest zima. Wkrótce odnowię pokoje i kuchnię. Dobrze, że mi o tym przypomniałaś. Na wiosnę wszystko odnowię i zajmę się naprawą rynny.

Matka bierze środek nasenny, uspokaja się, idzie spać.

Siadam przed telewizorem, oglądam kryminał jak co wieczór, piję. Potem idę do gabinetu, ponownie czytam ostatnie strony rękopisu brata i zabieram się do pisania.

Zawsze było nas czworo przy stole. Ojciec, Matka i my dwaj.

Matka śpiewała przez cały dzień. W kuchni, w ogródku, na podwórzu. Wieczorem śpiewała także w naszym pokoju, żeby nas ukołysać do snu.

Ojciec nie śpiewał. Czasami gwizdał rąbiąc drewno na opał. Słyszeliśmy również maszynę do pisania, na której stukał wieczorami, często do późnej nocy.

Był to dźwięk miły i kojący tak jak muzyka, jak maszyna krawiecka Matki, jak odgłos zmywanych naczyń, śpiew kosów w ogródku, wiatr szeleszczący w dzikiej winorośli porastającej werandę i w gałęziach rosnącego na podwórku orzecha.

Słońce, wiatr, noc, księżyc, gwiazdy, chmury, deszcz, śnieg – wszystko było cudowne. Niczego się nie baliśmy. Ani mroku, ani opowieści dorosłych o wojnie. Mieliśmy po cztery lata.

Pewnego wieczoru ojciec przychodzi ubrany w mundur. Wiesza płaszcz i pasek przy drzwiach salonu. Do paska przymocowany jest rewolwer.

Ojciec mówi podczas kolacji:

– Muszę wyjechać do innego miasta. Wojna została wypowiedziana, jestem zmobilizowany.

Mówimy:

– Tato, nie wiedzieliśmy, że jesteś wojskowym. Jesteś dziennikarzem, a nie żołnierzem.

Ojciec mówi:

– W czasie wojny wszyscy mężczyźni są żołnierzami, nawet dziennikarze. Zwłaszcza dziennikarze. Muszą obserwować i opisywać to, co dzieje się na froncie. Pełnią funkcję korespondentów wojennych.

Pytamy:

– Dlaczego masz rewolwer?

– Dlatego że jestem oficerem. Żołnierz ma karabin, a oficer – rewolwer.

Ojciec mówi do Matki:

– Połóż dzieci. Muszę z tobą porozmawiać.

Matka mówi do nas:

– Idźcie spać. Później opowiem wam bajkę. Pożegnajcie się z ojcem.

Całujemy Ojca i idziemy do naszego pokoju, ale natychmiast po cichu z niego wychodzimy. Siadamy na korytarzu, tuż za drzwiami salonu.

Ojciec mówi:

– Zamieszkać z nią. Jest wojna, nie mam czasu do stracenia. Kocham ją.

Matka pyta:

– Nie obchodzą cię nasze dzieci?

Ojciec mówi:

– Ona także spodziewa się dziecka. Właśnie dlatego nie mogę, dłużej milczeć.

– Chcesz rozwodu?

– Nie czas na to. Zobaczymy po wojnie. Na razie uznaję jej dziecko. Być może nie wrócę. Nigdy nic nie wiadomo.

Matka pyta:

– Już nas nie kochasz?

Ojciec mówi:

– Nie o to chodzi. Kocham was. Zawsze będę troszczył się o chłopców i o ciebie. Ale kocham

także inną kobietę. Możesz to zrozumieć?

– Nie. Nie mogę i nie chcę zrozumieć. Słyszemy wystrzał. Otwieramy drzwi do salonu.

To Matka strzeliła. Trzyma rewolwer Ojca. Znowu strzela. Ojciec leży na ziemi, Matka wciąż strzela. Obok mnie pada również Lucas. Matka odrzuca rewolwer, krzyczy, klęka obok Lucasa.

Wychodzę z domu, biegnę środkiem ulicy, wołam: „Pomocy”, jacyś ludzie chwytają mnie, prowadzą do domu, próbują uspokoić. Próbują także uspokoić Matkę, ale ona wciąż krzyczy: „Nie, nie nie!”

W salonie jest pełno ludzi. Nadjeżdżają policjanci i dwie karetki. Zabierają nas wszystkich do szpitala.

W szpitalu dają mi zastrzyk na sen, gdyż ciągle krzyczę.

Następnego dnia lekarz mówi:

– Z nim jest wszystko w porządku. Nie odniósł obrażeń. Może wracać.

Pielęgniarka pyta:

– Dokąd ma wrócić? U niego nikogo nie ma. To jest czteroletnie dziecko.

Lekarz mówi:

– Niech pani porozmawia z opiekunką społeczną.

Pielęgniarka prowadzi mnie do biura. Opiekunka społeczna jest starszą kobietą uczesaną na bok. Zadaje mi pytania:

– Masz babcię? Ciocię? Sąsiadkę, która dę lubi?

Pytam:

– Gdzie jest Lucas?

Kobieta mówi:

– Tutaj, w szpitalu. Jest ranny.

Mówię:

– Chcę go zobaczyć.

Kobieta mówi:

– Jest nieprzytomny.

– Co to znaczy?

– Na razie nie może z tobą rozmawiać.

– Umarł?

– Nie, ale musi odpocząć.

– A matka?

– Matka czuje się dobrze. Ale jej również nie możesz zobaczyć.

– Dlaczego? Czy także jest ranna?

– Nie, śpi.

– A ojciec? Też śpi?

– Tak, twój ojciec także śpi.

Głaszcz mnie po włosach.

Pytam:

– Dlaczego oni wszyscy śpią, a ja nie?

Kobieta mówi:

– Tak już jest. Czasem tak się zdarza. Cała rodzina zasypia, a ten kto nie śpi, zostaje sam.

– Nie chcę zostać sam. Ja także chcę spać, tak jak Lucas, Matka i Ojciec.

Kobieta mówi:

– Ktoś musi czuwać, żeby na nich czekać i zająć się nimi, kiedy wrócą po przebudzeniu.

- Czy oni się obudzą?
- Niektórzy tak. Przynajmniej trzeba mieć nadzieję.

Milczymy przez chwilę. Kobieta pyta:

- Nie znasz nikogo, kto mógłby na razie zająć się tobą?

Pytam:

- Dlaczego na razie?
- Póki nie wróci ktoś z twoich bliskich.

Mówię:

- Nie znam nikogo. I nie chcę, żeby się mną zajmowano. Chcę wrócić do swojego domu.

Kobieta mówi:

– Jesteś za mały, żebyś mógł mieszkać sam w domu. Jeśli nikogo nie masz, muszę cię oddać do sierocińca.

Mówię:

- Wszystko mi jedno. Jeżeli nie mogę mieszkać w domu, nieważne, dokąd pójdę.

Jakaś kobieta wchodzi do biura i mówi:

- Przyszłam po tego chłopca. Chcę go wziąć do siebie. On nikogo nie ma. Znam jego rodzinę.

Opiekunka społeczna mówi, żebym wyszedł na korytarz. Wokół jest dużo ludzi. Siedzą na ławkach, dyskutują. Prawie wszyscy mają na sobie szlafroki.

Mówią:

- To straszne.
- Szkoda, taka urocza rodzina.
- Miała rację.
- Tacy właśnie są mężczyźni.
- Ale wstyd, taka rozpustnica.
- I to wszystko właśnie teraz, kiedy zaczyna się wojna.
- Mamy naprawdę wiele innych kłopotów.

Kobieta, która powiedziała: „Chcę wziąć do siebie tego chłopca”, wychodzi z biura. Mówi do mnie:

- Możesz iść ze mną. Nazywam się Antonia. A ty? Jesteś Lucasem czy Klaussem?

Daję rękę Antonii:

- Jestem Klaussem.

Najpierw jedziemy autobusem, potem idziemy pieszo. Wchodzimy do niewielkiego pokoju, w którym stoi duże łóżko i małe dzieciinne łóżeczko ze szczebelkami.

Antonia mówi do mnie:

- Jeszcze nie wyrosłeś z takiego łóżeczka, prawda?

Mówię:

- Nie.

Kładę się do dzieciennego łóżeczka. Zajmują je całe, nogami dotykam szczebelków.

Antonia mówi jeszcze:

- To łóżeczko jest dla dziecka, które wkrótce się urodzi. To będzie twój brat albo siostra.

Mówię:

- Mam już brata. Nie chcę innego. Siostry też nie chcę.

Antonia leży na dużym łóżku, mówi:

- Chodź, chodź tu do mnie.

Wychodzę z łóżeczka, podchodzę do niej. Bierze mnie za rękę, kładzie ją na swoim brzuchu:

- Czujesz? Rusza się. Niebawem będzie z nami.

Przyciąga mnie do siebie do łóżka, kołysze:

– Oby było takie ładne jak ty.
Potem zanosi mnie do łóżeczka.

Za każdym razem kiedy Antonia mnie kołysała, czułem ruchy dziecka i myślałem, że to Lucas. Myliłem się. Z brzucha Antonii wyszła dziewczynka.

Siedzę w kuchni. Dwie starsze panie powiedziały, żebym został w kuchni. Słyszę krzyk Antonii. Nie ruszam się. Dwie starsze panie wchodzą od czasu do czasu, żeby podgrzać wodę i powiedzieć:

– Czekaj spokojnie.

Później jedna z nich mówi do mnie:

– Możesz wejść.

Wchodzę do pokoju, Antonia wyciąga do mnie rękę, całuje mnie, mówi ze śmiechem:

– To dziewczynka. Popatrz. Śliczna dziewczynka, twoja siostra.

Zaglądam do kołyski. Wrzeszczy w niej mała fioletowa rzecz. Biorę jej rękę, gładzę, liczę kolejno paluszki, jest ich dziesięć. Wpycham jej lewy kciuk do buzi, przestaje płakać.

Antonia uśmiecha się do mnie.

– Nazwiemy ją Sara. Podoba ci się to imię?

Mówię:

– Tak, wszystko mi jedno. To nie ma znaczenia. Ona jest moją siostrzyczką, tak?

– Tak, to twoja siostrzyczka.

– I Lucasa także?

– Tak, Lucasa także.

Antonia zaczyna płakać. Pytam ją:

– Gdzie będę teraz spał, skoro łóżeczko jest zajęte?

Antonia mówi:

– W kuchni. Poprosiłam matkę, żeby przygotowała ci spanie w kuchni.

Pytam:

– Nie mogę już spać w tym pokoju?

Antonia mówi:

– Lepiej, żebyś spał w kuchni. Dziecko będzie często płakać i budzić wszystkich wiele razy w ciągu nocy.

Mówię:

– Jeśli będzie płakać i ci przeszkadzać, włóż jej kciuk do buzi. Lewy kciuk, tak jak ja to zrobiłem.

Wracam do kuchni. Została już tylko jedna starsza pani, matka Antonii. Daje mi do jedzenia kanapki z miodem. Każe wypić mleko. Potem mówi:

– Połóż się, mój mały. Możesz sobie wybrać miejsce, które ci się podoba.

Na podłodze leżą dwa materace, poduszki i kołdry. Wybieram materac pod oknem, dzięki temu mogę patrzeć na niebo i gwiazdy.

Matka Antonii kładzie się na drugim materacu. Przed snem modli się:

– Boże wszechmogący, wspomóż mnie. Dziecko nawet nie ma ojca. Moja córka z dzieckiem, które nie ma ojca! Gdyby mąż o tym wiedział! Okłamałam go. Ukryłam przed nim prawdę. I jeszcze to drugie dziecko, które nawet nie jest jej! I całe to nieszczęście. Co mam zrobić, żeby uratować tę grzesznicę?

Babcia mamrocze, a ja zasypiam szczęśliwy, że jestem blisko Antonii i Sary.

Matka Antonii wstaje wczesnym rankiem. Wysyła mnie do pobliskiego sklepu po zakupy.

Mam tylko podać listę i pieniądze.

Matka Antonii przygotowuje posiłki. Kąpie dziecko i kilka razy dziennie je przewija. Robi pranie, które wywiesza w kuchni na sznurkach nad naszymi głowami. Przez cały czas mamrocze. Być może modli się.

Nie zostaje z nami długo. Dziesięć dni po narodzinach Sary odjeżdża z walizką i modłami.

Dobrze mi samemu w kuchni. Rano wstaję wcześnie, żeby pójść po mleko i chleb. Kiedy Antonia budzi się, zanoszę do pokoju butelkę dla Sary i kawę dla Antonii. Czasem sam karmię siostrę, potem mogę zostać przy kąpielu, próbuję rozśmieszyć Sarę za pomocą zabawek, które kupiliśmy jej razem z Antonią.

Sara jest coraz ładniejsza. Rosną jej włosy i zęby, mnie śmiać się i już bardzo dobrze nauczyła się ssać lewy kciuk.

Niestety Antonia musi wrócić do pracy, ponieważ rodzice przestali przysyłać jej pieniądze.

Antonia wychodzi co wieczór. Pracuje w kabarecie, tańczy i śpiewa. Wraca późno w nocy, z rana jest zmęczona, nie może zajmować się Sarą.

Każdego ranka przychodzi sąsiadka, kąpie Sarę, potem znosi ją do kuchni, gdzie znajduje się kojec z zabawkami. Bawię się z siostrą, w czasie gdy sąsiadka gotuje obiad i pierze. Po zmywaniu sąsiadka odchodzi, a ja wszystkim się zajmuję, jeśli Antonia jeszcze śpi.

Po południu wyprowadzam Sarę na spacer w wózku. Zatrzymujemy się w tych parkach, w których są tereny zabaw. Pozwalam Sarze biegać po trawie, bawić się w piasku, bujam ją na huśtawkach.

Gdy mam sześć lat, muszę iść do szkoły. Pierwszego dnia odprowadza mnie Antonia. Rozmawia z nauczycielem i zostawia mnie. Po lekcjach wracam biegiem do domu, żeby zobaczyć, czy wszystko w porządku, i żeby wyjść na spacer z Sarą.

Chodzimy coraz dalej i pewnego dnia, zupełnie przypadkowo, odnajduję swoją ulicę, tę, przy której mieszkałem z rodzicami.

Nie mówię o tym Antonii ani nikomu. Jednak każdego dnia przechodzę przed domem z zielonymi okiennicami, zatrzymuję się na chwilę i płaczę. Sara płacze razem ze mną.

Dom jest opuszczony. Okiennice są zamknięte, z komina nie leci dym. Ogródek porośnięty jest chwastami, z tyłu, na podwórzu, orzechy pewnie pospadały z drzewa i nikt ich nie zebrał.

Pewnego wieczoru, kiedy Sara śpi, wychodzę z domu. Cichutko biegnę ulicami; jest ciemna noc. Światła w mieście zostały wygaszone z powodu wojny, okna domów są starannie zaciemnione. Wystarczy mi jasność gwiazd, znam na pamięć wszystkie ulice i przejścia.

Przeskakuję ogrodzenie, okrążam dom, siadam u stóp drzewa orzechowego. Rękoma wyczuwam leżące w trawie wyschnięte, twarde orzechy. Nappełniłem nimi kieszenie. Następnego dnia przychodzę z torbą i zabieram tyle orzechów, ile tylko mogę udźwignąć. Widząc w kuchni torbę z orzechami, Antonia pyta:

– Skąd masz te orzechy?

Mówię:

– Z naszego ogródka.

– Jakiego ogródka? Nie mamy przecież ogródka.

– Z ogródka przy domu, w którym przedtem mieszkałem.

Antonia bierze mnie na kolana.

– Jak go odnalazłeś? Jak to możliwe, że pamiętasz? Miałeś wówczas zaledwie cztery lata.

Mówię:

– Teraz mam osiem. Antonio, powiedz mi, co się wydarzyło? Powiedz, gdzie oni wszyscy są? Co się z nimi stało? Z Ojcem, Matką i Lucasem?

Antonia płacze i z całej siły tuli mnie do siebie.

– Miałam nadzieję, że o wszystkim zapomnisz. Nigdy ci o tym nie mówiłam, żebyś o wszystkim zapomniał.

Mówię:

– Niczego nie zapomniałem. Każdego wieczoru, kiedy patrzę w niebo, myślę o nich. Oni wszyscy są tam wysoko, prawda? Wszyscy umarli.

Antonia mówi:

– Nie, nie wszyscy. Tylko twój ojciec. Tak, twój ojciec umarł.

– A gdzie jest matka?

– W szpitalu.

– A mój brat Lucas?

– W ośrodku rehabilitacyjnym w S., niedaleko granicy.

– Co mu się stało?

– Został raniony rykoszetem kuli.

– Jakiej kuli?

Antonia odpycha mnie, wstaje.

– Zostaw mnie, Klausie, proszę, zostaw mnie.

Wychodzi do pokoju, kładzie się na łóżku, łka.

Sara także zaczyna płakać. Biorę ją na ręce, siadam na brzegu łóżka Antonii.

– Nie płacz, Antonio. Opowiedz mi wszystko. Lepiej, żebym wiedział. Teraz jestem wystarczająco duży, żeby poznać prawdę. Wolę wiedzieć, niż ciągle zadawać sobie pytania.

Antonia bierze Sarę, kładzie ją obok siebie i mówi do mnie:

– Połóż się z drugiej strony, ukołyszemy ją do snu. Ona nie powinna słyszeć tego, co ci powiem.

Przez dłuższą chwilę leżymy we troje na dużym łóżku. Antonia na przemian gładzi włosy Sary i moje. Kiedy dyszymy regularny oddech Sary, wiemy, że zasnęła. Antonia zaczyna mówić patrząc w sufit. Opowiada, jak moja matka zabiła ojca.

Mówię:

– Pamiętam strzały i karetki. I Lucasa. Matka zastrzeliła także Lucasa?

– Nie, Lucas został zraniony przez odbitą kulę, która ugodziła go w okolicy kręgosłupa. Przez wiele miesięcy nie odzyskiwał przytomności i sądzono, że zostanie kaleką na całe życie. Teraz jest nadzieja, że zupełnie wyzdrowieje.

Pytam:

– Czy matka także przebywa w S., tak jak Lucas?

Antonia mówi:

– Nie, twoja matka jest tutaj, w naszym mieście. W szpitalu psychiatrycznym.

Pytam:

– Psychiatrycznym? Co to znaczy? Jest chora czy szalona?

Antonia mówi:

– Szaleństwo jest taką samą chorobą jak każda inna.

– Mógłbym pójść ją zobaczyć?

– Nie wiem. Lepiej nie. To zbyt smutne.

Myślę przez chwilę, potem pytam:

– Dlaczego matka oszalała? Dlaczego zabiła ojca?

Antonia mówi:

– Dlatego, że twój ojciec mnie kochał. Kochał nas, Sarę i mnie.

Mówię:

– Sary nie było jeszcze wtedy na świecie. W takim razie to przez ciebie. Gdyby nie ty,

szczęście w domu o zielonych okiennicach trwałoby nadal, nawet podczas wojny i nawet po wojnie. Gdyby nie ty, żyłby mój ojciec, matka by nie oszalała, brat nie byłby kaleką, a ja nie zostałbym sam.

Antonia milczy. Wychodzę z pokoju.

Idę do kuchni i biorę pieniądze, które przygotowała Antonia. Co wieczór na kuchennym stole zostawia mi pieniądze potrzebne na zakupy, które mam zrobić następnego dnia. Nigdy nie prosi, żebym się rozliczał.

Wychodzę z domu. Idę w kierunku szerokiej ulicy, po której jeżdżą autobusy i tramwaje. Pytam starszą panią, która czeka na autobus na rogu ulicy:

– Przepraszam, jakim autobusem dojadę na dworzec?

Pani pyta:

– Na który dworzec, moje dziecko? Są trzy dworce.

– Na najbliższy.

– Wsiądź do tramwaju numer pięć, a potem do autobusu numer trzy. Konduktor powie ci, gdzie masz się przesiąść.

Przyjeżdżam na olbrzymi dworzec pełen ludzi, którzy popychają się, wykrzykują, klną. Staję w ogonku do okienka. Przesuwamy się powoli. Kiedy wreszcie nadchodzi moja kolej, mówię:

– Jeden bilet do S.

Kasjer mówi:

– Stąd nie odjeżdżają pociągi do miasta S. Musisz pojechać na Dworzec Południowy.

Znowu jadę autobusami i tramwajami. Jest już ciemno, gdy docieram na Dworzec Południowy. Następny pociąg do S. odjeżdża dopiero rano. Idę do poczekalni, znajduję miejsce na ławce. Jest dużo ludzi, w powietrzu zaduch, dym fajek i papierosów piecze mnie w oczy. Próbuję spać, ale gdy tylko przymykam powieki, widzę, jak Sara chodzi sama po pokoju, idzie do kuchni, płacze, bo mnie nie ma. Została sama na całą noc: Antonia musi iść do pracy, a ja siedzę w poczekalni, gdyż chcę pojechać do innego miasta, do miasta, w którym mieszka mój brat Lucas.

Chcę pojechać do miasta, w którym mieszka mój brat, chcę odnaleźć brata, potem pojedziemy razem odszukać matkę. Jutro rano pojadę do S. Pojadę.

Nie mogę usnąć. W kieszeni znajduję kartki na żywność, bez nich Antonia i Sara nie będą miały co jeść.

Muszę wracać.

Biegnę. Moje tenisówki nie robią hałasu. Rano jestem blisko domu, staję w kolejce po chleb, potem po mleko, wracam.

Antonia siedzi w kuchni. Przytula mnie:

– Gdzie byłeś? Sara płakała przez całą noc. Już nigdy nie odchodź od nas.

Mówię:

– Nie odejdę. Przyniosłem chleb i mleko. Brakuje trochę pieniędzy. Pojechałem na dworzec. A potem na następny dworzec. Chciałem dojechać do S.

Antonia mówi:

– Pojedziemy tam niedługo razem. Odnajdziemy twojego brata.

Mówię:

– Chciałbym także zobaczyć matkę.

Pewnej niedzieli po południu jedziemy do szpitala psychiatrycznego. Antonia i Sara zostają w

repcji. Pielęgniarka prowadzi mnie do saloniku, w którym jest stół i kilka foteli. Przed oknem stolik z kwiatami. Siadam, czekam.

Pielęgniarka wraca prowadząc pod ramię jakąś kobietę w szlafroku. Pomaga jej usiąść w jednym z foteli.

– Klausie, przywitaj się z mamą.

Patrzę na tę kobietę. Jest stara i gruba. Prawie całkiem siwe włosy, zaczesane do tyłu, związane ma nad karkiem kawałkiem wełny. Widzę to, kiedy odwraca się i patrzy przez dłuższy czas na zamknięte drzwi. W końcu pyta pielęgniarkę:

– A Lucas? Gdzie on jest?

Pielęgniarka odpowiada:

– Lucas nie mógł przyjechać, ale jest Klaus. Przywitaj się z mamą, Klausie.

Mówię:

– Dzień dobry, mamó.

Matka pyta:

– Dlaczego jesteś sam? Dlaczego nie ma z tobą Lucasa?

Pielęgniarka mówi:

– Lucas wkrótce przyjedzie.

Matka patrzy na mnie. Z jej bładoniebieskich oczu zaczynają spływać rzęsiste łzy. Mówi:

– Kłamstwo. Znowu kłamstwo.

Łzy sączą się przez nos. Pielęgniarka pomaga jej smarkać. Matka bezwładnie opuszcza głowę na piersi, nic już nie mówi, nawet nie patrzy na mnie.

Pielęgniarka mówi:

– Jesteśmy zmęczone. Wrócimy do łóżka. Pocałujesz mamę, Klausie?

Kręcę głową, wstaję.

Pielęgniarka mówi:

– Trafisz sam do recepcji, prawda?

Nic nie odpowiadam, wychodzę z pokoju. Omijam bez słowa Antonię i Sarę, wychodzę z budynku, czekam przed drzwiami. Antonia obejmuje mnie ramieniem, a Sara bierze za rękę, ale wrywam się i wkładam ręce do kieszeni. Wracamy w milczeniu na przystanek autobusowy.

Wieczorem, przed wyjściem Antonii do pracy, mówię:

– Kobieta, którą widziałem, nie jest moją matką. Nie pójdę już do niej więcej. To ty powinnaś iść ją zobaczyć, żeby zdać sobie sprawę z tego, co zrobiłaś.

Antonia pyta:

– Klausie, czy ty mi nigdy nie wybaczysz?

Nie odpowiadam. Antonia dodaje:

– Gdybyś wiedział, jak bardzo cię kocham.

Mówię:

– Nie powinnaś. Nie jesteś moją matką. To matka powinna mnie kochać, ale ona kocha tylko Lucasa. Przez ciebie.

Zbliża się front. Miasto jest bombardowane w dzień i w nocy. Dużo czasu spędzamy w piwnicy. Rozłożyliśmy tam materace i koce. Na początku przychodzą także sąsiedzi, ale pewnego dnia znikają. Antonia mówi, że zostali deportowani.

Antonia nie ma już pracy. Kabaret, w którym śpiewała, przestał istnieć. Szkoła jest zamknięta. Bardzo trudno o żywność, nawet na kartki. Na szczęście Antonia ma przyjaciela, który przychodzi czasami i przynosi nam chleb, mleko w proszku, herbatniki i czekoladę. Wieczorem

przyjaciel zostaje u nas, ponieważ nie może wrócić z powodu godziny policyjnej. Wówczas Sara śpi ze mną w kuchni. Kołyszę ją, opowiadam o Lucasie, którego już niebawem spotkamy, i tak zasypiamy patrząc na gwiazdy.

Pewnego dnia Antonia budzi nas bardzo wcześnie. Mówi, żebyśmy ubrali się ciepło, włożyli na siebie po kilka koszul i swetrów, płaszcze i kilka par skarpet, ponieważ odbędziemy długą podróż. Resztę ubrań pakuje do dwóch walizek.

Przyjaciel Antonii przyjeżdża po nas samochodem. Wkładamy walizki do bagażnika, Antonia siada z przodu, Sara i ja z tyłu.

Samochód zatrzymuje się prawie na wprost naszego dawnego domu, przy cementarnej bramie. Przyjaciel zostaje w samochodzie, Antonia rusza szybkim krokiem ciągnąc Sarę i mnie za rękę.

Zatrzymujemy się przed grobem z drewnianym krzyżem, na którym wyryte jest nazwisko ojca poprzedzone podwójnym imieniem, moim i brata: Klaus-Lucas T.

Na grobie, pomiędzy kilkoma zwiędłymi bukietami, leży jeden, niemalże świeży – bukiet białych goździków.

Mówię do Antonii:

– Moja mama sadziła bardzo dużo goździków w ogródku. To były ulubione kwiaty ojca.

Antonia mówi:

– Wiem. Dzieci, pożegnajcie się z ojcem.

Sara mówi grzecznie:

– Do widzenia, Ojcie.

Mówię:

– To nie był ojciec Sary. Był tylko naszym ojcem, Lucasa i moim.

Antonia mówi:

– Już ci wyjaśniałam. Nie zrozumiałeś? Szkoda. Chodźcie, nie mamy czasu do stracenia.

Wracamy do samochodu, jedziemy na Dworzec Południowy. Antonia dziękuje i żegna się z przyjacielem.

Stajemy w kolejce do okienka. Dopiero teraz mam odwagę zapytać Antonię:

– Dokąd jedziemy?

Antonia mówi:

– Do moich rodziców. Ale przedtem zatrzymamy się w S., żeby zabrać twojego brata Lucasa.

Chwytam ją za rękę, całuję:

– Dziękuję, Antonio.

Wyrywa rękę:

– Nie dziękuj. Znam tylko nazwę miasta i nazwę ośrodka rehabilitacyjnego, więcej nic nie wiem.

Kiedy Antonia płaci za bilet, zdaję sobie sprawę, że nie mógłbym zapłacić za podróż do S. pieniędzmi przeznaczonymi na zakupy.

Podróż jest uciążliwa. Jedziemy w tłoku, gdyż ludzie uciekają przed frontem. Mamy tylko jedno miejsce siedzące na nas troje. Ten, kto siedzi, bierze Sarę na kolana, druga osoba stoi. Zamieniamy się na miejsca wiele razy podczas podróży, która powinna trwać pięć godzin, lecz trwa około dwunastu ze względu na alarmy. Pociąg zatrzymuje się w szczerym polu, ludzie wysiadają i kładą się na ziemi. Wtedy ja rozciągam płaszczy, kładę na nim Sarę, a sam kładę się na niej, żeby zasłonić ją przed kulami, odłamkami i pociskami.

Późnym wieczorem przyjeżdżamy do S. Wynajmujemy pokój w hotelu. Sara i ja kładziemy się od razu do dużego łóżka. Antonia schodzi do baru, żeby się czegoś dowiedzieć, wraca dopiero nad ranem.

Ma już adres ośrodka, w którym powinien znajdować się Lucas. Jedziemy tam następnego

dnia.

Budynek, którego połowa została zburzona, leży w parku. Jest pusty. Widzimy fragmenty muru szerniałe od dymu.

Przed trzema tygodniami ośrodek został zbombardowany.

Antonia pyta miejscowe władze, odnajduje tych, którzy przeżyli. Zdobywa adres dyrektorki. Idziemy do niej.

Dyrektorka mówi:

– Bardzo dobrze pamiętam małego Lucasa. Był to najbardziej niezdolny wychowanek ośrodka. Zawsze wszystkim dokuczał. Trudno było z nim wytrzymać. Nikt do niego nie przychodził, nikt się nim nie interesował. Jeśli dobrze pamiętam, jego rodzina przeżyła jakiś dramat. Nic więcej nie wiem.

Antonia pyta:

– Czy widziała go pani po zbombardowaniu ośrodka?

Dyrektorka mówi:

– Sama zostałam ranna podczas bombardowania, ale ja się nie liczę. Dużo ludzi przychodzi, żeby porozmawiać, wypytać o dzieci. Ja nikogo nie obchodzę. A przecież przez dwa tygodnie leżałam w szpitalu. Z powodu szoku, rozumie pani? Byłam odpowiedzialna za wszystkie dzieci.

Antonia prosi jeszcze:

– Niech się pani zastanowi. Co pani wie o Lucasie? Czy widziała pani Lucasa po bombardowaniu? Co się stało z dziećmi, które przeżyły?

Dyrektorka mówi:

– Nie widziałam go. Powtarzam pani, że sama ucierpiałam. Dzieci, które ocalały, zostały odesłane do domów. Te, które zginęły, pochowano na miejscowym cmentarzu. Natomiast te, które nie zginęły, a nie miały dokąd pójść, rozesłaliśmy do okolicznych wiosek, gospodarstw, małych miasteczek. Po wojnie ludzie powinni oddać te dzieci.

Antonia sprawdza listę ofiar.

Mówi do mnie:

– Lucas nie został zabity. Odnajdziemy go.

Znowu jedziemy pociągiem. Przybywamy na mały dworzec, idziemy do centrum miasta. Antonia niesie na rękach Sarę, ja niosę walizki.

Zatrzymujemy się przy Placu Głównym. Antonia dzwoni, drzwi otwiera starsza pani. Już ją znam. To matka Antonii. Mówi do nas:

– Bogu niech będą dzięki! Jesteście zdrowi i cali. Tak strasznie się bałam. Cały czas modliłam się o was.

Ujmuje moją twarz w dłonie:

– Ty także przyjechałeś z nimi?

Mówię:

– Nie mogłem inaczej. Muszę opiekować się Sarą.

– Oczywiście, musisz opiekować się Sarą.

Tuli mnie do siebie, całuje, potem bierze Sarę na rękę:

– Jaka ty jesteś piękna i jak urosłaś.

Sara mówi:

– Chce mi się spać. Chcę spać razem z Klausem. Kładą nas w jednym pokoju, w którym kiedyś spała Antonia, gdy była małą dziewczynką.

Sara mówi do rodziców Antonii „babciu” i „dziadku”, ja zwracam się do nich „ciociu

Matyldo” i „wujku Andreasie”. Wuj Andreas jest pastorem, nie poszedł do wojska z powodu choroby. Przez cały czas trzęsie głową, tak jakby wciąż mówił „nie”.

Wuj Andreas zabiera mnie na spacery ulicami miasteczka, czasami chodzimy do późnego wieczoru. Wuj mówi:

– Zawsze pragnąłem mieć chłopca. Chłopiec rozumiałby, jak bardzo kocham to miasto. Rozumiałby piękno ulic, domów, nieba. Tak, niepowtarzalne piękno tego nieba. Spójrz. Któżby umiał nazwać te kolory...?

Mówię:

– Są takie jak we śnie.

– Tak, jak we śnie. Miałem tylko córkę. Wyjechała wcześniej, za młodu. Wróciła z córeczką i z tobą. Nie jesteś jej synem, nie jesteś moim wnukiem, ale jesteś chłopcem, na którego czekałem.

Mówię:

– Ale kiedy mama wyzdrowieje, muszę do niej wrócić, muszę także odnaleźć mojego brata Lucasa.

– Tak, oczywiście. Mam nadzieję, że ich odnajdziesz. Lecz jeśli nie, możesz pozostać u nas na zawsze. Możesz uczyć się i wybrać sobie zawód, który ci odpowiada. Co chciałbyś zrobić, kiedy będziesz duży?

– Chciałbym poślubić Sarę.

Wuj Andreas śmieje się.

– Nie możesz poślubić Sary. Jesteście rodzeństwem. Wasze małżeństwo nie jest możliwe. Jest zabronione prawnie.

Mówię:

– W takim razie po prostu będę z nią mieszkał. Nikt nie może mi zabronić, żebym nadal z nią mieszkał.

– Spotkasz wiele innych dziewcząt, które będziesz chciał poślubić.

Mówię:

– Nie sądzę.

Wkrótce spacerowanie po ulicach staje się niebezpieczne, a wieczorem w ogóle nie wolno wychodzić. Co robić podczas alarmów i bombardowań? W ciągu dnia uczę Sarę czytać i pisać, przerabiam z nią zadania arytmetyczne. W domu jest dużo książek, na strychu znajdujemy nawet dziecinne książki i podręczniki Antonii.

Wuj Andreas uczy mnie grać w szachy. Kiedy kobiety idą spać, zaczynamy partię i gramy do późnej nocy.

Na początku wuj stale wygrywa. Gdy zaczyna przegrywać, traci zapał do gry.

Mówi do mnie:

– Jesteś za mocny dla mnie, mój chłopcze. Nie mam już chęci grać. Nie mam już na nic chęci, opuszcza mnie chęć do czegokolwiek. Już nawet nie mam ciekawych snów, śnią mi się same banalne rzeczy.

Próbuję nauczyć Sarę grać w szachy, ale jej to nie pociąga. Męczy się, denerwuje, woli łatwiejsze gry, uwielbia, kiedy jej czytam opowiadania, wszystko jedno jakie, nawet słyszane już wielokrotnie.

Kiedy wojna oddała się do innego kraju, Antonia mówi:

– Możemy wrócić do siebie, do stolicy.

Jej matka mówi:

– Umrzecie z głodu. Zostaw tu Sarę na jakiś czas. Przynajmniej, póki nie znajdziesz pracy i przyzwoitego mieszkania.

Wuj Andreas mówi:

– Zostaw u nas także chłopca. W naszym mieście są dobre szkoły. Kiedy znajdziesz jego brata, weźmiemy go również do siebie.

Mówię:

– Muszę wrócić do stolicy, żeby zobaczyć, co się stało z matką.

Sara mówi:

– Jeśli Klaus wraca do stolicy, ja także wracam.

Antonia mówi:

– Wyjadę sama. Kiedy znajdę jakieś mieszkanie, przyjadę po was.

Całuje Sarę, potem mnie. Mówi mi na ucho:

– Wiem, że się nią zaopiekujesz. Mam do ciebie zaufanie.

Antonia odjeżdża, my zostajemy u ciotki Matyldy i wujka Andreeasa. Jesteśmy zadbani i dobrze odżywiani, ale nie możemy wychodzić z domu z powodu obcych żołnierzy i panującego bałaganu. Ciotka Matylda boi się o nas.

Teraz każdy z nas ma swój pokój. Sara śpi w pokoju, który wcześniej zajmowała jej matka, ja śpię w pokoju gościnnym.

Wieczorami przysuwam krzesło przed okno, patrzę na plac. Jest prawie pusty. Krążą po nim tylko nieliczni pijacy i żołnierze. Czasem przez plac przechodzi kulawe dziecko, chyba młodsze ode mnie. Gra jakąś melodię na organkach, wchodzi do baru, wychodzi, wchodzi do następnego. Około północy, kiedy zamykają bramy, dziecko oddala się w kierunku zachodnim nie przestając grać na organkach.

Pewnego wieczoru pokazuję wujowi Andreasowi chłopca z organkami:

– Dlaczego jemu wolno tak późno wychodzić?

Wuj Andreas mówi:

– Obserwuję go od roku. Mieszka u babki, na skraju miasta. To bardzo biedna kobieta. Dziecko jest z pewnością sierotą. Gra w barach, żeby zarobić trochę pieniędzy. Ludzie przyzwyczaili się do niego. Nikt by go nie skrzywdził. Jest pod opieką całego miasta, pod opieką Boga.

Mówię:

– Musi być szczęśliwy.

Wuj mówi:

– Na pewno.

Antonia przyjeżdża po nas trzy miesiące później. Ciotka Matylda i wuj Andreas nie chcą nas oddać.

Ciotka mówi:

– Zostaw jeszcze małą. Jest tutaj szczęśliwa i niczego jej nie brakuje.

Wuj Andreas mówi:

– Zostaw przynajmniej chłopca. Teraz, kiedy nastaje spokój, można by odszukać jego brata.

Antonia mówi:

– Możesz zacząć poszukiwania bez nas, Ojczy. Zabieram oboje, ich miejsce jest przy mnie.

W stolicy mamy teraz duże czteropokojowe mieszkanie. Jest w nim salon, sypialnia i łazienka.

Wieczorem po przyjeździe opowiadam bajkę Sarze, głaszczę ją po włosach, póki nie zaśnie. Słyszę, jak Antonia rozmawia z przyjacielem w salonie.

Wkładam tenisówki, schodzę po schodach, biegnę przez znane mi ulice. Wszystkie ulice, uliczki i przejścia są teraz oświetlone, już nie ma wojny, nie ma zaciemnienia ani godziny policyjnej.

Zatrzymuję się przed moim domem, w kuchni pali się światło. Najpierw myślę, że wprowadzili się do nas obcy. W salonie także zapala się światło. Jest lato, okna są otwarte. Podchodzę bliżej. Słysząc, jak ktoś mówi; to męski głos. Ostrożnie zaglądam przez okno. Matka siedzi w fotelu i słucha radia.

W ciągu tygodnia kilka razy dziennie biegnę obserwować matkę. Krząta się po domu, drepcze z jednego pokoju do drugiego, jednak głównie przebywa w kuchni. Troszczy się również o ogródek, sadi i podlewa kwiaty. Wiezorami długo czyta w sypialni, której okno wychodzi na podwórze. Co drugi dzień przyjeżdża pielęgniarka na rowerze, zostaje około dwudziestu minut, rozmawia z Matką, czasem robi zastrzyk.

Raz dziennie, rano, młoda dziewczyna przynosi koszyk pełen zakupów i wychodzi z pustym. A ja wciąż robię zakupy dla Antonii, choć ona sama mogłaby je robić, tym bardziej że ma przyjaciela do pomocy.

Matka zeszczupłała. Nie wygląda już na zaniedbaną staruszkę jak wtedy, gdy ją widziałem w szpitalu. Jej twarz jest delikatna jak niegdyś, włosy odzyskały kolor i połysk. Są związane z tyłu głowy w gruby rudy kok.

Pewnego ranka Sara pyta mnie:

– Dokąd idziesz, Klausie? Dokąd tak często chodzisz? Nawet w nocy. Przyszłam dziś w nocy do twojego pokoju, bo śniło mi się coś okropnego. Nie było ciebie, a ja tak bardzo się badam.

– Dlaczego nie idziesz do Antonii, kiedy się boisz?

– Nie chcę tam chodzić. Z powodu jej przyjaciela. Prawie co noc u nas śpi. Klausie, dokąd tak często wychodzisz?

– Po prostu spaceruję. Chodzę po ulicach.

Sara mówi:

– Spacerujesz przed pustym domem, chodzisz popłakać przed swoim pustym domem, prawda? Dlaczego już mnie nie bierzesz ze sobą?

Mówię do niej:

– Dom nie jest już pusty, Saro. Wróciła moja matka. Znowu mieszka w naszym domu i ja także muszę tam wrócić.

Sara zaczyna płakać.

– Zamieszkas z matką? Nie będziesz już z nami mieszkać? Cóż ja bez ciebie zrobię, Klausie?

Całuję ją w powieki.

– A ja? Cóż ja bez ciebie zrobię, Saro? Płacemy obydwój, padamy na kanapę w salonie.

Obejmujemy się coraz mocniej, ściskamy się rękoma i nogami. Łzy spływają po naszych twarzach, włosach, szyjach, uszach. Wstrząsa nami szloch, dreszcz, zimno.

Czuje, jak spodnie wilgotnieją mi między nogami.

– Co robicie? Co się tu dzieje?

Antonia rozdziela nas, popycha każde w inną stronę, siada pośrodku, potrząsa mną:

– Co zrobiłeś?

Krzyczę:

– Nie zrobiłem Sarze nic złego.

Antonia bierze Sarę na ręce.

– Och, Boże. Powinam była się tego spodziewać.

Sara mówi:

– Chyba zrobiłam siusiu w majtki.

Rzuca się matce na szyję.

– Mamusiu, mamusiu! Klaus przeprowadza się do matki.

Antonia bełkocze:

– Co? Co?

Mówię:

– Tak, Antonio, moim obowiązkiem jest mieszkać z matką.

Antonia krzyczy:

– Nie!

Potem mówi:

– Tak, musisz wrócić do matki.

Następnego dnia rano Antonia odprowadza mnie z siostrą. Zatrzymujemy się na rogu mojej ulicy. Antonia całuje mnie, podaje klucz.

– To jest klucz do naszego mieszkania. Możesz przychodzić, kiedy chcesz. Zostawię ci pokój.

Mówię:

– Dziękuję, Antonio. Będę przychodził do was tak często, jak tylko będę mógł.

Sara nic nie mówi. Jest blada, ma zaczerwienione oczy. Patrzy na niebo. Niebieskie bezchmurne niebo letniego poranka. Ja patrzę na Sarę, małą siedmioletnią dziewczynkę, moją pierwszą miłość. I ostatnią.

Zatrzymuję się naprzeciw domu, po drugiej stronie ulicy. Stawiam walizkę, siadam na niej. Widzę, jak wchodzi dziewczyna z koszykiem, potem wychodzi. Siedzę, nie mam siły wstać. Około południa czuję głód, mam zawroty głowy, boli mnie brzuch.

Po południu przyjeżdża pielęgniarka na rowerze. Przebiegam z walizką przez ulicę, chwytam pielęgniarkę za ramię, zanim zdąży wejść do ogródka.

– Proszę pani, proszę pani. Czekałem na panią.

Pielęgniarka pyta:

– Co ci jest? Jesteś chory?

Mówię:

– Nie, boję się. Boję się wejść do domu.

– Dlaczego chcesz wejść do domu?

– Bo tu jest mój dom, moja matka. Boję się matki, nie widziałem jej od siedmiu lat.

Jąkam się i drzę. Pielęgniarka mówi:

– Uspokój się. Pewnie jesteś Klaus. A może Lucas?

– Jestem Klaus. Lucasa tu nie ma. Nie wiem, gdzie jest. Nikt nie wie. Dlatego boję się spotkania z matką. Sam. Bez Lucasa.

Pielęgniarka mówi:

– Tak, rozumiem. Dobrze, że na mnie poczekałeś. Twoja matka myśli, że zabiła Lucasa. Wejdźmy razem. Chodź.

Pielęgniarka dzwoni, matka woła z kuchni:

– Proszę wejść. Otwarte.

Przechodzimy przez werandę, zatrzymujemy się w salonie. Pielęgniarka mówi:

– Mam dla ciebie wielką niespodziankę.

Matka staje w drzwiach kuchni. Wyciera ręce o fartuch, patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami, szepcze:

– Lucas?

Pielęgniarka mówi:

– Nie, to Klaus. Ale Lucas na pewno także wróci.

Matka mówi:

– Nie, Lucas nie wróci. Zabiłam go. Zabiłam mojego synka, on już nigdy nie wróci.

Matka osuwa się na jeden z foteli w salonie. Pielęgniarka podwija rękaw jej sukienki, robi zastrzyk. Matka nie sprzeciwia się. Pielęgniarka mówi:

– Lucas nie umarł. Został przeniesiony do ośrodka rehabilitacyjnego, już to pani mówiłam.

Mówię:

– Tak, do ośrodka w mieście S. Szukałem go tam. Ośrodek został zburzony, ale Lucasa nie ma na liście ofiar.

Matka pyta po cichu:

– Nie kłamiesz, Klausie?

– Nie, Mamo, nie Mamię.

Pielęgniarka mówi:

– To pewne, że go pani nie zabiła.

Matka jest już spokojna. Mówi:

– Musimy tam pojechać. Z kim tam byłeś, Klausie?

– Z panią z sierocińca. Pojechała ze mną. Ma rodzinę w pobliżu S.

Matka mówi:

– Z sierocińca? Mówiono mi, że zaopiekowała się tobą jakaś rodzina. Że ta rodzina bardzo dobrze się tobą zajęła. Musisz mi dać ich adres, podziękuję im.

Zaczynam kręcić:

– Nie znam ich adresu. Bardzo krótko u nich mieszkałem. Dlatego... dlatego że zostali deportowani. Potem przebywałem w sierocińcu. Niczego mi nie brakowało i wszyscy byli dla mnie bardzo dobrzy.

Pielęgniarka mówi:

– Już pójdę. Mam jeszcze dużo pracy. Odprowadzisz mnie, Klausie?

Odprowadzam ją do furtki. Pyta:

– Klausie, gdzie byłeś przez te siedem lat?

Mówię:

– Słyszała pani, co powiedziałem matce.

Pielęgniarka mówi:

– Tak, słyszałam. Tylko że to nie jest prawda. Nie umiesz kłamać, mój mały. Szukaliśmy w sierocińcach, nigdzie cię nie było. Jak odnalazłeś dom? Skąd wiedziałaś, że matka tu powróciła?

Milczę. Pielęgniarka mówi:

– Możesz zachować swój sekret. Na pewno masz jakiś powód. Ale nie zapominaj, że od wielu lat opiekuję się twoją matką. Im więcej będę o niej wiedziała, tym skuteczniej będę mogła jej pomóc. Nagle pojawia się z walizką, mam prawo wiedzieć, skąd przybywasz.

Mówię:

– Nie, nie ma pani prawa. Jestem tu, i to wszystko. Niech pani powie, jak mam postępować z

matką?

Pielęgniarka mówi:

– Jak będziesz uważał. Staraj się być spokojny. Zadzwoń do mnie, gdy będzie miała atak.

– Na czym polega atak?

– Nie bój się. Nie będzie gorzej niż dzisiaj. Krzycz, drży, to wszystko. Weź mój numer.

Zatelefonujesz do mnie, gdyby coś się działo.

Matka śpi w jednym z foteli w salonie. Biorę walizkę i idę na koniec korytarza do pokoju dzieciennego, żeby się rozpakować. W pokoju stoją jeszcze dwa duże łóżka, dwa łóżka dla dorosłych, które rodzice kupili tuż przed „tym”. Ciągle szukam słowa na określenie tego, co się stało. Mógłbym powiedzieć dramat, tragedia, katastrofa, ale w myśli nazywam to po prostu „tym czymś”, na co nie ma określenia.

Pokój dziecienny jest posprzątnany, łóżka posłane. Widać, że Matka czekała na nas. Ale bardziej niż na mnie czeka na Lucasa.

Jemy w kuchni, nagle Matka przerywa milczenie.

– Wcale nie żałuję, że zabiłam twojego ojca. Gdybym знаła kobietę, dla której chciał nas opuścić, również bym ją zabiła. Jeśli zraniłam Lucasa, to właśnie przez nią, wszystko stało się przez nią, nie z mojej winy.

Mówię:

– Mamo, nie martw się. Lucas nie umarł, na pewno wróci.

Matka pyta:

– Jak odnajdzie dom?

Mówię:

– Tak jak ja. Jeśli ja go odnalazłem, on także odnajdzie.

Matka mówi:

– Masz rację. Nie możemy stąd wyjeżdżać. Właśnie tutaj będzie nas szukał.

Matka zażywa środki nasenne, kładzie się wcześnie spać. W nocy wchodzę do jej sypialni. Śpi na wznak, na brzegu dużego łóżka, z twarzą zwróconą do okna; miejsce zajmowane przez męża jest puste.

Prawie nie śpię. Patrząc na gwiazdy i, tak jak u Antonii co wieczór myślałem o mojej rodzinie i naszym domu, tu myślę o Sarze, jej rodzinie i dziadkach mieszkających w K.

Gdy się budzę, widzę za oknem gałęzie orzecha. Idę do kuchni, całuję Matkę. Uśmiecha się do mnie. Jest kawa i herbata.

Dziewczyna przynosi świeży chleb. Mówię do niej, że nie musi już przychodzić, gdyż sam będę robił zakupy.

Matka mówi:

– Nie, Weroniko. Proszę nadal przychodzić. Klaus jest jeszcze za mady, żeby sam robił zakupy.

Weronika śmieje się.

– Nie jest już taki mały. Ale nie znalazłby w sklepach tego, co trzeba. Pracuję w szpitalnej kuchni, tam zdobywam wszystko, co przynoszę, rozumiesz, Klausie? W sierocińcu dobrze was odżywiano. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak trudno jest znaleźć w mieście coś do jedzenia. Cały czas musiałbyś stać w kolejkach przed sklepami.

Matka i Weronika bardzo się ze sobą zżyły. Śmieją się i całują. Weronika opowiada swoje przygody miłosne. Są banalne: „A więc powiedział mi, a wtedy ja mu powiedziałam, a on próbował mnie pocałować”.

Weronika pomaga Matce farbować włosy. Używają produktu zwanego henną, który przywraca włosom Matki dawny kolor. Weronika pielęgnuje także twarz Matki. Robi jej maseczki, a przy pomocy małych pędzelków, tubek i ołówków wykonuje makijaż.

Matka mówi:

– Chcę dobrze wyglądać, kiedy Lucas wróci. Nie chcę, żeby zastał mnie zaniedbaną, brzydką, starą. Rozumiesz, Klausie?

Mówię:

– Tak, Mamo, rozumiem. Ale równie dobrze wyglądasz z siwymi włosami i bez makijażu.

Matka wymierza mi policzek.

– Idź do swojego pokoju albo na spacer. Denerwujesz mnie, Klausie.

Dodaje zwracając się do Weroniki:

– Dlaczego nie miałam córki takiej jak ty?

Wychodzę. Spaceruję wokół domu, w którym mieszka Antonia i Sara, idę także na cmentarz, żeby odnaleźć grób ojca. Byłem tu tylko raz z Antonią, a cmentarz jest duży.

Wracam, próbuję pomóc Matce w ogródku, ale słyszę:

– Idź się pobawić. Weź hulajnogę albo rowerek na trzech kółkach.

Patrzę na Matkę.

– Nie zdajesz sobie sprawy, że to są zabawki czterolatków?

Matka mówi:

– Więc idź na huśtawkę.

– Też nie chcę.

Idę do kuchni, biorę nóż i przecinam cztery sznury od huśtawki.

Matka mówi:

– Mógłbyś zostawić przynajmniej jedno krzeselko. Lucas ucieszyłby się. Jesteś trudnym dzieckiem, Klausie. A nawet niedobrym.

Wchodzę do pokoju dziecinnego. Kładę się na łóżku i piszę wiersze.

Zdarza się, że wieczorem Matka wola:

– Lucas, Klaus, chodźcie jeść!

Wchodzę do kuchni. Matka patrzy na mnie i odstawia na kredens trzeci talerz przeznaczony dla Lucasa albo wrzuca go do zlewu, gdzie oczywiście się tłucze, albo czasem nakłada Lucasowi, tak jakby był z nami.

Zdarza się także, iż Matka przychodzi w środku nocy do pokoju dziecinnego. Poprawia poduszkę Lucasa i mówi do niego:

– Śpij dobrze. Życzę ci pięknych snów. Do jutra.

Potem wychodzi, lecz zdarza się również, że długo klęczy obok łóżka i zasypia trzymając głowę na poduszce Lucasa.

Leżę nieruchomo w łóżku, oddycham najciszej, jak umiem, a kiedy budzę się następnego ranka, Matki już nie ma. Dotykam poduszki w sąsiednim łóżku – jest jeszcze mokra od matczynych łez.

Cokolwiek robię, Matka nigdy nie jest zadowolona. Wystarczy, że spadnie jeden mały okruszek z mojego talerza, a Matka mówi:

– Nigdy nie nauczysz się jeść poprawnie. Popatrz, Lucas nigdy nie plami obrusa.

Gdy przez cały dzień pielę chwasty w ogródku i wracam oblepiony błotem, Matka mówi:

– Ubrudziłeś się jak prosię. Lucas zrobiłby to jak należy.

Gdy Matka otrzymuje pieniądze, bierze tę drobną kwotę ofiarowaną przez państwo, idzie do miasta, kupuje kosztowne zabawki, które chowa pod łóżko Lucasa uprzedzając mnie:

– Nie ruszaj ich. Te zabawki mają być jak nowe, kiedy Lucas wróci.

Znam już lekarstwa, które musi brać Matka.

Pielęgniarka we wszystko mnie wprowadziła.

Teraz, gdy Matka sprzeciwia się lub zapomni wziąć lekarstwo, dorzucam je do kawy, herbaty lub zupy.

We wrześniu znowu idę do szkoły. To ta sama szkoła, do której chodziłem już przed wojną. Powinienem spotkać w niej Sarę. Jednak jej tam nie ma.

Po lekcjach dzwonię do drzwi Antonii. Nikt nie odpowiada. Otwieram swoim kluczem.

Nikogo nie ma. Wchodzę do pokoju Sary. Otwieram szuflady, szafy; nie ma żadnego zeszytu, żadnej sukienki.

Wychodzę z domu, rzucam klucz od mieszkania pod nadjeżdżający tramwaj, wracam do matki.

Pod koniec września spotykam Antonię na cmentarzu. Wreszcie znalazłem grób. Przyniosłem bukiet białych goździków, ulubionych kwiatów ojca. Podobny bukiet leży już na grobie. Kładę obok niego swój.

Wyrastająca nagle spod ziemi Antonia pyta:

– Byłeś u nas?

– Tak. Pokój Sary jest pusty. Gdzie ona jest?

Antonia mówi:

– U moich rodziców. Ona musi o tobie zapomnieć. Bez przerwy o tobie myślała, wciąż chciała cię szukać. U twojej matki czy gdziekolwiek.

Mówię:

– Ja także ciągle o niej myślę. Nie mogę żyć bez niej, chcę z nią mieszkać, wszystko jedno, gdzie i jak.

Antonia chwyta mnie w ramiona:

– Klausie, nie zapominaj, że jesteście rodzeństwem. Nie możecie kochać się tak, jak się kochaliście. Nigdy nie powinnam była brać ciebie do nas.

Mówię:

– Brat i siostra. Jakie to ma znaczenie? Nikt by się nie dowiedział. Nosimy różne nazwiska.

– Nie nalegaj, Klausie, nie nalegaj. Zapomnij o Sarze.

Nic nie odpowiadam, Antonia dodaje:

– Spodziewam się dziecka. Wyszłam ponownie za mąż.

Mówię:

– Kochasz innego mężczyznę, masz inne życie, dlaczego zatem jeszcze tu przychodzisz?

– Nie wiem. Być może ze względu na ciebie. Przez siedem lat byłeś moim synem.

Mówię:

– Nie, nigdy. Mam tylko jedną matkę, tę, z którą mieszkam, tę, którą doprowadziłaś do szaleństwa. Przez ciebie straciłem ojca i brata, a teraz zabierasz mi także siostrę.

Antonia mówi:

– Wierz mi, Klausie, bardzo tego wszystkiego żałuję. Nie chciałam tego. Nie spodziewałam się takich następstw. Szczerze kochałam twojego ojca.

Mówię:

– W takim razie powinnaś zrozumieć moją miłość do Sary.

– To miłość zakazana.

– Tak jak twoja. Powinnaś była wyjechać i zapomnieć ojca, zanim „to wszystko” się stało. Nie chcę cię już tutaj spotykać, Antonio. Nie chcę cię więcej widzieć przy grobie mojego ojca.

Antonia mówi:

– Dobrze, już tu nie przyjdę. Ale nigdy ciebie nie zapomnę, Klausie.

Matka ma bardzo mało pieniędzy. Otrzymuje niewielką rentę inwalidzką od państwa. Jestem dla niej dodatkowym ciężarem. Muszę znaleźć pracę tak szybko, jak to będzie możliwe. Weronika proponuje mi roznoszenie gazet.

Wstaję o czwartej rano, idę do drukarni, biorę plik gazet, obiegam przydzielone mi ulice, zostawiam gazety przed drzwiami, w skrzynkach na listy, pod kratami sklepów.

Kiedy wracam, Matka jeszcze śpi. Wstaje dopiero około dziewiątą. Przygotowuję kawę i herbatę, potem idę do szkoły, gdzie jem obiad. Wracam do domu około piątej po południu.

Pielęgniarka stopniowo ogranicza wizyty. Mówi, że Matka już doszła do siebie i że powinna tylko brać leki uspokajające i nasenne.

Weronika także przyjeżdża coraz rzadziej. Pojawia się jedynie po to, żeby opowiadać Matce o swym nieudanym małżeństwie.

Gdy mam czternaście lat, przestaję chodzić do szkoły. Uczę się fachu w drukarni gazety, którą roznosiłem przez trzy lata. Pracuję od dziesiątej wieczorem do szóstej rano.

Mój szef Gaspar dzieli się ze mną nocnym posiłkiem. Matka nie myśli o tym, żeby mi przygotować coś do jedzenia, nie myśli nawet o węglu na zimę. O niczym nie myśli, tylko o Lucasie.

W wieku siedemnastu lat jestem już zecerem. Zarabiam sporo pieniędzy w porównaniu z ludźmi wykonującymi inne zawody. Dwa razy w miesiącu mogę zabrać Matkę do salonu piękności na trwałą ondulację, farbowanie włosów oraz zabiegi pielęgnacyjne twarzy i rąk. Matka nie chce być stara i brzydka, kiedy wróci Lucas.

Matka ciągle wymawia mi, że porzuciłem szkołę:

– Lucas kontynuowałby naukę. Zostałby lekarzem. Sławnym lekarzem.

Kiedy w naszym zaniedbanym domu zaczyna przeciekać dach, Matka mówi:

– Lucas zostałby architektem. Sławnym architektem.

Kiedy pokazuję Matce wiersze, czyta je i mówi:

– Lucas zostałby pisarzem. Sławnym pisarzem.

Nie pokazuję jej więcej wierszy, chowam je.

Stukot maszyn pomaga mi w pisaniu. Nadaje rytm zdaniom, pobudza wyobraźnię. Gdy późną nocą kończę układać strony gazety, piszę i drukuję własne teksty, które podpisuję pseudonimem Klaus Lucas, na pamiątkę zmarłego i zaginionego brata.

To, co drukujemy w gazecie, jest całkowicie niezgodne z rzeczywistością. Każdego dnia po sto razy drukujemy zdanie: „Jesteśmy wolni”, gdy tymczasem na ulicach widać żołnierzy obcego wojska, duża liczba więźniów politycznych dla nikogo nie jest tajemnicą, nie wolno wyjeżdżać za granicę, a nawet nie można swobodnie poruszać się po kraju. Wiem o tym, ponieważ pewnego razu spróbowałem pojechać do Sary przebywającej w miasteczku K. Dojechałem tylko do sąsiedniego miasta, tam mnie zatrzymano i po całonocnym przesłuchaniu odesłano do stolicy.

Sto razy dziennie drukujemy zdanie: „Żyjemy w szczęściu i dobrobycie” – początkowo myślę, że ta prawda dotyczy innych ludzi, że Matka i ja jesteśmy ubodzy i nieszczęśliwi z powodu „tego czegoś”, co wydarzyło się dawniej, ale Gaspar mówi, że wcale nie jesteśmy wyjątkiem, że także on, jego żona i troje dzieci żyją tak nędznie, jak nigdy dotąd.

Zresztą gdy wracam wczesnym rankiem z drukami i mijam ludzi idących do pracy, nigdzie nie widzę szczęścia ani tym bardziej dobrobytu. Kiedy pytam, dlaczego drukujemy tyle kłamstw, Gaspar odpowiada:

– Przede wszystkim nie zadawaj pytań. Rób, co do ciebie należy, i nie zajmuj się niczym innym.

Pewnego ranka przed drukarnią czeka na mnie Sara. Przechodzę obok nie poznając jej. Odwracam się dopiero, gdy słyszę swoje imię:

– Klaus!

Patrzemy na siebie. Jestem zmęczony, brudny, nie ogolony. Sara jest piękna, świeża, elegancka. Ma teraz osiemnaście lat. Odzywa się pierwsza:

– Nie pocałujesz mnie, Klausie?

Mówię:

– Wybacz, nie jestem czysty.

Całuje mnie w policzek. Pytam:

– Skąd wiedziałas, że tu pracuję?

– Od twojej matki.

– Od mojej matki? Byłaś u nas?

– Tak, wczoraj wieczorem. Zaraz po przyjeździe. Wyszedłeś już do pracy.

Wyjmuję chusteczkę, wycieram spoconą twarz.

– Powiedziałas jej, kim jesteś?

– Powiedziałam, że jestem koleżanką z dzieciństwa. Zapytała: „Z sierocińca”, odpowiedziałam: „Nie, ze szkoły”.

– A Antonia? Wie, że tu przyszłaś?

– Nie, nie wie. Powiedziałam, że idę zapisać się na uniwersytet.

– O szóstej rano?

Sara śmieje się.

– Ona jeszcze śpi. Zresztą to prawda, że idę na uniwersytet. Trochę później. Mamy czas, żeby napić się gdzieś kawy.

Mówię:

– Chce mi się spać. Jestem zmęczony. Poza tym muszę przygotować śniadanie dla Matki.

Sara mówi:

– Widzę, że nie cieszysz się z naszego spotkania, Klausie.

– Co też mówisz, Sara! Jak czują się twoi dziadkowie?

– Dobrze. Ale bardzo się postarzel. Matka chciała sprowadzić ich także do siebie, lecz Dziadek nie chce wyjechać ze swojego miasteczka. Możemy się często spotykać, jeśli chcesz.

– Na jaki wydział chcesz się zapisać?

– Chciałabym studiować medycynę. Teraz, kiedy wróciłam, moglibyśmy codziennie się spotykać, Klausie.

– Pewnie masz brata albo siostrę. Gdy ostatni raz widziałem Antonię, była w ciąży.

– Tak, mam dwie siostry i braciszka. Ale Klausie, chciałabym porozmawiać o nas dwojgu.

Pytam:

– Jaki zawód wykonuje twój ojczym, że może utrzymać tak dużą rodzinę?

– Ma kierownicze stanowisko w partii. Ale czy ty specjalnie ciągle zmieniasz temat?

– Tak, specjalnie. Cóż za sens mówić o nas? Nie ma nic do powiedzenia.

Sara mówi cicho:

– Zapomniałeś, jak bardzo się kochaliśmy? Ja o tobie nie zapomniałam, Klausie.

– Ja też nie. Ale nie możemy się spotykać. Jeszcze tego nie zrozumiałaś?

– Tak. Właśnie zrozumiałam.

Sara zatrzymuje zbliżającą się taksówkę i odjeżdża.

Ja idę na przystanek autobusowy, czekam dziesięć minut i jak co rano wsiadam do zatłoczonego, śmierdzącego autobusu.

Gdy przyjeżdżam do domu, Matka już wstała, wbrew swoim zwyczajom. Pije kawę w kuchni. Uśmiecha się do mnie:

– Ładna jest ta twoja dziewczyna, Sara. Jak ona się nazywa? Sara jak? Jak ma na nazwisko?

Mówię:

– Nie wiem, Mamo. Ona nie jest moją dziewczyną. Nie widziałem jej od wielu lat. Przyjechała, żeby odnaleźć dawnych kolegów z klasy, to wszystko.

Matka mówi:

– To wszystko? Szkoda. Już czas, żebyś miał jakąś dziewczynę. Ale jesteś zbyt niezdarny, aby podobać się dziewczętom. Zwłaszcza takim pannom z dobrego domu. I jeszcze ten twój zawód. Co innego Lucas. Tak, Sara pasowałaby właśnie do Lucasa.

Mówię:

– Na pewno, Mamo. Wybacz, jestem bardzo senny.

Kładę się do łóżka, a przed zaśnięciem przemawiam w myśli do Lucasa, tak jak od wielu lat. Zazwyczaj powtarzam mu ciągle to samo. Powiadam, że jeśli umarł, to ma szczęście, i że chciałbym być na jego miejscu. Mówię, że trafiła mu się lepsza część, gdyż ja muszę borykać się z psim losem. Mówię, że życie nie ma żadnej wartości, jest bezsensem, pomyłką, bezgranicznym cierpieniem, wymysłem anty-Boga, którego nienawiści nie da się pojąć.

Już nie spotykam Sary. Czasem wydaje mi się, że ją widzę na ulicy, ale to nigdy nie jest ona.

Raz przechodzę przed domem, w którym kiedyś mieszkała Antonia, ale nie widzę żadnego znanego nazwiska na skrzynkach listowych, zresztą nie mam nowego nazwiska Antonii.

Kilka lat później otrzymuję zawiadomienie o ślubie. Sara wychodzi za chirurga. Adres obydwu rodzin prowadzi do najbogatszej, najbardziej eleganckiej dzielnicy w mieście, zwanej „Różanym Wzgórzem”.

W przyszłości będę miał wiele dziewczyn. Spotkam je w sąsiadujących z drukarnią barach, do których mam zwyczaj zaglądać przed i po pracy. Te dziewczyny to robotnice lub kelnerki, rzadko widzę je ponownie, nie proszę ich do domu, nie przedstawiam Matce.

Niedzielne popołudnia spędzam u mojego szefa Gaspara i jego rodziny. Gramy w karty popijając piwo. Gaspar ma troje dzieci. Najstarsza – Estera – gra z nami; jest prawie w moim wieku, pracuje w fabryce tekstylnej, jest tkaczką od trzynastego roku życia. Dwaj chłopcy, trochę młodszy, również drukarze, wychodzą w niedzielne popołudnia. Chodzą na mecz, spacerują po mieście. Anna, żona Gaspara, która tak jak córka jest także tkaczką, zmywa naczynia, pierze, przygotowuje kolację. Estera jest blondynką, ma niebieskie oczy i twarz podobną do Sary. Ale nie jest Sarą, nie jest moją siostrą, nie jest moim życiem.

Gaspar mówi do mnie:

– Moja córka zakochała się w tobie. Weź ją za żonę. Daję ci ją. Tylko ty na nią zasługujesz.

Mówię:

– Nie chcę się żenić, Gasparze. Muszę zajmować się Matką i czekać na Lucasa.

Gaspar mówi:

– Czekać na Lucasa? Biedny szaleniec.

Dorzuca jeszcze:

– Jeśli nie chcesz ożenić się z Esterą, lepiej żebyś już więcej do nas nie przychodził.

Nie odwiedzam już Gaspara. Od tej pory spędzam wolny czas w domu, sam z Matką, nie licząc godzin, w czasie których chodzę bez celu po cmentarzu lub po mieście.

W wieku czterdziestu pięciu lat zostaję kierownikiem innej drukarni, należącej do wydawnictwa. Już nie pracuję w nocy, lecz od ósmej rano do szóstej wieczorem, z dwiema godzinami przerwy w południe. Mam już nadszarpnięte zdrowie. Płuca nasycone ołowiem, niedotlenioną zatrutą krew. Jest to ołowica, choroba drukarzy i zecerów. Mam kolkę i mdłości. Lekarz każe mi pić dużo mleka i jak najdłużej przebywać na świeżym powietrzu. Nie lubię mleka. Cierpię na bezsenność, a co za tym idzie, odczuwam olbrzymie zmęczenie psychiczne i fizyczne. Po trzydziestu latach nocnej pracy nie mogę przyzwyczaić się do spania w nocy.

W nowej drukarni drukujemy najróżniejsze teksty, wiersze, prozę, powieści. Dyrektor wydawnictwa często kontroluje naszą pracę. Pewnego dnia podsuwa mi pod oczy moje własne wiersze, które znalazł na półce:

– Co to takiego? Czyje są te wiersze? Kto to jest Klaus Lucas?

Jąkam się zakłopotany, ponieważ w zasadzie nie wolno mi drukować własnych tekstów:

– Moje. To są moje wiersze. Drukuję je po godzinach pracy.

– Chce pan powiedzieć, że jest pan Klaudem Lucasm, autorem tych wierszy?

– Tak, to ja.

Pyta:

– Kiedy je pan napisał?

Mówię:

– W ostatnich latach. Napisałem także wiele innych wierszy, gdy byłem młody.

Dyrektor mówi:

– Proszę przynieść wszystko, co pan ma. Proszę przyjść jutro rano do mojego gabinetu ze wszystkim, co pan napisał.

Następnego ranka wchodzę do gabinetu dyrektora z moimi wierszami. Niosę kilkaset stron, może tysiąc.

Dyrektor waży paczkę w dłoni:

– Aż tyle? Nigdy pan nie próbował ich opublikować?

Mówię:

– Nigdy o tym nie myślałem. Pisałem dla siebie, żeby się zająć, zabawić.

Dyrektor śmieje się.

– Żeby się zabawić? Pańskie wiersze nie są zbyt zabawne. Przynajmniej te, które zdążyłem przeczytać. Ale być może był pan bardziej wesoły w młodości?

Mówię:

– Moja młodość nie była wesoła.

Dyrektor mówi:

– To prawda. W tamtych czasach nie było się z czego cieszyć. Ale wiele rzeczy zmieniło się po rewolucji.

Mówię:

– Nie dla mnie. Dla mnie nic się nie zmieniło.

Dyrektor mówi:

– Teraz przynajmniej możemy opublikować pańskie wiersze.

Mówię:

– Jeśli pan tak myśli, jeśli pan tak uważa, niech je pan opublikuje. Ale proszę nie podawać nikomu mojego adresu ani prawdziwego nazwiska.

Lucas wrócił i odjechał. To ja go odepchnąłem. Zostawił mi swój nie dokończony rękopis. Właśnie dopisuję brakujące strony.

Pracownik ambasady nie uprzedził mnie, że przyjdzie. Dwa dni po wizycie brata dzwoni do drzwi o dziewiątej wieczorem. Na szczęście Matka już usnęła. Mężczyzna ma kręcone włosy, jest szczupły i blady. Prowadzę go do gabinetu. Mówi:

– Nie znam dobrze waszego języka, proszę mi wybaczyć, jeśli będę mówił zbyt obcesowo. Pański brat, to znaczy rzekomy brat, Claus T., popełnił dzisiaj samobójstwo. Rzucił się pod pociąg o czternastej piętnaście na Dworcu Wschodnim w chwili, gdy chcieliśmy odesłać go do kraju. Zostawił w ambasadzie list do pana.

Mężczyzna podaje mi kopertę, na której jest napisane: „Do rąk własnych Klausa T.”

Otwieram kopertę. Czytam napisane na kartce słowa: „Chciałbym zostać pochowany obok naszych rodziców”. Podpisano: Lucas.

Pokazuję kartkę pracownikowi ambasady.

– Chce zostać tutaj pochowany.

Mężczyzna czyta zdanie z kartki i pyta:

– Dlaczego podpisał: Lucas? Czy naprawdę był pańskim bratem?

Mówię:

– Nie. Ale tak bardzo w to uwierzył, że nie mogę mu odmówić.

Pracownik ambasady mówi:

– To ciekawe. Dwa dni temu, po wizycie u pana, zapytaliśmy go, czy znalazł kogoś z rodziny. Odpowiedział, że nie.

Mówię:

– To prawda. Między nami nie ma żadnego pokrewieństwa.

Pracownik ambasady pyta:

– Mimo to pozwoli pan, żeby go pochować obok pańskich rodziców?

Mówię:

– Tak. Obok ojca. To jedyny zmarły w mojej rodzinie.

Idziemy za wozem pogrzebowym. Pracownik ambasady i ja. Pada śnieg. Niosę jeden bukiet białych goździków i jeden czerwonych. Kupiłem je u kwiaciarza. W naszym ogródku nawet latem nie ma już goździków. Matka sadi różne kwiaty, lecz nie goździki.

Obok grobu ojca został wykopany nowy grób. Spuszczają do niego trumnę brata, stawiają krzyż z moim imieniem pisanym w odmienny sposób.

Codziennie przychodzę na cmentarz. Patrę na krzyż z napisem Claus i myślę, że powinienem go zastąpić innym, na którym byłoby napisane: Lucas.

Myślę również, że wkrótce znowu wszyscy będziemy razem. Gdy umrze Matka, nie będę już miał żadnego powodu, żeby żyć.

Pociąg to niezły pomysł.